

Fern Michaels

Dzieci Maggie

(Texas Heat)

Przełożyła Maria Wójtowicz

Tom 4

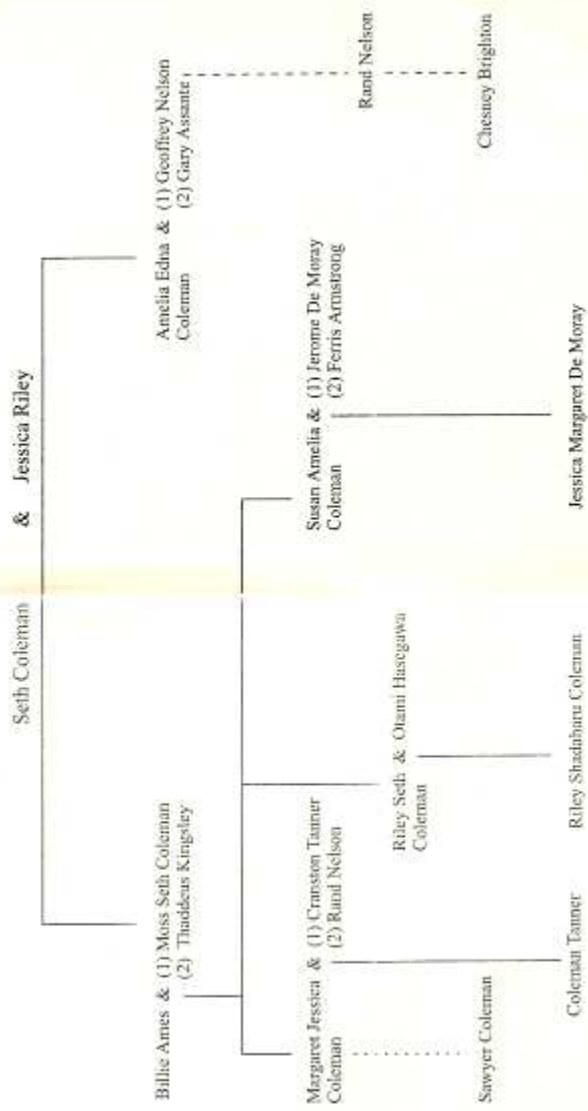
cykl

Saga Teksasu

*Pamięci Lucy Baker Koval –
matki, babki i przyjaciółki*

Drzewo genealogiczne

rodziny Colemanów



Rozdział pierwszy

Różnorodność jesiennych barw ustąpiła miejsca przyszarzałym brązom nadchodzącej zimy. Minęło Halloween, uczczone latarnią z dyni, samotnie płonąca na werandzie w Sunbridge. Przeminięły pierwsze tygodnie listopada, którym towarzyszyły, zdaniem specjalistów od prognozowania pogody, najgorsze od wielu lat warunki atmosferyczne.

Ostatni mecz futbolowy sezonu został rozegrany i przyniósł zwycięstwo szkole średniej z Crystal City, zawdzięczane talentom Rileya, polegającym na unieszkodliwianiu przeciwników i przechwytywaniu piłki. Zabawa taneczna po meczu stanowiła końcowy beztroski akcent. Maggie pełniła w czasie tej imprezy rolę jednej z gospodyń. Cole się nie pojawił.

Grudzień zastał Maggie bardziej zabieganą niż kiedykolwiek. Wydawało się, że cały Teksas dostał bzika na punkcie zbliżającej się Gwiazdki. Maggie bez przerwy biegła z jednego spotkania na drugie, hojnie użyczając swego nazwiska i doświadczenia. W czasie przerwy na lunch zazwyczaj pędziła na pocztę w Crystal City, gdzie wynajęła skrytkę pocztową. Przynajmniej co drugi dzień w skrytce nr 771 pojawiał się lotniczy list z Anglii. Tego dnia siedziała na parkingu chrapiąc krakersy i czytając ostatnią epistołę Randa. Sama pisywała do niego prawie codziennie – lekkie, pełne ploteczek i nowinek liściki, opowiadające o wszystkim, co wydarzyło się w jej życiu. W każdym liście powtarzała, że spodziewa się go na święta. Pisała, że liczy dni, godziny, a niekiedy i minuty do ponownego spotkania.

Dzisiaj musiała załatwić gwiazdkowe sprawunki. I tak już dość długo z tym zwlekała. Chciała mieć góry prezentów dla każdego i największą choinkę w całym Teksasie. I postanowiła dopiąć swego. To miały być bardzo ważne święta!

Jeszcze tylko kilka dni i zaczną się wakacje chłopców. Maggie nie robiła jeszcze żadnych konkretnych planów, bo nie miała żadnej pewności, kto z zaproszonych przyjedzie, Billie i Thad obiecali się zjawić, chyba żeby im coś w ostatniej chwili wypadło. Maggie nie udało się skontaktować z Sawyer i uzyskać od niej potwierdzenia przyjazdu. Cole i Riley twierdzili, że nie wiedzą co zamierza Sawyer.

Rand też niczego wyraźnie nie obiecał, ale Maggie była pewna, że się zjawi, bo każdego wieczora odmawiała na tę intencję prywatne zaklęcia. Była tak pochłonięta myślą, jakie urządzi przyjęcia, zastanawiała się, jak ubierze choinkę, żeby nie wspomnieć o rodzinnym nabożeństwie, że prawie zapomniała o rozwodzie, który miał się wkrótce uprawomocnić. Powiedziała sobie, że zajmie się tym zaraz po Nowym Roku.

Maggie siedziała tuląc list Randa do piersi i nie dostrzegła otulonej w futro z norek postaci, która przemknęła obok jej samochodu. Amelię kusiło, żeby zastukać w szybkę, ale nie zrobiła tego. Było coś tajemniczego w tym, że Maggie tkwiła na parkingu obok urzędu pocztowego z jakimś papierem przyciśniętym do serca. Bez wątpienia, miała jakiś sekret. Amelii to nie dziwiło. Nie musiała też się długo zastanawiać, aby odgadnąć, co to był za sekret.

Kiedy Amelia załatwiła już swoje sprawy na poczcie i opuszczała budynek, zobaczyła, że Maggie wyjeżdża z parkingu. Chyba dobrze się stało, że Maggie jej nie zauważyła, doszła do wniosku Amelia, wsiadając do swojego wozu. Mogłaby wyrwać się z czymś, co zostałyby źle przyjęte.

Westchnęła opuszczając parking. Życie w Sunbridge wyglądało całkiem inaczej niż tego oczekiwała. Cały czas dawało się odczuć jakieś napięcie. Cole i Riley nieustannie skakali sobie do gardła, Susan krążyła po domu jak błędna ze szklanym wzrokiem. Maggie miotła się z miejsca na miejsce. Nawet Cary był nieobecny duchem. Praca go

pochłaniała; chwile miłości zdarzały się raz na tydzień w niedzielny poranek, i to jedynie wówczas, gdy ona sama wyszła z inicjatywą.

Codziennie w tym tygodniu dzwoniła do Cary'ego z propozycją wspólnego lunchu. Zawsze odmawiał, mówiąc z żalem, że musi zostać na terenie budowy. Zaproponowała, że sama przywiezie kosz z przysmakami, ale Cary i przed tym się wybronił, tłumacząc, że to nie spodobałoby się innym pracownikom. Wszyscy jadali tam wspólnie, robotnicy razem z kierownictwem.

Amelia znalazła się już prawie na terenie budowy. Może podjechać tam i przynajmniej się przywitać? Mogła wejść do biura, znajdującego się w przyczepie, napić się kawy i zostawić wśród notatek służbowych liścików do męża. Z pewnością go to ucieszy. A może pomyśli, że żona za nim goni i nie daje mu spokoju? Do cholery, niech sobie myśli, co chce! Ma ochotę to zrobić i nie zamierza z tego zrezygnować!

Droga wiodąca na teren budowy pełna była wybojów, a wszystkie dziury zalane wodą. Przez dobre kilka mil Amelia widziała jedynie nie kończące się bioto i bloki betonu. Gdzieś tam stały przyczepy podłączone przewodami do generatorów. Pracowały tu buldożery i ciężka aparatura terenowa wszelkiego typu.

Amelia siedziała przez chwilę bez ruchu, zanim wyłączyła silnik, zastanawiając się, czy całe to przedsięwzięcie się powiedzie. Czy Teksas spełni oczekiwania Cary'ego? Boże, to potrwa z dziesięć lat, zanim siew pełni urzeczywistni! Do tego czasu ona może już nie żyć. Cary osiągnie wtedy pełnię swoich możliwości: przystojny wdowiec koło pięćdziesiątki. Myśl o tym była tak straszna, że Amelia nie wysiadła, lecz prawie wyskoczyła z auta. Błoto chlapnęło na srebrzyste norki. Amelia zakląła głośno i dosadnie. Potem roześmiała się. Gotowa była włożyć gumowe buty pod biodra i brodzić po pas w błocie, byleby tylko być przy Carym! Mogła jeść na lunch kanapki z metalowej puszki, a nawet nosić jaskrawożółty ochronny kask. Może nawet

zrezygnować ze sztucznych rzęs i długich paznokci, gdyby w tym przeszkadzały.

Nabrała głęboko powietrza w płuca i otworzyła drzwi przyczepy, w której znajdowało się biuro. Kiedy była tu poprzednio, panował w niej brud, bałagan i całkowity chaos. Teraz doszła do wniosku, że musiała wdać się w to jakaś wróżka: pokryte grabą warstwą kurzu okna były teraz czyste i przesłonięte eleganckimi zasłonami. Na stołach w wiklinowych koszyczkach stały zielone rośliny. Na biurku Cary'ego w dwóch drucianych pojemnikach leżała uporządkowana nadesłana i gotowa do wysyłki korespondencja, tuż obok nowego komputera i drukarki. Amelia zmarszczyła brwi. Cary nie wspomniał nawet słowem o komputerze. Zniknął też stary czarny telefon, zastąpiony najnowszym modelem centrali AT & T.

Amelia rozejrzała się uważnie wokół siebie. Nie przypominała sobie, żeby na ścianach była przedtem boazeria. Albo oprawione w aluminiowe ramki widoczki z różnych stron Teksasu. Rozstawiono też cztery fotele obite welwetem w kolorze czekolady, a na nich nie dostrzegła nawet śladu kurzu. Barek, jeszcze jeden nowy nabytek, wypełniały drogie trunki. Amelia wiedziała, że znajdzie za nim lodówkę pełną puszek z piwem i orzeźwiającymi napojami. Dla klientów? Mało prawdopodobne. Zapewne na użytek Cary'ego i jego współników. Zwykli pracownicy na pewno nie mieli na co dzień wstępu do tego biura.

Na koniec zajrzała do maleńkiej łazienki, wyposażonej w nową wykładzinę, w dodatku różowitką! A nad toaletą zwisał wiklinowy koszyk z biało-żółtymi stokrotkami. Spojrzała na umywalkę. Czyściutka, podobnie jak zlew. Duży zapas ładnych papierowych ręczników. Do czyich rąk? Buteleczka z balsamem i kostki mydła o kwiatowym zapachu równiutko ułożone obok papierowych ręczników. Zmieniono nawet lustro i górne oświetlenie.

Kto dokonał tych wszystkich zmian? – zdumiewała się Amelia. Cary nie wspomniał o nich ani słowem. Sama nie wiedząc dlaczego poczuła się rozgniewana i dziwnie niepewna. Zrobiło się jej gorąco.

Właśnie wyłączyła przerośny grzejnik, gdy otworzyły się drzwi i w polu widzenia Amelii ukazała się para smukłych nóg na przeraźliwie wysokich obcasach. Amelia odwróciła się wyprostowała.

– Pomyślałam, że jest zbyt rozgrzany. Mógłby od czegoś takiego powstać pożar – wyjaśniła chłodno.

– Chyba ma pani rację. Ale bywa tu bardzo zimno. Wieje spod drzwi. Czym mogę służyć? Tylko najpierw zdejmę kurtkę i skoczę do łazienki. Odbierałam lunch dla pracowników. Chińska kuchnia – rzuciła przez ramię.

Amelia przymrużyła oczy. Kimkolwiek była ta kobieta, miała najdoskonalszą figurę, jaką Amelia kiedykolwiek widziała. Nie można było nic zarzucić jej cerze, a poza tym była młoda. Bardzo młoda. Najwyżej dwadzieścia pięć lat. Chodząca doskonałość? Cukiereczek? Pracownicy musieli przychodzić tu z prawdziwą przyjemnością – pomyślała Amelia.

– Bardzo przepraszam, że musiała pani na mnie czekać, ale natura ma swoje prawa – powiedziała wesolutko młoda kobieta.

Usadowiła się za biurkiem, poddzierając obcisłą spódniczkę z niebieskiego dżerseju jeszcze wyżej, i spojrzała prosto w twarz Amelii.

– No więc, czym mogę służyć?

– Może poinformuje mnie pani, gdzie jest mój mąż.

– Jeżeli dowiem się, o kogo chodzi, pewnie będę mogła. Nazywam się Eileen Farrell.

– O Cary’ego Assante. Jestem jego żoną. Ciemnobrązowe oczy Eileen otwarły się szeroko.

– Pani Assante?!

– We własnej osobie – odparła chłodno Amelia.

– Ooo... witam panią! Cary nic nie mówił, że pani tu wpadnie. Jest teraz gdzieś na budowie. Zazwyczaj jemy lunch o pierwszej, ale się dziś spóźniają. Trzeba będzie pewnie włożyć wszystko do kuchenki mikrofalowej.

– Macie tu kuchenkę mikrofalową? – spytała ze zdumieniem Amelia.

– Nalegałam na to. Przy paskudnej pogodzie i tak dalej, ludzie potrzebują czegoś ciepłego, kiedy tu przychodzą. Stoi tam, za pudłami. Tylko w tym miejscu udało się ją zamontować. Cary powiedział, że to wspaniały pomysł. Wszyscy są chyba zadowoleni.

Kuchenka mikrofalowa, barek, kwiatki, różowy chodnik w łazience i ta... ta smarkula! Amelii zrobiło się niedobrze.

– Proszę powiedzieć Cary'emu, że tu byłam – poleciła, podciągając norki pod szyję. Futro łaskotało ją w podbródek. W każdej innej sytuacji Amelia uśmiechnęłaby się.

– Na pewno to zrobię, proszę pani. Jakie cudowne ma pani futro! Musiało kosztować majątek! Pewnego dnia sama mam nadzieję dorobić się takiego.

– Proszę się upewnić, czy będzie od Fischera. Oczywiście w przypadku, gdyby ktoś inny za nie płacił.

Eileen zachichotała.

– O, myśli pani, że złapię bogatego męża albo przyjaciele?

– Wszystko jedno. Miło mi było panią poznać, panno Farrell. A tak przy okazji: jak dawno pani tu pracuje?

– Jutro będzie dokładnie miesiąc. Nie wyobraża sobie pani, jak tu wyglądało, zanim wzięłam się do roboty! Przede wszystkim powiedziałam panu Assante, że nie mogłabym pracować w takich brodach! Wtedy dał mi trochę pieniędzy i polecił, żebym to załatwiła. Wszyscy są zachwyceni. Teraz to prawdziwa przyjemność przychodzić do pracy.

– Założę się, że pani starania sana wagę złota.

– Pan Assante też tak mówi, a inni chyba się z nim zgadzają. Ostatnio udało mi się zainstalować komputer. Tylko ja potrafię się z nim obchodzić. Wang Company przysłała instruktora, żeby mnie tego nauczył.

– Ile pani zarabia?

– Chyba mogę zdradzić ten sekret żonie szefa? Czteryście pięćdziesiąt tygodniowo.

– Dolarów? – spytała zdumiona Amelia.

– Plus dodatki – szczebiotała Eileen – na usługi dentystyczne, szkła kontaktowe, ogólną opiekę lekarską, a poza tym trzy tygodnie urlopu i dwanaście dni na zwolnienia chorobowe. Nie mogłam przepuścić takiej okazji!

– Ja też bym czegoś takiego nie przepuściła! – prychnęła Amelia, gdy drzwi się za nią zamknęły. A zatem: nic nowego na budowie?! Cóż, Eileen Farrell była niewątpliwie nowa, jak pieniążek prosto z mennicy. Nawet rzęsy miała własne, choć podkreścone i znakomicie podczernione. I miękkie, falujące, brązowe włosy. Amelia taką czuprynę gotowa by okupić krwią! A poza tym była młoda.

Amelia wróciła do domu swojej matki. Nie była w nastroju do rozmów ze stolarzami czy robotnikami tapetującymi pokoje. Nie chciała wiedzieć, jak pracownicy się objają i przypominać im, że są opłacani od godziny.

Trzeba jakoś przetrwać całe popołudnie. Wiedziała, że nie dokona dziś niczego; po prostu będzie czekać na telefon. Cary zadzwoni do niej, tego była pewna. Pomyśli, że coś się stało. Nigdy nie odwiedzała biura w przyczepie, odkąd powiedział, że jej wizyty nie są dobrze widziane przez innych pracowników. Nie chce stawiać go w niezręcznej sytuacji, prawda? Ależ nie! Nigdy nie zrobiłaby niczego, co sprawiłoby Cary'emu kłopot.

Eileen Farrell. Kim ona była? Ozdobna plakietka na jej biurku głosiła: KONSULTANTPROJEKTANT. Eileen Farrell, konsultantka i projektantka. Co, u diabła, oznacza to określenie?! Co projektowała? Z kim się konsultowała?!

Amelia miała ochotę coś roztrzaskać – najchętniej lustro, wszystko jedno jakie!

Była trzecia, gdy telefon się odezwał. Amelia przeczekwała siedem dzwonek zanim podniosła słuchawkę. Udawała, że jest zdyszana i czymś bardzo zajęta. – Kto mówi? – Cześć, dziecinko, jak leci?

– Nie mów, że cię to obchodzi. Jakoś sobie radzę. A co tam na budowie?

– Harówka jak zawsze. Bardzo żałuję, że mnie nie było, kiedy wpadłaś. Mogłabyś zjeść z nami coś z chińskiej kuchni. Choć niewiele straciłaś: nie były to przysmaki.

– Biedny chłopczyk przybrała przymilny ton Amelia. – Nie wiedziałam, że macie kuchenkę mikrofalową!

– A tak. Postaraliśmy się o nią, gdy urządzaliśmy biuro. Jak ci się spodobało?

– Wykonałeś świetną robotę.

– Do licha! To nie moja zasługa, tylko tej małej Eileen. Dałem jej parę groszy i kazałem pojechać do miasta i wystarać się o wszystko. W szczęśliwą godzinę Jacobsen przywiózł ją, a my zatrudniliśmy! Idzie nam teraz jak po maśle! Mamy nawet komputer z drukarką. Jestem spłoszony na sam widok tego cholerstwa, ale Eileen wyprawia z nim cuda!

– Co ona właściwie projektuje? – spytała Amelia protekcjonalnym tonem.

– Windy. I to najlepsze, jakie w ogóle bywają, według opinii Jacobsena, A to gwiazda wśród teksaskich architektów.

– Windy są bardzo ważne – powiedziała Amelia bezmyślnie.

– Racja, do diabła! Nic bez nich nie da się zrobić. – Amelii wydało się, że słyszy odległy chichot.

– Muszę kończyć, skarbie – oświadczyła ze sztuczną swobodą. – Któryś z robotników mnie woła. Cieszę się, że już jadasz gorący lunch. Martwiłam się o ciebie. Do zobaczenia wieczorem.

Cary odłożył słuchawkę i uśmiechnął się szeroko do Eileen. – Fantastyczna jest ta moja małżonka! – Pewnie! Zachwycałam się jej futrem.

– Ma ich ze dwadzieścia. Każde w innym kolorze i innej długości. Ubiera się z prawdziwą klasą.

– Od razu zauważyłam – potwierdziła słodko Eileen.

– Słuchaj, Eileen, jeśli zadzwoni Sherm Alpliin, powiedz mu, że będę koło wpół do siódmej i nie odjadę, póki się z nim nie skontaktuję.

– Panie Assante, dlaczego nie ma pan pagera? Każdy z pracowników powinien go mieć. To byłoby wielkie udogodnienie. Mogłabym zamówić pracowników kompanii telefonicznej, żeby tu przyszli, podłączyli telefon na środku terenu i moglibyście sobie chłopcy dzwonić, ile dusza zamarzy!

– Naprawdę sądzisz, że powinniśmy to zainstalować?

– No pewnie. Mogę wszystko uzgodnić i zamówić ich na połowę przyszłego tygodnia.

– Zrób tak! – powiedział Cary, wkładając kask ochronny. – Coś mi się wydaje, że odwalasz robotę sekretarki zamiast własnych obowiązków.

– Za projektowanie pan Jacobsen płaci mi dodatkowo. Nie mam nic przeciwko temu, żeby zająć się tym wszystkim. Zwykli konsultanci projektów nie otrzymują żadnych dodatków. Wasza oferta to było akurat to, czego potrzebowałam. Bardzo się cieszę, że mogę pomagać. I pensja jest w porządku. – Eileen uśmiechnęła się od ucha do ucha. –

Jakże inaczej mogłabym w przyszłości zdobyć takie norki, jakie ma pana żona?

– Mogłabyś namówić jakiegoś faceta, żeby ci je zafundował – roześmiał się Cary, zamykając za sobą drzwi. Zastanawiał się, czy ją coś łączy z Jacobsenem?

Nadal się uśmiechając do siebie, wracał wyboistą drogą na teren budowy. Dobrze rozumiał takie dziewczyny jak Eileen Farrell; on sam też musiał zaczynać od samego dołu. A dla kobiety to jeszcze cięższe. W ciągu miesiąca Eileen zajęła się wszystkim i udowodniła, że jest niezastąpionym członkiem ich zespołu. Dzięki właściwym strojom i przy pomocy odpowiednich znajomości powinna bez trudu osiągnąć swój cel ta dziewczynka z małego miasta w samym środku Teksasu.

Najbardziej godne podziwu było to, że Eileen chwytiała wszystko w lot, a mózg chodził jej jak komputer. Uroda i rozum. Za jakiś rok będzie pewnie chciała mieć udział w ich przedsięwzięciu, Cary gotów był prawie przysiąc. Jeżeli dojdzie do tego, był skłonny głosować na jej korzyść.

Musi zapytać Amelii, co sądzi o Eileen. Amelia znała się na kobietach prawie tak dobrze jak on na mężczyznach. Ogromnie cenił sobie jej opinię. Porównają swoje wrażenia i założą się, kto z nich ma rację, jak to mieli we zwyczaju. W pięćdziesięciu przypadkach na sto wygrywała Amelia, a w drugich pięćdziesięciu on. Całkiem ładna proporcja.

Na tydzień przed Gwiazdką w Sunbridge zapanowała świąteczna atmosfera. Girlandy z niecierpków ozdabiały schody i kominki. W odrzwiach wisiały pęki jemióły. Olbrzymi, dwudziestostopowy srebrny świerk czekał w kącie, aż jego gałązki zostaną przystrojone. Aromat pieczonych ciasteczek i korzennego ciasta unosił się wszędzie i witał każdego, kto wchodził do domu. Ozdobnie opakowane prezenty

piętrzyły się na krzesłach i po kątach, dopóki nie znajdą się pod choinką. W kominkach płonęły pachnące żywicą szyszki. Nareszcie Boże Narodzenie było tuż – tuż!

Lista zaproszonych na święta do Sunbridge pokrywała się ze spisem gości na przyjęciu z okazji Czwartego Lipca. Maggie była w świetnym humorze. Właśnie tego ranka otrzymała list od Randa, w którym obiecywał, że zjawi się na pewno na Wigilię.

Od czasu owego ranka spędzonego w pokoju Randa, listy kursowały pomiędzy Anglią a Stanami Zjednoczonymi prawie codziennie. Były to długie epistoły, w których dzielono się wątpliwościami, zapewniano o uczuciach, ale nie szafowano słowem „kocham”; pojawiało się ono wyłącznie w zakończeniach. „Kocham Cię, Maggie” – pisała, albo czasami „Kocham Cię, Twoja Maggie”, gdy przypomniawszy sobie, jak szepnął jej tamtego ranka: „Maggie, moja Maggie”.

Przede wszystkim pisali o sobie: co myślą o tym, co sądzą o tamtym czy owym; zastanawiali się, czy rodzina zaakceptuje fakt, że stali się sobie tak bardzo bliscy, czy też nie. Obawa, że nie uzyskają aprobaty, wywoływała największy niepokój i najgłębszą rozterkę.

Kilka ostatnich listów było poświęconych Cranstonowi i Cole’owi oraz ewentualnym przeszkodom w uzyskaniu przez Maggie rozwodu. I Rand, i Maggie doszli zgodnie do wniosku, że muszą nadal utrzymywać swoje uczucia w tajemnicy. Ponieważ tak bardzo im na sobie zależało, zmuszeni byli do pewnych wyrzeczeń. Przyszli sobie nawzajem, że będą zachowywać się tak dyskretnie, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń; nic nie stało więc na przeszkodzie odwiedzinom Randa na Boże Narodzenie. Była to decyzja logiczna, wyważona, dojrzała – i tak bardzo, bardzo niebezpieczna! Kiedy Maggie otrzymała list Randa, potwierdzający jego przyjazd, uśmiech nie schodził jej z ust przez cały dzień.

Wszyscy zjawili się na obiedzie tego wieczora. Wydawało się, że nastrój zbliżających się świąt ściślej związał ze sobą członków rodziny, choć w przypadku Cary’ego i Amelii decydujący wpływ miała zapewne pogoda. Maggie przypuszczała, że z powodu ostatniej burzy prace na budowie zostały przerwane na kilka dni. Susan, o wiele cięższa, ale wyglądająca cudownie, spożywała teraz posiłki na dole razem z chłopcami, którzy paplali i przekomarzali się z nią. Nawet Cole starał się być uprzejmy. Najwyraźniej bardzo mu zależało na tym, by pozwolono mu po świątach pojechać wraz z kuzynem do Nowego Jorku.

Był to solidny posiłek, Typowy zimowy teksaski obiad. Gulasz wołowy, który pichcił się przez siedem godzin w starym żelaznym kociołku, wonny i niezrównany w smaku. Był też chleb kukurydziany, podawany na gorąco, i bułeczki drożdżowe, a także szparagi i zielona sałata. Na kredensie czekały ustawione rzędem trzy torty beżowe: z kremem bananowym, kokosowym i cytrynowym.

Kiedy Marta nakładała chochlą porcje gulaszu, Maggie zapytała wszystkich siedzących przy stole:

– Czy zrobiliście już świąteczne zakupy?

– Odpowiedziały jej niemądre spojrzenia, potakiwanie, a nawet okrzyki zniecierpliwienia, że w ogóle o tym przypomina.

– Ja mam już wszystko. Muszę tylko popakować – uśmiechnęła się tryumfalnie Maggie. – Chyba wykupiłam cały towar w sklepach!

– Ja zamawiałam za pomocą katalogów – wyjaśniła Susan – i przysłali mi już wszystko, z jednym wyjątkiem. Chcę zakończyć pakowanie dziś wieczorem. – Westchnęła. – Oczywiście, jeżeli nie objem się jak bąk i nie zasnę!

– Ja już wszystko skończyłem – przechwalał się Cary – w zeszłym tygodniu, nawiasem mówiąc. – (Nie było potrzeby informować kogokolwiek, że dał Eileen spis poleceń, a ta wyręczyła go w

zakupach).

Amelia jęknęła.

– Byłam taka zajęta domem i w ogóle, że straciłam rachubę czasu! Czeka mnie jeszcze większość zakupów. Jutro dokonam najazdu na sklepy, jak tylko je otworzą, – Ja prawie już skończyłem zakupy – wyznał nie pytany Riley. – Czekam jeszcze na coś z domu.

Cole obrzucił wzrokiem wszystkich siedzących przy stole. – A ja się jeszcze do tego nie zabrałem.

– Mam nadzieję, że każdy pomyśli o wszystkich. Będzie tu Rand, mama i Thad, pewnie także Sawyer, choć nie potwierdziła jeszcze, że przyjedzie.

– Maggie, czy miałabyś mi za złe, gdybym zaprosił kogoś spoza rodziny? – spytał Cary.

– Na obiad? Im więcej, tym weselej. Kogo masz na myśli? Twoich przyjaciół, Sherma i Clarę Alphinów?

– Nie, oni będą w Karolinie Północnej ze swoimi wnukami. I nie tylko na obiad. Myślałem o Wigilii i pierwszym dniu świąt. To ta dziewczyna z mojego biura, Eileen Farrell. W przeciwnym wypadku spędzi święta sama w pustym mieszkaniu przy sztucznej choince. Wśród was każdy czuje się tak swobodnie, pomyślałem więc, że byłoby jej miło spędzić takie domowe święta.

Maggie czuła napięcie Amelii i wprost bała się na nią spojrzeć. Prośba Cary'ego zaskoczyła ją, ale nie wypadało odmówić.

– Oczywiście. Cały sens Bożego Narodzenia polega na dzieleniu się z innymi. Mówisz, że ma na imię Eileen? Wybiorę kilka drobiazgów, wodę kolońską, szalik, jakąś książkę, żeby i dla niej nie zabrakło prezentów. Czy mam jej wysłać zaproszenie, czy sam o to zadbasz?

– Już ją zaprosiłem; byłem pewny, że nie odmówisz. Spodoba ci się, Amelia uważa, że jest cudowna. Nie dalibyśmy sobie bez niej rady

na budowie, mówię ci!

Riley spojrzął na Cary'ego, a potem na ciocię Amelię, która siedziała obok niego. Usłyszał zgrzyt zębów. Zabrał się znów do szparagów, których nie cierpiał. Dorosli w dziwny doprawdy sposób okazują swój zachwyty!

– Projektuje windy i pełni rolę kierownika budowy! – powiedziała Amelia bohatercko. – Namówiła nawet Cary'ego i całą resztę do noszenia pagerów. Teraz można się z nim skontaktować o każdej porze dnia i nocy.

– To nadzwyczajne! – zaśmiała się Maggie. – Skąd ona pochodzi, Cary?

– Z samego środka Teksasu roześmiał się – ale skończyła szkołę projektantów w Nowym Jorku. Zna się na rzeczy, bez obawy. Opowiedzieć wam, co ta spryciula wykombinowała?

Amelia ze świstem wciągnęła powietrze. Zauważyła, że Riley ją obserwuje. „Spryciula”? Czyżby tak mówili w środku Teksasu?

Siedzący przy stole zgodnym chórem zawołali:

– Co takiego?

– Życzy sobie kontraktu. Mówiłem, że nie jest głupia! Wie, że realizacja projektu potrwa prawie dziesięć lat. Chce być pewna, że dostanie swoją rolę.

– A czy zażądała procentu w zyskach? – spytała Amelia chłodnym, opanowanym głosem.

– Była o tym mowa w dyskusji – odparł wymijająco Cary.

– A ile? – tym razem Amelia nie zapanowała nad głosem.

– Jeden procent, może pół. Nic nie zostało ustalone. Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Przeciwno kontraktowi nie mam nic.

– Sądziłam, że wszyscy inwestorzy muszą wpłacić określoną sumę. Sam mi to mówiłeś, prawda?

– No chyba.

– Wydaje mi się, że jeżeli ma dostawać jakiś procent, powinieneś obniżyć jej wynagrodzenie. Jest bardzo dobrze opłacana w obecnej chwili. Od ilu to się zaczęło, od czterystu pięćdziesięciu? Zdaje się, że obecnie otrzymuje siedemset dolarów. A za projektowanie wind płacą jej dodatkowo.

Maggie wymieniła z Susan przez stół zaniepokojone spojrzenie. Starając się mówić od niechcienia, zauważyła, ostrożnie dobierając słowa:

– Zawsze sądziłam, że podstawowa zasada w interesach brzmi: „Nigdy, absolutnie nigdy i w żadnych okolicznościach nie dawać niczego za darmo”.

– Maggie ma słuszość – odezwała się Susan głosem zdradzającym napięcie. – Prowadzenie biura i projektowanie wind nie wydaje mi się wystarczającym powodem do obdarzania tej dziewczyny prawem do udziału w zyskach. Powinieneś ją zwolnić i pozwolić, żeby Amelia zajęła się waszym biurem. Byłaby bezbłędna.

– Proponowałam – powiedziała chłodno Amelia.

– Mówiłem ci, Amelio, że nie chcę, żebyś tam pracowała. Masz pełne ręce roboty przy swoim domu. Nie starczyłoby ci czasu. A poza tym nie jest dobrze, gdy mąż i żona razem pracują. Wiecie co, ponieważ wam wszystkim najwyraźniej nie podoba się ta propozycja w sprawie procentu, będę głosował przeciwko temu.

I może to nie był najlepszy pomysł, żeby sprowadzać Eileen na święta.

Amelia popatrzyła wokół stołu. Nikt się nie odezwał. Maggie nie ponowiła zaproszenia. Susan wyglądała ponuro. Chłopcy nie mieli własnego zdania w tej sprawie. Wszystko zależało od niej, musi więc być ostrożna.

– Przeciwnie, Cary. Uważam, że Eileen powinna przybyć do Sunbridge. Musi poznać nas wszystkich. Sama kupię jej coś ładnego od

nas obojga.

Maggie odetchnęła z ulgą. Cary wlepił wzrok w talerz. Amelia wybawiła go właśnie z kłopotliwej sytuacji, dobrze o tym wiedział. Nigdy już nie popełni podobnego błędu.

– Billie, nie wiem, czy uda nam się dotrzeć na lotnisko – oświadczył Thad z niepokojem. – Jeżeli pługi śnieżne oczyściły drogę, nasz rumak bronco powinien dojechać, ale nie jestem pewien, czy nie wstrzymano lotów. Zadzwoń tam jeszcze raz.

Billie zadzwoniła i powtórzyła otrzymaną informację.

– United Airlines nadal szybują po przyjaznym błękiecie. Słuchaj, nie będę wcale zrozpaczona, jeżeli nie polecimy do Austin. Chyba wolałabym spędzić Boże Narodzenie tutaj, tylko z tobą i psami. Tak się jakoś składało, że spędzaliśmy zawsze święta poza domem. Prezenty możemy wymienić równie dobrze tu, jak tam. Masz dla mnie prezent, a może nie? – przekomarzała się Billie.

– Myślałem, że chcesz zobaczyć się z Sawyer. I przekonać się na własne oczy, co z Susan. I upewnić się, jak stoją sprawy między Maggie a Randem. Że nie wspomnę o Rileyu i Cole’u.

– Oczywiście, że chcę, ale mogę zrobić to wszystko po Bożym Narodzeniu. Powinniśmy przede wszystkim zadbać o własne bezpieczeństwo. Co ty na to, żeby zostać w domu?

– O pani, czy zdołam wyrazić wdzięczność za szczęście, którym innie darzysz? Billie roześmiała się.

– No to już wiem! Dlaczego nie powiedziałeś mi po prostu, że nie masz ochoty jechać? Zrozumiałabym.

– Nie chodzi o to, że nie mam ochoty jechać. Po prostu wolę zostać tutaj. Mamy własne drzewko i chciałbym, żebyśmy się nim nacieszyli. We dwoje, Billie.

– Miałam zamiar pojechać do Sunbridge przede wszystkim dlatego,

żebyś mógł oderwać się od polityki i nacisków, jakie na ciebie wywierają. Ale będziemy po prostu udawać, że nas nie ma. Zaszycemy się w domu. Odstawimy bronco do garażu. Nikt nie przejeżdża obok naszego domu, więc nie wypatrzy światła w oknach: możemy czuć się bezpieczni. Wszyscy są przekonani, że wyjeżdżamy, bo cały zeszły miesiąc mówiliśmy o rym. Jeszcze lepiej będzie, jak wyłączymy telefon.

– Najpierw zadzwoń do rodziny.

– Zrobię to od ręki.

– Kiedy będziesz telefonować, pójde na strych i zniosę stamtąd moje stare sanki. Są zwrotne, prawdziwe wyścigówki, wiesz? Dziś wieczorem wywoskuję płozy i jutro wsadzę cię na sanki i obwiozę po całej farmie.

– Naprawdę?!-Billie uściskała męża, a w jej oczach błyszczała miłość. – No, może nie po całej farmie. Trochę ostatnio przytyłaś. Będziemy ciągnąć na zmianę.

– Już się wycofujesz? Kiedy się zmęczysz, pojeździmy sobie na śniegołazach. Strasznie się cieszę, że nigdzie sienie wybieramy!

Ulga widoczna na twarzy Billie była po prostu zabawna. Thad skrzywił się.

– Zaczyna zawodzić połączenie między nami. Dotąd odgadywałem twoje myśli, a ty moje.

– To dlatego, że wchodzi w grę moja rodzina. Pewnie czujesz się wobec nich winny. Ale jestem przekonana, że wcale nie będzie im nas brakowało. Wypiją nasze zdrowie i będą się dalej bawić we własnym gronie.

– Czy nie krzywdzisz ich troszkę?

– Nic a nic. Takie jest życie. Idź po swoje sanki, a ja zadzwonię do Sawyer. Wiem, że mnie unika, ale spróbuję ją dorwać.

Telefon odebrał Adam Jarvis.

– Wesołych Świąt, pani Kingsley!

– Nawzajem, Adamie. Czy jest Sawyer?

Krótkie wahanie Adama upewniło Billie, że Sawyer jest w pobliżu, ale nie odbiera telefonów. Nie chciała nazwać Adama w oczy kłamczuchem i miała ochotę sprać Sawyer, jak nigdy w życiu. Dlaczego jest taka uparta?!

– Czy możesz jej coś ode mnie przekazać, Adamie? Powiedz, że nie wyjeżdżamy z Thadem na święta do Sunbridge. Jest tu straszna śnieżycza i sądzimy, że loty w każdej chwili mogą być odwołane. Poproś ją, żeby do mnie zadzwoniła: chcę złożyć jej życzenia świąteczne. O, i powiedz jej, że wysłałam prezenty wcześniej, żeby nie mieć z nimi kłopotu w samolocie. Baw się dobrze w święta, Adamie.

– Pani również tego życzę.

Maggie była następną na liście Billie. Zdażyła jej tylko wyjaśnić sytuację i usłyszała pisk:

– Och nie, mamo! Tak liczyłam na ciebie i Thada! Ale rozumiem...

– gdy telefon zamilkł. Billie spojrzała na trzymaną w rękę słuchawkę i wybuchnęła śmiechem.

– Jesteśmy odcięci od świata! – krzyknęła radośnie do Thada, który tkwił na strychu. – Właśnie telefon przestał działać!

– Boże święty, chcesz powiedzieć, że naprawdę zostaliśmy tylko my dwoje, sanki i psy?

– Zgadłeś! – zachichotała Billie. – Czy mam uprać kukurydzę?

– Skądże! Włóż to zielone koronkowe coś! Będziemy siedzieć przy kominku, a ja nasmaruję płozy sanek.

– A co ty na siebie włożysz?

– W każdym razie nie długie gacie, możesz być pewna! Już dawno nie kochaliśmy się w świetle kominka.

Billie pomknęła po schodach jak młoda dziewczyna. Życie było takie piękne, takie cudowne!

– Boże, dzięki Ci! – szepnęła.

– Postawiłaś mnie w naprawdę głupiej sytuacji, Sawyer. Twoja babcia zorientowała się, że kłamię. Poznałem to po jej głosie. Dlaczego nie porozmawiałaś z nią? Nie chcę wyjeżdżać i zostawiać cię tu samej. Przysięgnij, że naprawdę pojedziesz do Sunbridge, żebym nie wariował z niepokoju o ciebie.

– Jadę do Sunbridge. Na Wigilię i pierwsze święto. Chcę zabrać chłopców do Nowego Jorku na kilka dni. Rand też, jeśli będzie mógł.

Adamowi ścisnęło się serce. Jej oczy były zbyt błyszczące, policzki zanadto zaróżowione. Naprawdę wierzyła w to, co mówił.

– Nie odpowiedziałaś mi, dlaczego nie porozmawiałaś z babcią powiedział łagodnie.

– Nie chciałam bawić się w te wszystkie wyjaśnienia. Babcia mnie zrozumie. Święta bez niej nie będą takie, jak trzeba, ale cieszę się, że zostaje z Thadem. To dopiero jest małżeństwo z woli niebios!

– Babcia martwi się o ciebie. Jesteś bez serca. Czy Maggie wie, że przyjeżdżasz?

– Oczywiście. Zostałam zaproszona, nie pamiętasz?

– Sawyer, co będzie, jeśli wasze sprawy... jeśli ci się nie...

– Zbyt się tym przejmujesz, Adamie. Wszystko się ułoży. Postępowałam z rozmysłem. Nie dzwoniłam, nie pisałam, nie goniłam za nim. Kiedy Rand mnie zobaczy i przekona się, jaką popełnił omyłkę, wszystko będzie wspaniale! Przecież się kochamy.

Chcesz powiedzieć, że ty go kochasz! – miał ochotę krzyknąć Adam. Wiedział, co ją czeka, i wszystko w nim przewracało się na samą myśl o tym. Ale tym razem Sawyer będzie musiała radzić sobie w pojedynkę. Jego nie będzie pod ręką.

– Nie mogę uwierzyć, że zabierasz wszystkie te manele! – powiedziała Sawyer ze zdumieniem. – Jakbyś wyruszał na wojnę! Czy

nie mówiłeś, że zabawisz tam tylko pięć dni?

– Owszem, mówiłem, ale to było, zanim...

– Zanim zaprosiłeś Paulę Zachary, żeby wybrała się razem z tobą. To ja odebrałam telefon, nie pamiętasz? – roześmiała się Sawyer. – Widzisz ten pakunczek? Tylko tyle zabieram do Sunbridge. Umiem pakować!

– Specjalistka od wszystkiego! – sarknął Adam. W duchu miał wątpliwości, czy nie zapakował zbyt wiele, ale nie zamierzał urządzać prania w czasie wakacji!

Sawyer uśmiechnęła się szeroko.

– Czym pojedziesz? Taksówką czy ciężarówką?

– Prawdę mówiąc, zamówiłem limuzynę. Paula też zabiera sporo rzeczy. Przestań wtykać nos w moje sprawy! Muszę już iść. Limuzyna zaraz tu będzie, a obiecałem, że poczekam na dole.

– Zniosę twój e narty i buty. Czy dasz sobie radę z całą resztą?

– Będę musiał, bo nie mam zamiaru robić dwóch kursów. Zawsze byłaś mi ogromną pomocą; utrapieniem przede wszystkim, ale pomocą również – powiedział serdecznie Adam.

– Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił. Pomyśl o mnie podczas noworocznego toastu!

– Zawsze o tobie myślę: i w starym, i w nowym roku. To ty spróbuj czasem pomyśleć o mnie. Mam nadzieję, że wszystko ułoży się tak jak chcesz. Pozdrów swoją rodzinę. Wesółych Świąt, Sawyer! – powiedział Adam i pocałował ją lekko w policzek. – Zostawiłem pod choinką prezent dla ciebie.

– A twój jest w sportowej torbie. Nie złam nogi!

Limuzyna podjechała do krawężnika i zaczęły się zwykłe problemy, co gdzie upchnąć. Adam tłumaczył kierowcy, jak najlepiej dojechać do mieszkania Pauli. Sawyer wzniosła oczy do góry i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

A potem Adam odjechał.

Sawyer błąkała się po poddaszu, biorąc do rąk raz to, a raz co innego, tylko po to, żeby zaraz odłożyć. Pracownia Adama była czysta, wyjątkowo wypucowana. Kuchnia także była posprzątana, porządna, ze zmywarki wszystko zostało wyjęte. Na podłodze nie leżały żadne okruchy. Kulka zwinęła się pod stołem mrużąc z zadowolenia. Nie było nic do roboty. Wszystko zostało wcześniej uprane, wysuszone i poskładane. Niebawem całkiem się ściemni. Może powinna zapalić lampki na choince? Było to wspaniałe drzewko! Adam wyprawił się na Long Island wypożyczoną furgonetką i aż stamtąd je przytaszczył. Było przepiękne, gdy ożyło w świetle mnóstwa maleńkich lampek. Ozdoby, jak powiedział Adam, przysłał mu z Niemiec jakiś przyjaciel. Adam miał bardzo wielu przyjaciół. I to dobrych, którzy nigdy o nim nie zapominali. Zastanawiała się nad tym przez chwilę i doszła do wniosku, że Adama otaczają dlatego tłumy przyjaciół, ponieważ sam jest przyjacielem z prawdziwego zdarzenia. Nie mogła sobie wprost wyobrazić, co by zrobiła bez niego.

Prezent! Adam powiedział, że zostawił dla niej prezent pod choinką. W rzeczywistości były tam dwie paczki oznaczone jej imieniem. Domyśliła się, że jeden prezent miał być żartem, a drugi był na serio. Ważyła w rękę barwnie zapakowane paczuszki i potrzasała nimi. Poznała po marszczącej się klejącej taśmie, że Adam sam pakował prezenty. Na pakowanych w sklepie nigdy się nic nie marszczyło. Adam nie zabronił jej wcześniejszego otworzenia prezentów. Ostatecznie, jutro wyjeżdża i nie będzie jej tu w czasie świąt. Doprawdy, powinna je więc otworzyć na wypadek, gdyby Adam zatelefonował do niej do Sunbridge.

Kiedy ciemność zaległa poddasze, Sawyer urządziła całe przedstawienie. Najpierw w świetle choinkowych lampek nalała sobie kieliszek wina i wypijała za udane święta. Potem drugi – za wspólne

szczęśliwe życie z Randem. Obeszła dookoła choinkę, podziwiając ją i sącząc wino z kieliszka na długiej nóżce. Pod drzewkiem zebrało się dużo prezentów. Dwa dni temu leżały tu tylko szpilki choinkowe. Taki przyjemny zapach – najbardziej ze wszystkich drzew lubiła sosnę. Rand powiedział, że to także jego ulubione drzewo. A w Sunbridge zawsze mieli srebrny świerk.

Sawyer nie odrywała oczu od prezentów. Zapaliła mosiężną lampę, stojącą na biurku, a potem przyklękła i zaczęła po kolei oglądać paczuszki. Dla Adama od Nicka. Dla Adama od Blake’a. Dla Adama od George’a i Hugh’a. Dla Adama od całej paczki. Dla Adama od mamy i taty. Dla Adama od Joan. Dla Adama od Steve’a, Billa i Carmen. Dla Adama od Alice i Eda.

Tyłu przyjaciół, którzy aż tak lubili Adama, że chciało im się tu wpaść i zostawić dla niego prezent! Sawyer zastanawiała się, czy Adam także kupił podarki dla wszystkich tych osób. Zauważyła, że prezenty dla niej leżały oddzielnie. Dopięła resztkę wina i nałapała sobie kolejny kieliszek. Na czworakach poczołgała się do stojącego w kącie regału, wybrała jakąś gwiazdkową kasetę i włożyła do magnetofonu. Teraz nastrój był już całkiem świąteczny!

Dziwnego kształtu paczka, która przy potrząsaniu nie grzechotała, poszła na pierwszy ogień. Nawet jako dziecko zaczynała od największej paczki, chociaż dobrze wiedziała, że najwspanialszy prezent znajduje się w najmniejszej. Ostrożnie otworzyła pudełko i spojrzała na upominek. Jej własna lalka z Kapuścianej Grządki! Formularz adopcji głosił: „Wierzbinka Carmena”. Pomyśleć tylko, że gdy Adam otworzy swoją torbę, znajdzie w niej bliźniaka Canneny, Damiana Derenia! Sawyer zanosila się od śmiechu.

Wyczerpana oparła się o sofę i otworzyła drugi prezent, mniejszy, ten „na serio”. Był to tomik poezji pod prostym tytułem „Od nowa”. Sawyer kartkowała książkę, rada była, że zawiera ona wiersze Adama:

poznałaby je wszędzie! Dobry Boże – i wszystkie były dla niej! Jak wiele czasu i wysiłku musiał włożyć w przygotowanie tej książeczki! Była przepięknie oprawiona w kosztowny safian, z wytłoczonym na okładce jej imieniem. Gdy przerzucała kartki cienkiego tomiku, wysunęła się z niego mała karteczka.

Wesołych Świąt, Sawyer!

Nie wiedziałem, co podarować Ci na Gwiazdkę, chciałem tylko, żeby to było coś wyłącznie dla Ciebie i tylko ode mnie. Pragnę ofiarować Ci część siebie, bo mnie całego przecież nie przyjmiesz. Oby skromny owoc moich trudów sprawił Ci przyjemność. A jeśli komuś piśniesz słowo, że Ci to dałem, kategorycznie zaprzeczę! Z całego serca ofiarowuję

Adam

Sawyer rozplakała się; były to łzy smutku, gniewu i wyrzutów sumienia. Dlaczego nie mogły to być łzy szczęścia?!

– Och, Adamie! – popłakiwała. – Bardzo cię kocham, ale nie taką miłością, jakiej byś pragnął!

Rozdział drugi

Riley obudził się nagle z przerażającego koszmaru. Pot spływał na prześcieradło, którym oмотał się przez sen. Jego ręce i nogi młóciły pościel, gdy zmagął się z rzeczywistością nowego dnia. Sen był tak realistyczny! Zbudził się po operacji; pielęgniarka podała mu lusterko. Z biciem serca szukał w nich odbicia drobniutkich szwów wokół oczu, które miały mu zapewnić wygląd prawdziwego Amerykanina, jakim był jego ojciec. Ale nie było żadnych szwów ani oczu o zachodnim wykoju. Powieki jego wydawały się jeszcze cięższe, a oczy bardziej skośne niż dotychczas. Riley przewrócił się na brzuch, zakopując w pościel. Operacja plastyczna oczu stała się jego marzeniem, a zarazem koszmarem.

Wigilia Bożego Narodzenia. Jedno z najbardziej radosnych świąt w Ameryce. Pokój wydał się Rileyowi mroczny, szary i nijaki. Musi już być późno. Wyskoczył z łóżka i rozsunał firanki. Śnieg! Ciocia Maggie mówiła, że w Sunbridge na Gwiazdkę zawsze padał śnieg. Włączył górne światło: zapłonęły obie lampy. Riley szybko narzucił ubranie, ochlapał twarz i przesunął raz czy dwa szczoteczką po nieskazitelnie białych zębach. Z ledwie dostrzegalnym zarostem upora się później. Nie był taki włochaty jak Cole, nawet miał z tego powodu kompleksy. Wiedział, że Cole goli się codziennie, podczas gdy on mógł to robić raz na tydzień, a nawet i wtedy nie było to konieczne. Jego nogi i klatka piersiowa były również pozbawione kędzierzawego meszku, który bujnie się krzewił na ciele Cole'a. Dziewczęta przekomarzały się z nim na ten temat w lesie, ale przyjmował to z uśmiechem, oznajmiając, że jest świeżo po depilacji. Miał za to gęstą czuprynę (uroczą – zdaniem Kelly Jensen) czarnych, falujących włosów. Uśmiechnął się szeroko, rozczesując ją.

Sawyer prawdopodobnie zjawi się koło południa. Rand miał

przybyć przed śniadaniem, jak zapowiedziała ciocia Maggie. Ubieranie choinki było wyznaczone na popołudnie, gdzieś koło piątej, i miało być połączone z koktajlami. Potem obiad z sześciu dań i kolędy w wielkim salonie. O północy nabożeństwo w Crystal City, a po nim rozdzielanie prezentów. Nie mógł się tego doczekać!

Przy stole śniadaniowym było pełno. Riley zajął swoje miejsce; obdarzono go uśmiechami i życzliwymi przycinkami dla „śpiocha” i „lenia”. Riley uśmiechał się, nakładając sobie na talerz górę jajecznicy z kiełbasą, a potem, gryząc grzanekę, rozejrzał się po zebranych przy stole. Rand, który dopiero co przyleciał, gorliwie smarował masłem kawałek grzanki. Ciocia Amelia sprzeczała się z Carym na temat pogody i tego, czy powinna wyjść na śnieg, czy też nie. Cole właśnie skończył śniadanie: dopił resztkę pomarańczowego soku i wstał, rzuciwszy serwetkę na stół. Rileyowi ulżyło, gdy usłyszał, że kuzyn wybiera się do Crystal City, żeby zrobić odkładane na ostatnią chwilę sprawunki.

Nagle wszyscy zaczęli mówić na raz, w dodatku zwracali się do niego. Nastąpił ogólny wybuch śmiechu, a Riley zaczerwienił się.

– Wróćmy na start i zacznijmy od nowa – odezwał się Cary łagodnie, widząc zarumienioną twarz chłopca. – Co mówiłaś, Amelio?

– Zastanawiałam się, Rileyu, czy masz jakieś plany na resztę poranka? Może zechciałbyś udać się do mojego domu i oczyścić pojazd ze śniegu? Zapowiadają gołoledź, więc chciałabym posypać schodki i dróżkę solą. Cary musi iść na budowę, sprawdzić dopływ gazu, a potem przywieźć tu pannę Farrell.

– Oczywiście, że się tym zajmę. Bardzo lubię śnieg.

– Świetnie, wobec tego umówiliście się. Amelia jest dziś jak pszczołka z jednym tylko skrzydełkiem! – Cary pieszczotliwie poklepał żonę po ramieniu. – Susan, kolej na ciebie.

– Nie chodzi o nic wielkiego. Pytam tylko, czy mógłbyś znieść na

dół prezenty? Niektóre z nich są duże i nieporęczne. A ja nie jestem ostatnimi czasy bardzo zwinna. Zrobisz to za mnie?

– Jak tylko zjem śniadanie – odpowiedział wesoło Riley.

– Chciałam ci tylko przypomnieć, żebyś zatelefonował do swojego dziadka i życzył mu ode mnie Wesołych Świąt – powiedziała Maggie. – On nie obchodzi Bożego Narodzenia, ale dobrze wie, że myje świętujemy, więc chyba mu będzie przyjemnie.

– Nie zapomnę, ciociu. Chciałem poczekać do ósmej wieczór. Wtedy w Japonii będzie poranek Gwiazdkowy, a Stary Pan właśnie wstanie. Czy przysłał prezenty? – spytał niespokojnie Riley.

Maggie roześmiała się.

– Całą furę! Dostawca wyładowywał je chyba przez godzinę. A Steven przez drugą godzinę wnosił paczki do domu. Myślę, że twój dziadek nie zapomniał ani o tobie, ani o nikim w Sunbridge! – W głosie Maggie było dziwne drżenie. Riley podejrzewał, że miało ono jakiś związek z siedzącym obok niej Randem.

– Stary Pan zawsze bawił się w Świętego Mikołaja na Gwiazdkę w redakcji swój ej gazety – powiedział Riley. – Pracowało w niej wielu Amerykanów. Sprawiało mu to wielką frajdę, bardzo lubi dawać i otrzymywać prezenty.

– Jaka była pogoda w Anglii, gdy wyjeżdżałeś, Randzie? – spytała nieco nerwowo Susan.

– Paskudna. – Rand zawahał się przez chwilę. – Próbowałem dodzwonić się przed wyjazdem do Jerome’a, ale telefon był wyłączony.

Serce Susan zaczęło gwałtownie bić. Wyłączony telefon? Dlaczego? Mimo urazy, jaką czuła do męża, Susan miała w stosunku do niego mieszane uczucia.

Bardziej niż kiedykolwiek chciała opowiedzieć komuś o tym wszystkim, co obecnie przeżywała. Amelia i Maggie po prostu nie wystarczały jej. Dziecko powinno znać własnego ojca, a ten winien

zapewnić swojej rodzinie dom. Nawet jeżeli tym ojcem był Jerome, niech go diabli!

– Cóż, muszę się zbierać – powiedział Cary wstając i pochylił się, by ucałować Amelię w policzek. – Wrócę po południu, niezbyt późno. Miło cię znowu widzieć, Randzie. Maggie, czy mam ci coś przywieźć z Crystal City?

– Nie, niczego nie brakuje. Ale dzięki za pamięć. Proszę, jedź ostrożnie: drogi są fatalne.

– Pa, kochanie, do zobaczenia później! – zawołała pogodnie Amelia.

– Ty też jedź ostrożnie. Nie zapomnij, że przywiozę Eileen.

– Jakże mogłabym o tym zapomnieć, kochanie? – powiedziała z zimną krwią Amelia. – Przypominałeś mi o tym Bóg wie ile razy.

– Co to za Eileen? – spytał Rand, gdy drzwi zamknęły się za Carym.

– Dziewczyna, która pracuje w biurze Randa – odparła Maggie patrząc z niepokojem na Amelię. – Zdaje się, że miała spędzić święta zupełnie sama, więc Cary spytał, czy mogłaby dołączyć do nas.

– Wybaczcie mi – powiedział Amelia sztywno. – Muszę wpaść do stajni i poprosić, żeby mi użyczyli sporo soli. Ubierz się ciepło, Rileyu, i poszukaj szufli do odgarniania śniegu. Zazwyczaj wisiała przy schodkach do piwnicy. Czy jest tam nadal, Maggie?

– Myślę, że tak. Jedź powoli! Kiedy wrócisz, będzie na ciebie czekał ogień na kominku i grog na rozgrzewkę. Czy nie chcesz, żebym ci zapakowała na ostatnią chwilę jakiś zapomniany prezent?

– Nie, wszystkie paczki mam już gotowe. Zresztą, będziesz wystarczająco zajęta witając Sawyer, kiedy się pojawi. – Amelia spojrzała na nią znacząco. – Powinna niedługo przyjechać, prawda?

– Koło południa, jak sądzę uśmiechnęła się Maggie, mając nadzieję, że jej pogodny ton rozproszy chmurę dezaprobaty na obliczu

Amelii. – Bawcie się dobrze oboje! Do zobaczenia!

Zaraz po wyjściu Amelii i Riley'a Susan wymówiła się i poszła do swego pokoju. Zapanowała niezręczna cisza; po chwili odezwał się Rand:

– Wygląda na to, że zostaliśmy sami – powiedział cicho. – Zachowujesz się jak kot na rozżarzonych węglach. Inaczej mówiąc, złotko, wyglądasz jak uosobienie winy.

– Naprawdę? – szepnęła Maggie. – Pewnie dlatego, że czuję się winna.

– Na miłość boską, Maggie! Już to przerabialiśmy! Powiedziałaś mi w ubiegłym tygodniu przez telefon, że sama decydujesz o swoim losie i będziesz robić, co chcesz; dotyczyło to również spraw między nami. Czyżbyś zmieniła zdanie?

– Nie... tak... och, sama nie wiem! Tak chciałam, żeby te święta były udane! A tu mama nie może przyjechać, Amelia nie aprobuje naszego związku i zachowuje się, jakbym jej skradła biżuterię, Susan mnie unika. Cole ledwie rzucił na mnie okiem, a kiedy przypadkiem napotkam jego wzrok, widzę, że jest pełen niesmaku. Riley sam nie wie, co o tym myśleć. Niedługo zjawi się Sawyer. Boże, czuję się jak złodziejka! Postaraj się mnie zrozumieć!

– Dobrze cię rozumiem. Nie powinienem był przyjeżdżać. To była pomyłka, Maggie. Nie potrafię odgrywać komedii.

– Ja też nie – powiedziała Maggie tak cicho, że Rand z trudem ją usłyszał.

– Chyba zakochałem się w tobie, Maggie. – Nie mów tego! Nie teraz!

– Chodzi ci o Sawyer'a, prawda? Z całą resztą uporałabyś się.

– Nie jestem tego pewna. Wiesz, jak się czuję. Mój Boże, tak bardzo cię pragnę! Ale spowodowałam już tyle nieszczęść w rodzinie, że nie mogę znów z czymś wyskoczyć. Musisz zrozumieć, w jakim

jestem położeniu.

– Nie zagrasz im na nosie i nie będziesz bronić swojego szczęścia do upadłego? – spytał cicho Rand.

– Może pojedą do Anglii... Moglibyśmy...

– Do jasnej cholery, Maggie! Nie mówię o dyskretnej przygodzie! Mówię tobie i o mnie. O nas. O naszym życiu!

– Inni... pomyślą sobie...

– Co to nas, do diabła, obchodzi, co sobie pomyślą?! Powinniśmy troszczyć się o to, co jest najlepsze dla nas. Tamci będą musieli się z tym pogodzić. Nie stwarzaj więcej trudności, i tak mamy ich dosyć!

– Zależy mi na innych: moim synu, mamie, Rileyu...

– A na Sawyer nie? – spytał zimno Rand. – Dobrze wiesz, że to o nią chodzi. Przyznaj sama! Matka kontra córka. A między nimi ja.

Twarz Maggie zeszywniała.

– Musisz czuć swoją władzę! Dwie kobiety zakochane w tobie.

– Sawyer nie mnie kocha, ale wymyślony przez siebie ideał. Co do ciebie, to nie byłem pewny, czy istotnie ci na mnie zależy. Czy tak trudno powiedzieć „kocham”?

– Dla mnie tak. Nigdy nie zaznałam prawdziwej miłości. Chyba w ogóle nie wiem, co to miłość. Może tylko niejasno ją sobie wyobrażam. Czuję do ciebie coś, czego nie odczuwałam nigdy dotąd. Ale mylisz się co do Sawyer. Ona kocha cię z całego serca. Teraz i na wieki. To właśnie taka miłość. Jak mogłeś tego nie dostrzec? – spytała gniewnie Maggie.

– Dostrzegłem, do cholery! Nie zwiększaj jeszcze mojego poczucia winy, Maggie ! Wiem, że byłem pierwszą miłością Sawyer, że to uczucie nigdy nie zatrze się w jej pamięci. Ale nie kochałem jej wystarczająco mocno. Taka miłość musi być wzajemna, inaczej się nie ostoi. Zrozum, że Sawyer chciała znaleźć we mnie także i ojca. Wierzę w to głęboko. Ty też musisz uwierzyć. Miałaś takie same problemy z

własnym ojcem.

W oczach Maggie pojawiły się łzy. Sawyer, zawsze Sawyer!

– Czy nie moglibyśmy zawiesić tego wszystkiego na kołku, cieszyć się świętami i dopiero później jakoś to rozwikłać? – spytała, przełykając z trudem ślinę. – Naprawdę nie jestem w stanie dzisiaj z tym się uporać.

– A ja czuję, że jeżeli natychmiast cię nie przytulę, chyba trupem padnę – powiedział Rand zduszonym głosem.

– Jeżeli natychmiast stąd nie odejdę, pozwolę ci na wszystko, a potem znenawidzę nas oboje. Musi tak zostać... na razie. Wybacz mi – szepnęła Maggie i wybiegła z pokoju.

Dopiero kiedy wpadła do swojej sypialni i zamknęła za sobą drzwi, dała upust emocjom. Dlaczego właśnie ja? Dlaczego zawsze ja? Nie kusiłam go! Nie starałam się odebrać Sawyer! Po prostu stało się... Żałuję tego. Ale nie potrafię zmienić moich uczuć! Dlaczego ja muszę być tą, która zawsze wszystkiego się wyrzeka?! Dlaczego Sawyer zawsze ma być górą?!

Maggie przyglądała się, jak śnieg wiruje między drzewami. Widziała wystarczająco dużo teksaskich zadymek śnieżnych, żeby wiedzieć, że obecna ma się już ku końcowi. Śnieg był wspaniały, puszysty, idealny do jazdy na nartach. Na ziemi leżało przynajmniej sześć cali. Zasy od północy sięgały okien parteru. W dzieciństwie ona i Susan wyskakiwały z nich i robiły w zaspie „śnieżnego orła”. Jakże to było dawno!

Maggie czuła wewnętrzny niepokój. Potrzebowała zwierzeń, rozmowy, rozwiązania nękających ją problemów. Susan miała teraz właśnie kłopoty; Amelia, choć ją kochała, nie pochwałała jej postępowania. Mama? Trzeba będzie spróbować.

Szybko zamówiła dobrze znany numer w Vermont, ale dowiedziała się, że zamieć uszkodziła linie elektryczne i telefoniczne. Prawdopodobnie łączność zostanie przywrócona późnym popołudniem.

To zbyt późno! Maggie musiała porozmawiać z kimś natychmiast!

W mgnieniu oka wskoczyła w wełniane spodnie i grubą kurtkę. Znalazła swe buty na specjalnej półce przy drzwiach kuchennych.

– Jeśliby ktoś pytał, nie masz pojęcia, dokąd poszłam – powiedziała do Marty, wciągając buty na grube skarpety. Prawie się roześmiała, widząc zdumione spojrzenie gospodyni. – Czekam mnie droga pod górkę. Z tej strony są zasy. Spójrz, prawie przestało padać. – Przed wyjściem z kuchni urwała jaskrawoczerwoną „gwiazdę betlejemską” z doniczki stojącej na kuchennym kredensie.

Nagrobki, pokryte białym płaszczem, wyglądały dziwnie samotnie. Maggie rękami w mitenkach wykopała dołek w śniegu. Poinsecja zdążyła już zamarznąć. Maggie wetknęła ją i uklepała śnieg naokoło. „Gwiazda” była czerwona jak krew, jej własna krew.

– Wesołych Świąt, tato! – powiedziała miękko. – Myślę, że jakoś uda mi się przetrwać.

Wróciła tą samą drogą. Porządnie ustawiła swoje buty na półeczce przy tylnych drzwiach, powiesiła kurtkę na drewnianym wieszadle w pobliżu kuchennego wyjścia. Marta podała jej filiżankę kawy, którą przyjęła z wdzięcznością i poszła na górę schodami wiodącymi do dzieciennego pokoju. Czuła się lepiej. Będzie już w stanie zapanować nad swoimi uczuciami. Świeże powietrze wywiało zamęt z jej głowy.

Nie dostrzegła go od razu, bo nie spodziewała się zastać nikogo w swoim pokoju.

– To było bardzo głupie – powiedział zimno Rand.

– Chyba masz rację – odpowiedziała Maggie równie chłodno. – Musiałam jednak to zrobić. Zazwyczaj robię, co chcę. Jestem już całkiem dorosła.

– Nie każdy dorosły podejmuje słuszne decyzje. Musimy porozmawiać, Maggie.

– Nie. Nie teraz.

– Więc kiedy? Jutro, w przyszłym tygodniu, w następnym miesiącu, za rok? Kiedy? Podaj mi konkretny termin!

– Nie potrafię. Nie nalegaj! Jest to dla mnie równie trudne jak dla ciebie. Muszę to załatwić po swojemu, a ty powinieneś mi na to pozwolić.

– Mówisz to poważnie? – spytał Rand, nie wierząc własnym uszom.

– Tak. – Maggie nie unikała jego wzroku, było w jej oczach wyzwanie. Gdy drzwi się za nim zamknęły, energia ją opuściła. Policzki jej pałały, jakby użyła zbyt wiele różu. Z powodu ostrego wiatru, czy Randa?

Rand zbiegł na dół gnany potrzebą, której nigdy dotąd się nie poddawał. Zmierzał prosto w stronę gabinetu i przenośnego barku. Susan rzuciła mu spojrzenie znad czytanego czasopisma.

– Chyba trochę na to za wcześnie? – spytała łagodnie.

– Wcześnie czy późno, jakie to ma, u diabła, znaczenie?

– Całkiem duże, jeżeli naprawdę zależy ci na Maggie. Kiedy zobaczy, że ty zalewasz robaka, bo nie potrafisz uporać się z sytuacją, jaka się wytworzyła, Maggie może (nie twierdzą, że musi!) dojść do wniosku, że dobrze byłoby czegoś się napić.

Rand nalał sobie jak zawsze whisky na dwa palce. Ścisnął butelkę tak mocno, aż zbieleły kłykcie. Odstawił ją z powrotem i sięgnął po gazetę. Susan westchnęła.

– Nie bój się – powiedziała. – Nie wygłoszę kazania. Nigdy tego nie robię. Chyba stałam się fatalistką: co ma być, to będzie.

Rand nie słuchając jej, machinalnie skinął głową. Wszystko w środku mu się kotłowało. Spojrzał na zegarek. Uwzględniając dwugodzinne opóźnienie z powodu złej pogody, warunków drogowych i wszelkich możliwych kataklizmów, Sawyer powinna się zjawić za jakąś godzinę. Zapragnął znaleźć się ponownie w Anglii.

– Kupiłeś już wszystko na Gwiazdkę? – Zagadnęła go Susan. Zęby Randa wpiły się w dolną wargę.

– Pewnie chcesz wiedzieć, co podaruję Maggie i Sawyer?

– Musiało ci być trudno wybierać prezenty, które niby to nie mają żadnego znaczenia, a jednak coś mówią... Mężczyźni zawsze bardzo dbają o takie rzeczy. Jeden dar dla nowej miłości, a drugi dla... jakby to określić?... odtrąconej?– Skończ z tym, Susan. Oberwałem już dosyć.

– Przepraszam. Sama nie wiem czemu... Wybacz. Już prawie Boże Narodzenie. Pokój na ziemi, dobra wola w ludziach, czyż nie tak?

– Niech ci będzie. – Rand usiadł w fotelu naprzeciwko Susan i wziął jedną z gazet leżących na stoliku do kawy. – Czy już wybrałaś imię dla dziecka? – spytał bez większego zainteresowania.

– Rzeczywiście, wybrałam. Jeśli to będzie chłopiec, nazwę go Moss. A dziewczynkę Jassica. Co tam ciekawego w gazecie?

– Nic, tylko pokój na ziemi, a dobra wola w ludziach. Czego jeszcze chciałabyś się dowiedzieć?

– Niczego – odparła Susan, wracając do swojego czasopisma.

Była trzecia, gdy Cole wrócił do domu, obładowany paczkami przewiązanymi czerwonymi wstążeczkami. Amelia i Riley zjawili się piętnaście minut później, każde oddzielnie. Maggie była w połowie schodów, gdy zadźwięczał dzwonek u drzwi. Susan przez jadalnię weszła do przedpokoju, otworzyła i natychmiast wydała okrzyk radości:

– Sawyer!

Żołądek Maggie fiknął koziołka, ale zmusiła się do uśmiechu i zeszła z ostatnich stopni schodów.

Matka i córka przez chwilę mierzyły się wzrokiem.

– Wesołych Świąt, Sawyer!

– Wesołych Świąt, Maggie. Gdzie mam to postawić? – spytała Sawyer, wskazując dwie wielkie torby. – Reszta bagaży już nadeszła, prawda?

– Wczoraj. Zdjęłam papier pakowy i sznurek. Są w szafie w hallu.

– Ładnie z twojej strony. Dzięki. Gdzie są wszyscy? Maggie zatoczyła krąg rękoma.

– Zaraz dostaniemy czegoś na rozgrzewkę i zaczniemy ubierać choinkę. Chodź do gabinetu. Susan, dokąd się wybierasz?

– Tam, gdzie chodzę co dziesięć minut, do łazienki. Wesołych Świąt, Sawyer!

Kiedy Sawyer obejmowała Susan jej oczy po raz drugi spotkały się z oczami Maggie.

– Przypuszczam, że wiesz: twoja babcia nie przyjedzie na święta – powiedziała Maggie, idąc przodem w stronę gabinetu.

– Wiem. Święta będą bez niej jakieś dziwne.

– Zrobiliśmy, co się dało, żeby wypadły jak najlepiej. Rand już jest. Przyjechał dziś wcześniej rano. A Cary przyprowadzi dziewczynę ze swego biura. – Maggie spojrzała na zegarek. – Nawiasem mówiąc, powinni już tu być. Mamy dom pełen ludzi.

Rand. Za kilka sekund go zobaczy! Sawyer nagle poczuła pustkę w głowie. Wszystkie wyćwiczone zwroty, wystudiowane przed lustrem uśmiechy umknęły z pamięci. Poczowała ból. Maggie była taka pewna siebie, przekonana o własnej wartości, że serce Sawyer zaczęło gwałtownie walić. Jeżeli matka chce walki, to będzie ją miała! Sawyer wysunęła zdecydowanie szczękę.

Kątem oka Maggie przyglądała się córce, doświadczonym wzrokiem oceniając przypuszczalny koszt jej stroju. Spodnie – model Oscara de la Renta – wpuszczone w sięgające kolan buty od Bally’ego; jedno i drugie w tym samym odcieniu szarawego brązu. Futro z norek, przypominające jesienna mgiełkę, było szerokie w ramionach i przepasane skórzanym paskiem. Pod dobranym do niego kapeluszem ginęła zawierucha złocistych włosów Sawyer. Przy szyi płomienny, czerwono-pomarańczowy jedwabny szal stanowił idealnie dobrany

akcent prowokujący i agresywny. Elegancka i modna – tylko tak można było ocenić jej wygląd.

– Rand, kochanie! – zawołała Sawyer bez tchu. Podbiegła do niego, obejmując go ramionami, ale szybko się odsunęła i spojrzała mu w oczy, spłoszona tym, co w nich ujrzała. Ucałowała go leciutko w usta i wzięła go pod ramię. – Chodź, siadaj koło mnie i opowiedz mi o wszystkim, co wydarzyło się od lipca. Mogłabym cię udusić za brak wiadomości w ciągu ostatnich... – zrobiła maleńką pauzę – tygodni. Nie mów mi tylko, że jesteś ciągle na mnie zły!

– Nie umiałbym gniewać się na ciebie, Sawyer – powiedział łagodnie Rand.

– Więc powiedz mi, że ślicznie wyglądam! Zawsze mi to mówisz – przekomarzała się Sawyer. – Wydałam majątek na ten strój i na jutrzejszą kolację. Chcę cię olśnić! Maggie zawsze powtarzała: „jeśli kochasz jakiegoś mężczyznę, powinnaś go olśnić!”, prawda, Maggie?

Maggie zmusiła się do uśmiechu.

– Chyba rzeczywiście powiedziałam coś podobnego. Usłyszałam to wcześniej od mamy, a może od cioci Amelii.

Jest wspaniała i piękna ta jej córka! A w dodatku od lipca nauczyła się walczyć o swoje prawa. Maggie dosłownie cofnęła się o krok.

– Czego się napijesz?

– Tego samego co Rand: whisky na dwa palce, bez wody. Nie uwierzyłybyś, ilu rzeczy mnie ten człowiek nauczył! O, kochanie, jakże się cieszę, że cię widzę! Mam takie wspaniałe plany! Nawiasem mówiąc, następnego dnia po Bożym Narodzeniu zabieram chłopców ze sobą do Nowego Jorku. Obiecali mi, że się do nas przyłączysz! Wystarałam się o tydzień urlopu. Możemy razem powitać Nowy Rok!

Rand spojrzał na Maggie, a potem odwrócił się, ujrzawszy wyraz jej oczu. Na szczęście, od udzielenia odpowiedzi Sawyer uratowało go przybycie Cary’ego i Eileen Farrell. Wkroczyli zaraz za Susan, pełni

radości i świątecznego nastroju. Rand poczuł, jak Sawyer sztywnieje u jego boku, gdy Maggie dokonywała prezentacji.

– Angielski arystokrata! – upajała się Eileen. – Ach, cóż to za wspaniałe Boże Narodzenie! – Maggie obserwowała z uwagą, jak Eileen usadowiła się obok Randa i natychmiast nawiązała z nim konwersację. Sawyer z jednej strony, Eileen z drugiej strony; Susan i ona sama dokładnie naprzeciwko. Konfrontacja dwóch pokoleń.

– Gdzie moja żona? – pytał Cary tryskając radością życia.

– Na gorze. Zjawiła się kilka minut przed Sawyer. Macie za pół godziny zejść z powrotem na drinka i ubieranie choinki.

– Według rozkazu, jasnie pani – uśmiechnął się Cary. – Zaopiekujcie się tymczasem moim dziewczęciem.

– Możesz na to liczyć – powiedziała Maggie, utkwivszy wzrok w pannie Farrell. Doszła do wniosku, że jest ona z tych, co to żadnym portkom nie przepuszczą. Świadczył o tym sposób, w jaki rozpływała się nad Randem, wyraźna wprawa, z jaką kierowała rozmową, oraz to, że prawie nie dostrzegała pani domu. Uwaga jej automatycznie koncentrowała się na męskiej połowie gatunku. Inne kobiety Eileen traktowała nonszalancko i cholernie pogardliwie. Maggie najeżyła się. Akurat tego potrzeba w Sunbridge na święta, jakby za mało było dotychczasowych problemów!

Cary i Amelia mieli efektowne wejście. Cary zmienił swój „służbowy” garnitur na jasnobrązowe domowe spodnie, które wyszły niewątpliwie spod ręki pierwszorzędnego krawca, oraz sweter narciarski z najdelikatniejszego moheru. Ale to Amelia została poddana drobiazgowym oględzinom przez Eileen; spodziewała się zresztą tego i odpowiednio przygotowała. Wybrała na tę okazję pozornie prostą sukienkę (model Nippon) z jaskrawoczerwonego jedwabiu przetykanego srebrną nitką; spódniczka falowała przy każdym kroku. Cienki żakiet z długimi rękawami podkreślał będące ostatnim krzykiem

mody szerokie ramiona i bardzo korzystnie uwydatniał szyję i linię bioder; krótkość spódniczki pozwalała dostrzec jeden z największych powabów Amelii: jej długie zgrabne i elegancko obute nogi.

Eileen zerwała się i przebiegła przez pokój z wyciągniętą ręką.

– Jak miło znowu panią widzieć, pani Assante!

– Pamiętasz Eileen, Amelio? – odpowiedział Cary.

– Oczywiście. – Amelia uśmiechnęła się przyjaźnie. – Jakże mogłabym zapomnieć? Wesółych Świąt, Eileen. – Ujęła znów pod ramię Cary’ego, gdyż ogromnie potrzebowała duchowej podpory. Jej suknia i pantofle kosztowały zapewne więcej niż połowa wszystkich strojów Eileen, ale nie mogły zastąpić gęstej grzywy sięgających do ramion włosów w naturalnym kolorze blond oraz świeżej cery. Do diabła! Amelia żałowała, że nie ma tu Billie. Nie było wcale miłe poczucie, że jest o całe pokolenie starsza od połowy kobiet znajdujących się w tym pokoju i o dwa pokolenia od pozostałych. – Cary, proponuję twoją kandydaturę na barmana. Nie pogniewasz się, Maggie? Cary przygotowuje niezrównany gorący grog. Zamawiajcie wszyscy! – powiedziała Amelia z wymuszoną wesołością. – Cary to spec!

Randowi wydawało się, że Sawyer depte mu po piętach przez całe popołudnie. Była przy nim, gdy rozpałał ogień i gdy dokładał więcej drewna. Jemu podawała każdą ozdobę do powieszenia na choince, przez cały czas szczebiocząc z ożywieniem i przypominając poprzednie razem spędzane święta. Susan i Rand także mieli wspólne wspomnienia: dni przeżyte w domu na Halson Square, wakacje na wsi, drobne utarczki i kłótnie, które zdarzają się wszystkim młodym ludziom. Amelia i Rand wspominali okres wojny w Anglii, a zwłaszcza te święta Bożego Narodzenia, gdy oszczeniła się ich suczka.

Maggie wydawało się, że tylko ona nie ma żadnych wspomnień, którymi mogłaby się podzielić.

Cole i Riley wzięli udział w ubieraniu choinki i razem z Sawyer tworzyli radosne trio, żartując, śmiejąc się i śpiewając kolędy wraz z wykonawcami płytowego nagrania. Maggie nie przypominała sobie, żeby jej syn był kiedykolwiek równie szczęśliwy. Sprawiała to Sawyer, która umiała dać chłopcu coś, czego ona sama nie potrafiła mu zapewnić. Czy podobnie było z Randem?

Wszyscy zjedli razem późny obiad: przenieśli się z talerzami do salonu, żeby być w pobliżu choinki. Susan zasiadła przy fortepianie i ozwały się znajome tony „Mesjasza” Handla. Wspólnie odśpiewano „Alleluja”; okazało się, że Eileen śpiewa wysokim sopranem.

Cary troskliwie zajmował się zarówno Eileen, jak i swoją żoną, nie dostrzegając bynajmniej wyrazu oczu Amelii i ponurej linii jej ust.

– Może chciałaby pani pójść na górę i położyć się na jakąś godzinę, pani Assante? Wygląda pani na zmęczoną – zatroszczyła się Eileen.

– Czyżby? – odparła Amelia, a w jej oczach zapłonęła wściekłość. Eileen uśmiechnęła się i szybko odwróciła w inną stronę.

Maggie, będąc świadkiem tej wymiany zdań, zrećtnie powstrzymała Amelię przed schwyceniem młodszej kobiety za ramię.

– Trzeba już pomyśleć o zbieraniu się do odjazdu! Nabożeństwo odbędzie się o północy, prawda, Amelio? Jest nas spora gromadka, trzeba więc ustalić, kto z kim pojedzie. Może weźmiecie z Carym do swego wozu Rileya i Susan? My z Colem zabierzemy w kombi Randa, Sawyer, Eileen i Martę.

Dostrzegła ulgę w oczach Amelii i zorientowała się, że ciotka jest o krok od załamania nerwowego. Jednakże Eileen miała rację: Amelia wyglądała na zmęczoną, prawdę mówiąc, na całkiem wyczerpaną. Była blada, a jaskrawa czerwień sukni sprawiała, że skóra jej wydawała się ziemista. Maggie wiedziała też, że pantofle z czterocalowymi obcasami powodują straszny ból nóg.

– Kombi zostaje w tyle za innymi samochodami, Maggie – zauważyła słodko Sawyer. – Dlaczego nie mielibyśmy oboje z Randem zabrać chłopców, a ty mogłabyś własnym autem podwieźć Eileen i Martę.

– To mi wygląda na dobre rozwiązanie – powiedziała pospiesznie Amelia. – Pobiegnę na górę po futro. Cary, chodź ze mną. Chciałabym, żebyś włożył coś cieplejszego. – W jej głosie słychać było panikę. Gdyby Maggie w tym nie przeszkodziła, rozorałaby pazurami twarz Eileen! Powinna zapanować nad sobą. Za dużo wypła, zbyt mało zjadła. Strach i zazdrość skręcały jej wnętrzności. Opanuj się! – powtarzała sobie w duchu raz po raz.

Przez całą drogę do kościoła Maggie milczała. Jedynym celnym pociągnięciem Sawyer udało się zatrzymać przy sobie Randa i obu chłopców, podczas gdy ona, Maggie, jechała do kościoła w towarzystwie gosposi i całkiem obcej osoby.

Gdy wracali do Sunbridge, nastrój Maggie był o wiele lepszy. Nabożeństwo wypadło przepięknie, chór śpiewał bosko. Spotkano wielu przyjaciół i znajomych, wymieniono świąteczne życzenia. Randowi udało się usiąść w kościele obok niej. Blask świec, muzyka, cichy szelest śniegu padającego za zdobnymi witrażami oknami, pokój na ziemi i dobra wola w ludziach...

Maggie płakała wspominając tych, których zabrakło podczas obecnych świąt, i mocno ścisnęła rękę Rileya, wiedząc, że myśli o swoim ojcu, którego nigdy nie znał, i wspomina swą piękną matkę Otami. Starła sennie myśleć o Sawyer, siedzącej po drugiej stronie Randa, korzystającej wspólnie z nim ze śpiewnika i odwracającej dla niego kartki. Gdy głosy wszystkich złączyły się w chór, Maggie rzuciła okiem na śliczną twarz Sawyer, promienną, dzięki nastrojowi chwili i bliskości Randa. Jej córka, jej własne dziecko. Od wielu lat były sobie obce, ale teraz stanęli pomiędzy nimi Cole, Rand i Riley. Jak mogą

dwie kobiety podzielić się miłością ukochanych mężczyzn?

Maggie przymknęła oczy, na jej policzku załśnił kryształek łzy. Jakże musi być podła, jeśli jest w stanie wyrządzać Sawyer podobną krzywdę, jeśli w ogóle może myśleć o miłości Randa! Otrzymała przecież swoją część szczęścia, gdy wychodziła za Cranstona; czy Sawyer także nie należała się podobna szansa? Jak ciężko to przeżywa Rand... A może znowu dała się oszukać? Może Rand pozostawał w wolnym stanie tak długo, że teraz przeraża go perspektywa małżeństwa? Może naprawdę kochał Sawyer, tylko nie potrafił wyrzec się dla niej wolności? Może po prostu wykorzystuje ją, Maggie, jako klin, który pomoże mu uwolnić się od Sawyer?

Maggie spojrzała na Randa, zobaczyła jego szlachetnie zarysowany profil, delikatny kształt czoła, miękkie blond włosy, które na nie spadały. Gdy odwrócił się i jego brązowe jak czekolada oczy spotkały się z jej oczyma, ujrzała w nich tęsknotę, która przekonała ją o jego miłości. Przez chwilę pozwoliła sobie zatonać w tym wymownym spojrzeniu, pozwolić, by uczucia przepełniły ją całą. Nie, Rand nigdy by jej nie wykorzystał; nikogo by nie wykorzystał dla jakichś własnych celów. Nie on, mężczyzna, który trzymał ją w ramionach i kochał ją! Mężczyzna, który szepnął „Maggie, moja Maggie”, którego dusza złączyła się z jej duszą. Nawet gdy się odwróciła, czuła na sobie jego spojrzenie.

W drodze powrotnej do Sunbridge nadal panował świąteczny nastrój. Tym razem Riley i Cole wpakowali się do samochodu razem z Maggie, Eileen i Martą. Maggie wiedziała, że zmówili się, by pozostawić Randa i Sawyer samym sobie, ale nie przejęła się tym. Zaufa Randowi, choćby nawet musiała z tego powodu cierpieć. Jej głos złączył się z innymi, gdy śpiewali wracając do domu.

– Będziemy ciągnąć losy, kto rozdaje prezenty – powiedziała

wesoło Maggie, kiedy znów zgromadzili się wokół choinki w Sunbridge, rozgrzewając się czekoladą na gorąco i grogiem z rumu. – Kto wyciągnie czystą kartkę, będzie Świętym Mikołajem!

Cary’emu przypadł ten zaszczyt w udziale: aż rozpromienił się z dumy. Amelia jako pomocnica Mikołaja także rozjaśniła się, ponieważ mąż zajmował się nią z czułością żartując, że nie powinna wyszukiwać tylko przeznaczonych dla niej prezentów.

Oczy Eileen płonęły, gdy obserwowała, jak na wszystkich spada deszcz podarków. Była zachwycona, choć bardzo zdziwiona, gdy tyle z nich dostało się jej samej. Rodzina Colemanów była nie tylko bogata, ale i szczodra!

Kiedy ostatni prezent został odpakowany i wszyscy wyrazili swój zachwyt, prawie już świtało. Eileen czuła się jak na premiowej wyprzedaży w wielkim domu towarowym. Chłopcy dostali aparaturę stereo. Komuś podarowano siodło ręcznej roboty, chyba temu małemu mieszańcowi. Były adidas z wmontowanymi w nie mikroskopijnymi kalkulatorami mierzącymi drogę, szybkość, ilość spalonych kalorii. Potop biżuterii. Cary ofiarował żonie złoty łańcuszek, z którego zwisał brylant tak wielki, że wprost oczy bolały! Perfumy, odzież szyta na specjalne zamówienie, jedwabne szale, torebki od Gucciego. Kije golfowe, pejczy do konnej jazdy. Syn Maggie dostał specjalnie dla niego zaprojektowaną grę wideo. Nawet nie narodzone jeszcze dziecko Susan otrzymało zabawki i śliczne malutkie koszulki i buciczki; przysłała mamusia aż piszcziała z radości.

– Zawsze nastrój opada, gdy wszystko zostanie już rozpakowane – uśmiechnęła się ze znużeniem Maggie. – Cudowne prezenty!

– Zostaje tylko bałagan do uprzątnięcia – ziewnęła Riley. Eileen roześmiała się.

– Te wymyślne opakowania i wstążki więcej kosztowały niż wszystkie prezenty gwiazdkowe, które dostałam w życiu! Nigdy nie

przypuszczałam, że coś od was otrzymam: samo zaproszenie to i tak ogromnie wiele!

– Cała przyjemność po naszej stronie – odparła wielkodusznie Amelia. – A wazon, który dała pani Cary’emu i mnie, jest prześliczny!

Eileen przyklękła i zaczęła składać papiery. Rand przyłączył się do niej.

– Idźcie wszyscy do łóżek! My z Eileen uporamy się z tym bałaganem w minutkę!

– Ależ Randzie! – wykrzyknęła Sawyer. – Eileen jest naszym gościem! Nie możemy pozwolić, żeby po nas sprzątała. Ja to zrobię. Idź do łóżka, Eileen – powiedziała autorytatywnym tonem, biorąc ją za ramię i podnosząc z podłogi. .

– Tak, proszę się położyć – zauważyła słodko Amelia – i pozostawić sprzątanie rodzime. Ty też już idź, Maggie: miałaś bardzo męczący dzień.

Maggie znalazła się w rodzinnym tłumie zmierzającym po schodach do swoich pokoi. Wiedziała, co planuje Amelia, i nic nie mogła na to, do diabła, poradzić... Chyba nawet tego nie chciała.

Gdy zostali sam na sam w salonie, oświetlonym jedynie migoczącymi w ciemności lampkami choinkowymi, Sawyer zwróciła się do Randa i powiedziała miękko:

– Myślałam, że już nigdy nie będę cię miała tylko dla siebie. Czekałam cały dzień na tę chwilę.

Rand pragnął, by jej ton nie był tak intymny, taki uwodzicielski. Wiedział, czym skończy się ta rozmowa. W drodze powrotnej z kościoła Sawyer szpikowała go wspomnieniami o tym, co razem przeżyli, o tym, kim byli kiedyś dla siebie. W samochodzie udało mu się poskromić ją, zachęcając do śpiewania kolęd i rozmowy o Rileyu i Cole’u. Teraz nie było odwrotu... i może to lepiej.

– Dziękuję ci za cudowny prezent – mówiła Sawyer. – Bardzo się

cieszę, że zapamiętałeś moją słabość do bransoletek, ale doprawdy byłeś zbyt rozrzutny! Czy wiesz, że noszę stale tę, którą dostałam od ciebie na urodziny? Dosłownie zakochałam się w kolczykach, które ofiarowałaś Maggie. Myślisz, że będzie nosiła te czterolistne koniczyny? Czy miały jakieś symboliczne znaczenie?

Rand był zmęczony: przeżył długi i trudny dzień. Jego nerwy były napięte do granic wytrzymałości, a on sam czuł się jak przestępca, uznany za winnego i skazany. Czy pokochanie Maggie było zbrodnią?

– Sawyer, wysłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia. Musimy porozmawiać, i tym razem postaraj się usłyszeć i pojąć, co powiem. Nie chcę być okrutny, ale nie wiem, skąd przyszło ci do głowy, że powrócimy do sytuacji sprzed Czwartego Lipca. To niemożliwe, bardzo mi przykro.

Sawyer zatoczyła się do tyłu, płatanina wstążek utkwiała w znieruchomiłych palcach. Usiłowała skupić wzrok na jego twarzy, dostrzec refleksy światła we włosach.

– Wiele dla mnie znaczysz, Sawyer, bardzo wiele, ale to, co dla ciebie czuję, to nie miłość, a przynajmniej nie taki rodzaj miłości, jakiego oczekujesz. Nie Kocham cię wystarczająco. Bardzo mi przykro.

– Przestań! – Sawyer zatkała sobie uszy rękami. – Nie chcę tego słuchać! Rand schwycił ją za ręce, odciągając jej dłonie od uszu i przyciskając je mocno do swej piersi.

– Musisz posłuchać! Wmawiasz sobie, że się opamiętam i odkryję, że zawsze cię kochałem i wiecznie będę kochał. Nie oszukuj się! Sawyer, na miłość boską, krzywdzisz w ten sposób siebie i nas wszystkich!

Zastygła w bezruchu, słysząc jego słowa, ale nie wierząc w nie, nie będąc w stanie uwierzyć.

– Kochałeś mnie dawniej... – zaczęła.

– Tak, i nadal cię Kocham, ale nie tak, jak tego pragniesz. –

Złagodził ton swego głosu, był on pełen ciepła, a zarazem litości. Ale Sawyer musi go uwolnić, jego i Maggie!

– Ostatnim razem powiedziałaś, że stoimy na przeciwległych biegunach. Że nie chcesz zakładać rodziny. Że pragniesz mniej skomplikowanego życia. W porządku: żadnych dzieci, żadnych ambitnych zadań, po prostu my dwoje. Pragnę tylko ciebie, Randzie. Nic innego nie ma dla mnie znaczenia, tylko ty.

Rand potrząsnął głową zdając sobie sprawę z bezcelowości wszystkich usiłowań.

– Nie, Sawyer. Powiedziałem ci wówczas prawdę: to właśnie odczuwam, gdy zastanawiam się nad moim życiem. Ale jest także prostsze wyjaśnienie: nie potrafię kochać cię tak, jak chcesz być kochana. Jak zasługujesz na to, by cię kochać. Czy możesz to pojąć? To, co nas łączyło, nie wystarczy do szczęścia ani tobie, ani mnie.

Sawyer podniosła oczy i spojrzała na niego przeciągle. Wydawać by się mogło, że chce wedrzeć się do jego mózgu, znaleźć tam odpowiedzi na pytania, których nie zadała.

– To nie tak miało być... Byłam taka przekonana, taka pewna... – głos jej się załamał; wstrząsnął nią gwałtowny płacz, bezgłośny i przerażający. Rand pragnął dotknąć jej, przytulić ją do siebie, ofiarować jej pociechę, której tak potrzebowała, – Nie szarp się tak, Sawyer, proszę, nie krzywdź samej siebie...

– Już to powiedziałaś, tylko dodałeś jeszcze, że krzywdzę was wszystkich. Kim są ci wszyscy, Randzie? Kogo jeszcze krzywdzę, oprócz samej siebie?

– Pomyślałem tylko, że może nastąpić rozłam w rodzinie. Wiem, że tego nie chcesz.

– Wiesz, czego chcę lub nie chcę?! Znów zrobiłam z siebie głupią! Myślałam, że upływ czasu i rozłąka zmienią twój e postanowienie. Widzę teraz, że się myliłam. Ale żądam, żebyś mi powiedział... –

Sawyer opanowała łzy. – Muszę usłyszeć twoje zapewnienie, że nie ma nic między tobą a Maggie. Powiedz mi, że nie łączy cię romans z moją matką! – Gdy nie usłyszała żadnej odpowiedzi na swe błagalne słowa, oczy jej znowu napełniły się łzami. – Zniosłabym chyba wszystko oprócz tego! Nie mogę uwierzyć, że zdradziłeś mnie w ten sposób!

– Sawyer, to nie była zdrada. Dlaczego nie chcesz zrozumieć, że uczucie, które nas łączyło, okazało się nie dość silne?

Serce Sawyer tłuło się w piersi jak dziki ptak. Tyle słów, same złe słowa! Adam to przewidział. Ona sama powinna się była domyślić. Usłyszenie tego po raz drugi przypominało wyrok śmierci, z którym nie sposób się pogodzić!

– Widzę, że nie było to silne uczucie, bo nie mogłeś się wprost doczekać, żeby wskoczyć do łóżka mojej matki! – krzyknęła chrapliwie. – Boże! Czy ona nie ma ani odrobiny przyzwoitości?!

– Sawyer, to wcale nie było tak! Co mam zrobić, żebyś to zrozumiała?

– Dlaczego nie spytasz, co masz zrobić, żebym ci przebaczyła? Zrozumieć to ja wszystko rozumiem, jeszcze jak, do cholery! Dobrze wiem, kim ona jest, nawet jeżeli ty nie zdajesz sobie z tego sprawy! Żal mi ciebie, Randzie, strasznie mi ciebie żal! – Postarała się jak najszybciej wybiec, choć zagradzały jej drogę puste pudła, płatanina wstążek i stosy papierów. Dopiero w samotności swojej sypialni dała znowu upust łzom, bezgłośnym i pełnym nienawiści.

Rand przez długi czas siedział z głową ukrytą w dłoniach. Gdy światło dnia, srebrnie odbijające się od śniegu, przeniknęło przez zasłony, podniósł się i zabrał do sprzątanania. Odbył czterokrotny kurs na tylną werandę dla służby, gdzie porządnie ustawił jeden na drugim ciężkie wory odpadków. Przepelniał go ból; był spragniony pociechy.

Spragniony Maggie.

Rozdział trzeci

Pierwszy dzień świąt okazał się takim koszmarem, jakiego się Rand mógł spodziewać. Dziękował Bogu wiele razy za obecność chłopców i Eileen, dzięki którym wszystko jakoś szło. Zjawili się sąsiedzi w tradycyjnie radosnym nastroju, a koledzy Cole'a i Riley'a ożywili wszystkich, urządzając improwizowaną potańcówkę przy płytach i przerywając ciszę miłą wrzawą. Sawyer przyłączyła się do grona młodziży; jej śmiech był wymuszony, na twarzy pojawiły się odrobine za mocne rumieńce – skutek gorącego grogu przyrządzanego przez Cary'ego. Maggie, jak zawsze spostrzegawcza, zorientowała się, co musiało zajść. Amelia, ślepa na wszystko poza swą zazdrością o Eileen Fairell, nie odstępowała męża. Susan odbyła dłuższą popołudniową drzemkę i w końcu poprosiła, żeby obiad podano jej do pokoju. Tylko Cary, nie dostrzegając niczego poza świąteczną zabawą i ożywieniem młodych, był w wyśmienitym humorze.

Następnego dnia o czwartej nad ranem Cole znalazł Sawyer na dole w salonie. Leżała na kanapie z głową ukrytą w ramionach. Na podłodze w zasięgu jej ręki znajdowała się pusta butelka po whisky i przewrócony kieliszek.

Cole poczuł się kompletnie bezradny. Jak ma jej pomóc? Przez cały dzień była taka ożywiona: zupełnie jak żarówka, która błyska najjaśniej, zanim się przepali. Nie powiedziała mu, co jej dolega, ale nie trudno było odgadnąć, gdy nagle zaczęła omijać z daleka Randa, do którego w Wigilię dosłownie się kleiła.

Trzeba ją było teraz wwindować na górę i wsadzić pod prysznic. Sawyer musiała wytrzeźwieć, żeby o siódmej nadawała się do podróży. Cole nie mógł jednak dokonać tego sam.

Pod dotknięciem Cole'a Riley obudził się i usiadł, niezbyt przytomny. Pomyślał, że coś się stało dziadkowi i spytał:

– Co mówisz?

– Powiedziałem, że potrzebuję twojej pomocy. Sawyer leży na dole zalana w trupa. Jeśli jakoś temu nie zaradzimy, żaden z nas nie pojedzie do Nowego Jorku. Rusz dupę, Riley, i lecimy na dół. Potrafisz zaparzyć kawę?

– Nie, a ty?

– Ja też nie, ale musimy dać jej kawy, to oprzytomnieje.

– Coś ty, Cole! Przypomnij sobie, czego nas uczyli w szkole: nic człowieka nie wytrzeźwi, ani kawa, ani żadne żarcie, ani w ogóle nic, tylko czas!

– Tego właśnie nam brak. Mieliśmy wyjechać za trzy godziny! Pospiesz się! – syknął. – Nie musi być aż tak przytomna, żeby prowadzić wóz, trzeba tylko postawić ją na nogi i wyjść stąd!

Riley narzucił płaszcz kąpielowy frotte i zbiegł za Cole'em ze schodów.

– Zataszczymy ją do kuchni. Bierz pod jedno ramię, a ja pod drugie. Jakoś poradzimy sobie z tą kawą. Ona jest tak zalana, że wszystko jedno, jak ta kawa będzie smakować.

– Ale może zwymiotować. Z tobą tak było.

– No to wyrzyga wodę, zanim z żołądka przejdzie jej do krwi. O tym też nam truli w szkole. A zresztą, masz lepszy pomysł? – warknął Cole, delikatnie, ale stanowczo ujmując ramię Sawyer.

Dziewczyna oprzytomniała pod dotykiem na tyle, że mruknęła:

– Zostaw mnie. Chcę spać.

Chłopcy jednak zaciągnęli ją do kuchni.

– Powiedz mi lepiej, co się stało – poprosił Riley, starając się utrzymać Sawyer w pozycji pionowej na krześle. – Mam prawo wiedzieć.

– Chyba tak – przyznał niechętnie Cole, mocując się z elektryczną maszynką do kawy i napełniając filtr, przez który miała się sączyć. –

Myślę, że Rand kombinuje z moją matką. Jestem tego pewny. A głównie tego, że dał kopa Sawyer.

– To było w lipcu. Dlaczego załała się teraz?

– Chyba myślała, że uda jej się to jakoś naprawić. No i znalazłem ją przed • chwilą w takiej formie. Jeśli obaj chcemy pojechać do Nowego Jorku, lepiej szybko doprowadźmy ją do ładu.

Przez następne dwie godziny chłopcy na przemian dręczyli i starali się ugłaskać Sawyer, ciągnąc ją po całej kuchni. Kiedy jej wnętrzności się zbuntowały, Cole trzymał jej głowę nad zlewem, a Riley podpierał ją, żeby się nie wywróciła.

– Zamorduję was obu! – wybełkotała Sawyer, gdy Cole zanurzył jej głowę w letniej wodzie.

– Mówiłaś mi, że jak się zrobi cholerne głupstwo, to trzeba ponieść konsekwencje. Właśnie ponosisz te konsekwencje. Zataszczymy cię na górę, będziesz się mogła przebrać. Masz dokładnie trzy kwadranse na ubranie się i zejście na dół. Doszło do ciebie?

– Żałosne, wredne krety! Postaram się was zgubić w Nowym Jorku! Albo was zagłodzę!

– On nie jest tego wszystkiego wart! – zawołał gwałtownie Cole.

– Zamknij się, do cholery! Już mi lepiej. Sama wejdę. Nie musieliście moczyć mi głowy!

– Włóż kapelusz – podsunął Riley.

– Riley, zabieraj swoje manele i postaw przy głównym wejściu – zarządził Cole. – Samochód będzie o siódmej. Jestem już spakowany. Jak tylko zataszczymy ją do pokoju, wracam posprzątać w kuchni. Pilnuj jej.

– Kto ci dał prawo rozkazywać?! – opierała się Sawyer. – Zachowujesz się jak sierżant na mustrze!

– Kiedy wyższy rangą zawodzi, niższy przejmuje dowództwo. Ruszaj się! I nie pyskuj!

Riley otworzył drzwi pokoju Sawyer i wepchnął ją do środka.

– Muszę znieść moje rzeczy i ubrać się. Zaraz wracam. Dasz sobie radę?

– Dam. Będę gotowa. A kiedy wymienimy uściski z panią domu? – Myślałem, że się z nią pożegnałaś wczoraj wieczór, boja tak. Ciocia Maggie powiedziała, że chce się wyspać. Chyba Cole też ma to za sobą.

– Masz rację. Zaćmienie umysłu. Rób, co masz robić.

Sawyer zatrzasnęła zamek torebki i rozejrzała się dookoła, czy nie zapomniała czegoś. Zwijiała mokre włosy w kok na czubku głowy, kiedy drzwi się otworzyły. Na progu stała Maggie.

– Jeśli przyszedłeś tu triumfować nade mną, to się pośpiesz! Już prawie pora wyjeżdżać – powiedział Sawyer stanowczym tonem. – Ale chcę coś ci powiedzieć przed wyjazdem, bo moja noga nigdy więcej tu nie postanie. Przez wszystkie te lata, gdy tak podle ze mną postępowałaś, starałam się znaleźć dla ciebie usprawiedliwienie. Często splotkana powtarzałam sobie przed zaśnięciem: „Ona jutro napisze albo „Jutro do mnie zadzwoni”. Nigdy tego nie zrobiłaś. Po prostu wcale ci na mnie nie zależało. Żał mi Cole’a. Ja przynajmniej miałam opiekę i miłość babci. I wiesz co, Maggie? Zaslugujesz na to, żeby spotkała cię zemsta za wszystkie twoje grzechy! Mam nadzieję, że nigdy się więcej nie zobaczymy.

Maggie poczuła pustkę wewnątrz siebie. Słuchała słów Sawyer wiedząc, że była odpowiedzialna za wszystko, o czym mówiła jej córka. Ale tym trudniej było to znieść.

– Myślałam, że masz więcej charakteru, Sawyer. Sądziłam, że umiesz walczyć, że potrafisz wszystko znieść jak ja. Omyliłam się. Żegnaj.

Sawyer patrzyła na zamknięte drzwi. Charakter. Walczyć. Znieść wszystko jak tamta! Nie, mamusiu, za żadne skarby nie chcę być taka jak ty!

Cole wbiegł na górę przeskakując po trzy stopnie. Za zakrętem szerokiego korytarza na piętrze spotkał Riley'a.

– Gdzie Sawyer?

– Prawie gotowa. Kazała mi spływać – mruknął Riley.

– To doprawdy najlepsza rada, jaką można ci dać! – odparł zimno Cole.

– Mam cię już dość, Cole! Zejdź ze mnie! Jak się chcesz bić, możemy choćby zaraz!

– Nie boję się ciebie. Skorzystam z propozycji, ale innym razem. Teraz chcę się stąd wynieść, jak najprędzej!

Obaj chłopcy mierzyli się wzrokiem. Dzień ostatecznego porachunku zbliżał się; obaj dobrze o tym wiedzieli.

Maggie stała w oknie swojej sypialni, patrząc na limuzynę odjeżdżającą spod domu. Oparła się o szybę, która chłodziła jej czoło. Jak sprawy mogły aż tak się poplątać? Nie życzyła sobie otwartej wojny z Sawyer; poszła do jej pokoju, żeby dowiedzieć się, czy chłopcy są już gotowi, i żeby się z nią pożegnać. To Sawyer zaatakowała pierwsza. Ręce Maggie zacisnęły się w pięści, kostki zbiały. Dlaczego musiała walczyć o wszystko, czego pragnęła? Czemu zawsze była piętnowana jako winna?

– Już odjechali, prawda?

Maggie odwróciła się raptownie i zobaczyła Randa, stojącego w otwartych drzwiach. Wyglądał strasznie.

– Tak, odjechali – odparła – a ja wszystko jeszcze pogorszyłam, jak zawsze. Wstałam, żeby pożegnać się z chłopcami i zetknęłam się oko w oko z Sawyer. Wystrzeliła do mnie z obu luf.

– Dziwi cię to?

– Nie, ale żałuję, że tak się stało. Nigdy nie mogłam się porozumieć z Sawyer, ale kiedy powiedziała, że nigdy już nie chce mnie widzieć, że

nigdy już nie wróci do Sunbridge, było to jak uderzenie pałką w łeb. – Maggie roześmiała się, śmiech zabrzmiał jak dysonans w ciszy pokoju. – Mam parszywą przeszłość, Randzie, i wygląda na to, że mój rejestr wcale się ostatnio nie poprawił.

– Co chcesz zrobić?

– Właśnie zastanawiałam się nad tym. Przypominałam sobie, jak mnie odesłano do Vemiont po urodzeniu Sawyer i jak płakałam bez końca i powtarzałam mamie, że jej nienawidzę, że nigdy już nie będę jej kochała.

– A co zrobiła wtedy Billie?

– Powiedziała, że to nie ma znaczenia, czyjej dzieci ją kochają. Nie wydała nas na świat po to, żeby zappełnić pustkę swojego życia. Urodziła nas, bo nas kochała, a miłość łączy się z odpowiedzialnością I właśnie dlatego odsyła mnie z Sunbridge. Robi to, bo mnie kocha i chce mojego dobra.

– Teraz w to wierzysz?

– Tak, nie mam co do tego wątpliwości. Ale nie potrafię zapomnieć, jak bolało, że mnie tu nie chcą. Wydawało mi się, że nigdy nie było tu dla mnie miejsca.

– Jesteś częścią Sunbridge, Maggie. A twoje miejsce jest również tu – Rand otworzył ramiona i Maggie podeszła bardzo blisko. Przytulił ją mocno, chowając twarz w pachnącym wgłębieniu jej szyi. – Kocham cię, Maggie. Nigdy o tym nie zapominaj!

W chatce narciarskiej było gorąco jak w piekarniku. Adam siedział na obrotowym krześle przy ogniu. Jak tu powiedzieć Pauli, że wyjeżdża? Wyrąbać to prosto z mostu czy tchórzliwie wymówić się jakimś wirusem? Świetnie da sobie radę sama, a ponieważ wszystko już opłacił, Paula będzie mogła zostać dłużej. Gorący kubek z kawą grzał mu dłonie. W żołądku kamieniem leżało śniadanie. Adam był

pochmurny, nie mógł odpędzić od siebie najgorszych przeczuć. Coś złego spotkało jego ukochaną Sawyer! Musiał wracać do Nowego Jorku!

– Powiedz mi, Paula – odezwał się bez pośpiechu – bardzo byś była zawiedziona, gdybym wrócił wcześniej do Nowego Jorku?

– Praca, wirus grypy, czy powiesz mi prawdę?... martwisz się o Sawyer? Z pewnością dam sobie radę. Boja zostaje, prawda?

Paula była wspaniałą dziewczyną! Poczucie humoru, pełne zrozumienie i żadnych zobowiązań. Senne oczy uśmiechnęły się do niego.

– W drogę, duży głuptasie! Doprowadziłbyś nas oboje do szalu, gdybyś tu został! Masz dobre połączenie – Paula spojrzała na malutki kwadracik na swym przegubie – za trzy kwadranse.

– Jesteś fantastycznym kumplem! Spakuj ę się w pięć minut.

– Tak naprawdę to wcale nie rozpakowywałeś się, prawda? Tylko zapłacić rachunek, misiaczku, i zostaw mój bilet lotniczy na komódce.

– Słowo daję, powinienem był się z tobą ożenić! – uśmiechnął się Adam od ucha do ucha.

– Nie da rady. Po miesiącu nic, tylko byś rysował moje karykatury i wieształ je w wychodku. Po co psuć piękną przyjaźń? Baw się dobrze, boja tu mam zamiar zaszaleć!

– No to na razie! – Adam pomachał jej wesoło, Paula odwzajemniła się rym samym. Z pewnością będzie się dobrze bawić, czarownica!

Sawyer zagoniła chłopców do brudnawej windy towarowej.

– Wiem, że to nieciekawie wygląda, ale kiedy zobaczycie poddasze, czeka was miła niespodzianka.

Kiedy podchodzili do wejścia, usłyszeli dźwięk klaksonu. W drzwiach obsypał ich deszcz konfetti.

– Witaj, cała paczko! – wrzeszczał Adam co sił w płucach.

– Adam! Co ty tu robisz?!

– Znudziło mi się siedzenie przy ognisku i popijanie grogu. Ty musisz być Cole, a to oczywiście Riley mówił Adam wyciągając ręce do obu chłopców. – Urządźmy sobie niesamowity ubaw! Wprost umieram z chęci zwiedzenia Nowego Jorku od chwili, gdy się tu wprowadziłem. I mam na myśli prawdziwe zwiedzanie! Ten leń wskazał na Sawyer – tylko by ciągle czymś jeździł! Chodźcie, pokażę wam wasze legowiska. Potem obejrzyjecie moje najlepsze prace, złapiemy wiadomości w telewizji (to konieczność, a nie rozrywka. „żyję z polityków!) i w końcu wybierzemy się do mojej ulubionej garkuchni, nazywa się „Tylne Wejście”. Nie ma to jak Nowy Jork, gdy chce się coś przekąsić na mieście. Będziecie błagać, żeby was znowu zaprosić, chłopaki!

Teksańczycy zagłębili się w Wielkim Jabłku* [Big Apple, ang. Wielkie Jabłko – powszechnie używane w Stanach Zjednoczonych żartobliwe określenie Nowego Jorku (przyp. tłum. .)] z werwą i determinacją. Szalony tydzień rozpoczął się wizytą u najbardziej znanej na całym świecie damy, zwanej Statuą Wolności. Potem przysła kolej na Wall Street, Bliźniacze wieże, Greenwich Village, Mott Street w Chinatown. Jedli śniadanie u Samanty, lunch w Czterech Porach Roku, obiad Pod Znakiem Gołębicy i udało im się załapać do Mokrego Louie na najlepszą rybę świata. Cole, który przeżył w Nowym Jorku większość swego życia, odkrył teraz miejsca, o których istnieniu nie miał pojęcia. Zwiedzili ogromne sklepy Bloomingdale’a i Saksa na Piątej Alei, a potem Katedrę św. Patryka. Po niej przysła kolej na wyprawę do centrum odzieżowego przy Siódmej Alei. Zwiedzanie Muzeum Historii Naturalnej i Muzeum Sztuki Nowoczesnej walczyło o pierwszeństwo z popołudniowym spektaklem „Kotów” na Broadwayu oraz najnowszym filmem akcji Chucka Norrisa.

– Kiedyś napiszę książkę o tym mieście – powiedział Adam w

czasie przerażającej jazdy na lotnisko Kennedy'ego taksówką prowadzoną przez libańskiego poganiacza wielbłądów.

Nastąpiła lawina mocnych, męskich potrząśnień dłoni, dziecinnych całusów i uścisków godnych niedźwiadka. Wspólnie przeżyte w Nowym Jorku chwile miały na zawsze pozostać w pamięci całej czwórki.

– Boże, to był jeden z najwspanialszych tygodni w moim życiu! – powiedział rozanielony Adam, gdy wracali z lotniska.

– Adamie, nie mam pojęcia, jak ci się kiedykolwiek odwdzięczę za to, co zrobiłeś dla nas w tym tygodniu!

– Ty masz mi się odwdzięczać? Do cholery, to ja powinienem dziękować: nareszcie poznałem Nowy Jork! Fantastyczne przeżycie! Mnóstwo radochy! Pewnie już nigdy w życiu nie powtórzę takiego wyczynu. Myślę, że chłopcy mieli bał!

– No chyba! I naprawdę polubili cię, Adamie. Teksas będzie się im wydawał bardzo nudny po tej wspaniałej przygodzie. – Sawyer zamilkła zamyślona. – Byłam zdumiona, że Cole odwiedził wczoraj swojego ojca. Wydawało mi się, że spisał go już na straty.

– Czemu się dziwisz, przecież to Nowy Rok! Pewnie uważał, że tak wypada. Był po tej wizycie jakiś nieswój, ale się z tego otrząsnął.

– Nieswój ? Według mnie miał minę kota, który właśnie wrąbał kanarka. Znam mojego braciszka! Wczoraj wydarzyło się coś ważnego; dowiemy się o tym, kiedy sam zechce nas poinformować Gdy wrócili na poddasze, Adam nalał im obojgu szcrodre wina.

– A teraz powiedz, co z tobą. Obchodziliśmy ten temat dookoła przez tydzień. Pora pogadać.

– Czuję się jak potępiona dusza; Starczy wyjaśnień? – Głos Sawyer był bez wyrazu, głuchy.

– Starczy na tyle, żebyśmy wiedział, jak się czujesz. Ale nie mam

pojęcia, co się zdarzyło – powiedział łagodnie Adam.

– Nie ma wiele do opowiadania. Rand sypia z Maggie. Spytałam go o to otwarcie i nie zaprzeczył. – Zaśmiała się gorzko. – Potem się spałam w trupa. Cole znalazł mnie wczesnym rankiem. To porządny dzieciak, Adamie, naprawdę pierwsza klasa! Maggie zapaskudziła mu życie tak samo, jak spieprzyła moje. Gdybym mogła jej go w jakiś sposób odebrać, zrobiłabym to – powiedziała Sawyer ponuro. – Przez cały tydzień zastanawiałam się, czy nie pomówić z Cranstonem. Może moglibyśmy zawrzeć ze sobą układ.

– Posunęłabyś się tak daleko, żeby się odegrać na Maggie? – spytał zdumiony Adam.

– A jakże! Nie potępiaj mnie, Adamie! Nie masz prawa, chyba że sam znajdziesz się w mojej sytuacji!

Kulka, znudzona wygrzewaniem się przy kominku, wskoczyła Sawyer na kolana, wytrącając jej kieliszek z ręki. Natychmiast zaczęła wylizywać rozlane wino.

– Nie martw się o kota: nieraz się już zalała – roześmiał się Adam i napięcie zelzało.

– Nie martwię się o kota – odburknęła dobrodusznie Sawyer – ale co z moją spódnicą?!

– Wytrzyj wilgotną gąbką. Nic wielkiego się nie stało. Na tym polega sekret życia: odróżniać rzeczy ważne od błahostek.

– Potrafisz być upierdliwy, Adamie! Ale mimo to kochani cię bardzo. Nie mam pojęcia, jak zdołałabym przeżyć ten tydzień bez ciebie.

– Tylko bez podziękowań! Napij się jeszcze wina. Czy ci się nie wydaje, że Kulce siwieją wąsy?

– Możliwe. To stara kocica, nie zauważyłeś? A propos, szkoda że nie widziałeś, jakie przedstawienie odstawiła niejaka panna Eileen Farrell przed moją ciocią Amelią. Dziewczyna chce dostać w swoje

szpony Cary'ego, ale kiedy się dowiedziała, że Rand jest, jak to określiła, przedstawicielem arystokracji, ruszyła do ataku na niego. Ciocia Amelia jest potwornie zazdrosna, zazdrość z niej wylała wszystkimi porami. Na początku serdecznie jej współczułam, ale potem byłam tak zajęta własnymi kłopotami, że całkiem o niej zapomniałam i dopiero teraz mi się przypomniało. Cary jest taki przystojny! I chyba naprawdę kocha moją ciotkę. Ona go ubóstwia, ale gra identyczną komedię jak my wszystkie i sama się zadręcza. Jakby tylko czekała chwili, gdy Cary poleci na sprężyste ciało i biust jakiejś nastolatki.

– Nie pomyślałaś, że warto by z nią pogadać? Może przyda się jej ktoś do zwierzeń. Każdemu z nas jest potrzebny od czasu do czasu wdzięczny słuchacz.

– Nie nadaję się do tej roli. Jestem młoda. Należę do wrogów. Niech się zwróci do babci, jeśli szuka powiernicy. Chyba powinniśmy coś zjeść. Już jestem na rauszu od tego wina.

– Ugotuję coś, pod warunkiem, że ty posprzątasz. Jestem równie zawiany jak ty; wiedz, że ryzykujesz, jeśli się na to zgodzisz. Co prawda nie masz pojęcia o gotowaniu, więc może ryzyko nie jest zbyt wielkie.

– Nie jesteś zawiany, tylko zalany w sztok.

– Ty też.

Sawyer zachichotała.

– Racja. Zrób tylko kanapki.

– Mogą być chrupki orzechowe? Te chłopaki rozprawiły się ze wszystkimi naszymi zapasami: to jedyne, co zostało.

– Mnie to odpowiada. Chlapij na moje trochę galaretki.

– Masz to u mnie – mruknął Adam i poszedł do kuchni.

Sawyer przez chwilę patrzyła za nim, potem przetarła oczy. Widziała bardzo niewyraźnie. Nigdy przedtem wino nie powodowało u niej takich skutków; czuła, że nadchodzi kolejny atak migreny. Za dużo

emocji. Jutro odpocznie albo pójdzie do biura i zastanowi się, czy nie wziąć urlopu.

Początek nowego roku był dla Maggie mieszaniną radości i smutku. Cieszyła się, że Rand jest nadal w Sunbridge, źródłem smutku zaś była Sawyer.

Prowadzili wraz z Randem podwójne życie: we dnie cieszyli się konnymi przejażdżkami w ostrym zimowym powietrzu i brali udział w serii świątecznych przyjęć wraz z Susan, Amelią i Carym. W nocy zaś kochali się i zasypiali w swoich ramionach.

Ustalono, że Rand pozostaje w Sunbridge do powrotu Cole'a i Riley'a z Nowego Jorku. Jeśliby miało dojść do jakiejś utarczki, Rand wolał być przy tym i wziąć w niej udział, niż pozwolić na to, by Maggie sama stawiała temu czoło. Gdy chłopcy wrócili, dzień po Nowym Roku, nic nie mówili, ale nie ulegało wątpliwości, że są po stronie Sawyer.

Nareszcie obaj byli co do czegoś zgodni. Chwilami Maggie wydawało się, że uknuli spisek przeciwko niej, chociaż wiedziała, że pomiędzy nimi w dalszym ciągu istnieje konflikt. Nawet Riley zmienił się stosunku do niej. Przed wyprawą do Nowego Jorku zawsze pytał Maggie, jak jej minął dzień, interesował się wszystkim, co działo się w Sunbridge. I nawzajem, opowiadał jej o swoich codziennych przeżyciach, dzielił się opiniami i omawiał plany. Teraz nie zwierzał się z niczego i w ogóle miał jej niewiele do powiedzenia. Cole okazywał jawną wrogość, Maggie również unikała jego towarzystwa. Jego postawa, sposób, w jaki na nią patrzył, dowodziły, że znalazł sposób, żeby odegrać się na niej. Tylko w najczarniejszych chwilach Maggie myślała o Sawyer, a wówczas także i Cole nie schodził jej z myśli. Tych dwoje było sprzymierzeńcami, dziećmi walczącymi z matką.

Oprócz Randa jedynym jasnym punktem na horyzoncie życia Maggie był rozwód z Cranstonem. Nie mogła się doczekać, kiedy się to

wreszcie skończy. Gdy odzyska wolność, ona i Rand będą mogli otwarcie mówić o wzajemnych uczuciach. Wówczas dopiero stawia czoło rodzinie, mając niezbędne prawo do tego, żeby być razem. Brak aprobaty spowodowany innymi przyczynami, na przykład lojalnością względem Sawyer, trzeba będzie po prostu zignorować. Kochali się przecież nawzajem i niczyje błogosławieństwo nie było im potrzebne.

Zaraz po Nowym Roku telefon w Sunbridge ożył. Maggie podniosła słuchawkę po czwartym sygnale, zrzucając równocześnie płaszcz i kapelusz. Pogodny głosik oznajmił jej, że Cranston Tanner zamówił rozmowę międzymiastową. Gdy otrzymał połączenie, Maggie zaczerpnęła głęboko powietrza i odezwała się wesoło:

– Szczęśliwego Nowego Roku, Cranstonie – i czekała, co będzie dalej.

– Postanowiłem zażądać przyznania mi opieki nad Cole’em – stwierdził sucho Cranston, nie zwracając sobie głowy odwzajemnianiem noworocznych życzeń. – Możesz ze mną walczyć, Maggie, ale nic ci to nie da. Oczywiście, opóźni to zakończenie naszej sprawy rozwodowej. Będzie ci potrzeba trochę czasu na skontaktowanie się z prawnikami i na rozmowę z Cole’em. Ale w końcu stanie się tak, jak sobie tego Cole życzy, a on chce być ze swoim ojcem.

Spodziewała się czegoś podobnego. Odkąd Cole wrócił z Nowego Jorku, wiedziała, że coś knuje.

– Dlaczego? – to było wszystko, co zdołała wykrztusić.

– Bo żenię się powtórnie, a chłopiec powinien mieć rodzinę.

– Mówiłeś, że nie związałeś się z nikim na stałe – powiedziała Maggie nieswoim głosem.

– Tak było we wrześniu, teraz jest inaczej. Powiedzmy, że spotkałem miłość mojego życia. Cole będzie świetnie pasował do tego układu.

– Wcale go nie chcesz. Po prostu masz ochotę odegrać się za to, że cię odtrąciłam. Sądziłam, że doszliśmy do porozumienia. Mówiłeś, że uzyskamy rozwód w ustalonym terminie, a w drugim semestrze pomyślimy, co będzie najlepsze dla Cole’a.

– Właśnie o tym myślę. Cole może pozostać u ciebie do końca roku szkolnego, a w lipcu tutaj się przeniesie. Dzięki temu będzie mógł spędzać z Sawyer tyle czasu, ile tylko zechce. Rozmawiałem z Sawyer: uważa, że to dobry pomysł.

– Sawyer! Jakie masz prawo... Niech cię cholera, Cranstonie! Sawyer nie ma tu nic do gadania!

– Sawyer ma bardzo wiele do powiedzenia w tej sprawie. Jest siostrą Cole’a i jedyną chyba istotą, na której mu zależy. Cole odwiedził mnie podczas swego pobytu w Nowym Jorku. Nie mówił ci o tym, co?

– Nie, nic nie mówił, ale coś podejrzewałam. Co ci powiedział?

– Wystarczająco dużo, żebyś nigdy nie otrzymała prawa do opieki nad nim. Wygram z tobą, Maggie, zawsze wygrywam. Wiesz, że cię podziwiam za to, że w końcu pozbierałaś się i przestałaś pić. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa w Sunbridge. Ale nie nadajesz się na opiekunkę Cole’a. Nigdy się nie nadawałaś. Matkować Sawyer też nigdy nie umiałaś. Nie ma w tobie nic z prawdziwej matki. I to właściwie wyjaśnia wszystko. A teraz możemy załatwić sprawę w jedwabnych rękawiczkach, albo w bokierskich rękawicach.

– Prędzej diabli cię wezmą Cranstonie!

– Przypuszczam, że kiedyś wezmą mnie rzeczywiście. Prawdopodobnie spotkamy się w piekle, Maggie – odparł gładko Cranston. – Miło mi się z tobą rozmawiało. Ucałuj ode mnie Cole’a.

– Ty bydlaku! – wrzasnęła Maggie, zanim odłożyła słuchawkę.

– Komu wymyślasz? – spytała Amelia. – O Boże, muszę się napić! Toniku – dodała pospiesznie.

– Pij, co chcesz. Zupełnie mnie nie interesuje, co piją inni. To był

Cranston. Chce mi odebrać Cole'a. Żeni się i pragnie, żeby Cole mógł widywać się z Sawyer, kiedy tylko mu na to przyjdzie ochota. Ta dziewczyna zrujnowała całe moje życie. Sama myśl o niej doprowadza mnie do szału!

– Nie myślisz tak! Jesteś po prostu przygnębiona.

– Pewnie, że jestem przygnębiona; masz rację, nie myślę tak. Ale wszystko sprowadza się zawsze do Sawyer! Nie wiem, ile jeszcze będę w stanie znieść!

– Przekonasz się: zniesiesz wszystko, co się wydarzy. Człowiek potrafi wszystko znieść. Cary uważa, że Pan Bóg nigdy nie zsyła na nas więcej nieszczęść, niż zdołamy udźwignąć. Ja nie zawsze w to wierzę, ale chyba coś w tym jest, w przeciwnym wypadku nie walczyłybyśmy tak rozpaczliwie. Czy pójdzie z Randem do łóżka było tego warte? Dobrze wiesz, że o to tylko chodzi.

– Cranstonowi nic do tego, z kim chodzę do łóżka. Jeżeli ma zamiar się ożenić, to znaczy, że sam także z kimś sypia.

– Co masz zamiar zrobić? – spytała z zainteresowaniem Amelia.

– Spędzić bezsenną noc, a skoro świt zadzwonić do Dundleya Abramsona. Nie mogę wprost uwierzyć, że Cranston jest taki podły. Chcę teraz zatelefonować do Sawyer i powiedzieć jej, co o niej myślę, a potem odbyć rozmowę z Cole'em.

Amelia dopiła swój tonik. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy znajdzie się w swoim pokoju i zrobi sobie prawdziwego drinka. I pomyśli o gwiazdkowym prezencie od Cary'ego. Dostarczono go dzisiaj, był to wspaniały perski dywan, nieomal identyczny z tym, który niegdyś leżał w bibliotece, jak opowiadała jej matka. Właściciel niewielkiego składu dywanów sam go przywiózł, zachwycony, że znajdzie się on w tak pięknym domu. Spędziła godzinę w towarzystwie tego człowieczka, pokazując mu, jak odnowiła dom. A potem coś, co handlarz dywanów powiedział, wypaliło się w jej mózgu ognistymi

zgłoskami, których nic nie było w stanie zatrzeć.

– Ta młoda dama była bardzo zadowolona z dywanu. Miała wynotowane wszystkie dane co do obstalunku.

Amelia odesłała robotników wcześniej do domu i pozamykała wszystko.

Boże wielki! Jakże była zachwycona i przejęta tym, że Cary ofiarował jej taki wspaniały dar! A ta cholerna Eileen siedziała z zadowoloną miną i przyglądała się, jak Amelia robi z siebie idiotkę! Najbardziej ze wszystkiego zezłościła Amelię obłuda Cary’ego, który udawał, że sam wyruszył do miasta i przeszukiwał je, póki nie znalazł stosownego upominku dla ukochanej żony.

– Pewnie chcesz zatelefonować w samotności, więc poczlapię na górę – powiedziała Amelia, otrząsając się z niemiłych myśli. – Spodziewam się, że Cary wróci dziś wcześniej. Miejmy nadzieję, że na obiad. Co w jadłospisie? Zawsze o to od razu pyta.

– Gulasz wołowy i kukurydziany chleb. Placek z wiśniami. Marta zrobiła dziś lody. Chłopcy za nimi przepadają.

– Wspaniale. (Cary będzie zachwycony). Do zobaczenia na obiedzie! – Już odchodząc zawołała przez ramię: – Na twoim miejscu nie przejmowałabym się tak bardzo, Maggie! Wszystko dobrze się ułoży, a przynajmniej stanie się tak, jak było sądzone. Zobaczmy się niebawem!

Maggie pomachała ręką z roztargnieniem, myślała już o rozmowie telefonicznej, którą zaraz miała odbyć. Połączyła się z operatorem, podała numer biura Sawyer i zamówiła prywatną rozmowę z Colemanem Tannerem. Gdy usłyszała w słuchawce głos Sawyer, zawołała:

– Jak mogłaś spiskować za moimi plecami z Cranstonem? To tchórzowski cios w plecy! Nie pozwolą mi teraz zatrzymać Cole’a! Jak mogłaś?!

Sawyer próbowała słuchać, lecz w głowie tak jej huczało, że słowa Maggie ledwie do niej docierały.

– Wcale nie chcę mieszać siew twoje utarczki z Cranstonem, Maggie – powiedziała. – Sama załatwiał swoje interesy. Chyba dałam ci to wyraźnie do zrozumienia przed wyjazdem.

– No to postawmy sprawę jasno: od tej chwili żadnych kontaktów z Cole'em! Nie dzwoń do niego i nie pisz!

Przez dłuższą chwilę Sawyer stała słuchając rozlegającego się w słuchawce sygnału, czując się tak, jakby miała zaraz zwymiotować. Byleby tylko pozbyć się tego cholernego bólu głowy! Nagle chwyciła za blat biurka i zachwiała się na nogach.

Peter Andrews, powracający po odświeżeniu się zimną wodą z saturatora, zobaczył, że Sawyer traci równowagę. Przyspieszył kroku, widząc, że nie trzyma się już biurka. Sekundę później kolana ugięły się pod nią, a ona osunęła się na podłogę. Peter zawołał o pomoc. W przeciągli dwudziestu minut Sawyer była w drodze do szpitala. Peter podjął się osobiście zawiadomić o tym Adama Jarvisa i babkę Sawyer.

Amelia szła do biblioteki po wieczorną gazetę, gdy usłyszała, że dzwoni telefon. Oczywiście Cary. Wiedziała o tym, zanim jeszcze podniosła słuchawkę.

– Kochanie, nie zdążę na obiad. Zostaw dla mnie coś ciepłego, dobrze? Są pewne sprawy, które chcę uporządkować dziś wieczorem, Eileen mi w tym pomoże. Wiem, że mieliśmy razem obejrzeć telewizję i poleniuchować tego wieczora, ale... Amelio? Nie jesteś na mnie zła, prawda? Wrócę, jak tylko będę mógł.

– Nie, oczywiście, że nie jestem zła. Przepadnie ci pyszny obiad, choć postaram się, żeby ci go odgrzano. Gulasz wołowy, im dłużej się pitrasi, tym lepszy. Poza tym mamy lody domowej roboty i placek z wiśniami.

– Mój Boże, już mi ślinka leci i Zostaw dla mnie światło w oknie. Kocham się, żoneczko!

– Ja ciebie też! – zawołała Amelia namiętnie – a moje światło zawsze będzie ci wskazywało drogę. Jedź ostrożnie, jest ślisko.

Połączenie zostało przerwane. Amelia długo wpatrywała się w słuchawkę, zanim ją odłożyła.

Temperatura na dworze musiała spaść – narzekała Eileen. – Włączyłam wszystkie cztery grzejniki, nawet ten w łazience. Czy jesteś pewien, że chcesz zostać i skończyć to wszystko, Cary?

– Przecież ty pierwsza zaoferowałaś się, że zostaniesz.

– To było, zanim spadła temperatura. Boję się, że moje auto w ogóle nie mszy. – No to cię podwiozę. Powinnaś się cieplej ubierać – zauważył Cary, mierząc okiem sukienkę Eileen z cienkiego dżerseju. – Ta przyczepa jest przewiewna jak tunel. Grube spodnie wełniane i sweter byłyby bardziej praktyczne.

– Więc przysuń się do mnie z krzesłem. W razie czego będziemy się mogli przytulić dla rozgrzewki. Tylko godzinę, Cary. Posortowałam już wszystkie oferty. Mam pod ręką trzy propozycje. Sherman dziś je przejrzał i zrobił uwagi na marginesach. Weźmy się do tego, to będziemy mogli szybciej wydostać się stąd!

– Wygląda na to, że masz ważną randkę.

– Owszem, choć nie z tym, z kim chciałabym się umówić. Od Bożego Narodzenia zbieram się, żeby cię zapytać, czy Rand jest tu nadal? I czy jest z kimś związany?

– Naprawdę nie wiem. To znaczy, nie jestem pewien – odparł Cary zgodnie z prawdą.

– Może zadzwonię do niego jutro i przekonam się jak na to zareaguje.

– Wiesz co, Eileen, bardzo ładnie z twojej strony, że znalazłaś dla

mnie ten dywan. Byłem sześć razy w Austin i wykonałem tuzin telefonów do Houston i Dallas w poszukiwaniu tej cholernej szmaty. Dosłownie uratowałaś mi życie i doceniam to. Nawiasem mówiąc, jakim cudem udało ci się go wytrzasnąć?

– Zaczęłam od książki telefonicznej i jakoś poszło. To taki kosztowny zakup, że każdy sklep, do którego dzwoniłam, aż rwał się do pomocy. A jak im zdradziłam, dla kogo jest przeznaczony, byli jeszcze bardziej chętni. Nazwisko Coleman jest dobrze znane w Teksasie.

– Przekonałem się o tym. Nie byłbym teraz tu, gdzie jestem, i ty także, gdyby nie pomoc Amelii.

– Jakoś byś sobie poradził. Jesteś utalentowanym człowiekiem, Cary. Oczywiście Cary'ego i Eileen dzieliło tylko kilka cali.

– Nie, nie poradziłbym sobie. Niczego bym nie dokonał bez Amelii. Uwierzyła we mnie i to mi dało wiarę w siebie. O mnie możesz najwyżej powiedzieć, że mam ręce, które nie boją się pracy. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał znacząco: – Stanowimy zgrany zespół, Amelia i ja.

Eileen nieznacznie odsunęła swoje krzesło. Pierwsza też odwróciła wzrok. Zrozumiała.

Pracowali bez przerwy ponad godzinę. Składając papiery Cary uśmiechnął się.

– Koniec! Jutro możemy zająć się innymi sprawami, a największe kłopoty mamy już za sobą. Wreszcie dostrzegam świąteczko w mroku! Dzięki, że zostałeś, Eileen. Zbieraj swoje manatki, a ja wyłączę grzejniki, pogaszę światła i wszystko pozamykam. Poczekam i przekonam się, czy zdołasz uruchomić samochód.

Pół godziny później stary ford Eileen nadal nie dawał znaków życia.

– Pewnie potrzebny ci nowy akumulator. A tak nawiasem mówiąc, skąd wytrzasnęłaś tego starego trupa?

– Z punktu sprzedaży używanych samochodów. Nie stać mnie na coś lepszego. – Boże święty, z taką pensją, jaką ci płacimy, masz czelność jeszcze twierdzić, że nie stać cię na lepsze auto?!

– Może chcesz przejrzeć moje rachunki za czynsz? Wyobraź sobie, że nie tak łatwo samotnej dziewczynie opłacić komorne. Ledwie wiązę koniec z końcem. Chcę mieć urlop przynajmniej raz do roku, więc muszę zaoszczędzić trochę forsy. Nie jestem z rodu Colemanów – powiedziała chłodno. – Muszę zapracować na swoje utrzymanie.

– Dobrze już, dobrze! Może znajdziemy sposób, żeby zapewnić ci samochód na koszt kompanii. Chyba wystaram się dla ciebie o wóz do stałej dyspozycji, albo dam ci kontrasygnatę na pożyczkę. Wsiadaj do samochodu. Odwiozę cię do domu.

– Nie mogę sobie pozwolić na dodatkowe wydatki. Będę musiała jutro rano wziąć taksówkę, a to wyniesie co najmniej dwadzieścia dolarów. Nic mi się ostatnio nie wiedzie! Ale dzięki, że chcesz mi pomóc.

– Minie co najmniej dziesięć minut, nim wewnątrz wozu się ogrzeje. Do diabła, powinienem zadzwonić do Amelii i powiedzieć, że wrócę później, niż myślałem.

– Zatelefonuję do niej jutro i przeproszę. Powiem, że to moja wina i wyjaśnię sytuację.

Serce Cary'ego zaczęło Walić jak głupie.

– Na miłość boską, tylko nie to! Ja się tym zajmę! – Obliczył sobie, ile czasu zajmie mu podwiezienie Eileen i powrót do Sunbridge. Będzie miał szczęście, jeżeli zdąży na wpół do jedenastej. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że być może Amelia jest zazdrosna o Eileen. Dobrze wiedział, że nie miała powodu do zazdrości, ale mimo wszystko...

– Jak tam drogi? – Eileen zadrzała w lekkim kaszmirowym płaszczu. – Obludzone. Rano będzie jeszcze gorzej. Przyjadę po ciebie.

Zamów na jutro mechanika. Powiedz, żeby na wszelki wypadek przywiózł akumulator. Pogadam z Shermanem i Clarą na temat oddania do twojej dyspozycji jednego z ich samochodów, przynajmniej do czasu, aż się pogoda poprawi. Potem pogadamy o pożyczce dla ciebie. Może coś wyciągniemy z przedsiębiorstwa. Ale jeśli nie da się tego odpisać od podatku, to nie ma mowy. Taka jest podstawowa zasada Shermana.

– Bardzo rozsądna. Przedsiębiorstwa takie jak wasze potrzebują wszelkich sposobów na obniżenie podatków. Jeżeli załatwienie samochodu na moje nazwisko pomoże w tym, to jestem za!

Do Austin było pół godziny drogi. Eileen i Cary przez cały czas rozprawiali wesoło o interesach i dzielili się biurowymi ploteczkami. – Dziękuję ci, Cary.

– Nie ma sprawy. Domek z klasą – zauważył Cary, mierząc wzrokiem portiera.

– Dziewczyna musi czuć się bezpieczna. Mamy też windziarza. To dobrze strzeżony budynek. Dlatego się tu wprowadziłam. Na komorne idzie większość mojej pensji.

– Ile płacisz?

– Tysiąc trzysta miesięcznie. Za sześć miesięcy wszystkie mieszkania mają stać się własnością lokatorów. Będę musiała się wyprowadzić, bo nie stać mnie na wykup lokalu. Jedź ostrożnie.

– Przyjadę po ciebie o wpół do ósmej! – zawołał Cary, zanim odjechał. Eileen otworzyła drzwi do luksusowego apartamentu. Wyglądał jak fotografia z katalogu Bloomingdale’a. Nie brakło nawet porcelanowych bibelotów. Wnętrze utrzymane było w kolorze popielatym i brzoskwiniowym, miłe dla oka i eleganckie. Nawet Amelia Assante nie miałyby się do czego przyczepić.

A więc opłaciło się wypożyczenie tego starego grata od przyjaciela! Wszystko układało się pomyślnie, w dodatku szybciej, niż myślała.

Najpierw samochód od przedsiębiorstwa, potem BMW, wkrótce pewnie uda się wykupić apartament na koszt kompanii. Ale oczywiście akt własności będzie opiewał na jej nazwisko! Była im potrzebna. W rym rzecz. , A jej potrzebne były pieniądze. Coś za coś. Wiele się nauczyła ód czasu, gdy zaczęła pracować dla tej kompanii.

Smukłe palce Eileen przebierały wśród stojących w rzędzie kaset. Wybrała nagranie Lionea Richie i wetknęła je do magnetofonu stereo. Rozebrała siei weszła pod prysznic. Zamówiła obiad do pokoju. W ten czy inny sposób pójdzie to na rachunek jednego ze znajomych mężczyzn. Może dzisiaj wyda co nieco, ale zwróci jej się to z nawiązką, gdy przyjdzie czas na kupienie BMW. Mężczyzna, z którym miała się dziś spotkać, był sprzedawcą samochodów tej marki. Po cenie kosztu? Może nawet poniżej ceny kosztu. Rączka rączkę myje. Eileen zachichotała.

Rozdział czwarty

Była już prawie północ, kiedy dyżurna pielęgniarka wpuściła Adama do pokoju Sawyer. Dziewczyna drzemała, ale skrzyp drzwi uświadomił jej czyjaś obecność w ciemnym pokoju.

– Czy to ty, Adamie? – spytała słabym głosem.

– A któż by? Czekałem na zewnątrz od paru godzin. Kompletna ze mnie ruina, a przez pomyłkę zapakowali do łóżka ciebie. Jak się czujesz? – spytał z niepokojem.

– Ten cholerny labirynt, w którym błędzę, jakoś się przemieścił i znalazłam się nad samym wejściem do piekła. To po prostu wyczerpanie. Nie przejmuj się, Adamie. Wrócę do formy za dzień czy dwa. Nie mogę uwierzyć, że zabrali mnie do szpitala. Potrzebami tylko kilku dni spokoju i przysmaków z twojej obrzydliwej kuchni.

Adam próbował się uśmiechnąć, ale mu się to nie udało.

– Pielęgniarka wspominała o jakichś badaniach.

– Nic o tym nie wiem. Pewnie zwykłe badania szpitalne. Nic mi nie jest. Jutro już mnie tu nie będzie. Niektóre badania już porobili.

– Jakie? Co badali?

– Krew. Prześwietlili mi też ramiona, szyję i głowę. Chyba się uderzyłam padając. Tak mi sucho w ustach. Możesz mi podać coś do picia?

– Jasne. – Adam nalał wody z karafki i podał szklanicę Sawyer. Sięgnęła po nią niezdarnie i woda rozlała się na pościel.

– To moja wina. Przepraszam – powiedział uspokajająco.

– Chyba ciągle jestem zamoczona. Dali mi jakiś zastrzyk. Zdaje się, że powoli przestaje działać. Która godzina?

– Po północy. Nie chciałem stąd wyjść, nie upewniwszy się, że wszystko z tobą w porządku.

– O której mnie tu przywieźli?

– Po południu. Chyba dość późno. Cieszę się, że to zrobili. Teraz cię wypiszą i dadzą na pożegnanie jakieś witaminy. Wróć rano.

– Nie fatyguj się, Adamie – powiedziała Sawyer sennym głosem. – Jutro już wychodzę, mogę wrócić do domu taksówką.

– Wobec tego zadzwonię. Co ty na to?

– Fajnie... – głos Sawyer był ledwie słyszalny.

Adam przez długi czas stał wpatrzony w nią. Oddychała lekko i zdawało się, że jest pogrążona w głębokim śnie, z pewnością wywołanym przez jakiś lek. Wiedział, że nie obudzi się przez całą noc, ale mimo to nie odchodził. Dopiero gdy nocna pielęgniarka wetknęła głowę we drzwi i poleciała mu, żeby wyszedł, ruszył się stamtąd. Miała oczywiście rację. Nie był tu potrzebny.

Przy stanowisku pielęgniarki zatrzymał się, żeby zamienić z nią kilka słów.

– Panna Coleman powiedziała mi, że mają jej jutro robić dalsze badania. Jakiego rodzaju?

– Czy jest pan członkiem rodziny?

– Razem mieszkamy. – Widząc zaskoczoną minę pielęgniarki, Adam wyjaśnił: – Prowadzimy wspólne gospodarstwo. Tutaj, w Nowym Jorku, jestem dla Sawyer najbliższą osobą.

– Udzielamy informacji wyłącznie krewnym. A pan nim nie jest – odparła pielęgniarka autorytatywnym tonem.

– Proszę posłuchać – powiedział Adam, decydując się na zmianę taktyki. – To ja będę płacił za jej pobyt w szpitalu. Widzi więc pani, że jestem z nią związany i mam prawo pytać. – Pochylił się ku niej i zniżył głos. – Mojej matce też nie podoba się to, że żyjemy razem, ale to jedyny sposób, by skłonić Sawyer do wyjścia za mnie. Jestem z natury monogamiczny, ale ona boi się małżeństwa, bo jej rodzice nie byli szczęśliwą parą. – Pielęgniarka wyraźnie miękła, więc Adam postanowił iść za ciosem. – Wygląda siostra na rozsądną osobę. Czy nie

postąpiłaby pani tak samo na moim miejscu? Kocham ją i nie mogę stracić.

Mocno wykrochmalony uniform pielęgniarski zachrząścił, gdy cofnęła się o krok, bliżej półki, na której znajdowały się karty pacjentów. Adam z ulgą przyglądał się, gdy przerzucała karty ułożone według numerów pokojów.

– Badania neurologiczne – wycodziła przez zaciśnięte wargi. – A poza tym jeszcze jedno badanie moczu i dodatkowe badanie krwi.

– Już miała badanie krwi. Czego szukają?

– To nie pora na zadawanie pytań, młody człowieku. Nie powinnam była powiedzieć panu nawet tego, o czym wspomniałam. Jeżeli chce pan uzyskać więcej informacji, musi pan zwrócić się do lekarza. Nie wolno mi udzielać żadnych wyjaśnień. Jest już późno, a pan mówi donośnym głosem. Nie mogę pozwolić, żeby pan budził pacjentów. Proszę jutro skontaktować się z doktorem.

Adam patrzył na pulchną pielęgniarkę, tak schludną i nieskazitelną. Jej stalowo-siwe włosy sterczały na wszystkie strony spod białego czepek jak maleńkie sprężynki. Miała okrągłe, poważne oczy, tak bardzo znużone! Teraz była zła na siebie, ponieważ postąpiła wbrew zasadom. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu złamała regulamin.

– Zaopiekuj e się pani Sawyer... dla mnie? Wrócę rano.

– Nie będzie mnie tutaj – odparła sucho. – Przyjdę także wieczorem. Dziękuję, siostró.

– Młody człowieku...

– Słucham?

– Zawsze wykonujemy takie badania, gdy pacjent ma uraz głowy. Niech się pan porządnie wyśpi.

Kulka syknęła złośliwie, kiedy Adam siadł na kanapie i przyciągnął do siebie aparat telefoniczny. Syczała i prychała w dalszym ciągu,

wbijając pazury w leżące na kanapie poduszki. Adam poklepał japo zadku i zepchnął na podłogę.

– Teraz ta druga dama mojego życia jest dla mnie ważniejsza. Jeśli jesteś głodna, to jedz popcorn – mruknął rzucając na dywan pulchne ziarenka. Kulka znów zasyczała i odmaszerowała z wysoko zadartym puszystym ogonem.

– Nick? Tu Adam. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale muszę z tobą pomówić.

– Późno, wcześniej, jakie to ma znaczenie, gdy człowiek żyje po to, by pomagać ludzkości? Mój czas należy do ciebie, jeżeli za to zapłacisz. Co się stało?

– Sawyer jest w szpitalu. Zemdlała i wyznaczili jej na jutro badania neurologiczne. Dzisiaj miała badania krwi i zrobią jej jutro dalsze. To wszystko, czego się dowiedziałem.

Głos Nicka stał się nagle profesjonalny, wyważony i opanowany.

– Czy doznała urazu przy upadku? Czy ją prześwietlali?

– Ramiona, szyję i głowę. Ma takie przeraźliwe migreny. Sądziłem, że to skutki napięcia i przepracowania. Pamiętasz, mówiłem ci, że Sawyer ma sokoli wzrok? No więc wyobraź sobie: sprawiła sobie okulary, naprawdę ich potrzebuje. Poskarżyła mi się któregoś dnia, że bardzo często traci ostrość widzenia. Dodaj to wszystko razem: bóle głowy, okulary i zemdlenie; chyba dosyć, żeby się niepokoić!

– Możliwe, że odkryli jakąś anomalię i robią badania, żeby się upewnić. Możemy sobie dziś w nocy na ten temat pospekulować, ale nie jestem prowadzącym ją lekarzem. Ciesz się, że trafiła do szpitala, gdzie się o nią należycie zatroszczą. Jeśli chcesz, mogę tam jutro wpaść i rzucić na nią okiem.

– Zrób to, a potem zadzwoń i powiedz mi, co o tym sądzisz. Dobrze?

– Zgoda. Weź dwie aspiryny i do łóżka!

Sawyer nie opuściła szpitala ani tego, ani następnego dnia. Odgrażała się doktorowi, że to zrobi, ale w końcu uświadomiła sobie, że jest tak słaba i zmęczona, że stać ją tylko na czcze pogroźki. Wyniki badań miały być na trzeci dzień.

– Nie znoszę portów lotniczych, Iliad. Paskudnie mi się kojarzą. Mam przeczucie, że stało się coś straszego. Adam niczego w gruncie rzeczy nie wie. Chyba to mnie najbardziej niepokoi. Młodych dziewcząt nie zatrzymuje się w szpitalu na cztery dni z powodu zemdlenia. Sawyer będzie zła na Adama, że mnie zawiadomił, a na mnie, że zadzwoniłam do Maggie.

– Jednego nie mogłem pojąć – powiedział Thad upychając tytoń w fajce. – Dlaczego Maggie nie przyjechała do Nowego Jorku i to nie ona wyjdzie ci na spotkanie? Mimo wszystko jest matką Sawyer. Bardzo mi przykro, Billie, ale nie potrafię tego zrozumieć, choćbym dożył do setki. Maggie tak daleko zaszła, dokonała tylu zmian w swoim życiu. Dlaczego nie mogą dogadać się z Sawyer?

– Jakie mamy prawo wyrokować o tym, co Maggie powinna, a czego nie powinna? Maggie i Sawyer muszą to załatwić między sobą. Z tego, co mi powiedziała Amelia, wynika, że Boże Narodzenie okazało się kompletną klapą. Słowo daję, bardzo się cieszę, że śnieg nas unieruchomił.

– Wywołali numer twojego lotu, kochanie. Zadzwoń do mnie po wylądowaniu i po spotkaniu z Sawyer. Jeśli ci będę potrzebny, telefonuj, we dnie czy w nocy. Obiecuję!

– Obiecuję. – Billie ucałowała go mocno. – Pomódl się w drodze powrotnej za zdrowie Sayer.

– Pomodłę się, kochanie. Bezpiecznej podróży!

Billie była bardzo zdenerwowana podczas lotu. Uczucie to nie opuściło jej, gdy odbierała bagaż i telefonowała do Thada. Czuła

niepokój, jadąc taksówką do mieszkania Adama. Gdy nikt nie odpowiedział na energiczne dzwonki, zostawiła walizkę pod drzwiami i następną taksówką pojechała do szpitala.

Billie czuła ucisk w żołądku, gdy szła korytarzem w kierunku pokoju Sawyer. Przed samymi drzwiami postąpiła chwilę w milczeniu, starając się opanować. Sawyer zdenerwuje się jej przyjazdem, ale Billie była pewna, że potrafi jakoś jej to wytłumaczyć. Trudniej będzie wyjaśnić alarmujący telefon Adama. A jeżeli Sawyer i o to zapyta, Billie musi wyznać, że powiadomiła Maggie. Oczywiście nie wspomni ani słowem o jej reakcji. Billie sądziła, że sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż się pozornie wydawało. Otworzyła drzwi i z uśmiechem weszła do pokoju Sawyer.

– Skąd się tu wzięłaś, babciu?... Adam cię zawiadomił, prawda? Widzę to po jego minie. Za bardzo się tym przejmuje. Czekaśmy właśnie na doktora, który przyjdzie mnie wypisać. Będzie już miał wyniki wszystkich moich badań. Rzeczywiście, harowałam jak wariatka i musiało się to jakoś odbić na moim zdrowiu. Jestem wykończona, chyba mam anemię. Pewnie zapiszą mi kupę witamin i odeślą do domu. Nie powinnaś była wybierać się taką podróż!

– Chciałam tego. Miło mi cię znów widzieć, Adamie. Nic a nic się nie zmieniłeś.

– Zawsze tak samo przystojny, prawda?

– Powiedziałam tylko, że się nie zmieniłeś! – Billie zmusiła się do śmiechu. Coś było nie w porządku, i to jak! Czuła to. – Może powinnam wrócić na twoje poddasze. Byłam już tam i zostawiłam walizkę. Pewnie chcesz porozmawiać sam na sam z doktorem.

– Nie bądź niemądra, babciu. Poczekaj. Oczywiście, że możesz posłuchać, co mi powie doktor. Wszyscy wrócimy razem na poddasze.

– Całkiem rozsądne, moim zdaniem. Zawsze mówiłem, że ta cizia ma głowę na karku! – zażartował Adam.

– I to jaką ładną głowę! – uśmiechnęła się Sawyer. – O, jest już pan doktor. – Sawyer dokonała niezbędnej prezentacji. – A teraz proszę mi powiedzieć, panie doktorze, ile witamin mam codziennie łykać? Jestem anemiczna, prawda? Czy grożą mi zastrzyki B12?... Ma pan taką poważną minę. Proszę mi tylko nie mówić, że są jakieś problemy z uchem środkowym. Pamiętam, że cierpiałam na to w dzieciństwie.

Billie nie uświadamiała sobie tego, że wstrzymuje oddech, póki nie wyrwało się jej głębokie westchnienie. Adam otwierał i zaciskał pięści. On także czuł grożące niebezpieczeństwo.

Mało co, zdaniem Susan, było równie ponure jak pierwsze dni stycznia w Teksasie. Zdawało się, że całe życie wyciekało z ziemi, pozostawiając tylko nędzną skorupę w różnych odcieniach szarości. A ona sama idealnie pasowała do krajobrazu: była szara i bez życia jak starzejący się ślimak, zbyt rozdęty, by się poruszać. Tęskniła za ciepłym klimatem, błękitnym niebem, słońcem.

Nigdy, jak tylko mogła sięgnąć pamięcią, nie czuła się tak samotna. Najpierw byli z nią mama i tata oraz reszta rodziny w Sunbridge, później Amelia i Rand, a wreszcie Jerome. Nigdy nie była sama ani nie ponosiła odpowiedzialności za własne życie. Nawet teraz otaczały ją opiekuńcze skrzydła Sunbridge i krewnych. Ale nie zmniejszało to uczucia osamotnienia.

Codziennie zastanawiała się, gdzie jest i co porabia Jerome. Wysyłała listy na adres ich mieszkania i do ich agenta, Theodore ‘a Lewisa. Wszystkie wracały nie odpieczętowane. Wyglądało na to, że Jerome zniknął z powierzchni ziemi. Kiedy zatelefonowała do Lewisa, nie chciał jej udzielić żadnych informacji, choć wyraził nadzieję, że Jerome niebawem się opamięta.

– Sam się zjawi – powiedział agent. – Potrzebuje chyba trochę więcej czasu, żeby oswoić się ze swym ojcostwem.

Czy osiem miesięcy nie wystarczyło mu na to?! I tak prędzej czy później go zobaczy. Susan była tego pewna. Zjawi się nagle, jakby wyrósł spod ziemi, kiedy dziecko się urodzi, a ona będzie w stanie wrócić do pracy. Jerome przybędzie z setką nowych planów, a być może nawet z trasą nowego tournée w kieszeni.

Susan przyglądała się swoim palcom, delikatnie rozciągając. Jak bardzo były obrzmiałe! Któregoś dnia spróbowała zagrać na fortepianie, ale świetnie nastrojony instrument nie był jej posłuszny. W końcu zatrzasnęła wieko. Może już nigdy nie będzie grać. Może już nigdy nie będzie w stanie robić wielu rzeczy. W obecnej chwili musiała przede wszystkim dbać o swoje zdrowie, żeby dokonać własnego małego cudu: dać życie nowej istocie.

Susan poklepała się po brzuszku, ubawiona przebiegającymi przez niego lekkimi skurczami, powodującymi, że palce jej podskakiwały. Zastanawiała się, czy urodzi chłopczyka czy dziewczynkę? Nie miało to zresztą większego znaczenia: i tak będzie kochać swoje dziecko. A ono ją, bez względu na wszystko.

Miała ochotę na spacer po werandzie. Zauważyła wcześniej, że odgarnięto z niej śnieg, nie ma więc obawy, żeby się poślizgnęła i przewróciła. Zanim porzuciła ten zamiar i zagłębiła się ponownie w wygodnym fotelu, zdążyła jeszcze narzucić na siebie obszerną kurtkę i przykryć złote włosy ciepłą czapką.

– Susy, dokąd się wybierasz? – spytała z niepokojem Maggie, obserwując, jak siostra niezdarnie schodzi ze schodów.

– Potrzebuję świeżego powietrza. Pomyślałam, że przejdę się tam i z powrotem po werandzie.

– Poczekaj, pójdę z tobą. Nie chcę, żebyś się wywaliła. Zawsze może się trafić jakaś smużka lodu.

– Jestem ubrana, więc zaczekam na dworzu. – Susan czuła, że pot wystąpił jej na czoło.

Maggie przyłączyła się do siostry i obie zaczęły przechadzać się ramię przy ramieniu.

– Ciekawam, ile dziś stopni? – powiedziała Susan. – Pamiętasz, jak osłaniałyśmy buzię rękami i wydmuchiwałyśmy kłęby pary? Nazywałyśmy to „smoczy dech”!

– Pamiętam. Chyba nie zapomniałam niczego, co wydarzyło się w dzieciństwie. Poddałam się psychoanalizie i niektóre moje wspomnienia takie zrobiły wrażenie na psychoanalityku, że odwołał moje wizyty do czasu, aż się z tego otrząśnie. Nigdy się już u niego nie zjawiłam. Nauczyłam się, że przede wszystkim muszę liczyć na siebie, a jeśli koniecznie potrzeba mi czyjejś pomocy na najtrudniejszym odcinku drogi, powinnam się zwrócić do fachowca z prawdziwego zdarzenia. A ty, jak sobie radzisz z trudnymi zakrętami?

– Właśnie myślałam, siedząc na górze, że niedługo będę musiała postanowić o moim życiu. Trzeba będzie znaleźć mieszkanie i pracę. Zrobiłam straszne głupstwo, Maggie. Zanim tu przyjechałam, nie podjęłam pieniędzy z naszego banku. Nic mi nie zostało oprócz funduszu powierniczego, który mama tutaj dla mnie ustanowiła.

– Na litość boską, Susy, to dlatego chodziłaś ponura jak noc? Wystarczy mi pieniędzy dla nas obu! Zupełnie nie powinnaś się tym martwić! Możesz zostać tu na zawsze, jeśli tylko chcesz. Ogromnie się cieszę, że jesteś ze mną. Nie mogę się doczekać tego twojego dzieciaka! Jutro podejmę trochę forsy. Może nawet dzisiaj.

– Maggie, nie mogę... to nie jest w porządku...

– W absolutnym porządku! I nie waz się zwracać pieniędzy! Cieszę się, że ci mogę pomóc. Co moje, to twoje. To twój dom. Tata powiedział, że powinno tu zawsze świecić słońce. Nie chcę nawet słyszeć o twoim wyjeździe! Słuchaj! Jerome mógł opróżnić wszystkie konta, ale ty możesz zastrzec, żeby żadnych pieniędzy z firmy Colemanów nie przesyłano już do Anglii. Będą gromadzić się tutaj, na

twoim rachunku bankowym, który ci otworzymy. To nie koniec świata! Twoje dziecko będzie dobrze zabezpieczone na przyszłość. O to się przede wszystkim martwiłaś, prawda?

Susan przytaknęła ze smutną miną.

– Obawiałam się, że będzie ono żebrakiem uzależnionym od twojej hojności.

– Boże wielki, Susy, dlaczego nic nie mówiłaś?! Już dawno mogliśmy rozsądnie o tym pogadać. Nie chciałam wtrącać się w twoje sprawy, bo zawsze zamykałaś się w sobie. Często wieczorem podchodziłam po drzwi twój ego pokoju, a potem wykręcałam się na pięcie i wracałam do siebie, bo myślałam, że nie chcesz, żeby ci przeszkadzać.

– A ja sądziłam, że jesteś zbyt zajęta Randem, chłopcami i wszystkim innym. Nie chciałam być dla ciebie dodatkowym ciężarem.

– Susan otarła oczy i pociągnęła nosem. – Czułam się taka samotna...

– Ale nie jesteś samotna, więc przestań tak uważać. Obie popełniłyśmy omyłkę. To wada Colemanów. Zawsze zwlekamy z omówieniem ważnych spraw, aż robi się za późno. Gdybyśmy się nie zgadały dziś po południu, wyjechałabyś z Sunbndge, a ja nie mogłabym pojąć, czym cię stąd wypłoszyła. Wróćmy teraz do domu i pogadajmy za wszystkie czasy! Muszę wiele zrzucić z serca, i ty chyba też.

– Co z Randem?

– A co ma być? Jesteś dla mnie bardzo ważna, Susy. Rand znajdzie sobie coś do roboty, gdy my będziemy paplać jak najęte. Zawsze tak było. Boże, gadałyśmy godzinami! Napijemy się herbaty i zjemy ciasto, tylko we dwie! – Maggie dosłownie wiała się ze wstydu pod pełnym wdzięczności spojrzeniem Susan. Jak mogła być tak nieczuła na strapienia swojej siostry? Ale teraz wszystko się zmieni.

Minęło wiele czasu, zanim obie, trzymając się za ręce, zeszły na obiad. U podnóża schodów stał Rand. Jaki on przystojny! – pomyślała

Susan. Teraz dostrzegła w nim coś, na co nigdy dotąd nie zwróciła uwagi: pewność siebie i siła, która wprost z niego promieniowała. To spostrzeżenie wydało się Susan niemądre i uśmiechnęła się. Rand nie zauważył tego. Widział tylko Maggie. Susan lekko uściśnięła dłoń siostry na znak, że aprobuje ich związek. Niech będą razem szczęśliwi, jeśli oboje tego pragną. Maggie odpowiedziała mocnym uściskiem. Susan pojęła, że wszystko będzie dobrze: Maggie panuje nad sytuacją.

Rand dostrzegł nieuchwytną zmianą w zachowaniu się Susan i uśmiechnął się ciepło.

– Umieram z głodu – powiedział – ale wyznam, że warto było na panie zaczekać! Obie wyglądacie prześlicznie.

– Dobrze o tym wiemy uśmiechnęła się Maggie. – Czy wolno i mnie wyznać, że wygląda pan oszłamiająco?

– Proszę bardzo.

Był to cudowny obiad. Riley i Cole rozgadali się, gdy rozmowa zesłała na hokej na lodzie. Maggie była zdumiona, jak świetnie jej syn zna się na tym niebezpiecznym sporcie. Nie wiedziała, że w swojej dawnej szkole był bramkarzem.

Potem chłopcy wrócili do swoich pokoi, by się uczyć, a pozostała trójka popijała kawę przy kominku. Rand opowiadał Maggie o początkach pobytu Susan w Anglii. Był to jeden z najmiłszych wieczorów w życiu Maggie.

Minęła już dziesiąta, gdy Susan pożegnała się, przyznając, że oczy same się jej zamykają. W tejże chwili zadzwonił telefon. Kiedy Maggie podeszła, by go odebrać, Amelia i Cary otworzyli drzwi wejściowe, wpuszczając podmuch mroźnego powietrza. Susan powiedziała wszystkim „dobranoc” i była już w połowie schodów, gdy zauważyła zmianę w głosie Maggie.

Rand przestraszył się widząc, że wszystka krew odpłynęła z twarzy Maggie. Ścisnęła słuchawkę tak kurczowo, że kostki rąk wydawały się

przezroczyste.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś, mamó. Ja... co robić... ja... tak, oczywiście... To nieprawdopodobne... będę... Zadzwonię do ciebie jutro. Nie, nic nie mów.

Głos Amelii zabrzmiał jak przenikliwy pisk.

– Co się stało? Czy coś z Thadem? Na litość boską Maggie, o co chodzi?! Susan zawtórowała jak echo Amelii:

– Czy coś się stało mamie? Maggie!!

Maggie odwróciła się twarzą do niewielkiej grupki. Nie mogła opanować drżenia. Rand podskoczył i objął ją ramionami. Wspierała się na nim z ulgą.

– Ja... nie wiem jak... jak powiedzieć, że... Sawyer ma guz mózgu nie nadający się do zoperowania. – Zapadła cisza. Oczy Maggie napęły się łzami. – Sawyer jest nadal w szpitalu. Wzywają inny zespół neurochirurgów. – W nagłym poczuciu winy Maggie odsunęła się od Randa i podeszła do barku. Schwyciła kurczowo butelkę z dżinem. – Chciałam pojechać, kiedy dowiedziałam się od mamy, że Sawyer leży w szpitalu, ale kiedy ona... kiedy stąd wyjeżdżała, powiedziała mi, że nigdy... nigdy nie chce mnie już widzieć.

Na widok Susan chwytającej się za brzuch Maggie opanowała się.

– Musi znaleźć się jakaś rada! Na razie nie mam pojęcia, jaka, ale na pewno się znajdzie. Susan, idź do łóżka. Potrzebujesz wypoczynku. Wszyscy przeżyliśmy szok, więc lepiej poczekać do jutra, nim zaczniemy o tym mówić.

– Masz rację przytaknęła Amelia ujmując dłoń Cary’ego. – Moim zdaniem wszyscy lekarze to szarlatani. Pewnie postawili fałszywą diagnozę i przekonamy się... Choć Billie nie zadzwoniłaby, gdyby... Dobranoc wszystkim – powiedziała bardzo cicho.

Maggie usiadła na kozetce naprzeciwko Randa. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie.

– Chyba wiem, o czym myślisz – powiedziała łagodnie Maggie.

– A ja wiem, o czym ty odparł Rand tym samym tonem. – Za późno.

– Musimy spróbować, Maggie! Boże, jakimi bylibyśmy potworami, gdybyśmy nie spróbowali...

– Nie twierdzę, że tego nie chcę. Ale Sawyer nie pozwoli nam zmasać naszej winy. Właśnie tak. Litość jest odrażająca. Nigdy nie udałabym się do Sawyer z litości! Przejrzałaby mnie na wylot!

– Jest samotna – powiedział Rand zdławionym głosem. – Musi przez to przejść zupełnie sama.

– Nie jest sama. Mama będzie z nią przez cały czas. A Sawyer mieszka u swego dawnego kolegi. Adam kochał ją od czasu, gdy oboje byli jeszcze dziećmi. Randzie, czuję się taka bezradna... Nie potrafię nawet pocieszyć ciebie, a ty nie możesz pocieszyć mnie.

– Maggie, kocham cię. To przecież....

– Wszystko zmienia? Zdaję sobie z tego sprawę. Muszę to przemyśleć, Randzie. Idę na górę. Trzeba powiedzieć chłopcom, ale chyba zaczekam z tym do jutra.

– Maggie! – Tak?

– Czy twój a matka powiedziała... jak długo Sawyer... ?

– Może rok. Nie są tego pewni... może krócej? Doktorzy nie lubią ściśle określać... Nie chcą wydawać żadnych konkretnych... Rok. Cholera, jeden parszywy rok!

Maggie zamknęła drzwi na zasuwę. Jej długie palce mierzwiły włosy. Czowała, że świerzbi ją całe ciało. Nie płakała już. Czy w ogóle płakała? Nie mogła sobie przypomnieć. Zaczęła grzebać w szufladzie szukając papierosów. Zapaliła jednego, puściła dwa dymki, zgmiotła i natychmiast zapaliła następnego. Miotła się po pokoju z papierosem w zębach.

Kiedy była młodsza, gdy żył jeszcze tata, modliła się do Boga, żeby

Sawyer umarła. Wspomnienie to było tak żywe, że musiała pobiec do łazienki i zwymiotowała cały obiad. Ręce jej tak drżały, że ledwie zdołała umyć zęby. Boże, ja przecież tego nie chciałam! – Wiedziała jednak, że to kłamstwo.

Padła na kolana, oparła głowę o brzeg wanny.

– Boże, potrzebuję Twojej pomocy. Błagam Cię, powiedz mi, co mam uczynić! – modliła się.

Po długim czasie Maggie zmusiła się do opuszczenia łazienki. Sprawdziła w nowojorskiej informacji numer telefonu Adama, a potem zadzwoniła do niego, nie zastanawiając się, która to godzina. Z pewnością ani Adam, ani mama nie spali. Czy ktoś z nich zdoła jeszcze kiedykolwiek zasnąć?

– Mamo! Pomóż mi!

– Maggie, chciałabym, ale nie potrafię. Musisz sama się z tym uporać. Chyba nadal jestem w szoku. Adam też. – Umilkła na chwilę. – Adam się modli. Ja też próbowałam. Sądzę, że i ty to robisz.

– Tak, ale wydaje mi się, że Bóg mnie nie słyszy. Tak po prostu, bez żadnego ostrzeżenia... Nie mogę się z tym pogodzić!

– To nie całkiem tak. Sawyer już od kilku lat cierpiała na migreny: to był początek. – Billie wyliczała przypadłości, o których powiedział jej Adam. Nie należy wyciągać pochopnych wniosków, Maggie. Doktorzy sądzą, że guz nie jest złośliwy, ale znajduje się w centralnej części mózgu, na której prawie nigdy nie dokonuje się operacji. Mówiłam ci, że inny zespół neurochirurgów ma jeszcze przebadać Sawyer. Będziemy mieli pełniejszy obraz sytuacji. Połóż się, Maggie, i postaraj odpocząć.

– Mamo, jak sobie poradziłaś po śmierci Riley'a?

– Jakoś przetrwałam dzień po dniu. Słuchaj, Maggie! Sawyer nie umarła. Jest nadal żywa. Nie zapominaj o tym. Ma jeszcze szansę.

Była trzecia rano, gdy Maggie zeszła z poddasza z tekturowym pudłem w rękach. Jej stare pamiętniki. Dzienniki, jak zawsze nazywała je mama. Małe, oprawne w skórę książeczki, a w nich pięć lat jej życia. Z szafy wydobyła pudło z falistej tektury, przywiezione z Nowego Jorku. Znajdowały się w nim dzienniki jednoroczne, zawierające jeszcze więcej szczegółów jej życia. Tylko wtedy gdy pisała te notatki, była całkowicie szczerą.

Życie Maggie Coleman Tanner. W dwóch tekturowych pudłach. Trzeba nie lada odwagi, by to przeczytać. Pierwszy dzienniczek zaczynał się w dniu jej ósmych urodzin. Uśmiechnęła się na widok dziecięcych gryzmołów. Przypominała sobie, jak wysłała Sawyer pamiętnik na jej dziesiąte urodziny: piękny, oprawiony w skórę dziennik z jej inicjałami wytłoczonymi na okładce i połączanymi.

Maggie ułożyła dzienniki we właściwej kolejności. Patrzyła na nie długo. Ludzkie życie nie powinno tak wyglądać. Potrząsnęła głową i zeszła na dół zaparzyć kawy. Zniosła na górę maszynkę i świeżą paczkę papierosów. Na koniec umieściła na drzwiach kartkę, informując wszystkich, że śpi i prosi, by jej nie budzić. Następnie zamknęła drzwi na zasuwę i zasiadła do czytania.

Życie Maggie wybuchało przed nią jak bomba po bombie, na każdej stronie nowa eksplozja.

Rozdział piąty

Kiedy Maggie usłyszała odgłos zamykających się drzwi garażu, wzięła się w garść. Podzielenie się z Rileyem Cole'em wiadomością o stanie Sawyer wydało jej się najtrudniejszym chyba zadaniem, jakie stanęło przed nią w życiu. Wiedziała, że Riley będzie się starał opanować. Nie mogła sobie jednak przewidzieć reakcji Cole'a. Postanowiła poczekać, aż obaj chłopcy wejdą na górę, i porozmawiać z nimi w ich pokój ach – a może lepiej byłoby zawołać ich do gabinetu?...

– Poczekać, aż pójdą do siebie – powiedziała głośno, zaciskając bezwładnie dłonie.

Rand obserwował, jak niespokojnie krążyła po gabinecie. Wiedział, że jest zupełnie wyczerpana, przyznała mu się bowiem, jak spędziła noc i rano. Oczywiście miała wpadnięte i podkrążone, twarz bladą i ściągniętą. Było w niej jednak piękno i wewnętrzna siła, która broniła jej przed załamaniem i pozwoliła znieść to, co zwiastował wczorajszy telefon. Rand podzielał jej ból, pragnął ją pocieszyć, ale sam tak bardzo cierpiał, że nie był zdolny do żadnego wysiłku.

– Gdyby to ode mnie zależało, wolałbym powiedzieć im o tym w cztery oczy, każdemu z osobna zauważył cicho. W chwilę później obserwował ją, jak wchodziła na piętro.

Głosy dolatujące z korytarza obok kuchni zmusiły go do odwrócenia się. Szła stamtąd Amelia, a za nią Susan. Obie miały w ręku filiżanki z herbatą. Rand pomyślał, że jeszcze jedna herbata chyba by go wykończyła. Powitał obie kobiety całując je w policzek, a następnie nalał sobie potrójną porcję szkockiej.

– Nie mogłam wysiedzieć w moim domu ani minuty dłużej – powiedziała Amelia. – Nic mi dzisiaj nie szło. Myślałam, że wyjdę z siebie! Dziewięć razy próbowałam dodzwonić się do Cary'ego, ale był na terenie budowy i nieuchwytny. A tak bardzo potrzebna mi była

rozmowa z nim! – mówiła Amelia załamującym się głosem. – Muszę zadzwonić do Billie. Może powinnam pojechać do Nowego Jorku? Sawyer chyba by zrozumiała, że chcę odciążyć Billie... Ale nie jestem już pewna... Nie wiem, jak... Na litość boską, co robić?! Polecieć tam, oferując... co? Współczucie? Litość?

– Myślę, że powinnaś zrobić to, co uważasz za słuszne – powiedział Rand, wpatrując się w bursztynowy płyn w swoim kieliszku.

– A co ty zamierzasz robić? – dopytywała się Amelia. – Jaką zająć postawę w obecnej sytuacji?

– Będę działał bardzo ostrożnie. Bez pośpiechu. Zrozum, postąpiłem słusznie i nie z błahego powodu. Obie musicie się z moją decyzją pogodzić. Gdy zerwałem z Sawyer, nie było w moim życiu Maggie. Bardzo mi przykro, że wszyscy opowiedzieliście się po przeciwnej stronie. Jestem w waszych oczach wszystkiemu winien. Dałbym sobie odciąć prawą rękę, gdyby to pomogło Sawyer!

Amelia ze znużeniem przechyliła głowę na oparcie.

– Wiem, Randzie. Pod wieloma względami Sawyer otrzymała więcej niż inni, ale brakowało jej tego, co się naprawdę liczy. Nie wiem, czy pomoc Billie jest w obecnej sytuacji najbardziej pożądana. To nie ona powinna się nią zajmować! – zauważyła Amelią gniewnie. – To obowiązek Maggie!

– Sawyer miała zostać chrzestną matką mojego dziecka – powiedziała Susan przez łzy.

– Co to znaczy „miała”? – spytała Amelia. – Jeszcze nie umarła, uświadom to sobie! Oczywiście, że zostanie chrzestną matką, jeśli będzie tego chciała. Jak możesz nawet myśleć o wybraniu kogoś innego?!

– To był taki szok... Nie jestem w stanie tego pojąć... – odparła cichutko Susan. – I jeszcze jedno, Susan: przestań uzalać się nad sobą! Inne kobiety też rodzą dzieci! Inne kobiety też zostają same! Postaraj

się stawić czoło sytuacji! Dorośnij wreszcie!

– Czy nie jesteś dla niej zbyt surowa? – spytał Rand, szeroko otwierając oczy.

– Uważaj, żebym tobie czegoś nie powiedziała! Złość mnie bierze na was wszystkich! Uginasz się pod ciężarem winy i nie wiesz, co począć. Co zrobiłeś, to zrobiłeś, przepadło! Teraz spójrz prawdzie w oczy i przyhamuj z wyrzutami sumienia! Zrób to, co będzie najlepsze dla Sawyer. A dla niej będzie najlepiej, jak cię tu nie zastanie, gdy urodzi się dziecko Susan. Wróć do Anglii.

– Nie jestem już nastolatkiem, któremu mogłaś rozkazywać. Dlaczego miałbym wracać do Anglii? Co się stało, to się nie odstanie. Zrobię wszystko, co tylko będzie w mojej mocy, żeby zapewnić Maggie o mojej miłości. Jeżeli będzie to wymagało pozostania tutaj, to zostanę. Wszyscy musimy jakoś pogodzić się z istniejącą sytuacją. Przykro mi, że tak do tego podchodzisz, mamó.

Amelia poczuła w oczach piekące łzy.

– Sawyer będzie potrzebowała teraz czegoś więcej niż dotychczas: ciepła i czułości kochającego ją człowieka. Że też musiałaś tak się pospieszyć! Mogłaś zawiesić swoje życie na kołku na jeden rok i wspierać Sawyer w ciężkiej próbie, która ją czeka. Ta twoja zdrada, to afiszowanie się związkiem z Maggie! Pomyśl, co Sawyer musiała przeżywać, jak się musiała czuć!

– Nie ma ani jednego dnia, żebym o tym nie myślał; nikt nie pozwala mi o tym zapomnieć! Ale i tak nie postąpiłbym inaczej. Nie kocham Sawyer. Czy pozostałabyś z Carym, gdyby cię nie kochał?

Amelia drgnęła.

– Oczywiście, żenię! – krzyknęła.

– Susan, a ty zostałabyś z kimś, kto by cię nie kochał? Susan pociągnęła nosem.

– To doprawdy dziwne pytanie! Znalazłam się tu przecież z tego

powodu! Lepiej nie mówmy już nic więcej. Jesteśmy wszyscy spięci i może nam się wymknąć coś, czego będziemy potem żałować. Gdzie jest Maggie?

– Poszła na górę zawiadomić chłopców.. Gdybym mógł ją w tym wyręczyć, zrobiłbym to. Ona naprawdę cierpi, mamó. Widziałaś ją podczas lunchu, prawda Susan?

– Tak. Chciało mi się płakać, ale to nic by jej nie pomogło. Pomówimy w odpowiednim czasie o Maggie. A teraz chyba pójdę do swojego pokoju i obejrzę wiadomości telewizyjne. Najwyższy czas, żebym zorientowała się, co się dzieje na świecie. Do zobaczenia przy obiedzie.

– Powiedz, co cię naprawdę niepokoi, mamó. Amelia westchnęła.

– Nie tylko Sawyer, również Cary. Już mówiłam, że dzwoniłam do niego dziewięć razy, a on nie odpowiedział na moje telefony. Nosi pager i ma przenośny telefon w samochodzie. – Amelia spojrzała na syna z buntem w oczach. – Nie wyobrażaj sobie, że wydzwaniam i przeszkadzam mu tylko po to, żeby usłyszeć jego głos! Staram się nie zawracać mu głowy. Ale dziś był mi naprawdę potrzebny.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przypuszczam, że Eileen nie powiadomiła go o moich telefonach. – Chyba nie masz racji, mamó. Gdyby rzeczywiście miała taki zamiar, musiałaby uświadamiać sobie, że wspomnisz o tym Cary’emu wieczorem i spytasz go, co się stało. Co by jej z tego przyszło?

– Odebrałyby mi męża. A może jednego z pozostałych inwestorów. Robiła też do ciebie słodkie oczy na Boże Narodzenie. Czy byłeś z nią w kontakcie?

– Zatelefonowała do mnie któregoś dnia i zaprosiła mnie na obiad, ale się wykręciłem. Nie ma w moim życiu miejsca dla Eileen Farrell.

– W moim też! – zawołała gwałtownie Amelia. – Boże, jaka ona młoda! I Sawyer jest taka młoda! Przepraszam, Randzie. Miałam

fatalny dzień. Chyba pójdę na górę i wezmę gorącą kąpiel. Jeżeli nie zejść o siódmej, sprawdź, czy się nie utopiłam.

– Zrobione. Chcesz wieczorną gazetę?

– Nie, dziękuję. Mam dosyć własnych problemów, nie muszę brać na barki światowych. Odpręż się, Randzie, i nie pozwól, żeby to wszystko doprowadziło cię do zrobienia jakiegoś głupstwa.

– Zapamiętam twoje rady. – Rand nalał sobie następnego drinka. Potem usiadł wygodnie z oczyma utkwionymi w schody, czekając na powrót Maggie.

Obaj chłopcy patrzyli na Maggie z niedowierzaniem.

– Czy chcecie mnie o coś zapytać? Pewnie nie zdołam na wszystko odpowiedzieć, ale zadzwonię do mojej mamy i dowiem się.

– To niesprawiedliwe! – zawołał Riley ze łzami w oczach.

– Tak, to zupełnie niesprawiedliwe. Każdy z nas powinien mieć prawo do całego, długiego życia.

– Możemy do niej zadzwonić? – spytał Riley załamującym się głosem.

– Oczywiście, ale odczekałabym jakiś tydzień. Czy nie lepiej, żebyś najpierw napisał? Odpowiadasz za treść tego listu, więc musisz być bardzo ostrożny.

– Postaram się. Chcę także napisać do mojego dziadka. On bardzo lubi Sawyer. Przepraszam, ciociu Maggie.

Maggie została sama ze swym synem. Gdy oznajmiła mu o losie Sawyer, na jego twarzy nie odbiły się żadne uczucia. Teraz także nie malował się na niej żaden wyraz.

– Cole, ja... żałuję, że to właśnie ode mnie musiałeś się o tym dowiedzieć. Wiem, jak bardzo pokochałeś Sawyer. Bardzo mi przykro.

– Przykro ci, matko? Trudno mi w to uwierzyć. Nigdy nie mogłaś znieść Sawyer. Dlaczego miałoby ci być teraz przykro? Nie masz

zamiaru zatańczyć na jej grobie, gdy ją przyklepią ziemią?

Ręka Maggie sama wystrzeliła do przodu. Widząc czerwony ślad na twarzy chłopca, nie poczuła wyrzutów sumienia. Cole cofnął się o krok.

– Spełnią się wszystkie twoje marzenia: będziecie mogli żyć z Randem długo i szczęśliwie. Babcia przestanie matkować Sawyer, zajmie się tylko tobą i Susan. Będziesz jak królowa pszczoł, wielka pani na Sunbridge! Ale jej cień będzie cię straszyć, najdroższa mateńko, aż do końca. Spieprzyłaś wszystko! – zakończył brutalnie.

Ręka Maggie wystrzeliła po raz drugi.

– Jeśli jeszcze kiedykolwiek, zapamiętaj sobie, kiedykolwiek odważysz się odezwać do mnie w ten sposób, pożałujesz tego. Tutaj nie używa się takich słów. Nie zapomnij o tym! A teraz radzę ci, żebyś spokojnie usiadł i pomyślał o najbliższych dwunastu miesiącach i o tym, jak możesz w ciągu tego roku dopomóc swojej siostrze. Obiad o siódmej.

– Nie jestem głodny. – Cole trzymał się za policzek.

– Nic mnie to nie obchodzi, czy jesteś głodny czy nie. Masz być przy stole i zachowywać się przyzwoicie. Jeżeli tak nie będzie, dostaniesz kolejną porcję, tyle że następnym razem nie pożałuję ręki. Rozumiemy się?

– W zupełności – odparł szyderczym tonem.

Wyszędzszy na korytarz Maggie oparła się o ścianę. Dygotała całym ciałem i musiała przycisnąć rękoma rozszalałe serce. Nie wolno jej płakać! Nie wolno jej teraz tracić panowania nad sobą.

Gdy stała, próbując odzyskać panowanie nad sobą, zanim zejdzie na dół, wzrok jej przyciągnęła oślepiająca biel za oknem. Spojrzała na zasypany śniegiem dziedzińiec, gdzie tylko wzrok sięgał. Tak krótko była tu szczęśliwa! Serce mówiło jej, że szczęście to nigdy już nie powróci. Telefon od mamy zmienił wszystko. A może raczej

godziny spędzone na czytaniu dzienników i badaniu swej duszy? Czym była ta ulotna zjawia, zwana szczęściem? Czy istniała naprawdę? Czy szczęściem było budzenie się z uśmiechem w domu, który się kochało, i gotowość do wzięcia się ze światem za bary? Czy szczęściem były drobne okruchy czasu, krótkie chwile, powodujące gwałtowny przypływ adrenaliny? Czy szczęście pochodziło z własnego wnętrza czy z zewnątrz? Czy polegało na odizolowaniu się od wszystkiego, żeby niczego już nie odczuwać? Maggie potrząsnęła głową. Jeżeli niczego sienie czuje, jest się co prawda wolnym od bólu, ale nie wie się również, co to szczęście. Jedno się z drugim łączy.

Łzy płynęły po policzkach Maggie, gdy schodziła na dół. Nie starała się ich obetrzeć. Niech je cały świat widzi, co jato obchodzi? Feniks wstał z popiołów: ona też tego dokona! Będzie walczyć.

Cole Tenner stał na środku swojego pokoju. Czuł zamęt w głowie. Powinien coś zrobić. Walić w ściany, tupać, wrzeszczeć z gniewu! Wetknął drżące dłonie w kieszenie dżinsów.

Sawyer niedługo umrze.

Nie Maggie, nie ojciec, nie ciotki ani Riley, tylko właśnie Sawyer. Jak to możliwe? Była taka zdrowa, zawsze brała witaminy i gimnastykowała się. Harowała razem z nim tego lata w stajni. Jeśli ktoś jest chory, to nie jest zdolny do takiego wysiłku! Była w świetnej formie w Nowym Jorku. Opychała się tak samo jak cała reszta, łąziła godzinami i wcale nie wyglądała na zmęczoną. Śmiała się i tak dobrze bawiła. Wiedział, że można wszystkiego tego dokonać nawet ze złamanym sercem, ale kiedy się jest chorym, trzeba zwolnić tempo. Nikt się nie śmieje, kiedy jest chory. Nie Sawyer! Każdy, byle nie Sawyer!

Znowu zostanie sam.

Ogarnął go gniew. To nie było sprawiedliwe! Ani w stosunku do

Sawyer, ani do niego samego. Nie obchodzili go inni: matka, babka czy ojciec. Co oni wiedzieli o samotności, o tym, jak to jest, gdy sienie ma własnego miejsca w życiu?

Nie zamierzał stosować się do rad matki. Sięgnął po telefon i zadzwonił do Adama Jarvisa. Usłyszał jego głos, taki sam jak dawniej, tylko jakimś cudem silniejszy.

– Mogę mówić z Sawyer?

– Wyszła na spacer ze swoją babcią. Nie jestem pewien, kiedy wróca. Na razie ma się dobrze, Cole. Usiłuje się jakoś pozbierać. Zna diagnozę lekarzy, ale nie całkiem w nią wierzy. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Chyba tak. Chcę, żeby wiedziała, że może na mnie liczyć, gdybym jej był potrzebny. Postaram się wyjechać stąd w przyszłym semestrze i przenieść się do Nowego Jorku. Mój ojciec się na to zgodził. Matka się wścieknie, ale nic mnie to nie obchodzi.

– Sawyer wie, że może na ciebie liczyć, Cole. Ale chyba musi nauczyć się polegać na samej sobie. Powiem jej, że telefonowałaś i przekażę wiadomość od ciebie. Nie bądź urażony czy zdziwiony, jeżeli nie zadzwoni od razu. I wiesz co, Cole?

– Co?

– Zaopiekuję się nią. Możesz mi zaufać.

– Cholera, wiem przecież! Powiedz jej... powiedz jej, że... O, cholera jasna!

– Dzieciaku, nie tak trudno powiedzieć „kocham”. Wyduś to z siebie i nie obawiaj się tego słowa. Powiem jej to w twoim imieniu.

– Nie, nie rób tego. Sam jej to powiem, kiedy się do mnie odezwie. Tylko powiedz, że dzwoniłem.

– Cole, powiedz, jak Riley zareagował na tę wiadomość?

– Zbiło go to z nóg. On też ją kocha. Powiedział, że pójdzie do siebie i napisze do swojego dziadka. Chyba Sawyer i jego dziadek

bardzo się lubili. Sawyer przyjaźniła się też z jego matką.

– A Maggie?

Ton Cole'a był zimny, a głos tak mu się łamał, że Adamowi wydawało się, że chrząści jak naprężona linijka.

– Rzeczowa jak zawsze. Obiad o siódmej. Nic nie powinno zakłócić ustalonego porządku dnia. Jeśli chcesz wiedzieć, czy się tym przejęła, nie umiem ci odpowiedzieć.

Adam zawahał się.

– A Rand?

– Flegmatyczny angol. Może tylko coś w oczach. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że się czuje podle. I dobrze mu tak! Dlaczego skrzywdził Sawyer?!

– Nie szafuj oskarżeniami, Cole. Ludzie postępuj atak, jak muszą, nawet jeśli nie rozumiemy pobudek ich czynów. Nie powinieneś go nienawidzić. Sawyer też nie czuje do niego nienawiści. Uważaj na siebie. Powiem Sawyer, że dzwoniłeś.

– Odezwij się do mnie, Adamie, nawet jeśli Sawyer nie zadzwoni. Obiecuj mi!

– Obiecuję, dzieciaku. Nie łam się.

Riley otworzył drzwi, usłyszawszy stukanie. Był zdumiony widząc Cole'a stojącego na progu.

– Właż! – Nie starał się obetrzeć łez płynących mu po policzkach. Obaj chłopcy przyglądali się sobie nawzajem.

– Nic mnie to nie obchodzi, że widzisz, jak płacę. Możesz wszystkim rozgadać, jeśli chcesz powiedział wyzywająco Riley. – Masz i podał kuzynowi zbitą kulkę papieru toaletowego.

– Komu miałbym rozgadać? To moja siostra. Jedyne człowiek, któremu na mnie zależało. – Cole przełknął łzy. – Nie mogę tego zrozumieć, dlaczego wcale nie wydawała mi się chora. Tak fajnie

bawiliśmy się w Nowym Jorku! A teraz umiera. Nic nie rozumiem!

– Tego nie można zrozumieć. Rozmawiałem z moją mamą na kwadrans przed jej śmiercią. Czuję się tak samo jak ty. Ja też nie mam nikogo, oprócz dziadka, a on jest bardzo stary. A tutaj w Stanach tylko rodzinę Colemanów. Myślałem o powrocie do Japonii. Powinieneś się z tego cieszyć.

– W końcu rozumiałeś, że nie ma tu dla ciebie miejsca – powiedział chłodno Cole. – Najwyższy czas.

– Wcale nie dlatego. Nigdy bym nie pozwolił, żebyś wygonił mnie stąd! – A ja nigdy nie zostałbym tam, gdzie by mnie nie chcieli.

– Nie obchodzi mnie, co ci się podoba, a co nie. Jeżeli zdecyduję się wrócić do domu – stwierdził Riley z wyzwaniem w głosie – to na pewno nie z twojego powodu.

– Nie przyszedłem o tym dyskutować. Chcę porozmawiać o Sawyer. Szkoła kończy się w ostatnich dniach maja. Pomyślałem, że może chciałaby pojechać na wycieczkę albo urządzić sobie wakacje. Moglibyśmy spędzić razem całe lato. Nie wiem nic, co prawda, o guzach mózgu ani, jak ona się będzie czuła i w ogóle. A ty coś wiesz?

– Nie. Ale możemy zapytać lekarza. I twoja matka pewnie będzie wiedziała.

– Nie mam zamiaru o nic pytać mojej matki. Adam będzie wiedział. On też pewnie zechce pojechać z nami. Będzie tak jak w święta. Możemy wszystko obmyślić i potem zrobimy niespodziankę jej i Adamowi.

– Komu to ma pomóc? Im czy nam?

– Nam, głupku. Sawyer już nic nie może pomóc. Będziemy ją tylko trochę podtrzymywać. Ale musimy mieć sporo forsy. Ile masz?

– W banku czy przy sobie?

– Kompletny debil. W banku. Będzie nam potrzebna forsa na bilety i na wynajęcie jakiejś kwatery. Nigdy nie byłem na Hawajach. A ty?

– Miałem tam tylko przesiadkę podczas podróży do Japonii. Chyba zostało mi w banku jakieś trzy tysiące trzysta, może mniej. Nie znam aktualnego stanu konta: bardzo dużo podjąłem przed świętami. Mogę poprosić o pieniądze mojego dziadka, jeśli mi powiesz, ile nam będzie trzeba. A ty ile masz?

– Kpisz, czy co? Mam pięćdziesiąt sześć dolarów i znikąd nie wydobanę ani grosza więcej. Od ciebie tylko zależy, czy z tym ruszamy.

– Wiedziałem, że musisz czegoś ode mnie chcieć, jeśli tu przyszedłeś. Piszę właśnie do dziadka. O ile mam poprosić?

Cole siadł przy biurku Riley'a i wyjął kalkulator.

– Widziałem w telewizji reklamę lotów na Hawaje. Mówili, że bilet kosztuje pięćset dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów, wobec tego dla nas czworga potrzeba ponad dwa tysiące. Może uda nam się wynająć ładny domek. To nie będzie szczyt sezonu na Hawajach, więc powiedzmy półtora tysiąca dolarów za tydzień. Jeśli zostaniemy miesiąc, to wypadnie sześć tysięcy. Musimy mieć na życie, zwiedzanie i wycieczki na inne wyspy. Powiedzmy, razem ponad dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Moja matka da mi trochę forsy i może coś wyciągnę ze starego. Chyba niewiele, więc lepiej na to nie liczyć. – Cole spojrzął z niepokojem na kuzyna. – Myślisz, że twój dziadek przyśle pieniądze?

– Kiedy powiem Staremu Panu, na co są przeznaczone, nie będzie miał żadnych zastrzeżeń. Ale jeśli nam nie starczy?

– Więc poproś o trochę więcej. Jeżeli ich nie wydamy, to mu je zwrócisz. Słuchaj, bardzo mi przykro, że się nie dokładam, ale nie mogę ruszyć mego funduszu powierniczego, dopóki nie skończę dwudziestu jeden lat. Wiesz, jak trudno rai wyciągnąć forszę od matki. Jak nie chcesz tego ciągnąć, wal od razu.

– Myślę, że to dobry pomysł. Powinien spodobać się Sawyer. Adam będzie rad, że zajmiemy się wszystkimi detalami. Forsa nie stanowi

problemu. Chodzi o to, czy ty wytrzymasz ze mną a ja z tobą.

– Umówimy się, że ja nie będę wchodził w drogę tobie, a ty mnie. Udało nam się to podczas świąt, uda się i teraz.

– W porządku. Niech ci będzie. – Riley westchnął. – Może kiedyś dowiem się, co masz właściwie przeciwko mnie. Przyjechałem w nadziei, że się zaprzyjaźnimy.

Cole prychnął.

– Już to widzę!

– Dobra. A teraz, jak ci ulżyło, możesz zmiatać do swojego pokoju. I zachowuj się jak mężczyzna, a nie szesnastolatek, który wstydzi się płakać. Kiedy dostanę wiadomość od dziadka, dam ci znać.

– Nie ty mi będziesz mówił, kiedy wyjść! Wyjdę, jak będę chciał! – Cole zwrócił się ku drzwiom. – A tak w ogóle, to... zadzwoniłem do Adama. Powiedział, że Sawyer wyszła na spacer z babcią. Adam zatelefonuje do mnie i będziemy w kontakcie. Pomyślałem, że może chcesz o tym wiedzieć.

– Dzięki, że mi powtórzyłeś.

– Żebyś zdechł! – burknął Cole zamykając drzwi.

Riley siedział z brodą opartą na rękach, wpatrując się przez dłuższą chwilę w drzwi. Po raz pierwszy zdarzyło się, że Cole wszedł do jego pokoju i został, żeby porozmawiać. Może nastąpią między nimi jakieś zmiany? Riley pomyślał, że dobrze byłoby zrobić coś dla Cole'a. Jest taki samotny.

Było już późno: nocne lampki rzucały przyćmione światło na kąty pokoju Maggie. Wszyscy w domu spali z wyjątkiem ich dwojga. Maggie, wtulona w ramiona Randa leżała z otwartymi oczami. On również nie spał i patrzył w sufit. Cieszył go dotyk ciemnej głowy Maggie na ramieniu, radował się bliskością jej ciała. Jeżeli było to czymś złym, dlaczego wydawało mu się to takie naturalne, takie dobre?

To dziwne, miał uczucie, jakby w końcu powrócił do domu po długiej tułaczce. Wspierali się nawzajem, kochali się, a on nie chciał utracić tego, co wspólnie odnaleźli. Ale decyzja nie należała do niego. Maggie zażądała, żeby odjechał. To była ich ostatnia wspólnie spędzona noc; jutro wracał do Anglii.

Próbował przekonać Maggie, że to, co spotkało Sawyer, nie jest ich winą. Guz był już w mózgu i rozrastał się na długo przed ubiegłorocznym lipcem. Ich wspólna miłość nie spowodowała choroby.

– Ale przysporzyła jej bólu! – zawołała Maggie.

Słuchała jego słów, nie docierał do niej jednak żaden z argumentów. Kiedy ujawnił przed nią swoje najskrytsze uczucia, spojrzała na niego ze łzami w oczach i powiedziała, że będzie jej go strasznie brakowało. Że czuje się, jakby traciła część siebie. Teraz leżała w jego objęciu, a jej palce przesuwały się delikatnie wzdłuż ramienia Randa.

– Wiem, że mnie nie rozumiesz. Ja sama tego nie pojmuję. Ale czuję, że jest to słuszne, więc muszę tak postąpić. Wyrzekałam się już wielu rzeczy: można powiedzieć, że mi to przychodzi z łatwością. Nauczyłam się bardzo wcześnie, że taka jest moja dola. Wszyscy oczekują teraz, że wyrzeknę się ciebie. Nie mam wyboru. Może kiedyś... – głos jej się załamał.

– Mnie nie wystarczy nieokreślone „kiedyś”. Co się stało, to się nie odstanie. Nie żałuję, Maggie. Nie możemy pozwolić, żeby przeszłość rządziła naszym życiem. Musimy przede wszystkim uporać się z jutrem i dniem dzisiejszym. Mój powrót do Anglii niczego nie zmieni. Znam Sawyer. Nigdy już tu nie wróci.

– Muszę spróbować! Może jakoś...

– Za późno, Maggie.

– Musimy zacząć wszystko od nowa. Dokonam tego tylko wtedy, gdy będę sama. Gdybyś tu został, nie potrafiłabym się na to zdobyć.

– A co właściwie masz zamiar uczynić? Jakiego cudu chcesz dokonać, żeby wszystko było znów w porządku? Powiedz mi, Maggie, żebym to mógł zrozumieć!

– Sama nie wiem, Randzie. Kiedy wróciłam do Sunbridge, myślałam, że lata walki są już poza mną. Widzę teraz, że te lekkie utarczki były jedynie wstępem do największego boju mojego życia. Muszę w nim zwyciężyć, nie tylko ze względu na samą siebie, ale i na Sawyer.

Rand odwrócił się do Maggie, ich twarze prawie się stykały.

– Są sprawy, których nie da się naprawić, Maggie, które lepiej zostawić w spokoju. Znajdziesz się w bardzo trudnym położeniu. Będiesz potrzebowała mojego wsparcia.

– To prawda. Potrzebuję ciebie, kochany mój, i właśnie dlatego musisz odejść. Nie mogę sobie pozwolić na luksus opierania się na tobie, gdy sytuacja stanie się zbyt trudna. Muszę wszystko przetrwać jak Sawyer; samotnie. Proszę cię, Randzie, nie utrudniaj mi tego jeszcze bardziej! I tak jest to już ciężkie. Tata powiedział mi kiedyś, że trzeba ponosić konsekwencje swoich czynów. Właśnie teraz próbuję to zrobić. Będziemy się kontaktować od czasu do czasu. Napiszę do ciebie. Mam nadzieję, że mi odpiszesz. Chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

– Maggie, ja chcę się z tobą ożenić!

Maggie odwróciła się. Jak bardzo pragnęła usłyszeć te słowa! Po raz pierwszy w życiu była kochana z namiętnością, którą odwzajemniała... i musiała się tego wyrzec. Cóż za ironia losu!

– Odwiozę cię rano na lotnisko.

– A więc to jest twój a odpowiedź? Odwiozę cię na lotnisko? – spytał Rand nie wierząc własnym uszom.

– To jedyna odpowiedź, jaką mogę ci dać w tej chwili.

Nie miał już więcej argumentów. Wziął Maggie w ramiona i mocno przytulił. Budziły się w nim wspomnienia, jedno po drugim. Rand

pragnął wyrwać je w pamięci na długie, samotne miesiące, którego czekały. Wiedział, że Maggie czyni w tej chwili to samo.

Zasnęli objęci ramionami, ich lekki sen był pełen marzeń i nadziei.

Rand siedział w barze portu lotniczego z pustą szklanką po piwie w ręku. Wcale nie miał ochoty na piwo (na nic innego do picia także zresztą nie), ale nie mógł tu zajmować miejsca niczego nie zamawiając.

Nie lubił portu lotniczego Kennedy'ego, był jego zdaniem zbyt wielki, zbyt wielu było podróżnych, pochłoniętych sobą, bez cienia uśmiechu na twarzy. W dodatku prześladował go na tym lotnisku niezawodny pech: ile razy tu był, jego lot się opóźniał. Tym razem miał przed sobą godzinę oczekiwania. Godzinę na myślenie. Gdyby tylko mógł zapomnieć! Nagle poczuł znajomy zapach. Perfumy Sawyer. Rozejrzał się niespokojnie dookoła. Czuł jej obecność, choć nie mógł jej dostrzec. Wciągnął powietrze: nie, nie mylił się – ona tu była! Tak pogрузzył się w myślach, że omal jej nie przegapił. Była z Billie: spacerowały po hallu, trzymając się pod ramię. Rand rzucił na stół kilka zmiętych banknotów i wybiegł z baru.

– Sawyer! Billie!

Sawyer odwróciła się, z twarzą ożywioną i rozjaśnioną przez ułamek sekundy, zanim nie opadła na nią nieprzenikniona maska. Billie była zdumiona. Żadna z nich nie odezwała się słowem, nie przywitała się z nim.

– Hallo! – odezwał się serdecznie. – Skąd się tu wzięłyście?

– Wracam do Vennont – odparła Billie. – Sawyer postanowiła poczekać ze mną do odlotu samolotu. A ty, co tutaj robisz?

– Wracam do Anglii. Szkoda, że nie udało ci się przyjechać na Boże Narodzenie. Wszystkim nam bardzo ciebie brakowało.

– Odcięła nas śnieżycą. – Billie spuściła oczy i udała, że szuka czegoś w torebce. Dlaczego Rand nie odjedzie i nie zostawi ich w

spokoju? Przecież musi znać prawdę. Maggie na pewno mu powiedziała.

– O której masz lot? Czy mogę wam postawić drinka? Muszę czekać całą godzinę i jakoś zabić czas. – Aż wzdrygnął się wypowiedziawszy bezmyślnie słowo „zabić”. Miał ochotę odgryźć sobie język.

– Nie, dzięki. Babcia za kilka minut będzie już na pokładzie samolotu. Szczęśliwej podróży, Randzie!

– Bardzo miło było cię widzieć, Randzie – powiedziała zdawkowo Billie. Rand patrzył na plecy oddalających się kobiet. Czegóż innego, do cholery, mógł się spodziewać?!

Zaczekał, dopóki Sawyer nie zawróciła od barierki. Kiedy ujrzała go, spróbowała wyminąć, ale zabiegł jej drogę.

– Chcę z tobą pomówić.

– Nie ma o czym. Powiedziałeś mi wszystko, co było do powiedzenia, na Boże Narodzenie. Czyżby się coś zmieniło? Muszę wracać do domu.

– To kłamstwo, oboje o tym wiemy. Wejdz do hallu i usiądź przy mnie na kilka minut.

– Poco?

– Bo chcę z tobą pomówić.

– Bardzo mi przykro, ale muszę już iść. Nie chcę robić sceny, ale jeśli będziesz mnie zatrzymywał, urządzę przedstawienie.

– Sawyer, proszę, nie miej do mnie nienawiści!

– Nienawiści? To słowo nierozzerwalnie kojarzy się z miłością. Mówisz o jednym, myślisz o drugim. To tak jak sól i pieprz. Kiedy się umiera... tylko nie udawaj, że o tym nie wiesz! słowa nabierają nowego znaczenia. Jest na świecie tylko jedna osoba, której nienawidzę. Nie ty nią jesteś.

– Właśnie o tym muszę pomówić. Wszystko źle zrozumiałaś.

Dlaczego nie chcesz posłuchać?

– Bo nie dbam o to. Inaczej mówiąc, nic mnie to nie obchodzi.
Dlaczego nie słuchasz tego, co ja mówię?

Sawyer odwróciła się na pięcie i odeszła. Tym razem Rand jej nie zatrzymywał.

Kiedy samolot Randa zbliżał się do brzegów Anglii, Sawyer leżała na łóżku, osłabła od płaczu. Cieszyła się, że jest sama, że nie było Adama, który by ją pocieszał. Płakała nie z żalu nad sobą, ale z powodu tego, co zrobiła Randowi. Odeszła nie okazując mu ani odrobiny zrozumienia, upajając się tym, że musiał opuścić Sunbridge i Maggie. Umyślnie sprawiła mu ból, jakby chciała uczynić z niego ofiarę, zmusić, by przejął na siebie przepęlniającą gorycz. Chciała ukarać go za to, że jej nie kochał. Czy tak powinien wyglądać dowód miłości?

Kilka godzin później Sawyer obudziła się z nieznośnym bólem głowy i próbowała usiąść. Na poddaszu było zbyt cicho. Pomyślała, że Adam prawdopodobnie wyszedł na spacer. W ostatnich dniach stale był u jej boku, starał się podtrzymać ją na duchu. Adam Opoka. Cóż w tym dziwnego, że nie wytrzymał już dłużej w tej klatce? Ona sama też zgrywała się na mocną, przyjęła wyrok śmierci bez zmużenia oka. Czowała, że nadal jest w szoku: trochę w to wierzy, trochę nie wierzy. Inni ludzie też miewają guzy mózgu. Inni ludzie też umierają. Ale, o Boże, miała tylko dwadzieścia sześć lat! Rok życia to stanowczo zbyt mało!

Cóż, jeżeli to wszystko, na co może liczyć, rok będzie jej musiał wystarczyć.

Poprawiła poduszki pod głową wzięła z nocnego stolika notatnik i ołówek. Złożyła wymówienie w biurze. Pieniądze? Jej konto bankowe było dość pokaźne, pod tym względem nie ma się o co martwić. Polisa opłacona. Zmieniła nazwisko osoby uprawnionej do odbioru pieniędzy po jej śmierci: oczywiście Cole. Billie powinna to zrozumieć. Sporządzi

testament. Jej udziały? Dla Cole'a i Rileya. Po trochu będzie rozdawać swoje rzeczy, żeby Adam, gdy nadejdzie ten dzień i trzeba będzie sprzątnąć, jej" część poddasza, musiał uporać się tylko z jej ubraniami. Pozostawi wszystko w porządku i czystości. A teraz zostały tylko sprawy naj ważniejsze.

Czego pragnęła? Być kochaną. Być pożądaną, być komuś potrzebną. Chciała dzielić z kimś śmiech, a może i łzy, ale tylko z kimś naprawdę bliskim.

Największe wyzwanie jej życia. Późno w nocy, gdy Adam był przekonany, że ona śpi, leżała myśląc o swoim dziadku Mossie. Nie wzdragał się i nie jęczał, gdy mu powiedziano, że ma białaczkę. On także dowiedział się, że jego życie nie potrwa długo, wykorzystał więc pozostały czas na realizację swego marzenia. Ona sama, z pomocą babci, dokończyła dzieło. Czyż mogła postąpić inaczej? Należała przecież do Colemanów.

Dla siebie samej nic już nie zdoła zrobić, musi więc pomyśleć o losie Cole'a. To będzie jej zadanie numer jeden. Maggie zabroniła jej kontaktów ze swoim synem, ale obecnie życzenia albo zakazy Maggie nie miały dla niej znaczenia. Podobnie jak Moss, pragnęła zostawić coś po sobie; coś, z czego Cole mógłby realnie skorzystać. Duchowe dziedzictwo. Problem polegał na tym, że nie miała niczego w tym rodzaju. Zanotowała sobie, że powinna skontaktować się z Cranstonem. Zostaną sprzymierzeńcami. Ona dla dobra Cole'a, a Cranston dla swoich własnych celów.

Ołówek fruwał po żółtym papierze. Powinna napisać do Cole'a; do Rileya też. Włoży oba listy do jednej koperty i zaadresuje ją do Rileya. On już zadba o to, żeby kuzyn dostał przeznaczony dla niego list.

Ogólnie rzecz biorąc, czuła, że jest w stanie wszystkim pokierować. Poradzi sobie, jeżeli inni dadzą jej trochę spokoju. Adam robił co mógł, babcia też. Biedna babcia! Najpierw Riley, a potem Moss. Na lotnisku

dostrzegła w jej oczach tyle miłości i niepokoju, choć babcia starała się go nie okazywać.

W dniu, gdy Sawyer wysłała podwójny list do Riley'a, przyszedł list od Cole'a. Przeczytała go kilka razy, a potem pokazała Adamowi, który roześmiał się z zadowolenia.

– Boże święty, ależ te maślaki mają pomysły! Chyba powinniśmy pójść na to!

– Ja też tak myślę. Czy zauważyłeś, Adamie, że chociaż Cole podkreśla, że pomysł wyszedł od niego, przyznaje, że zaplecze finansowe zawdzięcza Rileyowi? Opowiadałam ci, jak obaj trzeźwili mnie wspólnymi siłami w święta. To była owocna współpraca. Ciesz się z tego.

– I powinnaś! Zwrócę pieniądze dziadkowi Riley'a – oświadczył wspaniałomyślnie Adam. – Dzieciaki nigdy się o tym nie dowiedzą.

– Nie, nie wolno ci tego robić! Pan Hasegawa straciłby twarz! Nie wolno zwracać podarku otrzymanego od Japończyka. Poza tym, dziadek dałby Rileyowi gwiazdkę z nieba, gdyby ten o nią poprosił. Pieniądze nie mają dla pana Hasegawy znaczenia. Gdyby mógł za nie kupić szczęście Riley'a czy moje, opróżniłby całe swoje konto bankowe! Dawał mojej matce czeki in blanco na produkcję samolotu dziadka. In blanco! Nie, musimy przyjąć jego dar, ale sędzę, że trzy miesiące to zbyt długo. Pojedźmy na sześć tygodni i zobaczymy, co dalej. Zgoda?

– Mnie to pasuje. Tylko że w takim wypadku będę musiał wykonać zamówienia przed terminem. Nie zostanie mi wiele czasu na spędzanie go w twoim towarzystwie. Czym się zajmiesz?

– Czym się zajmę, pytasz? Będę robić zakupy. Latać po sklepach. Mam zamiar wykorzystać do ostatnich granic moje karty kredytowe. Od tej pory to będzie główny cel mojego życia! Może ci czegoś potrzeba? Jak będę robić sprawunki, mogę ci przy okazji kupić, co tylko zechcesz. Słuchaj, Adamie, umówiliśmy się, układy pomiędzy nami

pozostają bez zmiany! Nie próbuj mnie teraz rozpieszczać! Zabierz się za swoją pracę. Skończ ją, żebyśmy mogli wyjechać z czystym sumieniem. Zgoda?

– Masz to u mnie. Przyszykuj coś do jedzenia, a ja pójde pod prysznic. Nie wyprałaś ręczników, prawda?

– Nie, ale to zrobię. A ty nie sparszywiejesz, jak wytrzesz się tym, którego używałaś wczoraj.

– I przedwczoraj, i trzy dni temu – mamrotał Adam w drodze do łazienki.

Stał pod prysznicem podstawiając głowę pod strugi wody. W samotności, zasłonięty obłokami pary, która zamgliła szklane drzwi łazienki, Adam przytulił się do wyłożonej kafelkami ściany. Wstrząsnął nim ciężki, suchy płacz, zagłuszany dudniącym potokiem wody. Skąd znaleźć siły na kontynuowanie tej maskarady? Wakacje z Sawyer, jakby wszystko było w porządku, jakby nie powiedziano mu wyraźnie, że wkrótce straci ją na zawsze? Przecież już ją opłakiwał, usiłował zaprzeczyć oczywistości.

Kochał ją, choć wiedział, że Sawyer nigdy nie wypowie słów, które tak rozpaczliwie pragnął usłyszeć. Nie wyobrażał sobie życia bez niej. W samotności łazienki wyplakiwał swą rozpacz, a potem zmagał się ze sobą, starając odzyskać pozorny spokój, żeby móc znów stanąć przed nią. Nie wolno mu okazywać swoich uczuć, nie może pozwolić, by Sawyer dostrzegła jego rozpacz. Gdyby się z nią zdradził, kazałaby mu odejść, a zamierzał dzielić z nią każdą chwilę, jaka im jeszcze pozostała.

Przy śniadaniu Sawyer poprosiła Adama o radę.

– Babcia opowiadała mi o domu wysoko w górach, który Seth wynajął na Hawajach dla niej i Mossa, gdy był on na urlopie. Właścicielką tego domu jest pewna pani nazwiskiem Ester Kamali, ale

w nim nie mieszka. Zastanawiam się, czy babcia zdołałaby się jakoś z nią skontaktować i zapytać, czy nie moglibyśmy go wynająć. Są tam, a przynajmniej byli, dozorca i gospodyni. Babcia mówiła, że to najpiękniejsze miejsce na świecie i że przeżyła tam najszcześniejsze chwile swojego życia. Kiedyś wyjawiała mi w sekrecie, że to właśnie tam zakochała się w Thadzie, choć sobie tego wówczas nie uświadamiała. Do tego miejsca chciałabym pojechać. Zadzwonię dziś rano do babci i napiszę do chłopców, żeby nie przyjmowali żadnej oferty wynajmu od agencji turystycznej. Babcia ma fotografię tego domu. Poproszę, żeby je przysłała, wtedy sam zobaczysz, o czym mówię.

– Nie chciałbym poruszać tego tematu, ale muszę – odezwał się Adam, wgrzyzając się w chrupiącą grzankę. – Czy Maggie na pewno pozwoli na tę wycieczkę? Jest prawną opiekunką Cole’a, może się sprzeciwić.

– Cóż, wszystko jest możliwe, choć Riley otrzymał już pozwolenie od swego dziadka. Mam zamiar porozmawiać z Cranstonem. Przypuszczam, że nie mamy się o co martwić. Maggie nie powinna nam przeszkadzać. A jeśli z czymś wyskoczy, to przestawimy się na wersję B.

– To znaczy?

– Chłopcy już tam coś wymyślą. Pamiętaj, że to ich plan: nas tylko zaprosili do towarzystwa.

– Wobec tego nie będę sobie tym zaprzętał głowy... Grzanki są pyszne. Chociaż spodziewałem się, że coś ugotujesz. Wiesz, coś konkretnego, na przykład jajecznicę lub naleśniki. Jakieś prawdziwe jedzenie.

– Nie mam czasu. Muszę zająć się praniem i zakupami. Może wpadnę bez uprzedzenia do biura Cranstona, zamiast się z nim umawiać na rozmowę. Na pewno mnie przyjmie, bo domyśli się, że chodzi o

Maggie i Cole'a. Jak tylko włożę ręczniki do pralki, dzwonię do babci. Do roboty, panie Jarvis! Nie pozwolę, żeby coś zepsuło nam tę wycieczkę, choć będziemy musieli długo na nią poczekać!

Sawyer zatelefonowała do babci. Billie ucieszyła się, że może spełnić prośbę wnuczki.

– Zaraz się tym zajmę. Nie mogę ci niczego obiecać, Sawyer; bo to było tak dawno! Dziś wieczorem zadzwonię do ciebie.

Po odłożeniu słuchawki Billie wyjęła swą książeczkę adresową i zaczęła przeglądać numery telefonów. W Sunbridge było mnóstwo takich mniejszych lub większych ksiąg i spisów. Leżały teraz pokryte kurzem i pełno w nich było rozmaitych nazwisk. Z pewnością jest wśród nich nazwisko Ester Kamali. Billie zadzwoniła do Amelii. Amelia oświadczyła, że rzuca wszystko i wraca do Sunbridge szukać potrzebnej informacji; natychmiast zadzwoni, gdy ją znajdzie. Zaraz po skończeniu rozmowy z Amelią Billie zatelefonowała do Maggie, a ta obiecała zejść do piwnicy i przeszukać dawne rachunki telefoniczne. Dzięki Bogu, w Sunbridge nigdy niczego się nie wyrzucało!

Kiedy Thad wrócił do domu w porze lunchu, Billie powiedziała mu, co się dzieje. Thad spojrział na nią ze zdumieniem, a potem roześmiał się.

– Billie, dlaczego nie zadzwoniłaś po prostu do tego domu na Hawajach i nie porozmawiałaś z kimś, kto tam mieszka? Może nie ma tam już ani Philipa, ani Rossie, ale na pewno ktoś jest. Możliwe też, że został sprzedany.

– Nie pamiętasz? Numer był zastrzeżony.

– O, rzeczywiście, gdy o tym wspomniałaś, jak przez mgłę przypominam sobie, że nosiłem kartkę z tym numerem w kieszeni spodni. Punkt dla ciebie. Powiedz, co zrobisz, jeżeli nie uda ci się wynająć tego domu?

– Ciii – upomniała go Billie, kładąc palec na ustach. – Tak czy

inaczej, zdobędę go dla Sawyer! Możesz mi wierzyć!

– Wierzę, wierzę! I uważam, że to wspaniałe, jak chłopcy starają się pomóc Sawyer.

Billie uśmiechnęła się blado.

– Nie starają się, Thad. Oni to naprawdę robią. Dziś wieczorem sprawa będzie załatwiona.

I tak rozpoczęła się wielka akcja pod wezwaniem Grahama Bella: rozdzwoniły się telefony – z Nowego Jorku do Vermont i do Teksasu, z Pentagonu do Bazy Sił Powietrzno-Morskich w Miramar na San Diego; potem przyszła kolej na Pearl Harbor i wreszcie na Hongkong. Amelia siedziała przy jednym aparacie, a Maggie przy drugim, gdy zatelefonowały do Billie, by przekazać jej nowinę.

– Zdobyliśmy dla ciebie ten numer, mamó! – powiedziała Maggie bez tchu. – Próbowałam dodzwonić się na Hawaje, ale telefon jest odłączony. – W jej głosie czuć było podziw, gdy dodała: – Nie miałam pojęcia, że Seth obracał się w tak wysokich sferach! Amelia musiała bujać, ile wlezie, zupełnie zbitoby cię z nóg, gdybyś to słyszała!

– Billie, mamy dla ciebie ten numer! Chyba uda ci się to załatwić! Dom stoi pusty, już od lat. Rosę i Philip już nie żyją. Jakiś ich wnuk tego dogląda. Panna Kamali mieszka w Hongkongu i nigdy nie przyjeżdża na wyspę. – Amelia powtórzyła numer dwukrotnie, żeby upewnić się, że Billie dobrze go zapisała. – Powinnaś zaraz do niej zadzwonić. Tam jest już jutro! Więc próbuj i powodzenia!

– Mamó, gdybym mogła w czymś ci pomóc, zadzwoń! – powiedziała Maggie. – Na pewno, Maggie. Jeszcze raz dziękuję!

– Mam, mam! – powtarzała Billie płasząc wokół fotela Thada. – Trzymaj palce, żeby panna Kamali wyraziła zgodę! Idę na górę telefonować. To będzie rozmowa „między nami kobietami”.

– No to startuj, kochanie. Posiedzę tutaj, wypalę fajkę i powspominam chwile, które spędziliśmy razem na Hawajach.

- Tylko nie zaśnij, zanim wrócę.
- Co też ci przyszło do głowy? – łypnął ku niej okiem Thad.
- To samo, co i tobie. Masz być przytomny!

Thad obserwując żonę wbiegającą na schody widział przed sobą młodą dziewczynę, w której się kiedyś zakochał. Jeszcze raz podziękował Bogu, jak to zresztą czynił każdego dnia, za swoje szczęście. Nabił fajkę, zapalił zapałkę i czekał. Gotów był zawsze czekać na Billie. Do końca swoich dni, jeśli byłoby to konieczne – aby w wieczności spotkać się z nią znowu, ręka w rękę.

Serce Billie waliło jak szalone, gdy zamawiała rozmowę. Skrzyżowała palce „od uroku” i czekała. Sześć dzwonek, siedem – a potem w słuchawce rozległ się miękki głos.

Billie przedstawiła się i zamilkła, chcąc przekonać się, czy tamta kobieta pamiętają.

– Ależ oczywiście, że panią pamiętam! Moja gospodyni po waszym wyjeździe mówiła tylko o pani! Czym mogę służyć, pani Coleman?

– Już się tak nie nazywam. Noszę teraz nazwisko Kingsley. Mój mąż zmarł przed kilku laty. – Billie szybko przedstawiła swoją prośbę.

– Cokolwiek by to miało kosztować, chętnie zapłacę. Proszę, panno Kamali, zgodzę się na wszelkie warunki!

– Moje wahanie nie ma nic wspólnego ze sprawami pieniężnymi, pani Kingsley. Dom był przez wiele lat zamknięty. Nie mam pojęcia, czy nadaj e się do zamieszkania. Jeden z wnuków dawnego dozorczy miał się nim opiekować, ale ci ludzie łatwo się rozleniwiają jeśli pani rozumie, co mam na myśli.

– To nieważne, panno Kamali. Bardzo chętnie opłacę remont i wszystkie prace porządkowe.

– Proszę mi mówić po imieniu. Wydaje mi się, że znamy się od dawna. Czy mogę zwracać się do pani „Billie”?

– Ależ oczywiście! – Nieoczekiwanie dla siebie Billie przyznała

się, że nosiła jedwabną suknię w kolorach tęczy, która była schowana w skrzyni.

Ester roześmiała się.

– Rose powiedziała mi o tym. Mówiła, że pięknie w niej wyglądałaś. Byłam szczęśliwa, dowiedziawszy się, że ktoś ją nosił. Mój ukochany nigdy mnie nie ujrzał w tym stroju.

– Nigdy nie wróciłaś już do tego pięknego domu? – spytała Billie ze zdumieniem.

– Nigdy. Ale została tam moja dusza. Wrócę tam, gdy mi przyjdzie umrzeć. A na razie moje serce jest w Hongkongu. Prowadzę bardzo miłe życie z kimś, kto ogromnie mnie kocha.

– A ty również bardzo go kochasz? – Billie nie miała prawa o to pytać, ale chciała się dowiedzieć czegoś bliższego o tej kobiecie, która była dla niej jedynie głosem, a od której zależało, czy Sawyer przeżyje kilka słonecznych dni.

– Bywają miłości minione i miłości wieczne. Moja miłość należy do przeszłości, tak samo jak ja. To, co przeżywam obecnie, sprawia mi przyjemność. Mogłabym czuć się zupełnie szczęśliwa, ale na moje życie padło zbyt wiele cieni, żebym mogła całkiem się z nich wynurzyć. Wróćmy jednak do twojej prośby. Oczywiście, że możesz skorzystać z tego domu. Twój teść wyświadczył kiedyś wiele dobrego mojej rodzinie. Nigdy tego nie zapomnę. Jeżeli uda ci się wysłać na Hawaje kogoś, kto przekona się, jak sytuacja wygląda, i każe otworzyć dom, masz na to moje błogosławieństwo. O pieniądzach nie ma mowy. Potraktuj to jako prezent ode mnie dla twojej wnuczki; będę się modliła za nią i za ciebie. Jutro wyślę ci komplet kluczy.

Po policzkach Billie ciekły łzy.

– Nie wiem, co powiedzieć... Jesteś jedną z dwóch najlepszych osób, jakie spotkałam w moim życiu. Zgodzę się na twój hojny dar tylko wówczas, jeśli pozwolisz, żeby moja rodzina zapłaciła za

wszelkie naprawy, jakich dom będzie wymagać. Złamałoby mi się serce, gdyby ten przepiękny dom zamienił się w ruinę. Proszę, powiedz, że się zgadzasz!

– Zgadzam się, ale zdradź mi, kto jest tą drugą najlepszą osobą, jaką spotkałaś w życiu.

Billie poznała po głosie Ester, że się uśmiecha i odparła podobnym tonem.

– To ktoś, z kim łączy mnie miłość na wieki: mój mąż. Dzięki, Ester. Będziemy w kontakcie. Może któregoś dnia się spotkamy.

– Będę oczekiwać tego z niecierpliwością. Do widzenia, Billie. Moje myśli są z tobą i twoją wnuczką.

Teraz Billie mogła już zadzwonić do Sawyer i powiedzieć jej, że wszystko zostało ustalone. Potem zatelefonuje do Sunbridge.

Sawyer była w siódmym niebie.

– Powiem chłopcom, że znalazłam odpowiednie miejsce. Wiem, że się strasznie ucieszą. Dzięki, babciu!

– Za co?

– Za to, że mi pomogłaś.

– Odbyłam tylko w twoim imieniu kilka rozmów telefonicznych. Dobranoc, kochanie. Zadzwonię do ciebie w tygodniu.

Reakcja na jej telefon w Sunbridge sprawiła, że Billie osłupiała.

– Pozwól mi to zrobić, mamó! – błagała Maggie. – Pozwól, żebym pojechała na Hawaje i przygotowała dom. Sawyer nie musi wiedzieć, że to ja zrobiłam. Niech wierzy, że dom był gotowy na jej przyjęcie. Wymyślę dla chłopców jakąś bajeczkę o tym, dokąd się wybieram. Muszę to zrobić, mamó. Proszę cię, zgódź się!

– Jesteś pewna, że sobie z tym poradzisz? A Sawyer i chłopcy o niczym się nie dowiedzą?

– Chyba tak będzie lepiej, prawda?

– Przynajmniej na razie. Maggie, co z twoim rozwodem, co z Susan i jej dzidziusiem? Kiedy chcesz tam pojechać?

– W końcu kwietnia lub na początku maja. Na wszystko starczy mi czasu. Jeśli chodzi o rozwód, to nie mam nic do roboty. Wszystko załatwiają za mnie adwokaci. Cole jest wystarczająco dorosły, by występować we własnym imieniu.

Mam nadzieję, że czas, który spędzi z Sawyer, zmieni jego stosunek do życia. To, jak teraz będę postępować, wpłynie bezpośrednio na jego decyzję. Ufam, że wszystko ułoży się jak najlepiej, ale zniosę nawet najgorsze. Będę w Sunbridge podczas porodu Susy i na chrzcinach. Wszystko da się jakoś ze sobą pogodzić.

– Jestem pewna, że tak, Maggie...

– Nie mów nic, mamu. Pozwól mi zrobić wszystko po swojemu. – Maggie, proszę, posłuchaj mnie. Chciałam cię spytać o Randa.

– Odesłałam go do Anglii. Myślałam, że wiesz.

– Tak, wiem, że wrócił do Anglii, ale nie wiedziałam, że ty go tam odesłałaś. Dlaczego? Myślałam, że go kochasz. Myślałam, że i on cię kocha.

– Tak. Tak. I on. I ja. Oboje. O, mamu!... Tak było najlepiej.

– Dla kogo? Na miłość boską Maggie, dla kogo tak było najlepiej?!

– Dla wszystkich. Dla Sawyer, Amelii. Chłopców. Dla Susy też. – A dla ciebie?

Maggie prychnęła pogardliwie.

– Odkąd to, czego ja pragnę, ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Dla mnie ma. Walcz, Maggie! Jeśli zależy ci na Randzie, walcz o niego! Nie pozwól, żeby ci go odebrała Sawyer czy ktokolwiek inny. Jeżeli coś stanowi najgłębszą potrzebę twojego serca, musi być słuszne!

Głos Maggie stał się nagle lżejszy, radośniejszy.

– Mamu, czy zdajesz sobie sprawę, co mi w tej chwili powiedziałaś?

– Oczywiście. Zaslługujesz na to, żeby być szczęśliwa. Rand także. I Sawyer też. Każde z was musi znaleźć sposób, by to szczęście zdobyć. Dla ciebie i dla Randa nie jest jeszcze za późno. Co ci napisał ojciec w swoim ostatnim liście, Maggie?

Maggie zacytowała słowa krótkiego pożegnalnego listu, który napisał do niej Moss: – „Bądź szczęśliwa”. To jego słowa. Mamo, on kazał mi być szczęśliwą. O mój Boże, a ja odesłałam Randa! Bałam się być szczęśliwa. Ciągłe się tego boję. Kocham cię, mamo! – zawołała Maggie, zanim odłożyła słuchawkę.

– I ja cię kocham, Maggie – powiedziała cicho Billie, odstawiając telefon. Jak potrzebne były te słowa! Każdy powinien je wypowiadać choć raz na dzień.

Ona sama zaraz powtórzy je komuś, kto najbardziej na nie zasługuje.

– Może jeszcze powiesz, żenię zmrużyłeś oka? – roześmiała się Billie na widok drzemiącego w fotelu Thada, do którego tuliła się trójka szczeniąt. Billie przyklękła obok niego. – Chcesz mi dać do zrozumienia, że dla ciebie szczęście to przytulanka z rozgrzanym szczeniaczkiem?

– Te maluchy musiały mi jakoś wystarczyć, póki ty się nie zjawiłaś. Wszystko dobrze poszło?

– Cudownie. Chodź, kochany, mam na ciebie zakusy, ale najpierw chcę ci powiedzieć, że kocham cię całym sercem.

Thad wpatrywał się w żonę i widział w jej oczach zachętę i obietnicę.

– A ja kocham cię teraz i na zawsze.

– Dobrana z nas para, prawda?

– Najlepsza – odparł Thad, kładąc szczenięta obok ich mamy na psim łęgowsku koło kominka. – Najlepsza w świecie.

Maggie leżała wysoko podparta, ze stosem obszytych koronką poduszek pod ciemną głową, trzymając w ręku kartkę i długopis. Rand pomyśli, że całkiem zwariowała. Może tak było?

Drogi Randzie,

Kiedy otrzymasz ten list, pomyślisz pewnie, że mam kompletnego bzik. Czuję się jak zwariowane wahadło i Ty pewnie też.

Popęłniłam błąd, gdy powiedziałam Ci, żebyś wracał do Anglii. Twoim zaś błędem było to, żeś mnie postuchał. Myślałam, że odsyłając Cię postępuję słusznie, ale myliłam się. Mama pomogła mi to zrozumieć. Powiedziała, że jeśli kochamy się nawzajem, powinniśmy być razem i cieszyć się swoim szczęściem. A reszta sama się jakoś ułoży. Będę tu do końca kwietnia, ale przypuszczam, że potrzeba ci czasu na przemyślenie tego wszystkiego. Zrozumiem to. Po prostu chcę, żebyś wiedział, że Cię kocham i że tylko to się dla mnie liczy. Wybacz mi moje obawy i moją słabość. Zechciej być szczęśliwy wraz ze mną. Masz całe moje serce.

Maggie

Rozdział szósty

Jessica Margaret de Moray przysłała na świat czternastego lutego, w dniu świętego Walentego. Miała złote włoski i było różowiotka, ważyła sześć funtów i dwie uncje i mierzyła jedenaście cali. Dla Susan była to miłość od pierwszego wejrzenia. Maggie i Amelia piałły z zachwytu, gdy przez specjalne okienko zademonstrowano im po raz pierwszy, ku ich ogromnej radości, różowy kłębuszek. Cary rozpromienił się i czule gruchał do maleństwa przez okienko.

– Kobieta nie powinna być w takim momencie sama – mruzczał do Amelii i Maggie, gdy wracali do Sunbridge.

– Masz rację, nie powinna. Ale skąd, do diabła, mieliśmy wiedzieć, gdzie się podziewa ten podlec Jerome? Zresztą, on sam wcale by nie chciał być przy tym obecny. Susan nie zapytała o niego ani razu, ale wiem, co myślała. Czowała się opuszczona. – Maggie rozjaśniła się dodając: – Ale już nie jest sama, prawda? Ma teraz małą Jessikę Margaret.

Cary roześmiał się.

– Chyba nie macie zamiaru zawsze jej tak uroczyście nazywać? To zbyt długie imię dla takiej kruszynki!

– Nie, chyba nie – westchnęła Maggie. – Ale mam ochotę powtarzać w kółko każdemu, kogo dopadnę, że Susan nazwała japo babci Jessice i po mnie. To wielkie wyróżnienie, Cary, naprawdę! Zgadzasz się ze mną Amelio?

– Tak, chyba tak. – Amelia źle zniosła narodziny dziecka Susan. Poczwała się nagle stara, taka stara... za to Cary okazywał ogromny entuzjizm. Czy pragnął własnego dziecka? Mając czterdzieści dwa lata był wystarczająco młody, by po raz pierwszy zostać ojcem. Ale kto obdarzy go tym dzieckiem? Ona z całą pewnością nie. Musiałby to być ktoś młody, ktoś taki jak Eileen.

Maggie trajkotała bez przerwy.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę robić zakupy dla dzidziusia! Koronkowe sukieneczki, czepeczki z falbankami. Teraz produkują takie piękne, nowoczesne i pomysłowe zabawki. Dzidzia musi koniecznie mieć angielski wózek spacerowy. Wiesz, Amelio, taki, w jakich angielskie nianie wożą w słoneczny dzień swoje pociechy po Hyde Parku. Z wielkimi kołami. Pierwsza rzecz, zatelefonuję do Harrodsa i każę im tu przysłać taki wózek – planowała radośnie. Dziwiła się tylko, że dziecko nie zostało umieszczone w koszyczku obok innych noworodków, po pokazaniu go rodzinie. Pielęgniarka w maseczce ochronnej zabrała małą Jessie, kiedy skończyły się wszystkie ochy i achy.

W momencie gdy Maggie i Amelia wchodziły do domu, zadzwonił telefon. Maggie dopadła go tuż przed Martą.

– Susy? Dlaczego dzwonisz? Nie możesz doczekać się naszych komplementów pod adresem Jessie? Powinnaś odpoczywać!

Przez chwilę słuchała słów rozmówczynie, a twarz jej straciła wszelki wyraz.

– Co się stało? – spytał Cary, podtrzymując ją ramieniem.

– Nigdy w życiu nie słyszałam o *spina bifida** [Rozszczepienie kręgosłupa (przyp. tłum. .)] Będą ją operować? Przecież dopiero co się urodziła! – Maggie znów słuchała w skupieniu. – Susy, natychmiast wracam do szpitala i będę przy tobie. Tak, bardzo tego chcę! – Odłożyła słuchawkę i siedziała u podnóża schodów.

– Nie trzymaj nas w niepewności, Maggie! Co się stało? – dopytywała się Amelia.

– Chodzi o dziecko. Ma wrodzoną wadę kręgosłupa, jakąś dziurę, czy coś w tym rodzaju. Susy sama jeszcze dobrze nie wie, o co chodzi. Będą ją operować w ciągu najbliższych kilku godzin.

Amelia potrząsnęła głową.

– Czy ta zła passa nigdy się nie skończy? Jedno nieszczęście za drugim! A Susan nie ma nikogo oprócz nas. Jej mąż powinien być teraz przy niej! – Oczy Amelii zwięzły się w szpareczki. – To wszystko wina Jerome’a! Jeśli z dzieckiem jest coś nie w porządku, on to spowodował! Zmuszał Susan do takiej harówki, kazał jej ścisnąć się gorsetem, żeby ciąża nie była widoczna...

– Amelio – upomniała ją Maggie ze znużeniem – proszę cię, nie mów tak! Wiem, że Jerome był niedobry dla Susy, ale jestem pewna, że to ani jego wina, ani Susan. Po prostu zrządzenie losu. Wszystko będzie dobrze z małą Jessie, musi być dobrze! I bez względu na to, co myślisz, nie powtarzaj tego Susan! I tak już wiele na nią spadło. Rozumiesz?

– Tak, oczywiście, że to rozumiemy, Maggie – wtrącił Cary. – Nie powiesz nic podobnego Susan, prawda, Amelio? – Powiedział to stanowczo, ściskając mocniej ramię żony. – Wszyscy będziemy trzymać język za zębami.

– Dobrze, Cary – Amelia wyrwała ramię z jego uścisku. – Nie musisz mnie powstrzymywać, jakbym była jakąś czarownicą gotową rzucić się na Susan! – Wbiegła na schody wymijając Maggie, a jej eleganckie pantofle na długich, wąskich obcasach bezszelestnie pokonywały wyłożone grubym chodnikiem stopnie.

– Co też, u licha, w nią wstąpiło? – spytał Cary. – Ostatnio jest strasznie drażliwa. Cokolwiek bym powiedział, wszystko nie tak. Nie chciałem jej sprawić przykrości, ale człowiek nie ma pojęcia, co jej może strzelić do głowy. Wołałem nie ryzykować tego, że poleci do Susan z oskarżeniami, które niczego nie naprawią.

– Wiem, Cary – powiedziała spokojnie Maggie. – Ale pamiętaj, że Amelia była dla Susy prawie jak matka i nigdy nie lubiła Jerome’a. Jest zdenerwowana tak samo jak ja. Wracam teraz do szpitala. Czy mógłbyś zjeść obiad razem z chłopcami? Powiedziałabyś im o dziecku i uspokoił, że wszystko będzie w porządku. Przynajmniej modłę się, żeby tak było.

Susan leżała wysoko podparta na łóżku. Brzoskwiniowa lizeska jakoś nie pasowała do białej wykrochmalonej pościeli. W pokoju nie było jeszcze kwiatów ani liścików z gratulacjami. Jutro będzie ich pełno.

– Wytrzymaj nosa! – powiedziała Maggie, podając siostrze białą chusteczkę. Susan posłusznie wytarła nos i oczy.

– Już ją operują. Lekarze zapewnili mnie, że to stała procedura w przypadku rozszczepienia kręgosłupa. Nawet nie wiedziałam, co to takiego, póki mi nie wyjaśnili. *Spina bifisa* powstaje w pierwszym miesiącu ciąży. Kręgi stosu pacierzowego kształtują się nieprawidłowo. Dlatego trzeba to zaraz operować. To moja wina. Wiem, że powinnam więcej dbać o siebie, nie pozwolić, żeby Jerome terroryzował mnie w taki sposób!

– Susy, to nie twoja wina, doktor na pewno to potwierdzi. Dzieci ciągle rodzą się z różnymi wadami. Zresztą operują ją, więc wszystko będzie dobrze, prawda?

– W mózgu mógł zebrać się płyn. Doktor powiedział, że takie dzieci otacza się specjalną opieką i mogą wyrosnąć na samodzielne istoty, korzystające w pełni z życia. Ale mam przeczucie, że tak się nie stanie. Dlaczego właśnie nam miałoby się udać?

– Nie wolno ci tak myśleć! – powiedziała stanowczo Maggie. – Musisz podejść do tego optymistycznie. Twoje dziecko żyje i ma zapewnioną opiekę. Inne matki nie mają takiego szczęścia. Pomyśl o wszystkich dobrych stronach.

– Ależ myślę! Mam szczęście, że pediatra rozpoznał chorobę i natychmiast podjął stosowne działania. Ten szpital jest placówką, w której leczą *spina bifida*. Słuchałam uważnie doktora, ale mówił tak szybko, że zrozumiałam najwyżej połowę jego wyjaśnień; poza tym byłam trochę zamroczone. Wspomniał coś o nie kontrolowanym wypróżnianiu się i oddawaniu moczu, paraliżu mięśni nóg i braku

czucia. Wiem tylko tyle.

– Jutro dowiemy się wszystkiego, co trzeba – obiecała Maggie. – Gdy doktor wróci, musisz sama z nim porozmawiać i zadać mu wszelkie pytania, jakie tylko ci przyjdą do głowy. Wszystko będzie dobrze, Susan. Ciesz się, że masz przy sobie rodzinę. Każde z nas zrobi, co tylko będzie w jego mocy.

Susan nie wypuszczała ręki Maggie, dopóki nie zmorzył jej sen. Godzinę później do pokoju wszedł lekarz. Był to wysoki mężczyzna, ubrany w zielony strój operacyjny. Wyglądał, zdaniem Maggie, na kogoś, kto rzadko pozwala sobie na uśmiech. W tej chwili jednak uśmiechnął się.

Jakie to zdumiewające, pomyślała, ten człowiek ma w swoich rękach władzę nad życiem i śmiercią. Spojrzała na jego długie, smukłe palce. Co myślał, rozcinając te maleńkie plecki? Musiała o to spytać, musiała wiedzieć!

– Proszę, panie doktorze, niech mi pan powie, o czym pan myślał zaczynając operację?

– Nie myślałem. Modliłem się. Zawsze odmawiam modlitwę przed dokonaniem pierwszego cięcia. Dziecko zniosło operację wyjątkowo dobrze. W tej chwili śpi, a niedługo podamy mu glukozę. Jeszcze za wcześnie wyrokować o wszystkim. Wobec tego powiem, że na razie dzidzius odpoczywa. – Doktor ponownie uśmiechnął się; taki uśmiech trafiał do serca każdej z matek.

Cztery godziny później Susan zbudziła się, a na jej twarzy odmalował się przestach. Maggie pochyliła się i odgarnęła jej włosy z czoła.

– Jessie świetnie zniosła operację, teraz śpi, albo może właśnie w tej chwili dają jej glukozę.

– On... to znaczy doktor tu był, prawda?

– Kilka godzin temu. Nie chciałam cię budzić. Powiedział, że

odwiedzi cię jutro. Rozmawiałam przez chwilę z nocną pielęgniarką i obiecała, że jak się obudzisz, zawiozą cię do Jessie, żebyś mogła na nią popatrzeć. Susy, doktor powiedział, że pomodlił się, zanim dokonał pierwszego cięcia. Myślałam, że powinnaś o tym wiedzieć.

– Dzięki, Maggie. Nie zniósłabym tego bez twojej obecności.

– Kiedy już zobaczysz dziecko, postaraj się znowu zasnąć. Tego ci teraz najbardziej potrzeba. – Maggie leciutko pocałowała Susan i poczuła słony smak łez. – Poradzisz sobie! – szepnęła.

– Tak, wiem. Już późno, wracaj do domu. Zadzwoń do mamy.

– Już to zrobiłam, ale zatelefonuję jeszcze raz. Do zobaczenia jutro!

Cary’emu zdawało się, że stąpa po sypialni na paluszkach, podczas gdy w rzeczywistości robił więcej hałasu niż zazwyczaj. Wiedział, że Amelia jest cała spięta i czeka, aby spytał, co jej dolega. Czy na pewno zrozumiała, że musi pojechać do Nowego Jorku? Cholera, wypadło to w najmniej odpowiedniej porze! W zeszłym tygodniu oznajmiła mu, że za kilka dni instaluje w swoim domu dywany i zasłony i będzie przy tym uwiązana. Na pewno pomyślała, że umyślnie tak zaplanował tę podróż, żeby me mogła z nim pojechać!

Amelia bardzo dziwnie się zachowywała od kilku tygodni. Bardzo źle znosiła wiadomość o chorobie Sawyer. A dziś zwinęła się w kłębek po swojej stronie ich ogromnego łóżka. Starał się być wyjątkowo czuły, zachęcał ją, by powiedziała mu, co jej dolega. Przełknęła łzy i wyznała, że nagle, po raz pierwszy w życiu, zdała sobie sprawę z kruchości ludzkiego życia. Pomyśleć tylko o małej Jessie! Albo o Sawyer! To mogło spotkać każdego – mogło bez trudu zdarzyć się jej. Jest przecież o tyle starsza! Cary próbował na wszelkie możliwe sposoby wyrwać ją z przygnębienia, ale nie dawała się pocieszyć. W końcu nie miał innego wyjścia, jak położyć się spać. Musiał wstać wcześniej rano. Amelia nie musiała jechać do swojego domu o określonej godzinie.

Kiedy Cary obudził się następnego ranka, bardziej znużony niż w chwili, gdy kładł się do łóżka, zobaczył, że Amelia leży na plecach i patrzy w sufit. Zorientował się, że nie zasnęła ani na chwilę. Poczł złość do niej, a także i do siebie, że potrafiła tak go zirytować. Bóg wie, jak bardzo się starał. Dzielił się z nią całym swoim życiem, a mało który mężczyzna postępował podobnie.

Leżał bez mchu przez kilka minut, słuchając lekkiego oddechu Amelii. Mój Boże, jakże ją kochał! Ze wszystkich kobiet, z którymi sypiał w swoim życiu, ona była jedyną, przy której pragnął się budzić. Zawsze uśmiechała się i przytulała do niego. Wiedział, że będzie wściekły i poirytowany przez cały dzień, jeśli nie zrobi teraz pierwszego kroku. Wyciągnął rękę z sennym uśmiechem.

– Chodź do mnie! – Amelia posłusznie przytuliła się do niego. Głęboko westchnęła. Tu było jej właściwe miejsce!

– Przepraszam, że zachowałam się tak... – Wrednie?

Uśmiechnięte usta Amelii połaskotały ramię Cary’ego.

– Właśnie, wrednie. Nie mogę oczekiwać, żebyś zrozumiał naszą rodzinę. Mogę ci tylko powiedzieć, że jest, jaka jest. Dziecko Susan...

– Posłuchaj, Amelio. Naprawdę rozumiem. Boli mnie, gdy myślę o Sawyer. Nie zdążyła nawet pokosztować tego, co życie mogło jej ofiarować. Ale nikt z nas nic na to nie poradzi. Gdyby chodziło o coś tak prostego jak przeszczep, ofiarowałbym część własnego ciała, gdybyś sobie tego zażyczyła. Dziecko Susan żyje. Mogło być o wiele gorzej. Nic z tego, co się stało, nie jest twoją winą. Nie możesz brać wszystkiego na swoje barki!

– Wcale nie próbuję. Staram się jakoś z tym pogodzić. O Boże, Cary, tak bardzo boję się umrzeć!

– Czy nie sądzisz, że każdy czuje podobnie? Na przykład ja. Sama myśl o tym, że opuszczę świat i nie będę miał cię przy sobie, sprawia, że tracę grunt pod nogami. Wiem, że podobno mężczyźni nie powinni

przyznawać się do czegoś takiego, ale ja tak właśnie się czuję. Jesteś całym moim życiem, Amelio. Gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj i nie robiłbym tego, co robię.

Amelia odsunęła się, wołając z wyrzutem:

– Nie chcę od ciebie wdzięczności!

– Do ciężkiej cholery, Amelio! Jestem ci wdzięczny! Ale to tylko cząstka moich uczuć! Czemu walczysz ze mną? Nie mieliśmy żadnych problemów, dopóki tu nie przyjechaliśmy. Może to był błąd? Może nie nadaję się do tego przedsięwzięcia? Zrobiłem to dla ciebie. Dla nas.

Amelia uparcie zamykała uszy na wyjaśnienia Cary’ego. Już nieraz to wszystko słyszała! Dlaczego nie wspomniał o Eileen? Przecież to właśnie Eileen ją niepokoiła! Czy on tego nie pojmował? Jeśli znał ją tak dobrze, jak mówił, powinien wiedzieć, co ją dręczy!

– Kiedy wyjeżdżasz do Nowego Jorku?

– Jutro rano – odparł z westchnieniem Cary. Nie mógł już dłużej zwlekać z wstawaniem, bo spóźni się do biura.

Amelia nie miała ochoty wychodzić z łóżka. Co z tego, że było późno? Kierownik robót miał klucz do domu i mógł wpuścić robotników. Cary martwił się o nią. Ona niepokoiła się o Cary’ego. Do czego to ich doprowadzi?

Spuściła nogi z łóżka i narzuciła cytrynowo-zielony szlafrok i domowe pantofelki w tym samym kolorze, a potem przeczesła włosy.

– Będiesz bardzo zajęty w Nowym Jorku? – zawołała przez uchylone drzwi łazienki.

– Raczej tak. Ale wieczory chyba będę miał wolne. Przynajmniej niektóre. Może zmienisz zdanie i odwiedzisz Piątą Aleję?

– Nie, pomyślałam, że może polecimy razem i udam się do Vermont zobaczyć Billie. Chyba mogę odłożyć prace wykończeniowe w moim domu na później. Dołączyłabym do ciebie ostatniego dnia i poszlibyśmy razem do teatru czy coś w tym rodzaju. Nie chcę ci

przeszkadzać w pracy. – Obserwowała bacznie jego reakcję na tę propozycję. Wyglądało na to, że jest zachwycony.

– To wspaniały pomysł! Zadzwoni do Billie i powiedz, że przyjeżdżasz, zanim jeszcze wyjdę; będę wtedy pewny, że czeka cię udany dzień. Musisz zamówić bilety. Albo polecę Eileen, żeby to zrobiła za ciebie.

– Sama się tym zajmę. Tak, ja też uważam, że to świetny pomysł. Muszę odpocząć. Moglibyśmy zaprosić na obiad Sawyer i Adama, jeśli ona będzie się dobrze czuła. Zapakuję wieczorową suknię.

– Grzeczna dziewczynka! A co ty na to, żeby zostać jeszcze trochę dłużej i urządzić sobie czwarty miesiąc miodowy?

Amelia zachichotała. Może uda im się wyjść na prostą? Po drodze na dół oboje, Amelia i Cary, zajrzeli do pokoju dziecinnego. Susan tuliła swoje dziecko z niezbyt przytomnym wyrazem twarzy.

– Jessie zasypia, zanim odbije jej się po jedzeniu. Zabieram ją dzisiaj do lekarza. Jest cudowna, prawda?

Amelia zamrużyła oczyma. Wszystkie niemowlęta wyglądały dla niej jak stworki nie z tego świata. Ale mała Jessica była inna: różowitka i śliczna, z usteczkami wysuniętymi, jakby spodziewała się drugiej porcji papu. Miękkie jak puch włoski sterczały na jej główce we wszystkie strony. Cary roześmiał się, starając sieje przyglądać:

– Ma czuprynkę jak jeź!

– Jadłaś już śniadanie? – spytała Amelia.

– Skądże znowu! Jessie ma pierwszeństwo. Muszę ją najpierw przebrać od stóp do głów. Kiedy jest już gotowa, zabieramy się do jedzenia. Je bardzo wolno i całe wieki trwa, zanim się jej odbije. Schodźcie na śniadanie. Przyjdę później.

Cary, który już był spóźniony, szybko wypił filiżankę kawy i wyszedł. Amelia grzebała w jajecznicy i obserwowała Maggie pochłaniającą naleśniki.

– Jakim cudem tak się opychasz i nie przybywa ci na wadze? – mruzczała. – Rzadko jadam lunch. Śniadanie to mój najpożywniejszy posiłek w całym dniu. I przybywa mi, nie miej złudzeń! Jak tam twój dom?

– Prawie wykończony. Cary wyjeżdża jutro w interesach do Nowego Jorku. Polecę razem z nim i udam się na parę dni do Vermont, do twojej matki. A potem spędzę kilka dni z Carym i w drodze powrotnej zrobię zakupy. Chyba zabierzemy Sawyer gdzieś na obiad, jeżeli będzie się dość dobrze czuła.

– To wspaniały pomysł! Mama bardzo się ucieszy z twojej wizyty. Jesteś chyba jej najserdeczniejszą przyjaciółką.

Amelia czekała, że usłyszy coś na temat Sawyer. Kiedy Maggie zabrała się znowu do naleśników, Amelia odstawiła filiżankę z kawą.

– Słuchaj, wiem, że to nie moja sprawa, ale doprawdy nie rozumiem, jak możesz być w stosunku do Sawyer taka... taka strasznie... nie umiem tego nawet określić.

Maggie odsunęła od siebie talerz z napoczętymi naleśnikami.

– Chcesz pewnie powiedzieć: gruboskórna? Rzeczywiście, to nie twoja sprawa, ale nie szkodzi. Jesteśmy rodziną. Pewnie naprawdę taka ci się wydaje. Od bardzo dawna nauczyłam się ukrywać swoje uczucia. Ale nie jestem ich pozbawiona. Teraz na przykład myślę o tym, co mogłabym dla niej zrobić, jeśli to okaże się możliwe.

Powinam ci chyba powiedzieć coś więcej. Napisałam do Randa, że popełniłam błąd, skłaniając go do odjazdu. Kocham go, Amelio, i on mnie kocha. Mama pomogła mi zrozumieć, że należy sięgać po szczęście, które można zdobyć. I zrobię to, tak mi dopomóż Bóg! Jeśli mnie za to potępisz, w porządku. Zrozumiem.

Amelia rozgrzebywała jajecznicę. Kiedy wreszcie spojrzała na Maggie, oczy jej były pełne łez.

– Twoja matka miała słuszość. Masz prawo do szczęścia. Przykro

mi, że mówiłam coś wręcz przeciwnego. Gdyby to ode mnie zależało, wszyscy na świecie byliby tak szczęśliwi i zakochani jak Billie i Thad. Albo ja i Cary – dodała po namyśle.

– A Sawyer er? – Maggie wolałaby, żeby jej głos nie był taki zduszony i cichy.

– Chyba znam Randa lepiej niż ktokolwiek na świecie. Jestem pewna, że nie wygrywałby ciebie przeciw Sawyer. Podjął decyzję już dawno temu, o ile wiem, ubiegłej wiosny. Wszyscy chyba myśleliśmy... wszyscy pragnęliśmy, żeby się pobrali. Ale Rand tego nie chciał. Komu z nas wolno ferować wyroki? Każdy, kto żyje na tym świecie, ma prawo do szczęścia.

– Ale nadal masz mi wiele do zarzucenia, prawda?

Amelia nasmarowała grzanekę, której wcale nie zamierzała zjeść.

– Jesteś bardzo podobna do mnie, takiej, jaką byłam w młodości. Tamte czasy, minęły i ty także powinnaś zostawić je za sobą. Co mi się w tobie nie podoba, to obojętność w stosunku do twojej matki. A teraz także w stosunku do Sawyer. Moja matka zmarła, zanim mogłam wynagrodzić jej te moje okropne, zbuntowane lata. Ty masz przynajmniej szansę naprawienia stosunków z Billie. A to, co zrobisz albo czego nie zrobisz dla Sawyer, pozostawi ślad na całym twoim dalszym życiu. Nikt z nas nie może ci w tym pomóc, tylko ty sama.

Maggie uśmiechnęła się.

– To było przynajmniej szczere. Cieszę się, że odbyliśmy tę rozmowę. Zaczęłam podejrzewać, że mnie unikasz.

– W pewnym sensie tak było. Nie lubię myśleć o tamtych odległych dniach. Nienawidzę otwartych konfliktów: przeżyłam ich tak wiele. Przychodzi czas, gdy człowiek musi popatrzeć życiu prosto w twarz i pogodzić się z sytuacją. Takie sondowanie własnej duszy to coś nie dla słabeusza.

– Nie musisz mi tego mówić – uśmiechnęła się Maggie. – Co

sądzisz o małej Jessie? Czy nie jest cudowna? Ubóstwiam lulać ją i dawać jej wodę z butelki.

– Jeszcze jedna! Ty i Susan ze szczętem rozpuścicie tego dzieciaka.

– Susan dobrze to wszystko znosi. Lekarze powiedzieli jej, jak ma postępować z Jassie; będzie musiała wozić ją na zabiegi. Udało mi się wyszukać dla Susy trochę materiałów do przestudiowania. Susan jest mocna, Amelio. I szczerza, kiedy mówi, że sama wychowa swoje dziecko. Wiesz, napisała do Jerome' a zaraz po urodzeniu małej. Przesłała list na ręce ich dawnego menedżera. Powiedziała, że Jerome ma prawo wiedzieć o dziecku; całkiem słusznie, tylko trochę się boję, z czym on może wyskoczyć.

– Jeśli sobie wyobrażasz, że Jerome zatroszczy się o dziecko z wrodzonym kalectwem, zapomnij o tym! Rozwiodą się i nie ujrzymy już Jerome'a na oczy. – Powiedziała to śmiało, ale zdawała sobie sprawę, że to nieprawda. Prędzej czy później Jerome się pojawi i narobi kłopotów. Czują to przez skórę.

Po wyjściu Amelii Maggie pozostała przez dłuższą chwilę przy stole. Miała wiele zajęć, ale tego ranka jakoś nie mogła się pozbierać, nie potrafiła opędzić się myślom. Amelia i Cary. Cranston i Cole. Sawy er... Rand.

Dlaczego Rand nie zadzwonił albo nie napisał? Minęło już tak wiele czasu. Wiedziona impulsem przeniosła telefon z kredensu na stół i zadzwoniła do Anglii. Oczekwała piętnaście sygnałów, zanim odłożyła słuchawkę.

Cary był tak wesolutki, że Amelia miała ochotę zgrzytać zębami. Nie cieszyła jej perspektywa podróży ani oczekiwania w porcie lotniczym Kennedy'ego na lot do Vermont.

– Jeśli się nie pośpieszysz, Amelio, spóźnimy się na samolot. Co się stało?

– Moje włosy – odparła krótko Amelia. – Powinnam je podciąć, ale nie było czasu.

– Wyglądasz prześlicznie. Chodźmy już. Eileen właśnie podjechała pod dom.

– Eileen? – Ręka Amelii ze szczotką do włosów zawisła w powietrzu.

– Tak, Eileen. Zostawi samochód na lotnisku. No chodź, naprawdę musimy się pospieszyć. Wezmę twój płaszcz, a rzeczy są już na dole.

– Dlaczego Eileen zawozi nas na lotnisko?

– Bo leci z nami. Sherman uznał, że będzie prościej, jeśli i ona pojedzie: nie trzeba będzie wynajmować na ten czas jakiejś dziewczyny do robienia notatek, a potem czekać, aż papiery tu dotrą. Eileen świetnie sobie ze wszystkim poradzi. Nie wspomniałem ci o tym?

Amelia pieniała się ze złości, idąc za mężem po schodach. Ona poleci do Vermont, a Cary zostanie w Nowym Jorku z Eileen! W głowie jej huczało i czuła, jak czoło pokrywają krople potu.

Przez całą drogę Eileen wesoło paplała. Nigdy jeszcze nie była w Nowym Jorku, tyle chciała zobaczyć, tyle rzeczy miała zamiar kupić!

– Myślałam, że jedzie tam pani, żeby pracować – zauważyła Amelia zimno.

– Tak, ale będę miała wolną godzinę na lunch, a niektóre sklepy są otwarte także wieczorem. Cary obiecał mi wolną sobotę.

Cary czuł lodowaty chłód wiejący od żony. Jezu, nie mogła przecież... A jednak właśnie o to go podejrzewała! Tak więc wygląda jej zaufanie do niego? Poczul się urażony, a potem zły. Od początku prosił, żeby z nim pojechała, ale dla niej dom był ważniejszy! Potem wpadło jej do głowy, że odwiedzi Billie. Te baby! No cóż, niech się dusi we własnym sosie przez jakiś czas: wyjdzie jej to na dobre. Może potem zrozumie, jaka była niemądra.

– Dlaczego mnie nie zostawicie przy wejściu? – powiedziała

Amelia. – Muszę odebrać bilet. Jeśli dasz mi swój, Cary, mogę zgłosić, że wy też już jesteście.

– Eileen, masz nasze bilety?

– W torbie. To ładnie z pani strony, pani Assante. Mogę mieć kłopoty z zaparkowaniem wozu i dobiec w ostatniej chwili. Nie mamy wiele czasu, choć podjechałabym punktualnie – dodała usprawiedliwiając się. ■

– Nikt ci nie robi wyrzutów. To wina Amelii – powiedział Cary cierpkim tonem. – Nie powiedziałaś mi, że ktoś po nas podjedzie. W ogóle wielu rzeczy mi nie powiedziałaś. Myślałam, że mamy zamówioną limuzynę na lotnisko. Kiedy Martin nas odwozi, nie musimy się martwić o miejsce do parkowania. Zostań z panną Farrell. W razie gdybyście spóźnili się na ten lot, będzie wam różniej we dwójkę lecieć następnym. Jeśli tak się stanie, zostawię twój bilet w kasie. Tu wysiądę. Proszę mnie wypuścić.

Cary wysiadł z wozu i podbiegł otworzyć drzwiczki dla Amelii. Spojrzała na niego tak, że omal nie zamienił się w bryłkę lodu. Kątem oka dostrzegł, jak Eileen szuka czegoś w torebce. Uśmiechała się. Amelia cierpliwie czekała na swoją kolejkę. Była pogodna. Podała bilety Cary’ego i Eileen i miała nadzieję, że zaraz otrzyma swój.

– Wygląda na to, że zaszła jakaś omyłka – powiedziała z wahaniem młoda przedstawicielka linii lotniczych. – Panna Farrell i pan Assante siedzą obok siebie. Wcześniejsza rezerwacja – dodała w formie wyjaśnienia. – Pani ma osobne miejsce dla palących. Czy życzy sobie pani, żebym dokonała zamiany miejsc?

– Ależ skądże. Czy polecimy o czasie?

– Samolot jest już na stanowisku. Prawdę mówiąc, pasażerowie wchodzą na pokład. Nie zostało pani wiele czasu.

Amelia miała ochotę mocno w coś kopnąć. Rozejrzała się dookoła, czy nie dojrzy swego męża.

Chyba nie zdążą już na ten lot – powiedziała, przez zaciśnięte zęby.

– Pani też się spóźni, jeśli pani nie podbiegnie. Następny lot jest całkowicie wykupiony. Radzę pani pospieszyć się z zajęciem miejsca i zostawić tamte dwa bilety w kasie.

Amelia wsiadła do samolotu jako ostatnia pasażerka. Za zasłoną ciemnych okularów przepłakała całą drogę do Nowego Jorku. Łzy nadal ciekły, gdy zajmowała miejsce w samolocie lecącym do Vermont.

Cary i Eileen zebrali wszystkie papiery i wepchnęli je byle jak do aktówek. Cary’emu spieszyło się do hotelu: chciał zorganizować dla siebie i Amelii obiadek we dwoje w pokoju hotelowym. Spędzą razem dzisiejszy wieczór i jutrzejszy dzień we wnętrzu Wielkiego Jabłka. Był podniecony jak licealista na drugiej randce.

Strasznie brakowało mu Amelii! Czuł się jak ostatnia świnia, gdy się spóźnili na samolot. Jego telefony do niej w ciągu następnych kilku dni nie były zbyt udane: załatwiał je w biegu lub zbyt był zmęczony, żeby specjalnie się wysilać.

Chyba tylko po to, żeby nie wyobrażała sobie Bóg wie czego. Ale i tak była pełna podejrzeń; poznał to po tonie jej głosu.

– Chyba mam już wszystko, Cary powiedziała Eileen zachrypniętym głosem.

– Odwieziemy cię do hotelu i wezwiemy doktora. Wystarczy spojrzeć na ciebie, żeby zobaczyć, że masz gorączkę. Powinnaś była zostać dziś w łóżku. Cały czas kichałaś i kasłałaś. Nie dziwiłbym się, gdybyś dostała zapalenia płuc.

– Może zapalenia oskrzeli, ale nie płuc! Zażyję aspirynę i wszystko będzie dobrze. Nie znoszę jak się ktoś nade mną roztkliwia! – oświadczyła. (Roztkliwiaj się nade mną, martw o mnie, przytul mnie – miała ochotę krzyczeć. – Powiedz, że będziesz się mną opiekował!).

– Ktoś powinien się o ciebie zatroszczyć. Ładny byłby ze mnie

pracodawca, gdybym o ciebie nie dbał. Jesteśmy w obcym świecie. Musisz koniecznie wziąć gorącą kąpiel przed pójściem do łóżka. Amelia mówi, że to najlepszy środek na wszystkie przeziębienia.

– Z pewnością Amelia ma rację. Ona zna się na wszystkim, prawda?

– Bez wątplenia. Wie wszystko o wszystkim. Potrafi dać sobie radę w każdej sytuacji.

W ciepłym wnętrzu taksówki Eileen przysunęła się do Cary'ego bliżej niż to było konieczne; skarżyła się na dreszcze.

– Wiesz, czego w tej chwili pragnę ponad wszystko w świecie?

– Czego? Tylko mi nie mów, że karty kredytowej naszego przedsiębiorstwa! – zaśmiał się Cary.

– Tego oczywiście też. Ale marzę o porządnym, gorącym grogu. Nie piłam go od lat. Wiesz, takim, który mama ci przyrządzi, gdy czujesz się fatalnie. To nie znaczy, że jestem taka znów chora!

– Mylisz się. Czuję, że jesteś cała rozpalona. Masz gorączkę, wezwę lekarza. Muszę się upewnić, że z tobą wszystko w porządku, zanim będę się mógł cieszyć w najlepsze wieczorem towarzystwem Amelii. Kiedy powiem, jak jesteś chora, na pewno uzna, że postąpiłem słusznie.

– Nie byłabym tego taka pewna! – mruknęła Eileen po nosem.

Wysiadła z taksówki na uginających się nogach. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, że jest naprawdę chora. Może wizyta lekarza nie była takim najgłupszym pomysłem? Przynajmniej da jej antybiotyk i będzie miała cały weekend na wyleczenie przed powrotnym lotem w poniedziałek. Żałowała, że nie ma nikogo, komu by na niej naprawdę zależało i kto siedziałby przy niej i trzymał ją za rękę. Cholera, świetny sposób spędzania czasu w Nowym Jorku!

Cary schwycił obie teczki i pomógł Eileen przejść przez hall do windy.

– Zabieram cię od razu do twojego apartamentu. Nie wyjdę, zanim nie będziesz w łóżku, a doktor w drodze.

– Dzięki, Cary. Twoja żona to prawdziwa szczęściara!

– Ciągle jej to powtarzam, ale mnie nie słucha. – Cary ukradkiem spojrzął na zegarek. Samolot Amelii przylatuje za pół godziny. Musi pospieszyć się, żeby przygotować wszystko na jej przybycie.

– Wskakuj do łóżka, a ja załatwię kilka telefonów.

Urzędnik w recepcji zapewnił go, że lekarz zbada pannę Farrell za pół godziny. Cary zamówił gorący grog dla Eileen i obiad na dziewięąt dla siebie i Amelii. Potem wykonał dwa telefony do Teksasu i jeden na lotnisko, żeby upewnić się, że samolot Amelii przylatuje punktualnie. Nie miał opóźnień. Znalezienie taksówki o tej porze w samym centrum miasta trwałoby co najmniej trzy kwadranse; mógł więc równie dobrze zostać na miejscu i poczekać na doktora. Ostatni telefon do hotelowej kwiaciarni: duże bukiety róż i stokrotek do pokoju 1012. Ulubione kwiaty Amelii.

Kiedy przyniesiono grog, Cary dał kelnerowi napiwek i zaniósł tackę do pokoju Eileen. Kiedy wypięła pierwszy łyk, rozległo się znowu stukanie do drzwi.

Cary wprowadził doktora do sypialni Eileen i dyskretnie wycofał się do salonu. Popijał szkocką z wodą, gdy zadzwonił telefon. Po trzecim sygnale Cary podniósł słuchawkę. – Hallo! – Ponieważ nikt nie odpowiadał, po chwili odłożył ją.

Doktor wyszedł z sypialni po dziesięciu minutach. Był to okrągłutki, pulchny człowieczek o bardzo rzeczowym sposobie bycia.

– Młoda dama ma ostre zapalenie oskrzeli. Dałem jej zastrzyk i zostawiłem antybiotyk. Za kilka minut zaśnie. Byłoby dobrze, gdyby postarał się pan o niewielki inhalator: pozwoliłoby jej to lżej oddychać. Powinna zażywać antybiotyk cztery razy dziennie. Za kilka dni wróci do zdrowia. Zostawię rachunek w recepcji. Jeśli pan sobie życzy, sam

zajrę do apteki i polecę, żeby przysłano tu inhalator.

– Będę bardzo wdzięczny – odparł Cary.

Musiał poczekać jeszcze pół godziny, zanim dostarczono inhalator. Zainstalował go na toalecie, sprawdził jeszcze raz, że u Eileen wszystko w porządku. Zgasił światła, zostawiając tylko lampę w łazience na wypadek, gdyby Eileen obudziła się i nie wiedziała, gdzie się znajduje. Sprawdził, czy karafka z wodą jest pełna, i ustawił szklankę na nocnym stoliku tuż obok lekarstw.

Teraz miał już czas dla żony. Nie mógł się wprost doczekać!

Króciutka wizyta u Billie skończyła się po dwóch dniach i Amelia znalazła się na lotnisku Kennedy’ego późnym popołudniem. Weszła do cocktail-baru, starając się podjąć decyzję, czy dołączyć do Cary’ego, przebywającego w Hyatt Hotel, czy też wrócić do Teksasu lotem o siedemnastej. Wiedziała, że była uparta i niemądra. Przecież miała zaufanie do Cary’ego: naprawdę mu wierzyła. Nie ufała tylko tej Eileen! Musi odejść, żeby Amelia znów poczuła się bezpieczna.

– A co będzie z innymi podobnymi do niej dziewczętami? – spytała Billie. – Nie możesz odgradzić go od kobiet, Amelio. Jeżeli, co mało prawdopodobne, bo nie przypuszczam, żeby Cary cię kiedykolwiek zdradził, ale jeżeli coś takiego się przydarzy, będziesz mogła mieć o to pretensję wyłącznie do siebie. To ty go do tego doprowadzisz!

Billie miała słuszość – pomyślała Amelia sącząc brandy Alexander. Tyle że Billie nigdy nie widziała Eileen Farrell. Nawet Thad by się za nią obejrzał! A Thad to wzór męża absolutnie wiernego żonie: mógłby popatrzeć, ale z pewnością by nie ruszył. Lecz ona nie знаła Cary’ego przez całe życie, tak jak Billie Thada.

Amelia zamówiła drugiego drinka i spojrzała na monitor wskazujący godziny odlotów, dobrze widoczny z jej stołka przy barze. Miała dwadzieścia minut, jeśli chciała zdążyć na lot do Austin – jeżeli

rzeczywiście tego chciała... Albo całą resztę dnia na to, żeby wezwać taksówkę i pojechać do Hyatt Hotel. Szybko dopiła drinka, zapłaciła i pospieszyła do informacji, gdzie dowiedziała się, że nastąpiło dziesięciminutowe opóźnienie. Akurat dosyć czasu na to, żeby zadzwonić do hotelu i zostawić wiadomość dla Cary'ego. Niech się dręczy!

Uzyskała numer w informacji. Wrzuciła monetę do automatu, zatelefonowała do hotelu i poprosiła o połączenie z apartamentem Cary'ego Assante. Telefon nie odpowiadał. W końcu odłożyła słuchawkę i zadzwoniła do hotelu jeszcze raz, tym razem prosząc o połączenie z pokojem panny Eileen Farrell. Po trzecim sygnale ktoś podniósł słuchawkę i usłyszała, jak jej mąż mówi „hallo”. Gdy odkładała słuchawkę, palce miała zupełnie lodowate, mimo rękawiczek.

Drobnych w portmonetce wystarczyło na trzeci telefon do recepcji hotelu. Wiadomość, którą zostawiła, była bardzo krótka: „Pani Assante wraca do Austin”.

Cary patrzył na piękne kwiaty. Potem spojrzął na zegarek i zorientował się, że Amelia powinna już być od dwóch godzin. Gdzieś w głębi serca wiedział, że się tu, nie zjawi. Nagle przyszło mu do głowy zapytać w recepcji, czy nie ma dla niego jakichś wiadomości.

– Tak, proszę pana, zostawiono dla pana wiadomość. Boy właśnie jest w drodze do pana pokoju. Byliśmy bardzo zajęci i nie mogliśmy przekazać jej wcześniej; najmocniej przepraszam.

Cary otworzył, dał napiwek boyowi i przeczytał wiadomość, zanim jeszcze zamknął drzwi. Tamten telefon w pokoju Eileen – to była Amelia. Miał ochotę wybuchnąć płaczem.

O dziewiątej zastukano do drzwi i Cary nie odważył się powiedzieć kelnerowi, żeby zabrał obiad z powrotem. Przyglądał się, jak wszystko wnoszono do pokoju.

Jak bardzo podobałaby się Amelii ta ceremonia! – pomyślał. Sięgnął po ogromną butlę szampana spoczywającą w srebrnym wiaderku. Dlaczegoż by nie, do cholery ty?! Kogo to obchodziło?

Amelia Coleman Assante przespalała tę noc na podłodze w domu swojej matki, owinięta w sobolowe futro. Spała głębokim, pozbawionym marzeń snem pokonanych.

Rozdział siódmy

Kiedy Cary wrócił z Nowego Jorku, w Sunbridge panowała napięta atmosfera. Amelia uprzejmie wysłuchiwała jego sprawozdania z podróży, nawet nie mrugnęła okiem, słysząc o ciężkiej chorobie Eileen – tak ciężkiej, mówił Cary, że potrzebował jej – Amelii – pomocy w biurze, gdyby mogła znaleźć na to czas. W głębi duszy Amelia była uradowana i zgodziła się pomagać, dopóki Eileen nie będzie w stanie wrócić do pracy.

– Będziesz odbierać telefony, kochanie. Wszystkie inne sprawy załatwi Eileen, kiedy znowu stanie na nogi.

Cary wyglądał na tak nieszczęśliwego, tak wyczerpanego, że Amelii zrobiło się go żal... przez chwilę. Może powiedział jej prawdę? Czas pokaże. Nie miała jednak najmniejszego zamiaru udać się na górę i kochać się z nim, jakby nic się nie stało. Czuła się zbyt zraniona i obolała.

Przywołując z trudem uśmiech na wargi powiedziała pogodnie:

– Połóż się, kochany. Wyglądasz na zmęczonego. Mam różne papiery i rachunki do przejrzania. Cóż, nie było mnie przez trzy dni. Poza tym obiecałam Susan, że z nią porozmawiam. Chce, żebym udzieliła jej pomocy w sprawie małej Jassie. Chyba ma zamiar założyć jakieś stowarzyszenie czy klub rodziców mających dzieci z rozszczeniem kręgosłupa.

Cary skinął głową czując się jak uczeń karany za Bóg wie jaką winę. Poszedł na górę bez słowa.

– Do cholery! – myślała Amelia z urazą. – Czemu nie starał się mnie przebłagać, ani trochę? Zdumiewająco łatwo zaakceptował powody nie pozwalające jej na udanie się do łóżka. Prawda była taka, że sama Amelia czuła się zbyt zmęczona i spięta na to, by myśleć logicznie. Jeżeli kiedykolwiek była odpowiednia pora na drinka i jointa,

to w tej właśnie chwili. Gabinet wydał się jej równie mroczny i pusty jak własne myśli. Mogła tu zostać do rana, a nikt by się nawet nie zorientował.

Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek przedtem czuła się tak podle i tak samotnie. To pierwsza poważna kłótnia z Carym od chwili ślubu. Może powinna powiedzieć mu dokładnie, co czuje? Jej obawy mogły być niemądre i nieuzasadnione, ale mimo wszystko niszczyły ich wzajemne stosunki. Czy nie lepiej wyjaśnić wszystko otwarcie?

Amelia zapaliła jointa, kupionego od jednego z młodych robotników. Miła trawka – tak określił ją młody człowiek. Prosto z Kolumbii. Amelia mocno się zaciągnęła i wygodnie oparła. Jej napięcie zelzało prawie natychmiast. Czuła się jak na rauszu... Zachichotała zastanawiając się, czy zamknęła drzwi od gabinetu, chociaż – jakie to miało znaczenie? Stała się nagle kimś zupełnie innym niż dotychczas i cieszyła się każdą chwilą.

Była piąta rano, gdy Amelia spadła z obłoków na ziemię. W całym pokoju cuchnęło marihuaną. Jednym haustem wypła dobrze rozwodnionego drinka i uchyliła okno na jakieś dwa cale. Potem opuściła gabinet, zamykając za sobą drzwi, i weszła na górę. Prysznic i zmiana ubrania powinny dobrze jej zrobić. Dzisiaj ma zastąpić Eileen Farrell.

Cary do trzeciej czekał, że żona położy się do łóżka. Postanowił nie szukać jej ani nie błagać o jej łaski – przecież byli małżeństwem, na litość boską! Kiedy wreszcie usłyszał, jak Amelia wślizguje się do pokoju, rzucił okiem na zegarek stojący na nocnym stoliku. Jezu, był już prawie dzień! Amelia udała się prosto pod prysznic. Gdy Cary zdecydował, że pójdzie tam za nią, usłyszał, jak zamyka siew łazience na klucz.

Dwie minuty po tym, jak zadzwonił budzik, Amelia wyszła z łazienki. Cary zauważył, że była świeżo umalowana, ale oczy jej nie

miały blasku. Czuł się podle. Jeżeli nie uda się jakoś temu zaradzić, czekają ich poważne kłopoty.

– Dzień dobry, dziecinko – powiedział serdecznie. – Brakowało mi ciebie ubiegłej nocy.

– Spałam na dole. Chyba po prostu się zdrzemnąłam, a potem pomyślałam, że nie powinnam ci przeszkadzać wchodząc na górę, więc spędziłam resztę nocy na kanapie.

– Sama?

– W pewnym sensie. Wypaliłam jointa i wypijałam jeden czy dwa drinki. – Z wyzwaniem w głosie dorzuciła: – Bardzo mi to było potrzebne! – A co z Susan i planami, do których chce cię włączyć? Amelia spojrzała na męża.

– Rozmyślałam się. Doszłam do wniosku, że muszę być sama. Z pewnością potrafisz to zrozumieć. Zjem coś na śniadanie. Będę gotowa, kiedy tylko będziesz chciał wyjechać.

Cary zamrugnął oczyma, gdy drzwi zamknęły się za jego żoną. Boże świąty! – pomyślał wypowiedziała mi otwartą wojnę! Nasz pokój to pierwsza linia frontu, a ja dostanę się krzyżowy ogień, jeśli cholernie szybko nie opanuję sytuacji.

Wziął prysznic w rekordowo krótkim czasie, prawie jeszcze nie poczuł wody na ciele, gdy już spod niej wyskoczył i narzucił ubranie. Dwa razy zaciął się przy goleniu i przykleił kawałeczki bibułki na krwawiące ranki. Teraz już nie tylko czuł się jak ofiara wojny, ale nawet na nią wyglądał.

Amelia zazwyczaj krzątała się przy śniadaniu, biorąc coś z potraw stojących na kredensie i smarując grzanki masłem. Tego ranka jednak nie wstawała z miejsca, przeglądała lokalną gazetę i zadowolona się gorącą bułeczką.

– Co nowego w Crystal City? – zagadnął wesoło Cary, zabierając się do jajecznicy.

– Niewiele. Prawdopodobnie będziemy mieli tego roku deszczową wiosnę. Związek Hodowców Bydła spotyka się w przyszłym tygodniu w sprawie jakiejś oferty gruntów. Canterbury Club organizuje zabawę taneczną w dniu św. Patryka. Bilety wstępu każdy po sto dolarów.

– Kup cały bloczek.

– Po co? – spytała Amelia składając gazetę na pół. Podała ją Cary’emu, ale zignorował ten gest.

– Chcę je wręczyć niektórym pracownikom. Nie sądzisz, że to dobry pomysł?

– Nie – odparła krótko Amelia. – Twój pracownicy nie będą mile widziani w Canterbury Club. Nie chcesz chyba postawić ich w niezręcznej sytuacji?

– Powiedziałas przed chwilą, że bilety są sprzedawane po sto dolarów. Chyba zależy im na tym, żeby się rozeszły?

– Oczywiście, że chcą je rozprzedać, ale tylko odpowiednim ludziom. Nie życzą sobie żadnej hołoty. To nie ja ustalę zasady: po prostu informuję cię, jak sprawy wyglądają.

Cary odłożył widelec.

– Informujesz mnie, że ciężko pracujący ludzie, którzy harują czternaście godzin dziennie, żeby utrzymać rodzinę, i nie mają wypielegnowanych rączek, nie zostaną wpuszczeni na imprezę, nawet jeżeli okażą któryś z tych kosztownych biletów. – Twarz Cary’ego miała ponury wyraz, a oczy były zimne i twarde. – Czy wyproszone by ich od razu przy wejściu?

– Oczywiście, że nie. Po prostu czuliby się skrepowani. Bardzo wątpię, czy którykolwiek z twoich ludzi wzięłby od ciebie bilet, a tym bardziej przyszedł na zabawę.

– Wobec tego na mnie też nie licz. Jeżeli ludzie, którzy zasuwiają dla mnie z robotą jak. wściekli, nie nadają się do jakiegoś towarzystwa, to i ja nie będę się w nim czuł swobodnie. A ty zrobisz, jak uznasz za

stosowne, Amelio. Już zjadłem. Jestem gotowy do wyjścia.

– Niemądrze się upierasz. Wiesz, jak tu sprawy stoją. Z całą pewnością tłumaczyłam ci to wystarczająco wiele razy. Nawet cię to bawiło.

– Owszem, zanim sprawa zaczęła mnie dotyczyć. Niedługo powiesz mi, że zapalają ogniste krzyże na swoich trawnikach i uganiają się w białych prześcieradłach. Nie stanę się jednym z was tylko dlatego, że się z tobą ożeniłem. Niczym się nie różnię od tych ludzi, harujących od rana do nocy. Nigdy nie prosiłem nikogo o wykonanie czegoś, czego sam nie byłem gotów zrobić. Wiedziałaś o tym, gdy wychodziłaś za mnie. Nie chcę być Colemanem! Ty zresztą też nie należysz już do nich.

Amelia nastroszyła się, zapinając palto.

– Nie wyładowuj się na mnie tylko dlatego, że dręczy cię poczucie winy. Jeżeli nie chcesz iść na tę zabawę, to nie chodź. Sama sobie kupię bilet. Mimo wszystko, należą do zarządu. Jeśli chcesz kłótni, możemy sprzeczać się o ważniejsze sprawy. Nie staraj się odciągnąć mojej uwagi, wywlekając jakieś idiotyczne problemy z zabawą. Jesteśmy trochę za starzy na takie głupoty.

– Mnie dręczy poczucie winy?! Mnie? Zejdź z tego, Amelio! Powiedziałem ci prawdę i nie mam zamiaru znowu do tego wracać. Nie ma tu żadnych podtekstów. Nigdy cię nie okłamywałem ani nie zdradziłem. I w głębi serca dobrze o tym wiesz. Więc, do diabła, jeżeli masz jakieś problemy sama ze sobą, to mam nadzieję, że szybko uporasz się z nimi, zanim zniszczysz nasze małżeństwo. Wsiadaj do auta, do cholery, bo już ruszam!

Amelia zeszywniała.

– Nie mów do mnie jak do jednego ze swoich roboli! Jestem twoją żoną! Nie pozwolę się tak traktować, Cary!

– Jeśli jesteś moją żoną, to żądam, cholera jasna, żebyś się

zachowywała jak żona! Mam już serdecznie dosyć tańcowania wokół ciebie, martwienia się, że powiedziałem coś nie tak, albo nie wtedy, kiedy należało! To ty wszystko spieprzyłaś!

Dojechali na teren budowy w milczeniu. Cary przez całą drogę był wściekły. Amelia siedziała zwinięta w żalospną kupkę, zła na siebie i na Cary'ego.

Mina Cary'ego była ponura, gdy krzątał się, włączając grzejniki i zapalając światła. Machnął rękaw stroną maszynki do kawy.

– Szybko się zagrzeje. Zrób kawy. Niektórzy pracownicy zachodzą tu od czasu do czasu i mogą mieć ochotę na coś gorącego do picia. Postaraj się, żeby zawsze była pełna. Czy wiesz, jak działa taka centralka telefoniczna?

– Wiem. – Obserwowała jego spojrzenie: skierowało się najpierw na błyskające światelka, a potem na jej włosy. Co w nich dojrzał? Zateśkniła za dyskretnym oświetleniem ich sypialni. Idź już! – wołała w myśli. – Idź sobie, żebym mogła zobaczyć, jak wyglądam w takim świetle, na litość boską, idź!

– Postaram się wrócić na lunch – powiedział Cary. – Zamów coś koło pierwszej. – Dobrze. Udanego dnia! Cary zawahał się przez chwilę.

– Tobie też życzę miłego dnia. Zobaczymy się później.

– Znajdziesz mnie tutaj. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, Amelia otworzyła puderniczkę. Obracała nią we wszystkie strony, chcąc koniecznie dojrzeć, co takiego zauważył Cary. Do diabła, lustro było za małe! Amelia zdjęła duże kwadratowe lustro ze ściany w łazience i zaniósła je na swoje biurko, a potem siadła przed nim i dokładnie się sobie przyjrzała.

Wyglądała okropnie! Makijaż był zbyt jaskrawy. Jej ciemne włosy rzucały bynajmniej nie dodające uroku cienie na twarz, a przedziałek ukazywał odrosty. Wystarczyłoby tylko dodać czerwony nos i mogłaby

występować w cyrku jako błazen!

Stojąc chwiejnie na obrotowym krześle, Amelia dosięgała górnego oświetlenia. Obluzowała dwie z jaskrawo świecących żarówek. Od razu poczuła się lepiej. Teraz, gdy pozbyła się tego ostrego światła, będzie jakoś w stanie przetrwać ten dzień. Spojrzała ponownie w lustro: wyglądała teraz lepiej, choć wyraźnie nie posłużyło jej kilka minut w pełnym blasku. Starzała się, i to japo prostu wykańczało.

W połowie ranka Amelia była znudzona do łez. Zadzwoiła do swego domu, porozmawiała z robotnikami i upewniła się, że wszystko idzie zgodnie z planem. Przejrzała papiery, załatwiła kilka telefonów, zmieniła terminy dostaw wykładzin do pokoi na piętrze i podłóżła roślinki Eileen. Przeczytała dwa rozdziały powieści Hermana Wouka, znudziło ją i odłożyła książkę do torebki.

Nadeszła i minęła pierwsza. Amelia zamówiła hamburgery i francuskie frytki z restauracji, znajdującej się przy drodze. Sam zapach wywołał w niej mdłości. Koło drugiej zaczęła przeglądać teczki, żeby zapoznać się z systemem, według którego pracowała Eileen.

W godzinę później świat Amelii nagle się rozpadł. Siedziała w osłupieniu, z niedowierzaniem patrząc na trzymane w ręku dokumenty. Jednym z nich był dowód wykupienia mieszkania spółdzielczego na nazwisko Eileen Farrell; drugim akt kupna nowego forda mustanga. Gdy dzwonił telefon, Amelia odebrała go automatycznie. Udało jej się nawet zanotować przekazywane wiadomości.

Jej ruchy były ociężałe i niezdarne, gdy powtórnie przeszukiwała wszystkie szafki. Kiedy znalazła to, czego szukała, usiadła i starała się powstrzymać łzy. Mieszkanie zostało wykupione w rzeczywistości przez Cary'ego Assante, ale kopia dokumentu przekazania własności głosiła, że Cary przekazał apartament Eileen Farrell za olbrzymią kwotę stu dolarów. Mustang został wykupiony za gotówkę; fotokopia rejestracji wozu i kwit sprzedaży opiewały na nazwisko Cary'ego.

Za piętnaście czwarta Amelia zdjęła słuchawkę telefoniczną z widełek i opuściła przyczepę. Pojechała do domu, spakowała rzeczy męża, zawiozła walizki do biura i ustawiła je porządnie obok siebie przy drzwiach. Zostawiła obciążające go dokumenty na niebieskim bibularzu na biurku. Słuchawka telefoniczna nadal leżała osobno rozlegał się w niej głośny sygnał. Amelia położyła ją na widełki i doprowadziła lampy na suficie do pierwotnego stanu.

Nie obejrzała się za siebie. Czasem się tak zdarza, że człowiek nie powinien oglądać się za siebie więcej niż raz.

Susan siedziała naprzeciw pediatry opiekującego się Jessie. Metalowa tabliczka na biurku głosiła, że urzęduje tu Ferris Armstrong, doktor medycyny. Susan lubiła lekarza i podobał się jej sposób, w jaki obchodził się z Jessie. Walił prawdę bez ogródek: ostrzegł ją uczciwie, jak wygląda sytuacja i co przyszłość może przynieść Jessie i jej samej. Zawsze jednak był pełen nadziei. Teraz jego chabrowe oczy mrugnęły z rozbawieniem, gdy Jessie głośno beknęła. Susan zarumieniła się.

– Nie nauczyła się jeszcze dobrych manier.

Lekarz roześmiał się, przeciągnął w obrotowym fotelu i ulokował nogi na biurku. Od czasu gdy Susan przyszła do niego z dzieckiem po raz pierwszy, zdążył ją polubić i przywykł do tego, że po zbadaniu Jessie zapominał o dystansie lekarz – – pacjent i odprężał się. Chętnie rozmawiał z Susan. Splatując swe długie palce z tyłu głowy przyglądał się czubkom butów na swoich długich nożyskach.

– Ma pani zamiar zostać w Teksasie czy wrócić do Anglii? – spytał.

– Zostanę tutaj. Mieszkam w Sunbridge z moją siostrą jak panu mówiłam, ale chcę postarać się o własne lokum. Posiadam dom, który podarowano mi przed wielu laty, teraz komuś go wynajmuję. Zastanowię się, czy się tam nie przenieść. Chcę mieć wielki ogród dla Jessie, dużo przestrzeni potrzebnej dla rozwijającego się dziecka. Bo

przecież będzie się rozwijała, prawda?

– Powiedziałem już pani wszystko, o czym powinno się wiedzieć, dałem pani broszury, książki i artykuły do przeczytania. Wie pani, że niczego nie ukrywałem. Musi pani zrozumieć, że *spina bifida* u każdego dziecka objawia się w rozmaity sposób. Prognozy co do przyszłości Jessie wyglądają bardzo optymistycznie. Dlaczego miałbym coś przed panią ukrywać? Wiem, jakie ogromne znaczenie ma dla pani Jessie; pragnę wszystkiego, co najlepsze: dla niej i dla pani.

Susan wydała westchnienie ulgi i usiadła swobodniej na swoim krześle. Jessie była przytulona do ramienia swojej mamusi.

– Nie mam żadnego powodu, by podejrzewać pana doktora o ukrywanie czegoś przede mną. Po prostu czasami czuję się zagubiona, zupełnie jakby Jessie była jedynym dzieckiem na świecie z wrodzoną wadą. Moja rodzina próbuje mi pomóc, ale nie mogą przecież odczuwać tego, co ja.

Ferris Armstrong spojrział na Susan ze współczuciem. Zwierzyła mu się, że jej małżeństwo się rozpadło; nawet nie znając szczegółów lekarz poczuł zdecydowaną niechęć do Jerome'a de Moray. Jessie potrzebowała ojca, a Susan – męża, kogoś, z kim dzieliłaby swe troski i ciężar wychowania dziecka.

– Skonsultowałam się z niektórymi osobami, których nazwiska dostałam od pana, panie doktorze; wie pan, z rodzicami innych dzieci z rozszczepieniem kręgosłupa. Chcemy stworzyć grupę wzajemnej pomocy. Ułatwi to wyszukiwanie informacji, organizowanie niewielkich spotkań i da po prostu okazję do rozmowy. Już teraz mi to pomaga, a mam nadzieję, że innym także. Chciałabym tu, na tym terenie stworzyć taką organizację.

Ferris uśmiechnął się.

– Popieram. Co dotąd udało się pani zrobić?

– Niewiele. Przychodzą mi do głowy rozmaite pomysły. Jessie to

jeszcze niemowlę, ale pan orientuje się w potrzebach innych, starszych dzieci z podobnym schorzeniem. Miałam nadzieję, że podsunie mi pan pewne sugestie.

– Bierze pani na siebie niełatwe zadanie. Jak raz się zacznie coś podobnego, trudno zrezygnować z tego w pół drogi. Niech pani będzie ostrożna: może pani zakłócić równowagę wielu ludzi, którzy i tak znajdują się w rozpaczliwej sytuacji. Wszelkie przedsięwzięcia tego rodzaju wymagają ogromnego zaangażowania.

– Wiem. Właśnie dlatego musiałam się porządnie zastanowić. Naradziłam się z moją siostrą i zgodziła się scedować na mnie część ziemi należącej do Sunbridge, gdzie mogłabym stworzyć ośrodek rehabilitacyjny. Wydaje mi się, że tego właśnie nam trzeba. Według tych rodziców, z którymi rozmawiałam, nasze dzieci specjalnej troski mają niewiele okazji, albo i wcale, żeby cieszyć się tym, co raduje normalne maluchy. Nie ma dla nich odpowiednich udogodnień. Ale na razie to tylko projekty. Jestem niezbitnie pewna tylko tego, że chcę, by Jessie korzystała jak najpełniej z życia oraz żeby przebywała w towarzystwie innych dzieci. Jeżeli pomagając jej pomogę także innym, tym lepiej!

– To bardzo chwalebny zamiar. – Ferris dosłyszał we własnym głosie nutkę podniecenia. – Będzie jednak wymagał znacznej sumy pieniędzy.

Susan zmarszczyła się.

– Niestety, to może stanowić prawdziwą przeszkodę. Czy ma pan doktor na myśli jakąś przybliżoną kwotę?

– Na pewno nie mniej niż sto tysięcy, a i to zaledwie na początek. Ale jeśli zajmie się pani zbiórką na ten cel, z radością ofiaruję swój wkład, gdy tylko przystąpi pani do pracy.

Susan była pod wrażeniem jego serdecznego uśmiechu; zdała sobie sprawę z tego, że ilekroć znajduje się w towarzystwie doktora,

niecierpliwie tego uśmiechu wyczekuje, żeby ogrzać się w jego ciepłe. Ferris Armstrong kochał swoją pracę i dzieci: Susan poznała to po sposobie, w jaki obchodził się z małą Jessie. Jego ręce były ogromne, o długich, wrażliwych palcach: mógł jedną dłonią objąć pupcię Jessie. Błękitne oczy doktora w jednej chwili były pełne współczucia, w następnej surowe, a za moment skrzyły się śmiechem. Susan przypuszczała, że doktor przekroczył zaledwie czterdziestkę; pewnego razu zapytała go o rodzinę i dowiedziała się, że nie ma nikogo bliskiego. Samotny, pociągający i wrażliwy. Myśl o tym sprawiała przyjemność Susan: poczuła, że się czerwieni.

– Podoba mi się pan, Ferris, to znaczy... panie doktorze! – wypaliła.

Ich oczy spotkały się i przez sekundę czuli powstałe między nimi napięcie i wahanie. Potem Jessie znów się odbiło i oboje wybuchnęli śmiechem.

– Zbiórka pieniędzy na pani fundację nie powinna stanowić problemu – odezwał się po chwili Ferris, spuszczać nogi z biurka i wbijając wzrok w Susan. – Słyszałem, jak pani gra. Trzy lata temu, w Los Angeles. Była pani wspaniała! Pod koniec koncertu wiwatowałem wraz z całym audytorium. Dlaczego nie pomyśli pani o zorganizowaniu tutaj koncertu? Jest pani prawdziwą sławą i cały Teksas zleci się, żeby pani posłuchać, tym bardziej że pieniądze wydane na koncert dobroczynny można odpisać od podatków. A dochód przekaże pani na rzecz fundacji. – Doktor wziął Susan za rękę. – Proszę nie odmawiać bez namysłu. Takiego talentu nie wolno chować pod korcem. Jessie może potrzebować bardzo wielu rzeczy, ale jej mamie też się coś należy. Niech pani się nad tym zastanowi!

– Chyba zabraknie mi czasu na ćwiczenie – powiedziała Susan z wahaniem – Trzeba by spędzać długie godziny przy fortepianie, a jestem stale potrzebna Jessie. Ale, oczywiście, pomyślę o tym.

– To dobrze. Chciałbym obejrzeć Jessie w przyszłym tygodniu.

Zadzwońię do pani podczas weekendu i powiem, co myślę o propozycjach, jakie mi pani podsunęła. Przede wszystkim skontaktuj ę się z kilkoma lekarzami, działającymi na tym terenie, i przekonam się, co sądzą o zorganizowaniu na świeżym powietrzu ośrodka rehabilitacji dla dzieci specjalnej troski. Jeśli od początku zdobędziemy ich poparcie, możemy potem liczyć, że przyłożą ręki do pracy. Łapie pani? – doktor przymrużył oko.

– A ino! – Susan znów wybuchnęła śmiechem. – Ale mam lepszy pomysł niż czekanie na pana telefon. Może pan doktor przyjdzie na obiad w sobotę wieczorem?

Oczywiście, jeżeli nie ma pan innych planów – dodała pospiesznie. – Mogłabym pokazać panu ten kawałek ziemi, który mi siostra chce przekazać.

Ferris szybko dokonał w myśli przeglądu swoich sobotnich zajęć, – Jestem wolny jak ptaszek – oświadczył pogodnie. – O której?

– Wcześniej, zanim się ściemni. Jeżeli przyjedzie pan po południu, a pogoda będzie ładna, możemy pojeździć konno.

– No to umowa stoi. – Doktor zrobił kilka hieroglificznych znaczków w notesie, wyłącznie na pokaz; dobrze wiedział, że nie zapomni o spotkaniu.

– Więc do zobaczenia w sobotę. Dziękuję bardzo, panie doktorze.

– Nie mogłaby pani mówić do mnie „Ferris”? A ja będę panią nazywał Susie, dobrze?

– Moja rodzina mówi do mnie Susy. – A ja wolę Susie.

Serce Susan trzepotało przez całą drogę do samochodu. Nigdy nie czuła nic podobnego! Nawet Jerome nie wprawiał jej serca w takie drżenie. Musi od razu opowiedzieć o tym Maggie!

– Wygląda mi to na randkę – stwierdziła z uśmiechem Maggie. – Czy on jest przystojny? Nie takie to w gruncie rzeczy ważne, ale

kobiety zawsze o tym najpierw myślą.

– Nie jest zabójczo przystojny, ale ma zupełnie niewiarygodne rzęsy! Bardzo mi się podoba, Maggie. Nie mogę wprost uwierzyć, że zdobyłam się na zaproszenie go na obiad. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? Przyjdzie wcześniej po południu. Mogłabyś popilnować Jessie, żebyśmy mogli pojeździć sobie konno?

– Oczywiście, że nie mam nic przeciwko, i rzecz jasna, że popilnuję Jessie. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę faceta, na którego widok moja siostra zamienia się w galaretkę! A co podamy na obiad? Jak myślisz, co mu będzie smakowało?

– Maggie, ja go prawie nie znam. Ale jeżeli ma się jakieś wątpliwości, można zawsze podać wołowe żeberka i jakiś frymuśny deser, prawda?... Może zbyt wiele sobie wyobrażam. Teraz na przykład rozmawiamy o tym jak o randce, a przecież wcale tak nie jest. Doktor przyjdzie, żeby korzystając ze swego zawodowego doświadczenia pomóc mi w zapewnieniu Jessie lepszych warunków życia. To prawda, że zaprosiłam go, bo mnie zainteresował, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Ale to nie znaczy, że moje uczucia są odwzajemnione.

– Susy, malutka, posłuchaj starszej siostry! Mężczyźni, a zwłaszcza lekarze, nie wychodzą tak daleko poza ramy zwykłych obowiązków, jeżeli nie są zainteresowani. Doktorzy mniej mają po prostu na to czasu! Jeśli trafi im się wolna chwilka, strzegą jej zazdrośnie. To oczywiście tylko moje zdanie, ale oparte na bogatym doświadczeniu!

– Mnie ono wystarczy w zupełności! Och, Maggie! Nie umiem wyrazić, ile dla mnie znaczy pobyt u ciebie! A był czas, kiedy myślałam, że nigdy nie staniemy się już sobie bliskie.

– Ja też – powiedziała cicho Maggie.

– Miałaś wiadomość od Randa? – Susan objęła siostrę ramionami.

– Nie – szepnęła Maggie. – Spapałam wszystko, Susy. Może wreszcie nauczę się rozumu.

Susan poznała po głosie, że Maggie jest bliska płaczu.

– Nie, nie mogę w to uwierzyć! Musi być jakieś wyjaśnienie! Rand jest ciągle w drodze; może gdzieś podróżuje. Kazałaś mu odjechać. Pewnie udał się dokądś lizać swoje rany. Nigdy nie prosi o odsyłanie mu korespondencji; zawsze czeka ona na jego powrót, nieraz po dwa miesiące. Mogłabyś zatelefonować do niego, wiesz?

– Próbowалам. Bez skutku. Prawdę mówiąc, nie wiem, co jest gorsze: obawa, że podniesie słuchawkę, czy strach, że jej nie podniesie? Nie, list jest najlepszym rozwiązaniem. Muszę to po prostu przeczekać. Dotąd nie mogę uwierzyć naleganiom mamy, żebym nie wyrzekła się Randa. Czy to cię zdziwiło?

Susan zastanowiła się.

– Nie, w gruncie rzeczy wcale nie. Mama zawsze życzyła sobie przede wszystkim tego, żebyśmy byli szczęśliwi, żebyśmy miały rodzinę. Popełniała przy tym błędy, tak samo jak my, ale uczyła się na nich. My też musimy tak postępować. Mama jest mądrą kobietą, Maggie. Jej aprobatą mogła uczynić cię szczęśliwą. Właśnie dlatego ci jej udzieliła.

– Żałuję, że nie poradziłam się jej, zanim odesłałam Randa. Nie wiedziałam. Byłam pewna, że zechcę opowiedzieć się po którejś stronie.

– Ty głupolu! Tak właśnie zrobiła: stanęła po twojej stronie! Wybrała ciebie, jeśli chcesz tak to ująć. Ale powinnaś wyrzucić z głowy myśl, że istnieje tylko alternatywa: ty albo Sawyer! Wcale tak nie jest.

– Zajmij się swoim maluchem; słyszę, jak płacze – powiedziała łagodnie Maggie. – Przemyślę to, co mi teraz powiedziałaś, w czasie przygotowywania przysmaków na sobotni obiad.

– Przepadam za brzoskwiniami w kruchym cieście, jeśli to ma jakieś znaczenie.

– Cole też je lubi. Wobec tego: brzoskwinie w kruchym cieście, i

już!

Zajmując się małą Jessie w dawnym dzieciennym pokoju Susan mogła stamtąd obserwować korytarz. Ze zdumieniem zobaczyła, jak jej ciotka Amelia wpadła do pokoju, który zajmowała wraz z Carym. Susan nadal się jej przyglądała i zdumiona ujrzała, gdy jakieś pięć minut później Amelia wypchnęła nogą na korytarz dwie duże walizki podróżne. Ogromna plastikowa torba, tego typu, jakiego używają sportowcy i gracze w kręgle, poszybowała tą samą drogą co walizki. Sztywno wyprostowane plecy Amelii świadczyły o jej rozdrażnieniu, a z ust wydobywały się dziwne dźwięki.

Stało się coś niedobrego! Susan poczuła, że przebiegły ją dreszcze. Kiedyś sama odegrała bardzo podobną scenę. Cary odchodzi, Amelia odchodzi – a może oboje? Gdzie była Maggie i chłopcy? Susan spojrzała na zegarek: czwarta, zbyt wcześnie, by chłopcy powrócili ze szkoły. Maggie jest pewnie u siebie w gabinecie lub jeździ konno.

Było piętnaście po piątej, gdy Amelia ponownie przemaszerowała korytarzem do swojego pokoju. Tym razem Susan wyraźnie ujrzała twarz ciotki. Była postarzała, pełna bólu i ściągnięta. A więc to Cary odchodzi – pomyślała Susan. – A może sam jeszcze nie wie o swojej wypowiedzi?

Susan z trudem skłoniła tulone w ramionach zawiniątko do czknięcia. Trwało to dłuższą chwilę, ale w końcu Jessie wywiązała się z obowiązku, a Susan wydała westchnienie ulgi. Ucałowała pokrytą puszką główkę, pomacała pieluszkę, a potem ułożyła maleństwo do snu. Kilka razy zakolebała kołyską, dla samej przyjemności, jaką sprawiała jej ta czynność, a potem wymknęła się, zostawiając uchylone drzwi.

Zastukać do Amelii czy nie? Susan przytknęła ucho do drzwi i usłyszała ciężki, rozpaczliwy płacz. Maggie! Trzeba odnaleźć Maggie!

Maggie wchodziła właśnie po schodach w butach do końskiej jazdy i z pejczem w rękę. Gdy zobaczyła przerażone oczy i drżące wargi Susan, wciągnęła siostrę do swojego pokoju.

– Co się stało, Susy? Coś złego? Chyba nie z Jessie? – spytała z niepokojem. – Nie, to Amelia. – Susan pospiesznie opisała scenę, która rozegrała się na jej oczach. – Jest teraz w swoim pokoju i płacze.

– Sądysz, że powinnyśmy się wtrącać? Amelia może wolałaby być sama. To sprawa między nią a Carym. Ostatnio była strasznie nerwowa. Zorientowałam się, że coś jest nie w porządku, odkąd wróciła z Nowego Jorku. Mama domyśliłaby się, p co chodzi.

– Ale mamy tu nie ma – odparła zwięźle Susan. – Ona naprawdę cierpi, Maggie! Maggie zwilżyła językiem wargi.

– W porządku, ale boję się, że Amelia nie doceni naszych dobrych chęci. – Zastukała lekko w drzwi Amelii i ujęła za klamkę. Amelia leżała na łóżku, płacząc w poduszkę, a mocny szloch wstrząsał jej szczupłymi ramionami. Przez moment Susan i Maggie spoglądały na siebie bezradnie. Potem Susan wdrapała się na łóżko z prawej, a Maggie z lewej strony. Właśnie ona przytuliła łagodnie Amelię do siebie. Zdumiało ją, jak bardzo ciotka była szczupła.

– W czym ci pomóc, Amelio? – spytała uspokajająco.

– Nic nie możecie zrobić. Sama zrobiłam, co trzeba. Już po wszystkim. Byłam taka głupia! Jak wszyscy musieliście się ze mnie śmiać!

– Nikt nigdy się z ciebie nie śmiał, Amelio. Co zrobiłaś? Jeśli coś niemądrego, to w porządku. Wszyscy co jakiś czas robimy głupstwa. Powiedz nam, Amelio. Może będziemy mogły ci pomóc.

Amelia zaczęła mówić z trudem, powoli. Potem słowa nabrały prędkości, a wkrótce pędziły jak samochód zjeżdżający pędem z wysokiej góry.

Susan spojrzała na Maggie, a potem na ciotkę. Wiedziała, że obie

myślą o tym samym.

– Jeżeli któraś z nas coś speprzy, to już dokumentnie!

Maggie wybuchnęła histerycznym śmiechem. Nigdy dotąd nie słyszała z ust Susan brzydkich wyrazów, nawet zwykłego „cholera”.

– Masz świętą rację! – przytaknęła zgnębiona Amelia.

– Może powinnaś jeszcze raz porozmawiać z Carym? – powiedziała łagodnie Susan, zawsze pokojowo nastawiona.

Amelia siadła wyprostowana na łożku.

– Po co? Żeby usłyszeć nowe kłamstwa? Nie, piękne dzięki! Powiedz mi, co sama zrobiłabyś na moim miejscu? Czy nie opuściłaś Jerome’a, gdy miarka się przepelniła? A ty, Maggie, nie odeszłaś, gdy Cranston dopiekl ci do żywego? Dlaczego ja mam być inna?

– On wróci; wiesz przecież – powiedziała Maggie.

– Zdjęłam klucze z jego breloczka, zanim odeszłam. Nie wpuszczaj go, Maggie! Obiecuj mi!

– Obiecuję, jeśli tego właśnie chcesz. Spójrz na nas. Płyniemy w tej samej łódce, i ani jednego wiosła dla całej trójki! – Maggie zawahała się. – Co zamierzasz począć, Amelio?

– Wracam do Anglii pierwszym samolotem. Susan, możesz zatelefonować i zarezerwować dla mnie bilet na concorde? Załatw mi też lot do Nowego Jorku. Posiedzę sobie w porcie lotniczym. To miejsce – powiedziała Amelia rozglądając się wokół – przynosiło mi pecha przez całe moje życie. Zupełnie nie pojmuję, dlaczego łudziłam się, że tym razem będzie inaczej. Maggie, pomożesz mi spakować rzeczy?

– Oczywiście, jeśli sobie tego życzysz. Ale co z twoim domem? Tyle w niego włożyłaś pracy. – Maggie z trudem szukała odpowiednich słów. – Czasem, Amelio, kiedy zrobi się coś pospiesznie lub w złości, nie da się tego później odrobić. Czy rozumiesz, o czym mówię?

– Nie jestem debilką, Maggie, tylko zwykłą głupią babą. Doskonale

rozumiem, co masz na myśli. Między innymi wszystkie błędy, które popełniłaś w stosunku do Sawyer. Ale ta sprawa jest inna. Cary był dla mnie wszystkim, sama zawęziłam swoje życie tylko do niego. Nie zostawiłam miejsca na nic innego.

Maggie poczuła, jakby ktoś dał jej w twarz. Zmusiła się do tego, żeby odpowiedzieć spokojnie.

– Nie jest jeszcze za późno. Możesz wrócić i porozmawiać z Carym. Naprawdę porozmawiać. Tym razem uważnie wysłuchaj, co ci powie. Nie tylko słuchaj, staraj się go zrozumieć, Amelio.

– A ty byś tak postąpiła, Maggie? – spytała z płaczem Amelia, wrzucając ubrania do walizki.

Maggie tak długo zwlekała z odpowiedzią, że obie, Amelia i Susan, przerwały swoje zajęcia i czekały na jej słowa.

– Gdybym kochała go całym sercem, tak. Nie wyrzekałabym się go bez walki. – Może zechcesz spojrzeć na mnie? – krzyknęła Amelia. – Czy wyglądam na to, że zostały we mnie jakieś siły do walki? Jestem starą kobietą. Nie chodzi o jedną Eileen Farrell. Zawsze znajdzie się jakaś inna! I każda następna będzie coraz młodsza, podczas gdy ja się będę starzała!

Maggie ugryzła się w język. Gdy poczuła smak własnej krwi, schwyciła Amelię za ramię.

– Nie uciekasz od Cary’ego czy Eileen! Uciekasz od samej siebie. Przyznaj to, Amelio! Należysz do Colemanów, a jednak tchórzysz! Wstydz się! Myślałam, że jesteś silniejsza. Zostałyśmy już tylko my. Zbierz i wyteż swoje siły! Idź do psychoanalityka, żeby pomógł ci spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy, ale koniecznie musisz dostrzec prawdziwą przyczynę! To przecież ty sama, Amelio!

– Tylko my zostałyśmy? Ty głupia, zawsze byłyśmy tylko my! Twoja matka nie jest jedną z Colemanów, weszła do rodziny tylko przez małżeństwo. My nie miałyśmy wyboru. Może masz słuszość –

Amelia odwróciła się i spojrzała na Susan, która właśnie skończyła rozmowę telefoniczną. – A co ty mi powiesz, Susy?

– Masz lot o dziesiątej do Nowego Jorku. Możesz odebrać bilet na lotnisku. Powiedziałam im, że opłacisz go kartą American Express. Zamówiłam ci także bilety na jutrzejszy lot concorde.

Ramiona Maggie opadły.

– Chcesz kawy? Albo kanapkę czy coś innego?

– Poproszę o kawę i kanapkę z kurczakiem. – Amelia przyjrzała się sobie w lustrze toaletki. – włożę ciemne okulary – mruknęła.

Maggie odwróciła się i popatrzyła uważnie na ciotkę.

– Włóż ciemne okulary tylko wtedy, gdy będziesz miał na to ochotę, Amelio. Nie musisz ich nosić. Nie masz nic do ukrycia.

– Mój wiek – rozpląkała się Amelia. – Muszę ukryć mój wiek...

Susan trzema susami przebiegła pokój. Maggie powstrzymała siostrę ruchem ręki.

– Wiec ukryj go. Jeśli chcesz schować się za ciemnymi okularami, żeby zmylić upiora, którego się lękasz, zrób to. Przyniosę ci kawy. – Skinęła Susan, by wyszła razem z nią. Kiedy drzwi się zamknęły za nimi, Maggie oparła się o nie.

– Nie sądzisz, że byłaś dla niej zbyt twarda?

– Może jeszcze za mało. Kiedy się poddasz, koniec z tobą. Już nie żyjesz, egzystujesz tylko. Ale nie możemy więcej się wtrącać. Zgadzasz się ze mną?

Susan przytaknęła.

– Jeśli Cary tu się zjawi, o niczym nie wiemy. Przekonajmy się, jaki z niego mężczyzna. Jeżeli jest taki, jak mi się wydaje, to jakoś się pozbiera. Nie poleci za nią, jakby sobie tego życzyła. I wtedy dopiero zobaczymy, kim jest naprawdę Amelia Nelson Assante.

– Tak mi jej żal! Nigdy nie uważałam, że jest stara. Wydawało mi się, że wcale się nie zmienia. Nie rozumiem, czemu ma to dla niej takie

wielkie znaczenie? Tyle jest w życiu ważniejszych spraw, a jednak ona martwi się tylko o swój wiek.

– Dom jej matki był dla Amelii bardzo ważny. Dosłownie w pokoju robiło się jaśniej, kiedy pod koniec dnia wracała stamtąd taka rozpromieniona. A Cary był z niej taki dumny!... Gdzie to wszystko się podziało? Nie mogę uwierzyć, że związał się z tą smarkulą Eileen. Jeśli tak się stało, to jej sprawka! Próbowwała złapać w szpony także i Randa.

– Jeżeli mam być zupełnie szczerą, myślę, że Cary nic nie zawinił. Pewnie wszystko udałoby się wyjaśnić. Kochał Amelię.

– Używasz czasu przeszłego? – spytała Maggie.

– Nie obserwowałam sytuacji z bliska, tak jak ty. Byłam zajęta Jessie; starałam się pogodzić z jej kalectwem. Ale zaakceptowałam już to, co się stało; potrafię z tym żyć i staram się robić wszystko, co w mojej mocy. Czy można wymagać ode mnie czegoś więcej?

– Dobra z ciebie dziewczyna, Susy. Chodź, pomóż mi przygotować kawę. Nie sądzę, żeby któraś z nas miała dziś wieczorem duży apetyt. Czy zauważyłaś, jak świetnie każda z nas potrafi udawać, że coś je?

– Owszem, zauważyłam... Ona się jakoś pozbiera, prawda, Maggie?

– Nie wiem. Czekają kolejny cios, kiedy znajdzie się już w Anglii. Jeżeli Cary nie pojedzie za nią, nie wyobrażam sobie nawet, co ona zrobi. A my możemy jej najwyżej okazać, jak bardzo nam na niej zależy. Zadzwonię do mamy po wyjeździe Amelii i opowiem jej o wszystkim. Choć zła jestem, że znowu ją obciążam. Najwyższy czas, żebyśmy dały mamie trochę spokoju! Cieszę się, że przyjadą z Thadem na chrzciny. Miałaś wiadomość od Sawyer?

– Jeszcze nie. Chciałam zadzwonić do niej podczas weekendu. Na pewno zechce przyjechać.

Sawyer nie zdecydowała się na przyjazd. To Maggie trzymała w ramionach Jessikę Margaret podczas ceremonii chrztu.

Była to cicha uroczystość rodzinna. Cole, wystrojony w nowe ubranie, stał spokojnie obok matki, obserwując przebieg ceremonii wąskimi szparkami przymrużonych oczu. Billie, Thad i Riley siedzieli w pierwszej ławce. Ferris Annstrong stał z tyłu razem z Carym Assante. Obaj ulotnili się po cichu, zanim rodzina przemaszerowała przez środkową nawę ku wyjściu.

Billie i Tliad zostali na wczesnym obiedzie, a potem złapali wieczorny samolot do Nowego Jorku.

O Sawyer nikt nie wspomniał ani słowem.

Rozdział ósmy

Rand Nelson pomachał ręką matce odjeżdżającej ścieżką na rowerze. Widok Amelii na tym starym gracie jak zawsze wywoływał uśmiech na jego twarzy. Ciągłe nie mógł przywyknąć do tego, że ma ją przy sobie. Miesiąc temu był zdumiony i zaszokowany, gdy zatelefonowała do niego z portu lotniczego Heathrow, żeby ją stamtąd odebrał. W drodze do domu nie mówiła wiele, ale to, co powiedziała, wystarczyło, by obudzić w nim gniew. Nie na Cary'ego, lecz na nią. Próbował przemówić jej do rozsądku, słuchała go grzecznie, ale wiedział, że w gruncie rzeczy nie dociera do niej ani jedno słowo.

Od tamtej pory jednak zaszła w niej wielka zmiana. Przybrała trochę na wadze. Nie zadbała ponownie o ufarbowanie włosów. Zniknęły sztuczne paznokcie i rzęsy. Nie malowała powiek i rzęs, na co przedtem zużywała mnóstwo kosmetyków. Jej oczy były teraz smutne, ale pełne życia, Amelia zaś stała się doskonale piękną kobietą, chyba najpiękniejszą ze wszystkich, jakie znał.

Przez pierwsze kilka tygodni Amelia nie odstępowała telefonu i wybiegała z domu, bez względu na pogodę, gdy zjawiał się listonosz. W końcu jednak zrezygnowała z czekania; teraz często zapominała o wyjęciu listów ze skrzynki, jeżeli jej o tym nie przypomnieli. Odkąd został naprawiony jej stary rower, Amelia zaczęła wyjeżdżać na długie spacerunki po wiejskich drózkach; czasami prosiła Randa, by jej towarzyszył. Potrafił teraz nie tylko porozumiewać się z nią; mógł ją naprawdę zrozumieć.

Do niego także nikt nie telefonował z Teksasu. Nie dochodziły stamtąd żadne wieści, prócz krótkiego listu od Maggie, napisanego po świętach. Poczucie winy było w nim tak głębokie, że Rand nie mógł się zdobyć na wzięcie do ręki pióra lub słuchawki telefonicznej i doprowadzenie wszystkiego do ładu. Na swój sposób Amelia lepiej

sobie radziła ze swoimi sprawami niż on.

Regularne listy z Teksasu wysyłała na Ribbonmaker Street jedynie Susan. Była wierną korespondentką pisywała mniej więcej co dziesięć dni. Rand nigdy jej nie odpisywał i ze wzmianek w listach Susan orientował się, że z Amelią było podobnie. Odczytał ponownie list, który przyszedł dzisiaj, ciesząc się jego pogodnym, gawędziarskim tonem.

Droga Amelio, kochany Randzie!

Wiosna nareszcie dotarła do Teksasu! Jest prawie lak śliczna jak moja Jessie. Czasami wywożę moją córę w wózek na patio, gdzie spędza długie godziny. Udało mi się nakłonić Cole 'a i Rileya, żeby ją pilnowali, gdy muszę wyjść. Oczywiście, nie zajmują się nią wspólnie. Pod niektórymi względami nic się nie zmieniło!

Czy wiecie, że chłopcy zabierają Sawy er i Adama Jarvisa na Hawaje w czasie letnich wakacji? Zatrzymają się wysoko w górach, w domu, gdzie mieszkała niegdyś mama, kiedy tatuś był w Pearl Harbor. Właśnie tam zostałam poczęta! Młodzi ludzie wyruszają w czerwcu i będą tam sześć tygodni. Maggie wybiera się w kwietniu, żeby przygotować dla nich dom. To tajemnica, więc proszę nie wygadajcie się przed nikim! Zdaje się, że dom był przez całe lata zamknięty. Nie mam pojęcia, jak długo Maggie tam zabawi. Sawyer nie przyjechała na chrzest i Maggie zajęła jej miejsce. Cudownie sobie radzi z dziadką. Załączam kilka zdjęć, które zrobili chłopcy. Włoski Jessie zaczęły skręcać się w loczki. Jest słodka, prawda? Mój adwokat wczoraj mnie poinformował, że Jerome zjawi się tutaj z początkiem kwietnia. Boję się tego. Przypuszczam, że będzie się starał dać nam we znaki na wszelki możliwy sposób, ale mu w tym przeszkodzę! Nawet mi nie zależy na tym, żeby zobaczył Jessie, ale chyba będę musiała mu na to pozwolić. Z pewnością będzie mnie obwiniał o jej niesprawność. Któregoś dnia w

ubiegłym tygodniu widziałam Cary'ego w mieście. Wyglądał na bardzo zmęczonego i spiętego. Pytał o ciebie, Randzie. Powiedział dosłownie: , , Otrzymałem od niego czek, ale gdzie, u diabła, on sam się obraca? Bardzo by się nam przydał". Koniec cytatu. Nie mógłbyś do niego zadzwonić? Cary mówi, że postępy, jakich dokonują w swoim „ mieście poza miastem „, są wręcz fenomenalne! Niektóre budynki już stoją. Mam zamiar sama to obejrzeć, gdy się następnym razem udam w tamte strony. Ferris był pod wrażeniem. Mowa o Ferrisie Armstrongu, lekarzu Jessie. Spotykam się z nim od czasu do czasu na gruncie towarzyskim. Pomaga mi zorganizować grupkę rodziców, którzy mają dzieci takie jak Jessie. Ferris jest bardzo miły. No i tyle moich nowinek. Byłoby mi przyjemnie dostać jakieś wieści z Anglii. Brak mi was obojga. Przesyłam wam razem z Jessie mnóstwo całuszków

Susan

Rand obserwował nadjeżdżającą ścieżką Amelią. Gdy była już blisko, pomachał ku niej listem.

– Od Susan! – uprzedził donośnie, żeby nie dostrzec rozczarowania na jej twarzy.

Amelia zeskoczyła z roweru i ustawiła nóżkę, żeby się nie przewrócił.

– Wracam za minutkę! – powiedziała. – Tylko wsadzę tę rybę do lodówki.

Długo trwało, zanim zjawiła się ponownie. Rand zdążył przez ten czas przeczytać list jeszcze trzykrotnie. Maggie niebawem wyjeżdża na Hawaje.

Amelia zapoznała się z treścią listu, złożyła go i wsadziła do koperty z jaskrawoczerwoną obwódką.

– Chcesz do ryby makaronu czy ryżu?

– Ryżu. Co powiesz na zdjęcia malutkiej?

– Jest urocza. Dzięki Bogu, podobna do Susan. Jedno z nas powinno do niej napisać.

– Masz rację – odparł Rand w zamyśleniu.

– Nie mam talentu do pisania listów – zauważyła Amelia popijając herbatę.

– Ze mną jest gorzej pod tym względem.

– Wobec tego któreś z nas powinno zatelefonować – oświadczyła Amelia stanowczo.

– Tak, chyba masz słuszość. Zadzwonimy któregoś dnia.

– Właśnie, któregoś dnia powiedziała Amelia. (Dobraliśmy się jak w korcu maku pomyślała z goryczą). – Zjemy dziś obiad wcześniej: umówiłam się z Godwinami na tryktraka. Dołączysz do nas?

– Dziękuję, nie. Chcesz, żebym cię tam podwiózł?

– Potrafię sama prowadzić wóz, ale wybieram się na rowerze. Odkąd zaopatrzyłeś go w latarkę, mogę z niego korzystać także wieczorem. Nie martw się o mnie, Randzie.

– Boję się raczej o rower. Jest jeszcze przedwojenny.

– Prawie tak stary, jak ja. Ale dobrze się trzyma. Większość staroci świetnie się trzyma po kapitalnym remoncie. Wiesz, do czego zmierzam?

Rand zaśmiał się.

– No pewnie! A ty Sama wiesz?

– No pewnie! Obiad za godzinę. Może być?

– Oczywiście – odparł Rand nie słuchając. Maggie na Hawajach... Amelia odjechała na rowerze za pięć szósta. Pięć po szóstej Rand zamówił rozmowę z Vermont. Rozmawiał z Billie ponad godzinę. Prawdę mówiąc, raczej słuchał niż mówił.

– Jakim cudem – rozmyślał – niektórzy ludzie potrafią wprawić nas w taki wspaniały nastrój... i zawsze, ale to zawsze, znajdują właściwe słowa?

Tej nocy Rand spał głęboko, spokojnie, po raz pierwszy od swojego powrotu do Anglii. Dopiero gdy zbudził się następnego dnia, zdał sobie sprawę, że nie potrzebował pół butelki whisky, żeby zasnąć. Chciało mu się śpiewać z radości!

Powiedziała, że nazywa się Valentine Mitchell i jest adwokatem Maggie. Miała koło trzydziestki i była wysoka (prawie sześć stóp). Wyglądała świeżo i schludnie w kostiumie z szarej flaneli i białej jedwabnej bluzce. Miała przewieszoną przez ramię torebkę Marka Grossa, a w ręku teczkę od Gucciego. Krótko podcięte falujące włosy pasowały do jej opalanej twarzy o dość ostrych rysach. Maggie zauważyła, że oczy miały barwę świeżych wiosennych liści, które dopiero co rozwinęły się z pączków.

– Wyobrażam sobie, jak zdziwiła panią moja wizyta, ale pan Abramson uznał, że mam najlepsze kwalifikacje do zajęcia się pani sprawą. Zanim przyłączyłam się do jego firmy, praktykowałam w Nowym Jorku. Byłam jedną z całego legionu asystentów prokuratora okręgowego na Manhattanie. Wiele razy obserwowałam wystąpienia pani męża w sądzie. Przez ostatni miesiąc zajmowałam się wyłącznie pani sprawą. Sądzę, że możemy z nim wygrać.

– Sądzi pani? To stanowczo za mało. On jest przebiegły i mściwy.

– Tak jest: sądzą. Dobry prawnik nigdy nie powie, że jest czegoś pewny. Proszę mi zaufać. Tak, Cranston jest przebiegły i rzeczywiście mściwy. Widziałam go, kiedy przegrał sprawę. Nie miałam jednak pojęcia, że był żonaty, zanim Dudley mi o tym nie powiedział.

Maggie zachichotała.

– Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś mówił „Dudley” o panu Abramsonie! Zawsze wydawało mi się, że on nigdy nie był młody, i że wszyscy mu się kłaniają w pas.

– Dudley lubi młode kobiety. Jestem jego prawą ręką, przynajmniej

on tak twierdzi. – Lśniące zielone oczy były pełne goryczy, gdy dorzuciła: – I ta ręka ostatnio nielecho się napracowała.

– Rozumiem. Bardzo mi przykro.

– Niech pani nie będzie przykro. Jestem jedną z tych kobiet, które uwierzyły Glorii Steinem na słowo, gdy oświadczyła: „Lepiej zostać prawnikiem niż wyjść za prawnika!”. Zastosowałam się do tej rady. Chciałabym porozmawiać z pani synem. I muszę dokładnie dowiedzieć się, z czego pani gotowa zrezygnować, a z czego za nic pani nie ustąpi. Chcę też usłyszeć od chłopca, jakie jest jego stanowisko. Umiem sobie radzić z nastolatkami. Proszę pozwolić mi na załatwienie sprawy z chłopcem bez pani udziału. Rozprawa ma odbyć się za dwa tygodnie, nie mamy więc zbyt wiele czasu.

Maggie spojrzała w zielone jak liście oczy. Coś w ich spojrzeniu sprawiło, że skinęła głową.

– Czego sobie pani tylko życzy. Proszę zostać na obiedzie, potem będzie pani mogła porozmawiać z Cole’em. A teraz ja jestem do pani dyspozycji.

– W porządku. – Szczęknął zamek teczki od Gucciego i zaszeleściły dokumenty.

Maggie spojrzała w dół na stopy Valentine. Pantofle od Ferragamo, trzysta dolarów para. Zapowiadało się, że rozwód tanio nie wypadnie.

– No to startujemy! – powiedziała Maggie wesolutko.

Obiad był bardzo przyjemny. Maggie delectowała się każdą minutką. Val (pani adwokat oświadczyła, że woli, by tak się do niej zwracać) raczyła ich anegdotami z czasów, gdy pracowała w biurze prokuratora okręgowego. Chłopcy ze swej strony rozprawiali o baseballu i łucznictwie. Riley wprowadził w zdumienie swoją ciotkę i samego Cole’a, wychwalając go jako asa szkolnego koła łuczniczego. Cole musiał się zrewanżować informując wszystkich o przewagach

Rileya w baseballu. Jego rzuty okazały się najlepsze w całej historii szkoły.

Maggie dosłownie promieniała.

Kawę podano w salonie, kiedy chłopcy wstali i poszli odrabiać lekcje.

– Cole, nie wychodź z domu. Muszę z tobą pomówić. Jak sądzisz, ile czasu zajmuje ci odrabianie lekcji? – spytała Val.

Wzrok Cole'a przesunął się z gościa na matkę i ponownie spoczął na Val.

– Trzy kwadransy.

– W porządku. Przyjdę na górę. Maggie wolno popijała kawę.

– Jak dobrze znałaś mojego męża?

– Bardzo dobrze. – Val uśmiechnęła się szeroko. – Ale nie chodziłam z nim do łóżka. Za to znam kogoś, kto to robił. Facet nazywa się Evan Lantzy.

Maggie zakrztusiła się i oblała kawą całą bluzkę.

– Co?!

– Masz teraz większe nadzieje na wygraną sprawy? – Boże święty! Nigdy mi... Któż mógłby...

– Czy to nie wspaniałe? Od czasu do czasu lubię zadać cios poniżej pasa. Powiedz mi tylko, czego sobie życzysz, Maggie, a będziesz to miała.

– Cole'a! To wszystko, czego chcę. Reszta nie ma znaczenia. Czy on... czy...

– Tak. Powinien się o tym dowiedzieć. Dyskutowaliśmy na ten temat z Dudleyem. Bez względu na wszystkie swoje wady, ten stary sęp zna się na prawie. I zna Cranstona. Przeczesałoby całą jego przeszłość. Jestem pewna, że wykończyłoby cię w dwie minuty, gdyby nie zeznanie Evana. Ma na ciebie sporo materiału... Wiesz, o czym mówię. Byłaś jego żoną, więc wiesz, do jakich świństw jest zdolny. Cóż, taka jest gra.

Wszyscy prawnicy grają w ryzykowną grę i zawierają niekoniecznie czyste transakcje.

Maggie nadal była w szoku.

– Nie wiem, czy Cole to zniesie. Jesteś pewna, że musi się o tym dowiedzieć?

– Tak. Właśnie dlatego to ja mu o tym powiem, a nie ty. Jeśli chodzi o ciebie, załóżmy, że w ogóle nie wiesz, o co chodzi. Ten dzieciak wszystko zniesie. Obserwowałam go w czasie obiadu. Mówiłam ci, umiem sobie radzić z małolatami, zwłaszcza z takimi, którzy mają problemy. Dużo z nimi miałam do czynienia w Nowym Jorku. Czy chcesz przeczytać zeznanie Evana?

– Nie! Boże wielki, nie!

– To nie była podrywka na jedną noc. Znajomość trwała całkiem długo. Evan twierdzi, że jest zupełnie załamany. Aktualny chłopak Cranstona jest kierownikiem zakupów z magazynu Saksa przy Piątej Alei. Specjalność: ubranka dziecięce. Nazywa się Wade Holder.

Maggie potrząsnęła głową.

– Tak trudno mi w to uwierzyć! Powiedział przecież, że się żeni.

– Bo ma taki zamiar. Dodam, że to bardzo miła dziewczyna. Głupia, ale miła. Piecze ciasteczka, pracuje społecznie w szpitalu i ma sporo forsy. Ją też przeczesaliśmy.

– Czy nigdy nie brzydzisz się tym, co robisz? – spytała z ciekawością Maggie. – Zawsze. – W głosie Val zabrzmiała znów nutka goryczy.

– Więc dlaczego się tym zajmujesz?

– Bo mi wmówiono gównianą prawdę, że dzięki temu pozostanę niezależna. Że nie będę musiała oglądać się na niczyją pomoc. Że sama sobie poradzę. I to prawda, radzę sobie. Motywacja w rodzaju „nie chcę, ale muszę”. Mężczyźni bez przerwy zajmują się takimi interesami. Każdy musi raz na jakiś czas skąpać się w rynsztoku. Potem

wraca się do domu i bierze prysznic. Sporo można z siebie zmyć.

– A co będzie, jeżeli kiedyś nie uda ci się zmyć tego świństwa?

– Wówczas wyjdę za mąż i zajmę się szorowaniem pleców mego mężusia. Brud jakoś słabiej przylega do mężczyzn niż do kobiet. – Val zaśmiała się. – Póki Cole nie odrobi lekcji, dam ci papiery, które powinnaś podpisać. Nie musisz nawet stawić się sądzie. Osobiście ci doręczę dokumenty rozwodowe.

Było w pół do dziesiątej, gdy Valentine Mitchell wyszła z pokoju Cole'a i zeszła na dół po szerokich, spiralnych schodach. W zielonych jak liście oczach miałaaby.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam! – zwróciła się do Maggie. – Cole nie może się dowiedzieć, że ty o tym wiesz. Jeśli mu to powiesz, zniszczysz go. Jakoś to zniósł. Pozbiera się, możesz mi wierzyć.

Maggie uwierzyła jej.

Maggie leżała na swoim łóżku patrząc na mroczny sufit. Podskoczyła słysząc huk pioruna. Chyba się zdrzemnęła? Miała już wstać i zamknąć okno, gdy zauważyła, że drzwi się otwierają.

– Mamo? – usłyszała głuchy szept Cole'a.

– Co się stało? Czy się źle czujesz, Cole? – Pewnie, że się źle czuł. Musiał być cały obolały wewnątrz.

– Nie, po prostu trudno mi zasnąć. Mogę z tobą o czymś porozmawiać?

– Jasne. Może zejdziemy na dół i napijemy się trochę kakao? – Dobra. Niech będzie. Wolałbym trochę światła. Obudziłem cię?

– Nie. Piorun cię uprzedził – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Siedząc w jasno oświetlonej kuchni i popijając kakao Maggie obserwowała syna, który starał się znaleźć właściwe słowa. Maggie pragnęła mu pomóc, ale zachowała milczenie.

– Czy prawnicy kłamią? Wiem, że tata jest prawnikiem, ale czy inni

mogą powiedzieć coś... coś... wiesz, wymyślić jakąś bujdę, żeby wygrać z przeciwnikiem?

– Niełatwo byłoby zrobić coś takiego, Cole. Gdyby wykryto ich kłamstwo, straciliby prawo wykonywania zawodu. Krzywoprzysięstwo jest bardzo poważnym przestępstwem. Dlaczego o to pytasz? Niepokoisz się o swojego ojca?

– Ojca? Nie. A ta pani, co tu dzisiaj była? Ta, co rozmawiała ze mną. – Co chciałbyś o niej wiedzieć?

– Jak myślisz, czy ona kłamie?

– Pracuje w największej i najlepszej firmie prawniczej w Austin. Ta firma opiekowała się interesami naszej rodziny, gdy jeszcze nie było mnie na świecie. Nie, nie przypuszczam, żeby kłamała. Po co? O co chodzi?

– O wszystko, co umieszczają w aktach... Muszą mieć na to mocne dowody, prawda?

– Oczywiście. – Strasznie ją mdliło. Jak też musiał czuć się jej syn?!

– Tak właśnie myślałem. Chyba zostanę w Sunbridge, zanim pójde do college'u. Tacie nie jestem potrzebny.

– Bardzo mi przykro. Ale to jego strata, Cole. Musisz mi uwierzyć!

– Chciałem, żeby mu na mnie zależało, chciałem z nim chodzić na mecze i w ogóle. – Wiem. Miałam kiedyś podobne marzenia. Mój tata też nigdy nie miał dla mnie czasu. Mama próbowała mi go zastąpić, ale nie dałam jej na to szansy. Teraz tego żałuję. Myślę, że twój tata kocha cię na tyle, na ile w ogóle jest zdolny do miłości.

– Nie znosi mnie! Próbował tylko posłużyć się mną żeby osiągnąć to, na czym mu zależało.

– Nie, Cole, mylisz się. On mnie nienawidzi, nie ciebie. A chciał się posłużyć tobą tak samo jak ty nim. Musisz pogodzić się z tym, że tak bywa.

– Chciał wykorzystać także Sawyer i zmusić mnie, żebym i ja się nią posłużył! Nienawidzę tego wszystkiego! – Cole płakał i wycierał oczy wierzchem dłoni. – Sawyer ma umrzeć, a ja nic nie mogę na to poradzić!

– To nieprawda. Zrobiłeś bardzo dużo, planując ten wyjazd na Hawaje. Mama była pełna podziwu, gdy mi o tym opowiadała. Żałuję, że sam mi o tym nie powiedziałeś, Cole.

– Myślałem, że mi na to nie pozwolisz. Nie przejąłbym się tym. I tak bym zrobił swoje! Ale powiedziałaś, że zabraniasz nam wszelkich kontaktów.

– Wszyscy mówimy czasem głupie rzeczy, kiedy jesteśmy wściekli. Pożałowałam tych słów, jak tylko je wypowiedziałam.

– Więc mogę pojechać?

– Oczywiście, że możesz! Będę za was trzymała kciuki przez cały czas. Na pewno zorganizujesz wszystko tak, że będą to cudowne, najwspanialsze chwile życia Sawyer.

– Czy Sawyer będzie potem bardzo bolało?

– Nie wiem. Może Bóg okaże się łaskawy i nie pozwoli, żeby cierpiała.

– A ty, co chcesz dla niej zrobić?

Maggie westchnęła.

– Ciągle o tym myślę, Cole... Chciałabym... Spróbuję uporządkować sprawy między nami. Nie wiem, czy mi się to uda, ale chcę... pojechać do Nowego Jorku... Muszę dać jej trochę czasu, żeby się jakoś przystosowała do tragedii, która ją spotkała. Pojadę tam, zanim wyjedzie na Hawaje.

– Chciałbym wiedzieć, jak to jest z Randem.

– Tak, rozumiem, że chciałbyś to pojąć. To bardzo proste. Kocham go. Odesłałam go, bo myślałam, że nikt nas nie rozumie. Nie ukradłam go ani nie odbiłam Sawyer. Po prostu tak się złożyło... Kiedy tu

przyjechał na Czwartego Lipca, powiedział Sawyer, że chce z nią zerwać. Uważał, że jest dla niej za stary... To dobry człowiek. Żałuję, że ustąpił mi, kiedy kazałam mu odejść. Potem, gdy było już za późno, Rand już odszedł, mama wytłumaczyła mi, że popełniłam błąd. Poczekaj chwilkę, Cole... Chcę ci coś pokazać. Zrób więcej kakao, zanim wrócę.

Maggie pędziła po schodach na bosaka, a nocna koszula fruwała jej nad kolanami. Nacisnęła mały guziczek na swoim biurku i ukazała się skrytka. Schwyciła leżący w niej ostatni list od ojca. Zatrzasnęła sekretną szufladę i zbiegła na dół przeskakując po dwa stopnie. Gdy wpadła do kuchni, była całkiem bez tchu. Jeżeli kiedykolwiek uda jej się dotrzeć do Cole'a, to właśnie teraz! Podała synowi list, który napisał jej ojciec, i obserwowała wyraz jego twarzy, gdy czytał. Zauważyła, że ręce syna drżą równie silnie jak jej własne. Gdy skończył czytać list, złożyła go i schowała z powrotem do koperty.

– Światłem słońca była dla mnie twoja obecność tutaj, przy mnie. Rozumiesz? A szczęście miał dać mi Rand. Tylko to przecież jest ważne.

– Ale pozwoliłaś mu odejść. Odesłałaś go. A o mnie walczyłaś. Dlaczego?

– Jesteś moim synem. Częścią mojego ciała i krwi. Muszę walczyć o ciebie tak samo, jak walczyłabym o siebie. Miłość, uczucie, które mam dla Randa, to coś zupełnie innego. Byłam w stanie go odesłać, gdy sądziłam, że tak będzie najlepiej. Żałuję tego. Dałabym nie wiem co, żeby odrobić wszystkie moje błędy, ale niektórych nie da się już naprawić.

– Chciałbym wiedzieć wszystko o Sawyer.

– Cole, jest czwarta rano. – Chcę wiedzieć. – Dobrze.

Rozmawiali ze sobą bez końca. Kiedy Marta weszła do kuchni o szóstej, Maggie wyprosiła ją ruchem ręki. O siódmej wzięła Cole'a za

rękę i zaprowadziła go na górę. Usadowiła go na jasnorudym fotelu w swoim pokoju.

– Nie pójdziesz dziś do szkoły. Powiem Rileyowi, żeby na ciebie nie czekał. Masz to przeczytać! – powiedziała, wręczając mu pudła ze swoimi pamiętnikami. – Najwyższy czas, żebyś się dowiedział, kim naprawdę jestem. Nie schodź na dół, póki nie skończysz. Pojeżdżę konno. Do zobaczenia później.

Cole odsunął od siebie pudło – Mamo, nie mam ochoty tego czytać.

– Ja chyba też nie bardzo mam ochotę, żebyś je przeczytał, ale musisz to zrobić, jeżeli mamy stać się matką i synem. Przyślę ci na górę śniadanie.

Maggie ześlizgnęła się z grzbietu Lotos i uwiązała ją. Z twarzą pełną nadziei weszła na porośniętą trawą wzgórze.

– Myślę, że jestem na dobrej drodze, tato – powiedziała osuwając się na ziemię. – Nie udałoby mi się to bez ciebie i twój ego listu. Niedługo się przekonamy, ile jest w moim synu z Colemanów. Podjęłam wielkie ryzyko i nie wiem, czy mi się opłaci. Może wszystko popsułam. Śpij spokojnie, tato. Niedługo tu wrócę.

Lotos cicho rżała i miotła się, czując niepokój swojej pani.

– Pogalopujmy sobie, Lotos! – Maggie pochyliła się nisko nad jedwabistą grzywą konia. Tętent kopyt brzmiał w jej uszach jak huk piorunów. Puściła konia galopem.

Riley obserwował z okna szkolnego autobusu samotnego jeźdźca galopującego po polach. Domyślał się, że to jego ciotka Maggie. Zdawał sobie także sprawę z tego, że dzieje się coś ważnego. Cole został w domu... i to nie z powodu choroby.

Była już pierwsza, gdy Maggie weszła po schodach na piętro. Serce jej dziko tłukło się w piersi. Co ujrzy w oczach syna? Co on jej powie? Otworzyła drzwi i weszła do pokoju.

Był pusty. Dzienniki zostały porządnie ułożone w pudłach. Przez chwilę wydawało się jej, że zaraz zemdleje. Nie pozwoli sobie, nawet przez moment, na podejrzenie, że Cole uciekł; był jej synem, nie mógłby tego zrobić. Wybiegła na korytarz wołając go po imieniu.

– Ciii... – syknął Cole prawie równie głośno jak ona.

– Cole! – Maggie oparła się o framugę drzwi, z poszarzałą twarzą. Syn siedział w fotelu na biegunach i poił Jessie wodą z butelki.

– Do licha, właśnie udało mi się jęsuścić!

Maggie dosłownie osunęła się po framudze, aż siadła na podłodze. Czekwała, co syn powie.

Cole przyglądał się matce przez kilka sekund. Wiedział, że czeka na jego słowa. – Do cholery, mam, jesteś wspaniała. Maggie wzniosła oczy do góry.

– Nie klnij przy Jessie!

Cole uśmiechnął się od ucha do ucha.

– No więc, do licha, jesteś wspaniała! Próbowałem należycie silnie wyrazić moją opinię. Doszło do ciebie?

– Ahaaa – przeciągnęła Maggie.

– Gdzie byłaś? – Na wzgórzu.

– Rozwiązało ci to problemy?

– Nie. Po prostu zwierzyłam się z nich. Po rozwiązaniu problemów musiałam wrócić tutaj. Witaj w Sunbridge, w swoim domu, Cole.

– Weźmiesz ode mnie tego dzieciaka? Właśnie posusiała mi spodnie. A ciocia Susan mówiła, żebym nie ruszał powijków. Chodziło o jej majtasy, tak?

– A jakże. W Anglii czasem tak się określa pieluszki. Daj mija. Cole uśmiechnął się, a Maggie odwzajemniła uśmiech.

– Idę do szkoły – oświadczył zmierzając ku drzwiom. – Mam dziś trening łuczniczy, a instruktor wywała z drużyny, jeśli się nie stawia na zajęcia. Wezmę motorower. Do zobaczenia na kolacji!

– Wystrzel jedną za mnie! – zawołała za nim Maggie. – Niby co?!

– Strzałę, ty głupku. No, zmykaj już!

Maggie starannie przewinęła Jessie i położyła ją na brzuszku. Piąstka natychmiast powędrowała do buzi.

– Boże! – pomyślała Maggie – mam syna! Nareszcie Cole jest moim synem!

Podeszła do okna. Słońce nad Sunbridge było gorące i złociste. Obserwowała z okna, jak Cole wyprowadza motorower na podjazd. Zauważyła, że podobnie jak ona popatrzył na niebo i rozejrzał się wokół siebie. On także, po raz pierwszy, zauważył, jak pełno tu słońca.

W Sunbridge.

Zakurzony pikap jechał z klekotem po drodze. Pudło tak przeciążało resory, że tablica rejestracyjna znajdowała się zaledwie cal czy dwa od ziemi. Wóz zatrzymał się gwałtownie i kierowca, Ben Simms, opuścił szybę i zerknął na drewniany łuk z napisem SUNBRIDGE. Stwardniałe dłonie wbiły mocniej słomkowy kapelusz na siwiejącą głowę. Zwrócił się do siedzącej obok niego dziewczyny.

– Wygląda na to, że dojechaliśmy. Teraz zachowuj się przyzwoicie, dziewucho. Musimy dostać te robotę.

Dziewczyna miała ochotę skonać, po prostu zapaść się pod ziemię, kiedy na ostatnim skrzyżowaniu dróg wyminęła ich ciężarówka pełna robotników, a wszyscy zaczęli na ich widok coś wykrzykiwać i gwizdać. Nic dziwnego: wyglądali jak bohaterowie serialu o głodujących farmerach. Brakowało im tylko starej babki w fotelu na biegunach!

– Słyszysz, Luana? Musimy dostać te robotę, dobrze o tym wiesz. Masz tu siedzieć jak porządna panienka, a mówić bede ja. Jak gospodyni zwróci się do ciebie, uśmiechnij się tylko i powiedz, że nie boisz się pracy. Zrozumiano?

– Tak, tato.

Ben zapuścił motor i wjechał na drogę dojazdową. Spojrzał na córkę i z zadowoleniem zobaczył, że przeczesuje grzebieniem swoje długie, rudawoblond włosy. Elegantuje się, całkiem jak jej mamuśka. I wygląda jak ona, kropka w kropkę. Luana odłożyła grzebień i siedziała z rękami na podolku; to była jej ulubiona poza. Dobra z niej dziewczucha – pomyślał – nie to, co jej matka. Z Trbde był lepszy numer, zanim się z nią ożenił. Potem się trochę ustatkowała. Ale kiedy Luana miała sześć lat, jej mamuśka związała z parobkiem i od tej pory ani widu, ani słyhu.

– Fajnie nam tu będzie, co, Luana? – powiedział Ben z entuzjazmem. – Patrz no tylko na te pola. Słyszałem, że mają tu dobre rasę bydła. Widzisz ten znak: słońce z jednym paskiem? To znak Sunbridge.

Zerknął przez zapstrzoną szybkę; szerokie rondo kapelusza przysłaniało jego ogorzałą twarz ze szpeciniastym kwadratowym podbródkiem. Piwne oczy zwiężyły się, gdy mijali stajnie, inne zabudowania i całe mile pomalowanego na biało ogrodzenia.

– Mają tu dużo ziemi, co, Luana? – Tak, tato.

– Tylko tyle umiesz powiedzieć? Tak, tato, i tak, tato! Jak zdarta płyta!

– Tak, tato. – W łagodnym dziewczęcym głosie zabrzmiała nutka bezczelności; nie uszło to uwagi Bena. Olbrzymie brązowe oczy córki, ciemniejsze i bardziej lśniące od jego oczu, nadal spokojnie patrzyły przez okienko. Gdy zauważyła, że ojciec ją obserwuje, skromnie spuściła gęste smoliste rzęsy.

– Wiesz, że nie lubię, jak wkładasz te krótkie kiecki! – warknął, bardziej rozżłoszczony jej obojętnością i brakiem szacunku niż strojem. Zmierzył wzrokiem jej nogi i wysoko odsłonięte uda. – Co sobie o nas ludzie pomyślą, kiedy zobaczą, jak się wystroiłaś? Nigdzie nie pójdziesz w tej kurewskiej kiecce! Masz siedzieć w wozie, jak bede gadał o interesach. Nie rusz się stąd, zrozumiano?

– Tato, mam tylko te jedne spódnice. Pani Halpern mi ją dała. Powiedziałeś, że może być. Sam powiedziałeś! Nie da rady podłużyć: nie ma obrąbka.

Wyglądała całkiem jak jej mamuśka i miała takie same gadane. Trixie zawsze umiała się wykreścić. Za rok czy dwa będzie z nią lepszy kłopot, jak jej teraz nie przy trze rogów!

– No to trza było włożyć długie portki. To grzech. To grzech chodzić tak ze wszystkim na wierzchu!

Luana prychnęła. Patrzyła na swojego ojca oczyma przymrużonymi od blasku wiosennego słońca. Ćwiczyła od kilku dni tę minę, podpatrzoną u modelki z czasopisma „Szczere Wyznania”; nie mogła się doczekać, kiedy wypróbuje jej efekt na jakimś facecie. Tata ciągle powtarzał, że to czy tamto jest dziadowskie albo kurewskie. Co do cholery! Przecież był włóczęgą a ona też nie była jaśnie panienką! Ale wszystko się zmieni, jak tylko skończy szesnaście lat i zwieje od starego i jego kazań. Pojedzie do wielkiego miasta i pierwszą rzeczą którą zrobi, to kupi sobie najjaskrawszą kieckę, jaką zobaczy, i buty na wysokich obcasach. Będzie miała kolorowe grzebyki i upnie włosy tak, jak to widziała na fotografiach. A potem całą torbę kosmetyków, żeby wyglądać jak miastowa panna. Wielkie złote kolczyki i bransoletki. Może nawet taką na kostkę u nogi.

– Masz stanik, dziewucho? – spytał nagle Ben. – Wiesz, że nie lubię, jak ci cycki podskakują pod koszulą. Jesteś porządna dziewczyna i chce, żeby tak zostało. Nie pójdziesz na złe drogie jak twoja mamuśka.

– Tak, tato. Mam na sobie stanik. Tylko jest cały powyciągany. Musze mieć nowe ciuchy, ciągle mówisz, że mi kupisz, i nic z tego – skarżyła się żałośnie Luana.

– Nigdzieśmy nie zagrzali dłużej miejsca i nie dało się oszczędzić forsy na fatałachy. Brudem nie zarastamy, a to się liczy bardziej niż wszystkie ciuchy. Jeśli w mieście mówili prawdę, że tutaj trzeba ludzi

do roboty, to może niedługo się odkujemy.

Luana spuściła oczy i włożyła ciemne okulary. Znowu ta sama stara śpiewka, te same wykręty! Nie będzie tu lepiej niż gdzie indziej. Przez parę tygodni będą mieszkać w jakiejś budzie, a potem znów ruszą w drogę, bo tato narobi długów i przepije cały swój zarobek. Tato pracować umiał. Ale czasem nie chodziło tylko o jego picie: kiedy baby dobrze się jej przyjrzały, zaraz im kazano pakować manatki. Tato nigdy się o to nie wściekał. Mówił całkiem jak kaznodzieja, że to Bóg obdarzył ją urodą, i muszą oboje znosić ten dopust boży. A potem kazał jej czytać Biblię. Zawsze to samo! Może jakby tu dłużej zostali, toby znowu poszła do szkoły? Była już taka opóźniona w nauce, że nie miała pojęcia, jak dogoni swoich rówieśników. Ale uczyła się szybko i prawie zawsze znalazł się jakiś chłopak, który gotów był jej pomóc, byleby tylko miał okazję zajrzeć jej w dekolt.

Luana wcześniej zorientowała się, na czym chłopcom naprawdę zależy. Jak dasz się im pomacać, wyciągniesz od nich wszystko, co chcesz. Kiedyś wycygała od chłopaka trzy dolary tylko za to, że pozwoliła mu wetknąć łapy pod swoją bluzkę. Kupiła wtedy tusz do rżęs i wielką torbę M&M. Wydębiłaby dziesięć dolarów od osiłka, który się koło niej kręcił na parkingu w Pineville, gdyby się nie napatoczyła jego dziewczyna.

Może jestem, jak moja mamuśka – myślała Luana buntowniczo. – No to co? Tato nie kupi mi tego, na co mam ochotę. Muszę sama się o to postarać.

Wierciła się na popękany, obitym zniszczoną skórą siedzeniu. Samo myślenie o tym, czego ci wszyscy chłopcy od niej chcieli, sprawiało, że jakoś dziwnie się czuła. Zastanawiała się, jak to jest, kiedy się pójdzie na całość. Nieraz jej to proponowano, ale się z tym nie spieszyła. To, że się jest jeszcze dziewczyną, ma swoje dobre strony. Wołała być na razie, jak to określali mężczyźni, „złośliwą niedajką”.

Chłopcy nawet tak ją przezywali. Miała pełne piersi dojrzałej kobiety. Robiła wszystko, żeby upodobnić się do Dolly Parton, znanej amerykańskiej piosenkarki w stylu country. Szczupła w talii, miała długie smukłe nogi. Żeby tylko miała się w co ubrać, byłaby przebojowa!

Pikap podskakiwał na wyboistej drodze. Ben widział, jak piersi jego córki kołyszają się przy każdym wstrząsie. Zaciśnął usta. Rzeczywiście trzeba jej kupić nowe ubranie, takie, żeby nie było na nią za ciasne. I różne inne rzeczy. Takie cygańskie życie nie jest dobre dla Luany. Jego mała dziewczuszka zasługiwała na wszystko, co najlepsze.

– Zostań w wozie. Nie otwieraj okienka i nie gadaj z nikim!

– Powodzenia, tato! – powiedziała miękko Luana, rozglądając się dookoła. Może dadzą tacie pracę? Ludzie w mieście mówili, że budują tu domki dla kalekich dzieci. Ładnie tutaj. Fajnie byłoby pomieszkać przez jakiś czas.

Maggie i Susan długo rozmawiały z Benem Simmsem. Susan pokazała mu plany przyszłych zabudowań. Obejrzał je uważnie.

– Potrafię to zrobić. Jestem dobry do roboty, psze pani. Nie będzie się do czego przyczepić.

– Chcemy postawić domki z gotowych elementów: wykonają je w fabryce i przywiozą na miejsce. Pan byłby odpowiedzialny za położenie fundamentów i wzniesienie ogrodzeń. Potrzebny mi ktoś, kto zna się właściwie na wszystkim. Czy panu odpowiada takie zajęcie, panie Simms? – Susan postanowiła już w duchu, że go zatrudni. Wyglądał na rozgarniętego i chętnego do pracy. Robota, którą mu proponowała, to niezbyt dobrze płatna ciężka praca fizyczna. Większość wykwalifikowanych robotników i pracowników budowlanych, którzy mieszkali w tych stronach, zatrudnił już Cary.

– Tak, psze pani – odpowiedział z entuzjazmem. – Ale muszę znaleźć sobie mieszkanie. Jestem z córką. Ma czternaście lat i powinna

chodzić do szkoły.

Maggie i Susan porozumiały się wzrokiem. Maggie skinęła głową.

– Nad garażem jest niewielkie umeblowane mieszkanie. Możecie się do niego wprowadzić. Autobus szkolny zatrzymuje się na końcu drogi. Wsiadają tam nasi chłopcy.

– Chłopcy? Są tu jakieś chłopaki? Moja dziewczuszka ma dopiero czternaście lat. A oni ile mają? – dopytywał się niespokojnie.

– Mają po szesnaście lat. To porządni chłopcy, panie Simms – zapewniła go Maggie. – Może pan być zupełnie spokojny.

– Chłopaków w tym wieku aż rozpiera. Bede szczery: dobry ze mnie chrześcijanin, czytam Biblię i na niej żem wychował moje córki. Jak pani mówi, że to porządne chłopaki, wierze pani na słowo. A z tym mieszkaniem, to może tak: wezmę je i bede pracował w każde sobotę za darmo. Zgoda?

Susan i Maggie przytaknęły.

– Kiedy pan może zacząć pracę? – spytała Susan.

– Wszystko, co mam, jest w tym wozie. Moja córka i nasze rzeczy. Możem się od razu wprowadzić, a do pracy się wezmę dziś po południu.

– Wspaniale, panie Simms. Może pan od razu podjedzie do garażu? Drzwi na górę są otwarte. Pewnie będzie tam dużo kurzu. Mogę wysłać gospodynię, żeby posprzątała.

– Nie trza. Luana to dobra gosposia. Ma to po matce.

– Kiedy się wprowadzicie, proszę tu wrócić, pójdziemy do miasta i zamówimy wszystkie potrzebne materiały – powiedziała Susan. – Cały ten teren jest już opalikowany.

– Jak pojedziem do miasta, może zapisze córki do szkoły?

– Oczywiście.

Kiedy wyszły z Benem na dwór, Maggie i Susan uśmiechnęły się do siebie radośnie.

– Nie zbadane są wyroki boskie, może nie? – szepnęła Susan i obie zachichotały. I nagle zobaczyły Luaną, jak wysiada z pikapa, żeby pomóc ojcu w przenoszeniu pudeł i toreb na górę.

– To jest Luana? – Maggie zapało dech i musiała aż chwycić Susan za ramię. – Czy on nie mówił, że to czternastolatka?!

– Owszem, mówił – odparła równie zdumiona Susan. – Ale wygląda na dobrą trzydziestkę!

– Całkiem inaczej się prezentowałam w jej wieku – zachichotała Maggie – a mimo to zaszłam w ciążę. Zdaje się, że czekają nas kłopoty, Susan! Boże, wyobrażam sobie miny chłopców, gdy ją zobaczą na przystanku autobusowym! – jęknęła. – Chyba nie wybierze się w tym stroju do szkoły, jak myślisz?!

– Boże święty, nie mam pojęcia!

– Może wpadnę do niej, kiedy wy pojedziecie do miasta. Wiesz, sąsiedzka pomoc i tak dalej.

– Mam przeczucie, że popełniłam wielki błąd! – mruknęła Susan.

– Potem ci powiem, co dojrzało moje doświadczone oko. Jeżeli wybierasz się z panem Simmsem do miasta, poproszę Martę, żeby zajęła się Jessie, kiedy pójde pogadać z tą małą.

– Ładna mi mała! Lepszy numer, jestem tego pewna. Ale podoba mi się pan Simms. Założę się, że z niego świetny pracownik. – Susan wzruszyła ramionami. – Jeśli zaczną się kłopoty, powiemy mu, żeby się wyniósł.

Na twarzy Maggie odbiło się wahanie. Nigdy dotąd nie przypuszczała, że Susan potrafi podejmować nagle decyzje. Przeważnie rozważała każdą sprawę ze wszystkich stron, aż człowiekowi chciało się wrzasnąć, żeby się wreszcie zdecydowała! Maggie nie zdawała sobie sprawy z tego, że bezwiednie zacisnęła palce „od uroku”, dopóki nie zaczęły jej boleć.

Kiedy Susan i Ben udali się do miasta, Maggie dyskretnie zastukała

do drzwi mieszkania nad garażem. Stłumiony głos odpowiedział „Wejść!” Maggie głęboko odetchnęła i weszła do środka, nie mając pojęcia, co ją tam czeka.

Luana była równie zaskoczona. Myła właśnie podłogę w kuchni i zerwała się na widok Maggie, zdążyła jednak włożyć namydloną szmatę do wiadra. Rozejrzała się za ręcznikiem i ponieważ nigdzie go nie było, wytarła ręce w krótką drelichową spódniczkę.

– Pani Tanner? – spytała nieśmiało.

– Tak. A ty jesteś oczywiście Luana. Mam nadzieję, że tobie i twojemu ojcu spodoba się tutaj. Mieszkanko jest nieduże, ale są dwie sypialnie.

– To fantastyczne mieszkanie, psze pani! Fantastyczne! Nigdy żeśmy nie mieli takiego fajnego! Nie wiem, jak pani dziękować!

Maggie wpatrywała się w dziewczynę, której energia i entuzjazm omal nie zbiły jej z nóg.

Biust Luany falował, gdy dziewczyna trzepała z nieprawdopodobną szybkością:

– Nie jesteśmy żadne wyrzutki, psze pani! Jesteśmy biedne, ale całkiem porządne. Moja mama związała od taty, jakem miała sześć lat. Tato mówi, że to dziwka, ale ja wcale tak nie myślę. Pewnie się chciała zabawić, mieć ładne ciuchy i perfumy. Tato nie miał na to forsy.

– No tak... Mam nadzieję, że wszystko się ułoży. Twój ojciec będzie pracował u mojej siostry...

– Chyba pani bardzo szczęśliwa, że mieszka w takim aliganckim domu. Nigdy żem nie widziała czegoś z taką klasą!

Maggie roześmiała się.

– Tak, jestem tu bardzo szczęśliwa. Słuchaj, twojemu ojcu bardzo zależy na tym, żebyś chodziła do szkoły. Szkolny autobus przystaje przy końcu drogi. Zabiera mojego syna i bratanka kwadrans po siódmej rano, a wraca koło czwartej po południu. Zdaje się, że twój ojciec

zapisze cię dziś po południu do szkoły... Może chciałabyś mnie jeszcze o coś zapytać?

Luana przekrzywiła główkę, a Maggie jęknęła w duchu. Przypominające dojrzały owoc usta wydeły się, gdy dziewczyna zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Nie, chyba o nic. Niech się pani nie boi: nie potłukę tych ładnych talerzy i nie narobię tu bałaganu. Umiem sprzątać i gotować. Wszystko będzie wypucowane! Może pani zawsze przyjść i sprawdzić. A ile lat ma pani syn i bratanek?

Maggie zajęta była oglądaniem wyposażenia domu i odpowiedziała automatycznie:

– Szesnaście. – Potem oprzytomniała i dodała w myśli: nie tak szybko panienko! Głośno spytała ostrożnie: – Interesujesz się chłopcami, Luano?

Głos Luany był cichy, niewinny i nieśmiały:

– Nie za bardzo. Chociaż chłopcy przeważnie mnie lubią. Tato trzyma mnie krótko. I jestem jeszcze za młoda, żeby się z kimś umawiać. Spytałam tylko dlatego, bo jak są dużo starsi, to pewnie nie będą chcieli mnie jutro oprowadzić po szkole.

– Orowadzą, bez obawy – upewniła ją Maggie.

– A co dzieciaki tu noszą? To bardzo aligancka szkoła? W porównaniu z czym? – miała ochotę spytać Maggie. Obawiała się, że szkoła była istotnie zbyt „aligancka” dla kogoś takiego jak Luana.

– Ważna jest przede wszystkim czystość – odparła.

– Staram się być zawsze umyta i porządna. Ale nie bardzo mam co na siebie włożyć, tylko różne rzeczy po ludziach, u których tato pracował.

Maggie omal się nie zakrzuszyła. Złotko! – miała ochotę jej wypalić. Nikt nawet nie spojrzę na to, w co jesteś ubrana!

– No cóż, jeśli nic nie mogę dla ciebie zrobić, to wrócę do domu.

Jak ci się coś przypomni, daj mi znać. A prawda, na tyłach garażu jest pralka i suszarka. Możesz z nich korzystać, ile razy zechcesz.

– Naprawdę, psze pani?! Naprawdę?

– Oczywiście. Dlaczego tak cię to dziwi?

– Nigdy żeśmy nie mieszkali w domu, gdzie jest tyle wszystkiego!

Prałam w misce, bo automat pralniczy strasznie drogo kosztuje!

Wracając do domu Maggie nie mogła się zdecydować, czy ta mała nabierała ją czy nie. Rozmyślała na ten temat przez cały wieczór. Kiedy chłopcy odchodzili od stołu po obiedzie, wspomniała od niechcenia o Luanie i poprosiła ich, żeby się nią zaopiekowali.

– Bachor z ósmej klasy! – skrzywił się Cole. – Jak by to wyglądało, gdybyśmy się prowadzali z taką gówniarą?!

Riley roześmiał się.

– Żądasz od nas wielkiego poświęcenia, ciociu! Musimy przecież dbać o swoją opinię!

– Ale zrobicie to, o co proszę? – spytała dobitnie Maggie.

– Tak, ale bez entuzjazmu.

Kiedy chłopcy wyszli, Maggie uśmiechnęła się do Susan:

– Poczekaj, aż zobaczą tę małą z ósmej klasy! Zresztą, to tylko opieka na jeden dzień, nic im sienie stanie!

Następnego ranka Cole i Riley udali się w stronę garażu, gdzie przechowywali swoje motorowery. Jeżeli nawet woleli nie pamiętać o danej Maggie obietnicy, że zaopiekują się córką nowego pracownika, bardzo szybko sobie o tym przypomnieli. Luana Mae Simms właśnie wyłoniła się z cienia na poranne słońce. Chłopcy stanęli jak wryci. Cole widywał czasem takie dziewczyny w Nowym Jorku. Riley nie wiedział, że w ogóle istnieją!

Poranne słońce lśniło w rudawych włosach Luany: wyglądały jak szczerozłote. Wietrzyk rozwiewał gęstą grzywę okalającą buzię, co prawda nie klasycznie piękną, ale młodziutką i delikatnie zaokrągloną.

Usta były pełne, lekko wydęte i czerwone; w obramowaniu gęstych rzęs oczy wydawały się prawie czarne i uśmiechały się tajemniczo, jakby radował ją jakiś cudowny sekret. Luana miała na sobie spłowiałe dżinsy, które obciskały jej uda i podkreślały krągłość pośladków, i prostą płócienną bluzkę: trzy górne guziczki nie były zapięte i pozwalały dojrzeć rowek pomiędzy pełnymi i sterczącymi piersiami. Luana szła po podjeździe, stukając obcasami o beton.

– Zabierzcie mnie do szkoły? – spytała przyglądając się zarówno motorowerom, jak i chłopcom. – Nigdy na czymś takim nie siedziałam.

– No... powinnaś chyba pojechać szkolnym autobusem powiedział Riley. – Jeśli w szkole będziesz czegoś potrzebowała, zwróć się do nas. – Z niepokojem pomyślał o Kelly Jensen. Ta nowa znajomość z pewnością jej sienie spodoba!

Luana stała na dróżce, wysuwając dolną wargę z wyrazem uporu.

– Ale w autobusie będą same obce dzieciaki! Pani Tanner obiecała, że się mną zajmiecie. Nie mogę pojechać z którymś z was? – mówiła to powoli, niedbale, a chłopcy czekali bez tchu na każdą następną sylabę.

Riley potrząsnął głową.

– To nie najlepszy pomysł. Można bardzo zmarznąć jadąc z tyłu na motorowerze, a ta twoja kurtka jest bardzo cienka.

– Nie szkodzi – nalegała i dodała pod adresem Cole'a, który stał nieruchomo jak posąg z granitu: – Chyba ty jesteś synek pani Tanner? Twoja mama powiedziała, że miły z ciebie chłopak. Jestem Luana. Luana Mea Simms.

Riley, który uważnie obserwował Cole'a, pomyślał, że u nikogo jeszcze nie widział takiej głupiej miny. Sam też czuł się jak otumaniony i omal nie upuścił książek, kiedy Luana wetknęła kciuk za pasek spodni i zarzuciła na ramię wiatrówkę: biodro wysunęło się w bok, a bluzka naprężyła uwydatniając piersi.

– Tak, jestem synem mojej mamy, to znaczy... nazywam się Cole.

– Cześć, siemasz, Cole. – Luana uśmiechnęła się, a między pełnymi wargami zabłyśły równe białe zęby. Wargi mocno różowe, choć Cole nie dojrzał na nich szminki.

– Jesteś z Chin? – spytała Luana Riley.

– Nie, z Japonii. Słuchaj, Cole, musimy już jechać. Luano, idź w stronę szosy, bo ci ucieknie autobus.

– Fajnie by było! Wtedy Cole musiałyby mnie zabrać na swoim motorze. – Motorowerze poprawił Cole. – Podwiozę cię do szosy, żeby ci autobus nie uciekł. Poczekaj, aż ruszę, i wskakuj.

Motorowery zahuczały i wstąpiło w nie życie. Luana siedziała okrakiem za plecami Cole'a, obejmując go w pasie; jej pełne piersi dotykały do jego pleców, a uda przylegały do jego siedzenia. Spuściła głowę i wtuliła twarz w jego plecy, żeby uchronić ją przed wiatrem. Usłyszał jej radosny chichot, kiedy pędzili po podjeździe, a Riley tuż za nimi. Gdy dotarli do szosy, właśnie nadjechał autobus, ale Cole wyminął go i dowiózł Luanę aż do szkoły. Riley wcale mu się nie dziwił. Sam widok zgrabnej pupki Luany, odskakującej od siodelka motoroweru Cole'a, wystarczył, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości.

Rozdział dziewiąty

Wiosna otuliła Sunbridge jaskrawozielonym płaszczem. Maggie zawsze uważała wiosnę za swą ulubioną porę roku... póki nie pojawiały się złote liście jesieni. W tej chwili jednak barwne wiosenne kwiaty kiwały do siebie przyjaźnie główkami z wypielegnowanych grządek. Dopiero co rozwinięte liście, pokrywające gałązki ogrodowych krzewów, błyszczały w słońcu jak szmaragdy. Maggie była pewna, że słońce świeci tu jaśniej niż gdziekolwiek.

Wyszła na patio i całym ciałem poddała się pieszczocie słońca. Świat był piękny! Cole wrócił do niej. Przekonał się, jaka naprawdę jest, a mimo to kochał ją! Jego czułość zdumiała Maggie. Jej własny syn!

Do pełni szczęścia brakowało jej tylko obecności Randa. Maggie jeszcze dwukrotnie próbowała dodzwonić się do londyńskiego mieszkania, bo Susan uprzedziła ją, że w jego wiejskim domku nie ma telefonu. Maggie wzruszyła ramionami. Cóż, musi pogodzić się z tym, że Rand ją odtrącił, podobnie jak wiele razy poprzednio godziła się z jakąś stratą. List, trzy telefony, których nikt nie odebrał czegoż jeszcze więcej chciała? Za dużo, a zarazem za mało, a zwłaszcza za późno, Maggie!

Musi myśleć o wyjeździe do Nowego Jorku i spotkaniu z Sawyer. Prawdę mówiąc, powinna już dziś zamówić bilet i polecieć w przyszłym tygodniu. Wiosna w Nowym Jorku jest prawie tak piękna jak w Teksasie.

Poranek był taki śliczny, że nie chciało jej się wracać do domu. Los sam rozstrzygnął, co powinna uczynić, gdy z mieszkania nad garażem dobiegały do niej odgłosy kłótni. Maggie bez skrupułów przysunęła krzesło do samej barierki patio, żeby lepiej słyszeć. Na jej twarzy odbiło się zdumienie.

– Nie będziesz mi się prowadziła jak dziwka! Nie raz ci mówiłem, jak cie urządzę, kiedy przyłapie na jakichś sztuczках z tymi chłopakami! Teraz się połóż i dostaniesz za swoje. A potem poczytamy Biblie.

Maggie nie wiedziała, co rozlegało się głośniejsz: świst pasa czy wrzaski Luany.

– Tato ja nic nie zrobiłam! Oni sie tak tylko wygłupiali, tato! – skomliła. – Nie mogłam ich odgonić, bo pani Tanner jest taka dla nas dobra!

– Ta twoja dobra paniusia wyleje mnie, jak będziesz sie zachowywać jak ostatnia kurwa! Nie pozwolę ci na to! Nie będziesz taka jak twoja mamuśka! Słyszysz, Luana?!

Maggie wzdrygnęła się. Wyobraziła sobie czerwone pręgi na okrągłym tyłeczku. Ale to nie jej sprawa. Nie może wtrącać się do tego, jak Ben Simms wychowuje własną córkę. Poczula jednak, że ogarnia ją złość: była wściekła na Simmsa, że krzywdzi Luanę, wyładowując na niej swą nienawiść do żony.

Niepokoilo ją jednak wyraźne zauroczenie chłopców Luaną. Zauważyła rosnące między nimi w ostatnich czasach napięcie. Wczoraj wieczorem Riley zwierzył się jej, że zaprosił Luanę na piknik. Dziewczyna oczywiście odmówiła. Cole uśmiechnął się pogardliwie, ale Maggie dostrzegła błysk w jego oku. Było jasne, że postara się zdystansować swego rywala, jeśli tylko mu się to uda.

Maggie od tygodnia już bacznie obserwowała dziewczynę, uznając to za swój obowiązek. Nie myli się chyba, stwierdzając, że ta smarkula wygrywała jednego chłopaka przeciw drugiemu. Była na ćwiczeniach łuczniczych i podziwiała Cole'a; potem poszła na mecz baseballowy i dopingowała Riley'a. Kiedy była brzydka pogoda, wracała do domu autobusem. Gdy dzień był ładny, ociągała się po wyjściu ze szkoły czekając, aż ktoś ją podwiezie, żeby nie musiała drałować na piechotę.

Potem w płasach wracała do domu, a niebawem zapach smażonej cebuli i czosnku docierał przez podwórze do kuchennych pomieszczeń w Sunbridge. Dolatywał stamtąd do Maggie także brzęk naczyń. Luana zwijała się z robotą: w ciągu dwudziestu minut udawało jej się pościć łóżka, pozmywać po śniadaniu, włączyć pralkę i wstawić obiad do piecyka. Miała jeszcze czas na to, żeby się przebrać w króciutkie szorty lub drelichową spódniczkę mini. Kiedy o wpół do szóstej Cole i Riley wjeżdżali na podjazd na swoich motorowerach, Luana siedziała na schodkach zatopiona w jakimś podręczniku. Początkowo Maggie wierzyła, że dziewczyna rzeczywiście się uczy, ale Cole zdradził jej, że Luana chowa w książce numery „Szczerých Wyznań”. Usłyszawszy to Maggie uśmiechnęła się od ucha do ucha: ona sama w tym wieku dosłownie pożerała bzdurne czasopisma. Chłopcy oczywiście natychmiast szli w stronę garażu i gawędzili z Luaną, póki z okna kuchni nie zadźwięczał brzęczyk. Ben Simms zjawiał się dokładnie pięć po szóstej. Chłopcy byli już wtedy w swoich pokojach: uczyli się albo myli przed obiadem. Luana zaplanowała wszystko bez pudła.

Dziewczyna już nie płakała, ale dosłownie wyła z bólu.

– Nie bede, tato! Już nigdy nawet do nich nie zagadam! Powiedz pani Tanner, że jej chłopcy nie są dla mnie dosyć dobrzy! No, powiedz jej to! Zaraz wylecisz z aliganckiej posady! Nienawidzę cie! No, bij mnie! Nie boje się! Każesz mi się furt uczyć! Co to da, jak sie ciągle włóczymy z miejsca na miejsce! Cole i Riley chcieli mi pomóc w nauce! Co w tym złego?!

Kolejny cios. Maggie aż się wzdrygnęła.

– Weź Biblię. Poczytamy sobie.

Maggie słyszała monotony głos, który czytał i czytał. Co jakiś czas odzywała się także Luana.

Maggie zamierzała w następnym tygodniu pojechać do Nowego Jorku. Odwołała większość swoich spotkań, bo miała niejasne

wrażenie, że w domu coś się święci. Sama nie wiedziała, o co chodzi, dopóki nie zauważyła we środe, jak Riley na motorowerze skręca z głównej drogi w pole. Za chłopcem ktoś siedział: Maggie natychmiast rozpoznała Luanę.

Riley nigdy nie wagarował. A już na pewno nie opuszczał treningów baseballowych. Maggie spojrzała na zegarek: piętnaście po pierwszej. Dokąd oni jadą?!

Przez kilka godzin krążyła niespokojnie po domu, niczym tatuś oczekujący narodzin potomka. W końcu o piątej piętnaście usłyszała terkot motoroweru Riley'a. Westchnęła głęboko: najwyższy czas, żeby już byli z powrotem Riley w swoim pokoju, a Luana przy patelni z cebulą!

W piątek Luana poszła do szkoły w nowej sukience z jaskrawoczerwonego jedwabiu. Miała też pantofle na wysokich obcasach.

W sobotę Maggie zrezygnowała z podróży do Nowego Jorku, a raczej przełożyła ją na dalszy termin.

W poniedziałek po południu zobaczyła Cole'a, skręcającego w pole z Luaną na siodełku motoroweru. We środe, kiedy Luana wychodziła do szkoły, Maggie zauważyła, że dziewczyna ma na sobie nowe džinsy i elegancki pulower.

Tego samego ranka, gdy Maggie tonęła w ponurych myślach na patio, Susan przyłączyła się do niej z filiżanką kawy w ręku.

– Co z twoją działalnością dobroczynną? I dlaczego się ostatnio zrobiłaś taka nerwowa? Powiedz, co tutaj się dzieje?

Maggie udzieliła jej szczegółowych informacji.

– Chcesz powiedzieć, że ta mała kurewka sprzedaje się za pieniądze?! – zapytała oburzona Susan.

– Na to wygląda – odparła ponuro Maggie. – Wiem tylko jedno: każdy z chłopców jest przekonany, że Luana właśnie jego wybrała.

Drżę na samą myśl, co się stanie, kiedy odkryją, że są rywalami.

– A jej ojciec... oczywiście, że nie ma pojęcia! Dałby jej pewnie nieźle w skórę, gdyby coś podejrzewał! Może powinnam z nim pomówić.

– Nie, Susy, nie rób tego! – Maggie opowiedziała siostrze o strasznym laniu, jakie spuścił jej ojciec.

Susan sączyła kawę: była tak gorąca, że parzyła w język.

– Maggie, Simms pracuje jak maszyna! Położył już fundamenty pod dwa zaplanowane domki. Pracuje bardzo dokładnie. Ferris jest zachwycony. Dzięki Simmsowi możemy liczyć na to, że domki będą gotowe na Święto Pracy.

Święto Pracy. Zapięć miesięcy. Przez ten czas może się bardzo wiele zdarzyć. Maggie przypomniała sobie, że w czerwcu chłopcy jadana Hawaje. Ale dwa i pół miesiąca to także dużo. Może powinna porozmawiać z Luaną?

W sobotę o czwartej po południu Ben Simms zastukał do tylnych drzwi i poprosił o rozmowę z Susan.

– Musze jechać do miasta, psze pani. Trza zamówić niektóre materiały. Przywiozę beczułkę gwoździ: będą mi potrzebne w poniedziałek z samego rana. Dziś skończę robotę dwie godziny wcześniej, ale odrobię to w poniedziałek. Musze też kupić coś do jedzenia w supersamie. Luana mówi, że jest otwarty do dziesiątej wieczór.

– W porządku, panie Simms. Proszę powiedzieć, żeby mi przysłali rachunek za wszystkie materiały budowlane. Może pan dziś skończyć pracę wcześniej, o której pan chce. Oto pańska zapłata. W gotówce, jak pan sobie życzył.

Ben podziękował jej i uchylił kapelusza.

– Może paniusia coś ode mnie powtórzyć pani Tanner?

– Oczywiście, panie Simms.

– Niech pani powie, że nie miał racji. Chłopaki są w porządku względem Luany. Nie bardzo mi się podoba ten kitajec, ale Luana mówi, że jest dobry w rachunkach, a jej się przyda pomoc. Jak chcą dalej jej pomagać, mogą przyjść po kolacji i uczyć się przy stole w kuchni. Bede pod bokiem.

Luana patrzyła, jak ojciec zmierza w stronę łazienki. Kazał jej zrobić listę zakupów, więc zrobiła, i to długą.

Nuciła coś pod nosem, smażąc cebulę na patelni. Tato robi dokładnie to, co planował: kupi beczułkę gwoździ, a potem żywność i załaduje na tył wozu. W drodze powrotnej zatrzyma się barze przy szosie i nie wróci do domu wcześniej niż po północy, a może i rano, jeśli znajdzie sobie jakąś babę. Miała więc dobre sześć godzin, a kto wie, czy nie całą noc.

Snuła plany, opiekając ostatniego hamburgera. Uśmiechnęła się na wspomnienie czarnej koronkowej bielizny, którą kupiła sobie w Austin w piątek. Może dziś ją włoży...

Natychmiast po kolacji Luana poderwała się do zmywania. Wycierała ostatni talerz, gdy Ben wetknął do kieszeni jej listę zakupów.

– Masz się zachowywać jak trzeba, kiedy mnie nie będzie. Zamknij drzwi na klucz. Odrób lekcje i poczytaj Biblię. Jutro rano cie z niej przepytam.

– Tak, tato – odparła potulnie Luana. Zupełnie zgłupiała, gdy Ben wręczył jej dwadzieścia dolarów.

– Kup se w przyszłym tygodniu jakieś nowe fatałaszk.

– Dziękuję, tato. – Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Poczzerwieniał z radości.

– Tracie zawsze tak się czuliła, jak chciała coś ze mnie wyciągnąć – powiedział Ben i poklepał córkę niezgrabnie po policzku. – Mam tylko ciebie, dziewczusko.

– Wiem, tato. Nie martw się o mnie. Teraz będzie nam już dobrze,

tobie i mnie. Jak się ludzie zwiędzą, co z ciebie za robotnik, będziesz miał pracy po uszy aż do końca świata. Zobaczysz! A może pani Tanner pozwoli nam tu zostać na dobre?

– Podoba ci się tutaj, co?

– Jeszcze jak! Pierwszy raz jest jak w domu, odkąd mama odeszła. Dbam o dom, nonie?

– Pewnie. Jestem z ciebie dumny.

Luana pocałowała go jeszcze raz i posłusznie zamknęła za nim drzwi na klucz. Nie ruszała się z miejsca, dopóki nie usłyszała, że pikap odjechał. Wówczas rozebrała się, wzięła prysznic i przypudrowała całe ciało pachnącym talkiem. „Egzotyczny Pocałunek”. Miał bardzo ładny zapach, a poza tym Luanie podobała się nazwa, bo było w niej słowo „pocałunek”.

Nie mogła się doczekać chwili, gdy włoży nową bieliznę! Kiedy się wreszcie w nią ubrała, przejrzała się w dużym, okrągłym lustrze wiszącym nad komodą.

Musiała stanąć na łóżku, żeby dobrze widzieć. Jedwabista czerń sprawiała, że skora wydawała się jeszcze bielsza, a stanik podnosił piersi i przyciągał je ku sobie: wyglądały na jeszcze większe. Mikroskopijne czarne majteczki ledwie zakrywały to, co trzeba, a nogi były dzięki temu dłuższe i szczuplejsze.

Potknęła się na nierównym materacu i leżała zwijając się ze śmiechu, zachwycona sobą i nowym nabytkiem. Potem włożyła nowe, szykowne dzinsy i narzuciła znoszoną, ale porządnie wyprasowaną bluzkę w ciemną kratkę. Nie chciała, żeby koronkowy biustonosz był widoczny. Bluzka zapinała się skromnie pod szyję. Luana związała swoje długie jasne włosy w koński ogon. Postarała się o to, by nad uszami wiły się nieposłuszne loczki i nastroszyła na czole grzywkę. Lepiej nie robić makijażu: pani Tanner mogłaby zauważyć szminkę! Ale podkreśliła sobie rzęsy.

Pięć minut później zastukała nieśmiało do tylnych drzwi, czekając, aż Marta otworzy. Zastanawiała się, która teraz może być godzina? W przysłym tygodniu pewnie już będzie miała zegarek.

– Chciałabym widzieć się z Rileyem i Cole'em, psze pani – powiedziała grzecznie, gdy Marta otworzyła drzwi. – Poczekam na werandzie.

– Proszę pani – oznajmiła Marta przez telefon wewnętrzny – ta mała z przeciwka chce się widzieć z Rileyem i Cole'em.

– Zaraz zejść, Marto.

– Czy coś się stało, Luano? – spytała Maggie, wychodząc na tylną werandę. – Nie, psze pani. Cole obiecał, że mi pomoże w nauce, jeśli nie będzie miał nic do roboty.

Maggie przyglądała się dziewczynie, próbując odgadnąć, co kryje się pod maską niewinności. Gdy sobie jednak przypomniała, jak Ben Simms katował córkę, współczucie zatriumfowało nad podejrzliwością. Wiedziała, że nie powinna być zbyt pobłażliwa, zwłaszcza że dotyczyło to obu chłopców, Riley'a i Cole'a, ale sądziła, że należy porozmawiać raczej z nimi niż z Luaną.

Luana nie unikała spojrzenia Maggie; jej oczy były spokojne i niewinne.

– Czy może pani zawołać Cole'a? – spytała grzecznie. – Jak się używa tego czegoś na ścianie? W szkole też mają coś takiego.

– To telefon wewnętrzny. Myślę, że taki sam jak w szkole, tylko że mniejszy. – Bez zastanowienia Maggie wezwała Cole'a. Po chwili usłyszała jego kroki na schodach.

– Cześć, Cole! Przyszłam spytać, czy mi pomożesz w lekcjach – powiedziała słodko Luana, a jej brązowe oczy błysnęły. W kącikach młodych, pełnych ust czaił się uśmiezek.

Cole gapił się na Luaną, jakby była gwiazdą filmową; zezłościło to Maggie. Miała ochotę tak potrząsnąć synem, żeby mu zęby

zadźwięczały!

– Zrobione – zgodził się bez oporów. – Nie mam dziś nic do roboty. Poczekaj na mnie. Muszę wziąć podręcznik. Zaraz wrócę.

Cole pognął po schodach. Czuł, jak slipki robią się za ciasne. Doszedł już do takiego stanu, że nie mógł nawet pomyśleć o Luanie, żeby nie odczuwać napięcia w lędźwiach. Nie poszła z nim na całość, ale pokazała mu różne sztuczki, o których nie pisali nawet w „Playboyu”. „

Szybko zajrzał do portfela, ile ma forsy; oszczędzał na hawajską wyprawę z Sawyer. Pięćdziesiąt dolarów gotówką. Ciekaw był, co mu da Luana za te pięćdziesiąt dolarów.

Maggie przyglądała się, jak Cole i Luana przechodzą przez dziedziniec i kierują się w stronę mieszkania nad garażem. Chciała powstrzymać syna, ale pocieszała się myślą, że Ben Simms będzie razem z nimi; pod jego czujnym okiem nic się nie wydarzy.

– Jejku, przez chwile żem myślała, że twoja mama cie nie puści, Cole! – roześmiała się Luana. – Oczy jej iskrzyły jak fajerwerki na Czwartego Lipca! Zawsze się tak boi, żeby jakaś dziewczyna nie porwała jego małego synka?

Cole nastroszył się.

– Zamknij się! Sama nie masz matki, więc nie rozumiesz, jak to jest. I wcale nie jestem jej małym synkiem.

– Tylko mężczyzną, co, Cole?

Doszli już do drzwi z boku garażu, które prowadziły do mieszkania Simmsów. Luana odwróciła się i w mroku przytuliła się do Cole’ a, patrząc mu prosto w twarz.

– No, jesteś już mężczyzną, czy nie jesteś, Cole?

– A jak ci się zdaje? – warknął, obejmując ją w pasie i mocno przyciskając do siebie, tak że mogła wyczuć erekcję.

– Wydaje mi się, że ci sie bardzo spieszy, i tyle! – zachichotała,

wsunęła się przez uchylone drzwi do wnętrza i popędziła po schodach.

Cole biegł za nią, wpatrzony w opięty dzinsami tyłeczek, i chwycił ją, gdy zatrzymała się na górnym podeście.

– Masz być grzeczny, słyszysz? – powiedziała kokieteryjnie. – Nie chce, żebyś się na mnie wściekał jak przedwczoraj. Nieładnie tak zostawiać dziewczynę samą. Musiałam wracać pieszo do domu.

– Zawróciłem po ciebie, ale już cię nie było. Nie wiedziałem, gdzieś się podziała.

Luana uniosła brwi i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma jak uosobienie niewinności. Cole wiedział, że to jedna z jej sztuczek. Luana z pewnością nie była niewinna!

– Nieważne – powiedziała. – Udało mi się jakoś wrócić. Tylko to się liczy, no nie? Nawet się już na ciebie nie gniewam.

Zaprowadziła go do kuchni; zauważyła, że zmarszczył nos z niesmakiem. W powietrzu unosił się zapach smażonej cebuli.

– To dla mojego taty – wyjaśniła szybko. – On lubi te cholerne śmierdzące cebule. Czasem mi się wydaje, że nie zmyje z siebie tego smrodu! Powiedz, śmierdzą cebulą? – Podsunęła mu pod nos swoją dłoń, wiedząc, że pachnie „Egzotycznym Pocałunkiem”. – A moje włosy? – spytała, przysuwając się bliżej i kładąc mu główkę na piersi. Słyszała, jak mu wali serce: zupełnie jakby miało pęknąć.

– Fajnie pachniesz – mruknął.

– Ale w kuchni nie jest fajnie. Chodźmy do mojego pokoju. Pokaże ci pismo, które teraz czytam. Chłopak na fotografii wygląda całkiem jak ty. Dlatego je kupiłam.

Cole wszedł za nią do skąpo umeblowanej sypialni. Na wąskim żelaznym łóżku leżało kilka par skarpet i nowa różowa bluzka, w której niedawno była w szkole.

Wszędzie były porzrzucone podręczniki i zeszyty, a na toalecie znajdowała się szczotka do włosów Luany i duża butelka szamponu.

Szybko sięgnęła pod materac i wyjęła kilka czasopism: „Szczerze Wyznania”, „Tajemnice miłości”, „Intymne Sprawy”.

– Mój tato nie chce, żebym toto czytała. Mówi, że to świństwa. – Zachichotała. – Może i racja. – Kartkowała czasopisma. – Popatrz, to ci chciałam pokazać!

Cole przysiadł na brzegu łóżka. Nie miał ochoty przeglądać czasopism. Znacznie chętniej zajrzałby pod bluzkę Luany. Dziewczyna podetknęła mu ilustrację pod nos.

– Sam powiedz: nie masz takich jasnych włosów? I takich ust? A ta dziewczyna nie wygląda trochę jak ja?

Cole wcale nie był pewny, czy chłopak na fotografii był do niego podobny, ale dziewczyna rzeczywiście przypominała Luanę: długie blond włosy, pełne, kapryśne wargi, półprzymknięte oczy. Jednak przede wszystkim to, co ta para wyprawiała, sprawiło, że serce zaczęło mu szybciej bić. Chłopiec pochylał się nad dziewczyną; był bez koszuli, jego nagie plecy lśniły od potu. Dziewczyna leżała na plecach, jedną nogę opierała na ramieniu chłopca, dragą obejmowała go w pasie. Miała na sobie białe majteczki i wyglądało na to, że chłopak zaraz je ściągnie, by się przekonać, gdzie zaczyna się ciemny puszek, ledwie widoczny u nasady jej nóg.

– Nie uważasz, że wyglądają całkiem jak my? – mówiła Luana. – Zobaczmy! Pochyle lustro, będziemy mogli siebie oglądać. Zdejm koszule, Cole. Chce nas tak obejrzyć! – Wstała i zrzuciła tenisówki, a potem zsunęła dzinsy. Zauważyła reakcję Cole’a na widok czarnych koronkowych majtek; była zadowolona, że chłopak nie może oderwać od nich oczu. – Tylko przekrzywię lustro w nasze stronę... – Padła z powrotem na łóżko i popatrzyła na ścianę. – Tak jest dobrze. Widzę siebie. A ty, Cole?

Chłopak rozebrał się do pasa; czuł na skórze panujący w pokoju chłód. Żeby spojrzeć w lustro, musiał przechylić się przez Luanę i jego

twarz znalazła się tuż przy jej piersiach. Dojrzał rozbawienie w jej oczach i postanowił dostosować się do jej nastroju.

– Powinnaś mieć rozpiętą bluzkę, jak ta dziewczyna na obrazku. – Rozpiął powoli guzik, cał po cału obnażając jej ciało.

– Cole! Ta dziewczyna wcale nie ma całej bluzki porozpinanej!

– Ale ty tak. No, ułóż nogi tak jak ona. Chyba w ten sposób?

– Cole, nie rozrabiaj! Mieliśmy tylko przekonać się, czy wyglądamy jak na tym obrazku!

– Jesteś ładniejsza niż ta dziewczyna z obrazka, Luano. I masz ładniejsze majteczki.

– Tak uważasz? I mnie się tak zdaje. Kupiłam ten stanik i majtki specjalnie dla ciebie, Cole, za pieniądze, które żeś mi dał ostatnim razem. Lubię wkładać dla ciebie ładne rzeczy.

– Ja też lubię, kiedy je masz na sobie, Luano. – Był całkiem bez tchu. Przyglądał się, jak jej zaokrąglony brzusek wznosi się i opada przy każdym oddechu. Wyczytał w jej spojrzeniu, że nie miała nic przeciwko temu, żeby jej dotknął.

– Może nie wyglądamy jak z obrazka, co? No, Cole, popatrz w lustro!

Oderwał od niej wzrok i spojrzał w wiszące na ścianie lustro. Dziwnie podniecało go to, że obserwuje siebie z Luaną, jak ktoś z zewnątrz. Widział, jak jego ręce przesuwają się po jej skórze i jak Luana wije się pod dotknięciem. Zsunął jej ramiączka stanika i obnażył piersi. Nadal obserwując swe ruchy w lustrze dotknął ich, przypatrywał się swoim dłoniom głaszczącym różowe brodawki, podobne do ciasno zwiniętych pączków. Zobaczył, że i ona przygląda mu się w lustrze.

– Faaajnie! Zupełnie jak w kinie, no nie? – westchnęła.

Nie przypominało to żadnego filmu, który Cole oglądał. Słyszał, że są takie filmy: mówili o tym chłopcy w szkole. Ale to, co się działo, biło kino na głowę! To była Luana, a jej śliczne ciało leżało przy nim.

Jego własne dłonie dotykały jej, błędziły po niej. Obrócił ją na bok i rozpiął haftki stanika, uwalniając zupełnie jej piersi. W starej stodole Luana pozwoliła mu na to, ale nigdy nie dawała zdjęć z siebie wszystkiego. Jeśli ściągnął jej majtki, upierała się, że chce być w staniku i bluzce. A jeśli miał wolny dostęp do jej piersi, wówczas dżinsy pozostawały twardo na swoim miejscu. Ale dziś będzie inaczej!

– Cole! Co ty wyprawiasz! To wcale nie jest tak jak na obrazku! – Powinnaś sobie obejrzeć fotografie w moim czasopiśmie, Luano. Jesteś dużo ładniejsza od wszystkich dziewcząt, które tam sfotografowali. I żadna z nich nie ma nic na sobie, ale to zupełnie nic.

– Całkiem gołe! Kiedy mi pokażesz te zdjęcia! Chce je zobaczyć!

– Zaraz zobaczysz. Patrz tylko w lustro.

Luana zwróciła głowę do lustra, obserwując w nim jego ruchy. Uniosła biodra i pozwoliła, żeby jej zdjął majtki. Kiedy podniósł jedną z nóg i zaczął ją gładzić palcami, wierciła się i wzdychała. Lubiła, gdy Cole tak się z nią bawił. Nie bał się zajrzeć, co dziewczyna ma między nogami, tak jak Riley. Tamten dotykał tylko jej piersi i czasem to Luane nudziło. Albo uciekał i zostawiał ją podrażnioną i spiętą; musiała wtedy wziąć porządną gorącą kąpiel, zanim przyszła do siebie.

Cole był inny. Nie ukrywał, że lubi się jej przyglądać. I wiedział, gdzie pomacać, tak jak teraz. Robiło się jej od tego jakoś głupio w środku i coraz bardziej gorąco. Chciała jak najmocniej przywrzeć do jego ręki, chciała, żeby całował ją w piersi, jak wtedy w starej stodole. Bała się jednak, że straci nad sobą panowanie i gotowa zrobić Bóg wie co. Podobało się jej, że ma nad Cole'em taką władzę; jeżeli za wcześniej zgodzi się na wszystko, skończą się pieniądze i prezenty.

– Wyglądam jak te dziewczyny w twoich czasopismach? – spytała prawie szeptem.

– Sto razy lepiej!

Cole ledwie był w stanie wydobyć głos. Jej widok zupełnie go

ogłupił: pierwszy raz był z nagą dziewczyną. Zdawało mu się, że Luana umyślnie napiera na jego rękę, pozwala mu, by wsunął palce do jej wnętrza. Napięcie w lędźwiach było nie do zniesienia, dżinsy strasznie go cisnęły, nie mieścił się w nich! Badał palcami cudowne różowe wgłębienie, czuł, jak staje się gorące i wilgotne. Znalazł miejsce, gdzie lubiła, żeby ją dotykał, i znowu obserwował w lustrze jej reakcję. Biodra Luany zaczęły się poruszać, kręciła nimi, prostowała i rozkładała nogi, nie kryjąc nic przed jego wzrokiem i dotknięciem. I nagle złączyła ściśle uda, wiążąc pomiędzy nimi jego rękę, przyciskając ją do siebie skurczem wszystkich mięśni. Gdy minął ten moment, spojrzała na niego zamglonym, sennym wzrokiem.

– Jesteś miły, Cole. Tak ładnie pieścisz Luanę.

– Więc teraz ty bądź dla mnie miła! – powiedział Cole zdławionym głosem. Ból w lędźwiach był nie do zniesienia. Schwycił jej dłoń i przyciągnął do siebie w przewidywaniu nagłej ulgi.

– Nie, nie! – Luana wyrwała rękę, jakby się sparzyła. – Nie wiem, która to godzina!

– Uspokój się. Jest jeszcze wcześniej! – Cole znów starał się ująć jej dłoń.

– Nie! Trzeba sprawdzić, która godzina! Tato może zaraz wrócić! Musze się pilnować! Pamiętaj o tym, Cole!

Chłopak zerknął na zegarek, pięknego złotego Piageta.

– Nie ma jeszcze dziewiętej.

– Gdybym miała zegarek, to bym zawsze wiedziała, która godzina – uśmiechnęła się Luana. – I mogłabym być dla ciebie miła, jak tego chcesz.

Cole zrozumiał aluzję. Włożył rękę do kieszeni spodni.

– Masz tu pięćdziesiąt dolarów. Teraz już będziesz dla mnie miła, prawda?

Luana wetknęła pieniądze pod poduszkę i sięgnęła do paska

podtrzymującego spodnie Cole'a. Kiedy już mu je rozpięła, pochyliła się nad nimi i szepnęła:

– Umieć być miła, Cole. Zaraz zobaczysz. Umieć być bardzo, bardzo miła.

Ben Simms był już prawie trzeźwy, gdy wjeżdżał swoim pikapem na teren Sunbridge. Za jakieś dwadzieścia minut się rozwidni. Jutrzeńka. Niedziela rano. Musi przespać się z godzinę, a potem poczytać Biblię, żeby uwolnić się z oparów grzechu. Był wściekły na siebie za to wszystko, co wyrabiał, ale od kilku miesięcy nie miał kobiety.

Gdyby ktoś zrobił coś takiego mojej Luanie – pomyślał ponuro Ben – to bym go zatłukł gołymi rękami! Nic by nie pomogły żadne tłumaczenia!

Czuł w ustach kwas i śmierdziało mu z gęby myszami. Przez chwilę zastanawiał się z niepokojem, czy Luana zauważyła, że nie wrócił na noc do domu?

Potem powiedział sobie, że każdy chłop musi od czasu do czasu zaszaleć. Może to grzeszne, ale ludzkie. Zgasił silnik pikapa, zanim zjechał z niewielkiego wzniesienia prosto pod garaż. Wygramolił się z wozu i sprawdził drzwi wejściowe.

W porządku! – pomyślał z zadowoleniem. – Luana zamkła się na noc. Zaczął szukać klucza, miał pewne trudności, nim trafił do zamka, ale w końcu otworzył drzwi.

Wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, gdy wyjeżdżał. Naczynia po kolacji sprzątnięte. Podręczniki Luany, długopisy i zeszyty porządnie ułożone na kuchennym stole. Mały pokój obok kuchni był czyściutki, a telewizor wyłączony. Ben skręcił korytarzem w stronę pokoju Luany.

Leżała rozwalona na łóżku, nie całkiem przykryta, bo kołdra i

prześcieradło zsuwały się z niej. Pomyślał, że wygląda we śnie jak aniołek. Potem dostrzegł czarne koronkowe majtki i czarne ramiączko stanika i otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Wtargnął do wnętrza pokoju i wlepił wzrok w córkę ubraną we frywolną bieliznę. Jedna odkryta, zgrabna noga była odsunięta tak, że przez skąpe majteczki można było dostrzec jasną kępkę włosów łonowych. Benowi zaparło dech. Nagle Luana przewróciła się na łóżku: cała pupa była na wierzchu, a prześcieradło nie zasłaniało już piersi. Gdy jedna z nich wysunęła się z koronkowej osłonki, gniew Bena wybuchnął z całą siłą. Pochylił się nad łóżkiem, schwycił córkę za włosy i wyciągnął ją z pościeli. Widział tylko jej różowe nagie ciało.

– Skąd masz te kurewskie ciuchy?! – ryknął.

– Jakie kurewskie ciuchy? – spytała Luana przeklinając się w duchu za własną głupotę: powinna była zdjąć z siebie komplecik zaraz po wyjściu Cole’ a! – O co ci chodzi, tato?

– O twoje bieliznę! – syknął Ben przez zaciśnięte zęby. – Przykryj się czymś, bo tak cie spiorę, że cała będziesz czarna jak te majtki!

Luana spiesznie spełniła jego żądanie.

– Dała mi je pani Tanner, żebym miała w czym spać. Powiedziała, że kosztowały sześćdziesiąt dolców, ale już na nianie pasują. To tylko do spania, tato! – skamlała Luana. – Nigdy żem nie wkładała tego na dzień, słowo ci daję!

Ben spojrział w przestraszone oczy córki. Luana nigdy go nie okłamała. Jak mówi, że ma to od pani Tanner, to musi to być prawda. Widać dała jej to do spania.

– Nie chce cie już nigdy w tym widzieć! Jesteś za mała na coś takiego! Tylko twoja mamuśka by to nosiła. Pod kiecką – dodał, żeby nie było niedomówień.

– Ja nie jestem taka jak ona. Włożyłam to na noc, jak kazała pani Tanner. Sam widzisz, tato. – Uśmiechnęła się do niego słodko i

niewinnie. – Zrobić ci śniadanie, tato? – spytała.

Nie było co nawet marzyć o śnie, Ben całkiem już oprzytomniał.

– Lepiej zrób. Ugotuj owsianki i usmaż jajka na boczku. Ide pod prysznic. Zakupy są w tyle wozu. Możesz je tu przynieść.

– Dobrze, tato. Wszystko będzie gotowe, jak się ogolisz. Pójdziemy do kościoła?

– Nie tą razą. Poczytamy Biblię. To znaczy tyle samo co chodzenie do kościoła, a nie mamy się w co ubrać.

Luana odetchnęła z ulgą. Co niedziela zadawała ojcu to samo pytanie i zawsze otrzymywała tę samą odpowiedź. Dobrze znała swego tatę!

Boczek był dokładnie według jego gustu: kruchutki i przysmażony. Jajka usmażone na maśle, nie na smalcu. Garnek z owsianką stał na środku stołu w specjalnej osłonce. Luana zrobiła nawet serwetkę z kawałka papierowego ręcznika i złożyła ją pod widelcem. Kiedy usłyszała, że drzwi łazienki otwierają się, skoczyła jeszcze na dół i skradła kilka kwiatków z ogrodu pani Tanner. Ustawiła je na stole w szklance z wodą.

Ben wszedł do kuchni i zatrzymał się na progu podziwiając nakryty stół. Nie było wątpliwości: każdy mógłby mu pozazdrościć takiej córki! Czuł się tak dobrze, jak mu się to już dawno nie zdarzało: czyste ubranie, kąpiel i śniadanie przyrządzone przez kogoś, kto go kochał.

Luana jadła ze spuszczonej oczami. Od czasu do czasu zerknęła ukradkiem na tatę. Niezgorzej się prezentował. Prawdę mówiąc był na swój sposób całkiem przystojny! Szkoda, że ciągle tylko mówił o Panu Bogu i wszystkiego jej zabraniał; ale zawsze dbał o nią.

Niedzielne śniadanie w Sunbridge bywało zazwyczaj miłe i gwarne; Riley i Cole mieli okazję opowiedzieć Maggie i Susan o wszystkich wydarzeniach tygodnia: meczach, szkolnych

uroczystościach, projektowanych zabawach czy potańcówkach. Ciągłe też powtarzało się pytanie: kiedy dostaniemy własne samochody?!

Tej niedzieli nastrój był jednak inny. Niechęć między Rileyem a Cole'em przybrała na sile. Maggie wiedziała, że przyczyną tego jest rywalizacja o Luanę. Czuła, że to jej wina: należało wcześniej temu zapobiec! Bała się jednak, że wtrącając się zniszczy cudowne przyjazne stosunki, które od niedawna łączyły ją z Cole'em. Teraz zaniepokoiła się, gdy Cole wspomniał, że pomagał Luanie w odrabianiu lekcji. Zauważyła, że Riley omal sienie udławił, a jego oliwkowa twarz gwałtownie poczerwieniała. Przełknął duży łyk mleka i ze szczękiem odłożył widelec na talerz.

– Wczoraj wieczór? Nic nie wspomniałeś o tym, że będziesz pomagał Luanie, zanim nie wyszedłem na spotkanie z Kelly – powiedział ze złością. – Trzeba przyznać, kuzynku, że umiesz zadać cios w plecy!

Susan poruszyła się niespokojnie i pochyliła nad Jessie, która leżała w koszyku obok jej krzesła. Susan bardzo nie lubiła, kiedy chłopcy się sprzeczali, a poza tym czuła się winna: to ona sprowadziła Bena Simmsa i jego córkę do Sunbridge.

– Jak jej idzie nauka? – spytała Maggie Riley, starając się zachować spokój.

– Tak sobie – odparł niechętnie. – Ma zaległości w matmie i nie łatwo jej będzie dogonić resztę.

– Ale ma podstawowe wiadomości: dodawanie, odejmowanie i tak dalej?

– Mniej więcej – odparł wymijająco Riley. Wiedział, że nie potrafi kłamać. Wcale nie pomagał Luanie w matematyce. Jeżeli już ktoś kogoś uczył, to raczej Luanajego.

– A jak ona sobie radzi z angielskim, Cole? – dopytywała się Maggie.

– Nieźle. Ale musi się jeszcze wielu rzeczy nauczyć. – Spojrzał na Riley'a i wiedział, że obaj myślą o tym samym. Cole pomyślał z satysfakcją, że zdobył dużą przewagę nad kuzynem. Wczoraj wieczorem było nie z tej ziemi! Luana nigdy dotąd nie pozwoliła mu na tak wiele; ile razy przypomniał sobie, jak przeglądali się w lustrze wiszącym nad komodą, robiło mu się gorąco.

Maggie odstawiała filiżankę.

– Chyba dobrze byłoby wystarać się dla Luany o fachowego korepetytora. Przekonam o tym jej ojca, skoro go tylko zobaczę.

– Przecież to by dużo kosztowało, a oni nie mają pieniędzy! – zauważył Riley z nutą desperacji w głosie.

Cole poczuł się osaczony.

– Korepetycje są bardzo drogie! Oni naprawdę nie mają tyle forsy!

Maggie z niesmakiem przyjrzała się każdemu z nich po kolei.

– Ile pieniędzy daliście Luanie? – spytała ostro. – I za co? Czy myślicie, że jestem ślepa? Jak sądzicie, długo to potrwa, zanim pan Simms zauważy, jak się patrzycie na jego córkę? I te wszystkie jej nowe ciuchy! On nie jest głupi! – Wzięła głęboki oddech. – Widziałam każdego z was, jak jechał z Luaną do starej stodoły. Wiem, że chodzicie na wagary!

Jak na dany sygnał obaj chłopcy zerwali się z miejsc i stanęli twarzą w twarz. Ramię Cole'a wystrzeliło do przodu, ale Riley zablokował cios.

– Ty głupi skurwysynu! – syknął Cole. – Wiedziałem, że dasz się przylapać! I wsypałeś mnie, żeby się odegrać! Każdy zółtek to skończona świnią!

Maggie aż jęknęła i zerwała się z miejsca. Susan pospiesznie odsunęła koszyk Jessie. Dziecko zaczęło płakać.

Riley nagle odwrócił się i stanął w pozie karateki, z jednym ramieniem wyciągniętym, a drugim przytkniętym do piersi. Z jego

gardła wydobywało się jakieś groźne warczenie. Odepchnął Cole'a wyprostowanym ramieniem, a potem wykonał błyskawiczny obrót i ugodził kuzyna piętą w przeponę.

– Ostrzegalem, żebyś zszedł ze mnie! Dość żartów! Jeśli jeszcze raz mnie tak nazwiesz, to cię zabiję!

Nagle Maggie odwróciła wzrok od chłopców i dostrzegła postać stojącą w drzwiach. Ben Simms! Ile zdążył usłyszeć?

Cole przewrócił się na podłogę, a Riley stał nad nim w groźnej pozie wyzywając go do dalszej walki.

Simms przebiegł przez pokój, chcąc obezwładnić Riley'a. Zauważywszy jakiś ruch za swoimi plecami, Riley odwrócił się z wyprostowanym ramieniem i rozczapierzonymi palcami. Wyglądał jak przerażające monstrum z kamienia, Żadne mordy. Wyraz jego oczu sprawił, że Simms zastygł w bezruchu. Stali naprzeciw siebie jak zakłęci w głązy.

Maggie pierwsza odzyskała zdolność ruchów, podeszła do Cole'a i pomogła mu się podnieść. Sadzając go na krześle odezwała się do Riley'a:

– Dosyć. Siadaj! Byliście obaj w stosunku do siebie zbyt brutalni. Nie życzę sobie żadnych bójk przy stole!

Miała nadzieję, że przekona Simmsa, iż chodziło o jakieś rodzinne niesnaski, nic więcej.

– Chciał pan ze mną o czymś pomówić, panie Simms? – spytała, zwracając się do niego z uprzejmym uśmiechem.

– Tak, psze pani. Przyszedłem podziękować za ubranie, co je pani dała mojej córce, i prosić, żeby już pani nic więcej nie dawała. Niektóre rzeczy się nie nadają dla dziewczyny w jej wieku, zwłaszcza ta nocna bielizna.

Maggie zeszywniała. Po chwili odparła:

– W porządku, panie Simms. Nie dam Luanie żadnych moich

rzeczy.

– I niech pani trzyma te swoje chłopaki z dala od mojej Luany. Przede wszystkim tego. – Ben wskazał kciukiem na Rileyę. – Przykro mi to mówić, ale paniny chłopak też nie jest lepszy. Luana jest młoda i głupia i nie umie sobie radzić z chłopcami. Wie pani, o co mi chodzi?

Maggie uśmiechnęła się ponuro.

– Tak, wiem, panie Simms.

– Biere panią za słowo, pani Tanner. Jakiem wczoraj był w mieście, cały czas się trząsałem o Luane, samiotkie w domu. Jak pani nie ustawi chłopaków, bedziem sie musieli stąd zabrać z Luaną.

Po wyjściu Bena Simmsa w pokoju zapadło przytłaczające milczenie. W końcu Maggie wybuchnęła:

– Możecie być z siebie dumni! I mam nadzieję, że ten biedak nigdy się nie dowie, jak sprawy stoją, bo sytuacja Luany byłaby nie do pozazdroszczenia! – Przyznała, że była świadkiem tego, jak Ben tłukł swoją córkę. – Wiem, że powinnam była mu przeszkodzić, ale trudno się wtrącać w cudze życie. Niezręcznie stawać pomiędzy ojcem a córką. Teraz boję się o nią i tylko wy jesteście temu winni! Luana to nie aniołek, ale wy chyba potraficie rozróżnić dobro od zła! Od tej pory ta dziewczyna dla was nie istnieje! Zrozumiano? Nie istnieje!

Opuściła spiesznie jadalnię, w jej myślach kotłowały się obrazy Luany, Rileyę i Cole'a. Żal jej było Luany, nawet ją w pewnym sensie rozumiała. Sama w jej wieku nie była lepsza: smarkata szukająca nie wiadomo czego. Ale musiała przede wszystkim myśleć o sobie i chłopcach; to dla niej było ważniejsze niż współczucie dla obcej dziewczyny. A poza tym, co tu ukrywać, Luana miała instynkty hyeny!

Na samą myśl o tym Maggie poczuła, że krew zastyga jej w żyłach.

Rozdział dziesiąty.

Pierwszy maja był tak pięknym dniem, jaki tylko może się narodzić wczesną wiosną. Świeża trawa jasnozielona, czyste niebo miało intensywnie niebieską barwę, a w powietrzu unosił się zapach pierwszych róż rozkwitających w ogrodzie babci Jessiki.

Taki dzień idealnie się nadawał do podróży. Bagaze Maggie, już spakowane, czekały na wniesienie do samochodu. Cole pokpiwał sobie, że wyglądają jak piramida ku czci Louisa Vuittona, słynnego producenta luksusowej galanterii skórzanej. Maggie, mimo że była w świetnym nastroju, obawiała się zaplanowanej przerwy w podróży. Miała spędzić osiem godzin w Nowym Jorku, spotkać się i porozmawiać z Sawyer przed dalszym lotem na Hawaje. Osiem godzin na załatwienie spraw, na których uporządkowania nie starczyłoby całego życia.

Sprawdziła zawartość torebki. Bilety lotnicze, czeki podrózne, kredyt bankowy na wypadek, gdyby remont domu kosztował więcej, niż przewidywała. Potwierdzenie wynajmu samochodu, mapa wyspy wraz z objaśnieniami, jak dotrzeć do domu panny Kamali. Miała wszystko, co trzeba. Wszystko, z wyjątkiem Randa. Wspomniała o Randzie nieoczekiwanie, jak zawsze, kiedy jakiś drobiazg lub słówko nasunęły jej myśl o nim. Kazała mu odjechać, a on nie powrócił. Nie mogła mieć nawet do niego o to pretensji. Skąd mógł wiedzieć, jakże zdołałby uwierzyć, że w końcu wiedziała już, czego chce, i miała odwagę pójść za głosem serca?

Maggie zatrzasnęła torbę i zwróciła się do Cole'a i Riley'a.

– Nie będę prawić wam morałów ani błagać was, żebyście zachowywali się przyzwoicie w czasie mojej nieobecności. Mam do was zaufanie. Do obu. Jeżeli człowiek wie, co jest dobre, nie może postąpić źle. Pamiętajcie o tym. Nie przynieście wstydu Sunbridge.

Maggie uściskała obu chłopców, zatrzymując Cole'a odrobinę dłużej w swoim objęciu i spoglądając mu w oczy. Uśmiechnęła się dostrzegłszy ich wyraz i lekko ścisnęła ramię syna.

– Zadzwońię po spotkaniu z Sawyer. Bądźcie w pobliżu, żebym mogła was złapać! – Spojrzała na wzgórze łagodnie wznoszące się nad domem, na rozległą przestrzeń trawnika i niknące w dali długie szeregi białych ogrodzeń. – Tak bardzo nie lubię stąd wyjeżdżać! Kocham Sunbridge.

– Zanim się spostrzeżesz, będziesz już z powrotem – powiedziała pocieszająco Susan. – Powodzenia, Maggie! Nie spodziewaj się tylko zbyt wiele: niektóre sprawy nigdy nie ulegają zmianie.

Maggie uśmiechnęła się do siostry, a potem nachyliła do jej córeczki!

– No, Jessie, daj cioci buzi! – Dziecko zachichotało w ramionach Susan. – Uważaj na wszystko, Susy! Cześć, chłopaki!

Cole patrzył w ślad za limuzyną, w której oddalała się jego matka. Wydawało mu się, że razem z nią coś zniknęło.

Susan zauważyła, że Cole gapi się niebo.

– Jeszcze tego nie pojąłeś, Cole? Maggie jest słońcem tego domu. Zabrała razem ze sobą część światłości.

Adam Jarvis zbiegł po schodach na dźwięk dzwonka. Spojrzał przez wizjer.

– O, Jezu! – To była Maggie. Poznał ją od razu z fotografii, które Sawyer nosiła kiedyś w portfelu. Minęło od tego czasu wiele lat, ale trudno byłoby nie rozpoznać błyszczących ciemnych włosów i błękitnych jak letnie niebo oczu; widoczne też było podobieństwo do Sawyer. Adam westchnął głęboko i otworzył drzwi – Pani Tanner? Nazywam się Adam Jarvis.

– Witaj, Adamie. Chciałabym zobaczyć się z Sawyer. Czy jest w

domu? Adam zawahał się.

– Tak, jest na górze. Wybierałem się właśnie na spacer – dodał, jakby mu nagle coś przyszło do głowy: – Czy może pani przed wejściem na górę wpaść ze mną na kawę? Bar mamy tuż za rogiem. Jest coś, o czym powinna pani wiedzieć.

Maggie weszła z Adamem do baru kawowego; był to w gruncie rzeczy żydowski sklep z delikatesami, wypełniony smakowitymi woniami wędzonych wędlin i ostrych przypraw. Adam znalazł wolny stolik i podsunął Maggie krzesło. Spodobał się jej od razu, poza tym wiedziała, jak Billie polubiła tego młodego człowieka. Był mniej więcej w wieku Sawyer, a już zyskał duży rozgłos, jak mogła się zorientować. Wysoki, barczysty, przystojny – miał w oczach tyle ciepła i delikatności, że trudno było pojąć, jak Sawyer może mu się oprzeć. Kochał Sawyer. Powiedziała jej o tym Billie, a teraz Maggie sama mogła się o tym przekonać.

– Nie chcę być obecny przy pani rozmowie z Sawyer – powiedział bez ogródek Adam zamówiwszy dwie kawy. – Może jestem tchórzem, ale i tak cierpię przez nią jak potępiona dusza i wątpię, czy zniósłbym coś więcej. – Jego silne ramiona zdawały się uginać pod ciężarem, podbródek opadł na pierś. – Ale chyba przyjmę z jej rąk wszystko. To żadna tajemnica, że szaleję za nią.

Maggie wyciągnęła rękę ponad stolikiem i dotknęła dłoni Adama.

– Tak, od razu widać, co przeżywasz. Przykro mi, Adamie. – Nie ściągnąłem pani tutaj, żeby usłyszeć wyrazy współczucia.

– Mów mi Maggie, bardzo proszę.

– Więc, Maggie, jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Sawyer będzie wściekła, gdy się dowie, że o tym wspomniałem, ale nie wolno mi zmarnować tej szansy. Przeszła kolejne badania. Byliśmy w Instytucie Sloana Ketteringa, gdzie zajmują się działalnością eksperymentalną. Grupa lekarzy z tego instytutu doszła do wniosku, że

guz Sawyer można usunąć operacyjnie. Powiedzieli, że istnieje około dwudziestu procent prawdopodobieństwa, że zostanie wyleczona. , Oczy Maggie zablęśły radością i ulgą.

– A więc jest jakaś szansa! Realna szansa!

– Sawyer tak nie uważa. Odmawia zgody na operację. – Dlaczego?! Nie mogę uwierzyć...

– Nie wiem dlaczego, i nie obchodzą mnie jej racje, do cholery! – wybuchnął Adam. Na twarzy odbiły się wszystkie jego uczucia: niepokój, cierpienie, gorycz porażki. Ich echo brzmiało również w pełnym bólu głosie. – Kazała mi przysiąc, że dochowam tajemnicy, ale musiałem o tym powiedzieć! Sprzecząmy się na ten temat od wielu dni.

– To idiotyczne! Zawiadomię jej babkę! Jeśli ktoś potrafi przemówić Sawyer do rozumu, to tylko mama! Kiedy chcą ją operować?

– Jak tylko Sawyer wyrazi na to zgodę. Na szczęście ten guz rośnie bardzo powoli, ale nie ulega wątpliwości, czym to się skończy, jeśli Sawyer się nie zdecyduje na zabieg.

– Chcesz, żebym z nią pomówiła?

Adam skinął głową, oczy szklily mu się od łez.

– Kocham ją, Maggie. Ale Sawyer jest tak przepelniona poczuciem krzywdy i nienawiści, że chce odegrać się na całym świecie. Wydaje mi się, że pragnie umrzeć i ukarać w ten sposób wszystkich, którzy ją skrzywdzili. Możesz to zrozumieć?!

– Nie – odparła ze smutkiem Maggie. – Czegoś takiego nie sposób pojąć. No, Adamie, wróć razem ze mną na poddasze; potem możesz sobie pójść na ten twój spacer. Chyba powinnam porozmawiać z Sawyer sam na sam.

Z torbą przewieszoną przez ramię Maggie wspięła się po schodach i weszła do mieszkania Adama. Jak przepięknie urządzone to poddasze! Był to dom wypełniony miłością. Czula to.

Szła bardzo wolno i dotarła wreszcie do jadalni. Sawyer siedziała przy stole pijąc kawę. Miała na sobie liliowy podkoszulek i dżinsy. Wyglądała jak uosobienie zdrowia. Złote włosy lśniły, skóra była czysta i perłowa w promieniach wpadającego przez okno słońca. Nie zdziwiła się, gdy podniósłszy głowę zobaczyła matkę.

– Zwiedzasz slumsy?

– Chyba trudno byłoby tak to określić. Macie z Adamem piękny dom.

– Po co tu przyjechałaś? Czego tu chcesz? Cokolwiek cię tu sprowadza, nie mam dla ciebie czasu.

– Sawyer, chcę z tobą porozmawiać. O nas obu.

– Trochę się spóźniłaś, mamo. – Sawyer była tak rozdygotana, że musiała ująć filiżankę obiema rękami.

– Nie pomożesz mi w tym, prawda?

– Zgadłaś! Już ci powiedziałam, że na to za późno.

– Nigdy nie jest za późno. Słuchaj, Sawyer, nie mam zamiaru błagać cię na kolanach. Chcę tylko prosić, żebyś postarała się mnie zrozumieć. Jest mi ogromnie przykro...

– Przykro? – Sawyer zaśmiała się tak gorzko, że po plecach Maggie przebiegł dreszcz. – Komu ma niby pomóc takie gadanie?! Mnie? Tobie? Idź do spowiedzi, jak chcesz dostać rozgrzeszenie!

– Posłuchaj, Sawyer, nie można odrobić przeszłości, ale chcę spróbować... przynajmniej z tobą się porozumieć. Co było, minęło. Przyszłość dopiero nadejdzie. Mamy tylko chwilę obecną. Dlaczego jej nie wykorzystać?

– Bo to w niczym nie pomoże. Umrę i tak. Nie będę ci już zawadzać w życiu. Nie powinno cięto specjalnie martwić. Nigdy zresztą mój los cienie obchodził. Nienawidzę cię! – zawołała gwałtownie Sawyer. – Czy nie możesz tego pojąć?! I wiesz co ci jeszcze powiem? Robiłam co mogłam, żeby ci odebrać Cole' a. I tym razem wygrałaś.

Zawsze jesteś górą Maggie! Skończone z ciebie ścierwo! Jeśli ktoś musi umrzeć, to powinnaś to być właśnie ty!

Maggie drgnęła, dostrzegając w oczach Sawyer i słysząc w jej głosie tyle nienawiści. Nie odwróciła się jednak.

– Kiedyś myślałam tak samo – powiedziała spokojnie – że to ja powinnam była umrzeć. Przyczyniłam wszystkim tyle zmartwień... Gdybyś pozwoliła mi wyjaśnić...

– Przebaczyć ci? Nigdy! Niewiele wiem o uczuciach macierzyńskich, ale jednego jestem pewna: albo jest się matką albo się nianie jest. Ty nigdy nie próbowałaś nawet udawać, że nią jesteś.

– Wszystko, co powiedziałaś, to prawda. Może jestem rzeczywiście ścierwem. Ale jeśli już walczymy ze sobą w rynsztoku, powiedzmy sobie prawdę, dobrze? Nienawidziłam cię istotnie, ale była to dziwna nienawiść, nierozzerwalnie związana z miłością; nie pojmowałam tego uczucia. Na miłość boską przecież sama byłam jeszcze dzieckiem! Co mogłam wiedzieć o macierzyństwie? Odebrałaś mi wszystko. Ciebie zabrali do Sunbridge, a mnie stamtąd wypędzili. Otrzymałaś wszystko, co powinno należeć się mnie. Miałaś miłość mojej mamy. Pomagałaś mojemu tacie realizować marzenie jego życia. Mnie nie pozwolono w tym uczestniczyć. Ciebie kochano, o ciebie dbano. Ja byłam wyrzutkiem. Dano ci wszystko, co należało się mnie!

– Nic ci nie da takie gadanie, Maggie. – Ton głosu Sawyer był lodowaty. – Wszystko to gówno warte. Zależało mi tylko na twojej miłości. Ale ty nie zawracałaś sobie mną głowy. Jak zdołasz usprawiedliwić swą obojętność, gdy wreszcie stanęłaś na nogi?

Maggie rozłożyła ręce.

– Było już za późno. Moje miejsce przy tobie zajęła mama. Musiałam się z tym pogodzić. Nie było dnia, żebym nie myślała o tobie. Przeważnie z nienawiścią przyznaję to sama. Przez długi czas podsycalam ją w sobie, jak ty teraz. Dobrze cię rozumiem. Może w

jakiś sposób zdołałabym ci pomóc.

– Nie chcę twojej pomocy! Nie chcę od ciebie niczego poza tym, żebyś mnie zostawiła w spokoju! Masz teraz wszystko: babcię, Sunbridge, Randa, Cole’a.

Nawet Riley uważa cię za ósmy cud świata! Po prostu nie mają pojęcia, jaka naprawdę jesteś! Oskarżyłaś mnie, że odebrałam ci wszystko w życiu. A ty? Ty po prostu wkraczasz i bierzesz sobie to, czego chcesz. Maggie, pożeraczka męskich serc! Wynoś się stąd i już nie wracaj! Maggie nie ustępowała pola.

– Jeśli chodzi ci o Randa, wyjaśnijmy sobie wszystko raz na zawsze. Jeżeli życzysz sobie nazywać sprawę po imieniu, Rand po prostu cię porzucił. I miał po temu własne powody, Sawyer. Kiedy się to stało, byliśmy ze sobą tylko zaprzyjaźnieni. Potem... tak, potem poszłam z nim do łóżka. Nawiasem mówiąc, niejedną raz. Po raz pierwszy zrobiłam to ze złości; byłam na ciebie wściekła. Wzięłam więc twójego mężczyznę, tego, który cię porzucił. Myślałam wtedy, że masz całe życie przed sobą, że nie zabije cię to jedno rozczarowanie. Ciągle cię nienawidziłam, nawet wówczas. Rand sprawił, że zaczęłam analizować swoje uczucia. Gdy je zbadałam, przekonałam się, że naprawdę go kocham. Bałam się jednak, że Bóg mnie potępi, więc kazałam Randowi odejść. Taka jest prawda. Powiedziałaś, że chcesz być szczerą. Życzysz sobie całej prawdy, tak? W porządku. Usłyszysz jeszcze coś. Mama przekonała mnie, że jeśli Rand daje mi szczęście, powinnam go odzyskać. Powiedziała mi, że zasługuję na szczęście. Nie mogłam jej z początku uwierzyć! Kocham go, Sawyer, ale ze względu na ciebie kazałam mu wyjechać. Wszystko zawsze z powodu ciebie! Odciełabym sobie prawą rękę, żeby utrzymać cię przy życiu! Rand mnie kocha, przysięgam na wszystko, co najświętsze, że mnie kocha! Ale gotowa byłam wyrzec się go. Do cholery, przecież się wyrzekłam! Napisałam potem do niego, ale mi nie odpowiedział. Powinnaś być z

tego zadowolona. Teraz już i mnie nie chce. Nie ukradłam ci go, zrozum!

– Ja też go kocham – wycedziła Sawyer przez zaciśnięte zęby.

– Czasem to nie wystarczy. Rand kochał cię, ale nie tak, jak tego chciałaś. Najpierw byłam o to zazdrosna, ale potem zrozumiałam. Jeśli dwoje ludzi wiąże się ze sobą, ich uczucie musi być bardzo silne, niezłomne. Nigdy nie zaznałam takiej miłości... i wyrzekłam się jej, gdy nareszcie pojawiła się w moim życiu. – Uśmiechnęła się z goryczą. – Jestem skończonym pechowcem. Musiałas to zauważyć. Czego się tknę, więdnę i zmienia się w proch. Nie mogłam być dla ciebie prawdziwą matką, bo wiedziałam, że temu nie sprostim. I to jest najdokładniejsze i najszczerze wyjaśnienie, jakie mogę ci dać. A kiedy już wyprałam z siebie wszystkie wnętrzności i wystawiłam je na pokaz, mam tu coś, co chciałabym u ciebie zostawić. Maggie rzuciła zawieszoną na ramieniu torbę na podłogę obok Sawyer.

– Nie chcę tego, cokolwiek w niej jest oświadczyła zdecydowanie Sawyer. – Nie życzę sobie, żeby twoje brudy zawały dom, w którym żyję. Oczy Maggie napełniły się łzami.

– Nie dziwię ci się, ale nie odrzucaj bez zastanowienia zawartości tej torby. To moje życie. Aż do wczorajszego wieczora. Jeśli chcesz, możesz tam napisać pod dzisiejszą datą, co ci się podoba. Spieszę się na samolot. Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, zadzwoń do mnie.

– Prędzej umrę niż to zrobię! – Sawyer zdała sobie sprawę z tego, co mówi, i przygryzła wargi. Poczowała smak własnej krwi. Przez łzy prawie nie widziała Maggie, ale usłyszała jej słowa, które wypowiedziała, zanim drzwi się za nią zamknęły.

– Dwadzieścia procent to więcej niż brak jakiegokolwiek nadziei. Łatwo się poddajesz. Kiedyś też byłam taka. Nie znosisz mnie, nie chcesz być do mnie podobna, ale postępujesz zupełnie tak, jak ja niegdyś postępowałam: poddajesz się bez walki. Zrzucasz winę na

wszystkich innych. Powiedziałam ci już, i sto razy to powtórzę: nie masz siły charakteru! Mówisz, że zależy ci na Cole'u; mówisz, że kochasz moją mamę, ale to wszystko kłamstwo! Gdyby zależało ci na nich, to byś sienie poddawała!

Dwadzieścia procent! Niektórzy ludzie nie mają nawet tego. Nie mogę pojąć, że przekreślasz całe swoje życie, byleby się na mnie zemścić! To paranoja! Starasz się obudzić w nas wszystkich poczucie winy. Cóż, ze mną ci się to nie uda. Ale jeśli naprawdę zapragniesz mojej pomocy, wiesz, gdzie mnie szukać. Zadzwoń.

Sawyer wrzasnęła:

– Nie słyszałaś?! Powiedziałam, że raczej umrę niż do ciebie zadzwonię!

– Wobec tego pewnie umrzesz – odparła spokojnie Maggie.

– Ty ścierwo! – wrzeszczała Sawyer. – Nie uda ci się tego naprawić! Nie uda ci się zawrócić i zmasać wszystkich grzechów!

– Trzeba mi było całego życia, żebym to zrozumiała. Cieszę się, że i ty zdałaś sobie w końcu z tego sprawę. Żegnaj, Sawyer.

– Wynoś się! – wyła Sawyer. – Wynoś się i niech cię piekło pochłonie!

– Już mnie pochłoneło – szepnęła do siebie Maggie, schodząc po wąskich stopniach.

Sawyer krążyła niespokojnie po mieszkaniu, pragnąc, by Adam już wrócił. Kulka chodziła za nią, zawzięcie wymachując puszystym ogonkiem i ocierając się ojej nogi.

Ta bezczelność Maggie, ten jej nieprawdopodobny tupet! Jak śmiała tu przychodzić i... i... Po co przyszła! Ofiarować pomoc, użalać się nad nią? Zwierzać się, że Rand już jej nie chce? Może miały się z tej racji zaprzyjaźnić?!

Powiedziała, że Sawyer nie ma charakteru. To prawda: nie miała

dość odwagi. Piętnaście do dwudziestu procent. Po co zawracać sobie tym głowę? Wypadek na stole operacyjnym – Sawyer nie tak wyobrażała sobie koniec swojego życia! Albo jeszcze gorzej: przeżyje operację i stanie się w jej wyniku bezwolną kukłą! Przecież mogło się tak zdarzyć. A jednak, gdyby operacja się udała, dożyłaby dnia pełnoletności Cole’a i Riley’a. Może kiedyś napotkałaby nową miłość? Pewnie nawet miałyby okazję zatańczyć na grobie Maggie!

– Wynoś się, kocisko! Muszę o czymś pomyśleć, mam wystarczająco dużo kłopotów, a ty mnie jeszcze drapiesz!... – Sawyer urwała dostrzegłszy pozostawioną torbę. Podniosła ją, dziwiąc się, że jest taka ciężka. Odpięła suwak i zajrzała do środka. Dzienniki. Maggie postanowiła, jak widać, zdradzić wszystkie swe tajemnice! Ależ się zdziwi, jak się dowie, że Sawyer spaliła te śmiecie!

Ciężko dysząc Sawyer zataszczyła torbę do kominka. Wytrząsała z niej poszczególne tomiki, gdy wszedł Adam.

– Co ty wyprawiasz? – spytał ze zdumieniem. – Palę całe życie Maggie! Chyba zupełnie jej odbiło: wyobrażała sobie, że chcę poznać wszystkie jej brudne sekrety! Gdzie zapaliki?

– Skończyły się – skłamał Adam. – Nie rób tego, Sawyer! Jak nie masz ochoty, to ich nie czytaj, ale nie niszcź! Zapakuj je i odeślę z powrotem Sawyer kopnęła stos, rozrzucając różnokolorowe książeczki. Uradowało ją, że osiadł na nich ciemny popiół.

– No to jazda! Muszę już wyjść. Mam umówioną wizytę u Nicka.

Adam spojrział na Sawyer z dołu: przykucnął z jednym z brunatnych tomików w rękę. Sawyer zauważyła, że obwodził kciukiem wytłoczone na okładce słowo „Pamiętnik”.

– Nie wiedziałem, że widzisz się z Nickiem – powiedział cicho. – Bardzo mnie to cieszy.

– Pewnie zrezygnuję z tego po dzisiejszej wizycie. Nie lubię rozdrapywania starych ran. I tak umrę, więc jaki to ma sens?

– Wcale nie musisz umierać! Dwadzieścia procent to niezbyt wielka szansa, ale...

– Doktor powiedział: piętnaście do dwudziestu procent. Żadnych gwarancji. Mogę zmienić się w zaślinioną debilkę. Będiesz wtedy chciał, żebym tutaj mieszkała? Będiesz mi wycierał zapłutą brodę? Karcił innie łyżeczką? Zmieniał mi pieluchy, jak się zsikam? Będiesz w stanie patrzeć mi w oczy, kiedy staną się całkiem puste? ... No i co? – dopytywała się brutalnie Sawyer. – Odpowiedz, będziesz to robił, Adamie?

– Tak.

– Łżesz! – zawołała, ale w głębi serca wiedziała, że nie skłamał. Był gotów robić to wszystko.

– Jeśli chcesz, podsycaj swoją nienawiść, Sawyer – powiedział Adam – ale nie wylewaj jej na moją głowę. Skieruj ją tam, gdzie trzeba: przeciw sobie samej. No, idź do Nicka, próbuj go oszukać! Albo wreszcie pomóż samej sobie, jeśli masz na to dość charakteru!

– Mówisz całkiem jak moja matka. Co wy tam wiecie o sile charakteru! Waśnie spisali na straty!

– To prawda – odparł Adam, zamykając torbę na suwak. – Ale nie wykręcaj się! Masz pewną szansę i zmuszę cię, choćby siłą, żebyś z niej skorzystała! Jest wiele rzeczy na świecie, które mi się nie podobają, ale tak naprawdę nie mogę znieść tylko jednego: tchórzliwej rezygnacji! Wszyscy stoimy murem za tobą! Będiesz miała najlepszych lekarzy, najlepszą opiekę, najwięcej pomocników gotowych do wspierania cię! Ale ty chowasz się w tę swoją dziurę pełną nienawiści, zimną i ciemną. Masz tylko jeden cel: dopaść Maggie i sprawić jej ból. Umrzeć: niech pożałuje! Odplacić jej, zatrać resztę jej życia, gdy ciebie tu już nie będzie! Ale jest pewna przeszkoda. Jeśli Maggie jest taka, jak mi opowiadałaś, gównojato będzie obchodziło! Wygra, jak zawsze wygrywała! Rozumiesz, Sawyer? Ma już wszystko. Wcale się na niej

nie odegrasz, zrozum wreszcie! – odwrócił się, jakby z nią raz na zawsze skończył. – A teraz wynoś się, bo będę naprawdę zły. Nick każe sobie płacić nawet wtedy, kiedy pacjent nie przychodzi na wizytę.

Kiedy drzwi na dole zatrzasnęły się, Adam sięgnął po telefon. Dyszał ciężko, jakby przebiegł właśnie pięć mil. – Nick? Tu Adam. Posłuchaj...

Podczas całego lotu na Hawaje Maggie nie przestawała myśleć o swoim spotkaniu z Sawyer. Gdy w końcu wysiadła z L 1011, pozostał z niej kłębek nerwów; była tak wyczerpana, że przestała już cokolwiek odczuwać.

Wynajęty chevrolet kombi czekał już na nią, więc nie tracąc czasu siadła za kierownicą. Zapuściła motor i wsłuchiwała się w jego pomruk. Odgłos był dziwnie blaszany, jak w tanim fordzie. Sprawdziła, jak działają wycieraczki i klakson, i czy światła znajdują się na właściwych miejscach. Automatyczna przekładnia. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

Opierając się na mapie, powinna skierować się ku północnemu wybrzeżu. Jechała ostrożnie w kierunku Kunie, bo niezbyt pewnie czuła się na takiej bocznej wąskiej drodze, która biegła wzdłuż pasma górskiego Waianae i przecinała nie kończące się pola chyba ananasów i trzciny cukrowej.

Jadąc przez Haleiwa Maggie czuła się już pewniej. Ominęła na północy most i skręciła w lewo, koło przystani, na sam brzeg morza.

Westchnęła z zachwytu i podziwu na widok słynnych hawajskich fal. Ocean był tak błękitny, że wyglądał jak monstrualnej wielkości szafir. Rozbijające się o brzeg fale miały osiem, dziesięć stóp wysokości. Wszędzie widać było grupki tubylców, rozkładających sieci. Dzieci zbierały muszelki, a ich ciała barwy ciemnego miodu lśniły w blasku słońca. Widok był tak piękny, że Maggie nie chciało się

stąd ruszać; miała jednak przed sobą jeszcze co najmniej godzinę jazdy.

W pierwszej chwili nie dostrzegła prywatnej drogi. Bujny krzew hibiskusa i olbrzymi figowiec, przypominający gigantyczny parasol, zasłaniały starą, kutą w żelazie bramę, broniącą wstępu do posiadłości Ester Kamali. Wijąca się jak wąż wewnętrzna droga rozszerzyła się na koniec w kolisty podjazd. Strzegły go królewskie palmy, przypominające stojących na baczność strażników. Sam budynek był długi, niski, przestronny i od dawna nie odnawiany. Ale tuż za nim rozpościerał się cudowny, iskrzący się Pacyfik. Maggie ze świstem wciągnęła powietrze w płuca.

Zatrzymała wóz i rozejrzała się dokoła. Trawa przypominała krótko ostrzyżone ciemnozielone futerko. Maggie pod wpływem nagłego impulsu zrzuciła pantofle i pomaszerowała w stronę domu na bosaka. Zastukała do drzwi, a potem roześmiała się: przecież nikt tu nie mieszka! Wdychając z rozkoszą woń plumerii, pobiegła z powrotem przez szmaragdową trawę po swoją torebkę.

Wsunęła klucz do zamka i przez chwilę poczuła panikę, gdy drzwi nie chciały się otworzyć. Mocowała się wściekle z kluczem, a pot zraszał jej czoło. Kiedy wreszcie usłyszała przyjazny zgrzyt zardzewiałego zamka, z ulgą oparła się o ścianę.

Dom położony na szczycie wzgórza odkrył przed Maggie swoje wnętrze. Choć obszerny, nie przytłaczał ogromem; był przytulny, chłodny i jasny. Maggie zabrała się od razu do roboty, zdzierając pokrowce z mebli i układając je w stos pośrodku pokoju. Z każdego pomieszczenia było wejście do ogrodu. Przez francuskie okno Maggie wyszła na patio osłonięte od słońca i deszczu spadzistym dachem, krytym dachówką.

Bujną roślinność można było podziwiać z każdego okna; tworzyła też piękną całość z wnętrzem domu, z lekkimi bambusowymi mebelkami i białymi lub jaskrawozielonymi ścianami. Na suficie we

wszystkich pomieszczeniach znajdowały się wachlarzowate wentylatory, dające miły powiew. Do każdego z pokoi przenikała woń położonego o wiele niżej niż dom oceanu.

Maggie obeszła cały dom, zdejmując po drodze pokrowce. Dodawał jej sil pachnący morzem wiatr, który wydymał przejrzyste firanki, gdy tylko otwarta drzwi. Dywan w sypialni był biały z leciutkim połyskiem. Rozjaśniał ciemnawy brąz mebli sporządzonych z rosnącego na wyspie mahoniu. Łóżko, wraz z ramą, i wyściełane fotele obite były materiałem w bladoniebieskie kwiaty na ciemnobłękitnym tle. Także i tu wachlarzowaty wentylator pulsował wolnym, sennym rytmem.

Maggie przeszła do wykładanej kafelkami łazienki; znajdowała się tam wanna i prysznic oraz ogromne lustro. Z wieszaków zwisały pokryte kurzem ręczniki w kolorze najjaśniejszego błękitu. Wszystko było tu takie piękne! Maggie sprawdziła dopływ wody. W porządku, została już podłączona.

Gdy wróciła do auta, by wprowadzić je do garażu, była pełna zdumienia, że umiała znaleźć w swym życiu aż dwa tak piękne domy! Próbowała otworzyć drzwi garażu, ale nie udało jej się to. Doszła jednak do wniosku, że to nie ma znaczenia: samochód może przecież stać na podjeździe. Wniosła do domu swoje bagaże i skierowała się w stronę kuchni. W lodówce znalazła sok owocowy, jajka, nie napoczęty bochen chleba, boczek i misę owoców mango. Zastanawiała się, kim był nieznany ofiarodawca? Pewnie ta sama osoba, która dopilnowała podłączenia wody i przystrzygła trawnik.

Maggie naląła szklankę pomarańczowego soku i jeszcze raz obeszła wszystkie pokoje, tym razem myśląc przede wszystkim o tym, co należało zrobić. Wszystkie pomieszczenia wymagały odmalowania, zasłony trzeba będzie przeprać, dywan oczyścić. Meble muszą zostać wyczyszczone i wypolerowane, z zewnętrznych ścian domu powinno

się zeszkrobać starą farbę i pomalować je na nowo. Tyle przedmiotów trzeba będzie dokupić lub zastąpić nowymi: naczynia kuchenne, bielizna pościelowa, rozmaite przybory... Maggie westchnęła. Nie będzie dziś o tym myśleć! Dzisiaj czuje się jedynie w atmosferę tego raju na ziemi. Szkoda, że nie mogą cieszyć się nią wspólnie z Sawyer. Ale przynajmniej postara się, żeby wszystko było w idealnym stanie na przyjęcie córki. A potem może Sawyer jakimś cudem zmieni swoją decyzję?... Jak można wyrzec się życia, które jest aż tak piękne? Może ta piękna wyspa posiada magiczną moc? Maggie modliła się, żeby tak było rzeczywiście.

Przygotowała sobie lekką kolację i spędziła wieczór na tylnej werandzie, *lanai*, upajając się wonią kwiatów. Zmęczenie wywołane zmianą czasu spowodowało, że o wpół do dziesiątej poszła do łóżka.

Zapadła w głęboki sen i obudziła się o siódmej. Na bosaka poczłapała do kuchni, zrobiła sobie filiżankę rozpuszczalnej kawy, zabrała ją na werandę i przyglądała się stamtąd wdzięcznym ruchom fal atakujących brzeg. Nigdy w życiu nie widziała czegoś równie pięknego! Mogła bez trudu wyobrazić sobie swoich rodziców w tym domu. Jacy musieli tu być szczęśliwi! I Thad – on też stanowił część tego obrazu. Teraz będzie już umiała rozmawiać z mamą o tym okresie jej życia.

Gdy Maggie nacieszyła się już urokiem olbrzymiego klejnotu, jakim był Pacyfik, niechętnie wróciła do kuchni. Telefon! Nie poradzi sobie bez telefonu! Wzięła do ręki białą słuchawkę i z radością usłyszała w niej sygnał. Bogu dzięki! Teraz może zaczynać.

Trzy tygodnie później dom był wykończony na zewnątrz i w środku. Maggie sprawdziła książeczkę czekową. Dwadzieścia osiem tysięcy dolarów. Nie szkodzi! Chętnie wydałaby trzy razy tyle.

Spizarnia była wypełniona wszelkimi artykułami spożywczymi. W zamrażalce znajdował się cały wołowy bok. Maggie sama wymyśla

szkło i porcelanę, sztuka po sztuce, a potem starannie je wytarła. Zostało jej już tylko jedno zadanie do wykonania: wynajęcie gospodyni na okres pobytu dzieci. Jedna z dziewcząt pomagających przy sprzątanii powiedziała, że jej ciotka chętnie podejmie się tej pracy.

Maggie przechodziła z pokoju do pokoju, a na jej twarzy malowała się radość. Cole, Riley, Adam i Sawyer będą zachwyceni domem! Otworzyła butelkę młodego wina i wlała odrobinę do jednego z niedawno zakupionych kryształowych kieliszków. Uczciła w ten sposób wykonanie podjętego zadania. Potem zadzwoniła do Susan.

– Wszystko skończone, Susy! Sama zobaczysz: mam zdjęcia! Teraz, gdy nie mam już nic do roboty, jakoś głupio się czuję i zaczynam się niepokoić o chłopców. – Milczenie Susan przestraszyło Maggie. – Co z Benem i Luaną? – spytała badając grunt.

– Wszystko w porządku – odparła Susan, rada, że może powiedzieć prawdę. – Chłopcy zachowują się jak należy: zawarli pakt o nieagresji, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. Dzięki Bogu, rzadko widuję Luanę. Bardzo bym żałowała, gdybym na tym etapie robót musiała się rozstać z Benem Simmsem. Te elementy wzorcowych domków, które zamówiliśmy z Ferrisem, zostaną dostarczone pod koniec lata, gdy będą już gotowe wszystkie fundamenty. Przedstawiciel kompanii zjawiał się tu, by sprawdzić postęp robót. Gratulował mi, że zdobyłam tak sumiennego wykonawcę. Wszystko, co powinno być poziomo, jest poziomo, a wszystkie boki pod właściwym kątem.

– To wspaniale, Susy. – Maggie miała nadzieję, że w jej głosie brzmi należyty entuzjazm. – Ale co z Luaną? Czy pan Simms postarał się o korepetytora dla niej?

– Nie – odpowiedziała Susan – ale został członkiem tutejszej parafii i Luana uczęszcza do szkółki niedzielnej. Oczywiście oboje biorą też udział w nabożeństwie. Spytał... spytał, czy mogłabyś nadal wynajmować mu zajmowane obecnie mieszkanie, kiedy skończy pracę

dla mnie; odparłam, że zawsze znajdzie się dla niego coś do roboty na terenie ośrodka rehabilitacyjnego, jeżeli będzie sobie tego życzył. – Susan zawahała się. – Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza, Maggie. Jest naprawdę nie oceniony! Wiesz, że mamy niewielkie fundusze.

– Wiem, wiem – powiedziała Maggie ze znużeniem. Rozboliła ją głowa. – Byle tylko Luana nie czepiała się chłopców ani oni jej.

– Zaufaj mi! – poprosiła Susan.

– Ufam ci, ale mi jakoś nieswojo, gdy pomyślę o tej sytuacji. Chyba mam bardziej staroświeckie poglądy, niż przypuszczałam.

– Cała Maggie! – roześmiała się Susan. – Niedawno dostałam list od cioci Amelii. Píše, że dobrze się miewa i zaczyna oswajać się z sytuacją; nie bardzo rozumiem, co to znaczy. Czy mówiłam ci, że Rand jest na wsi, razem z nią? Powinnaś tam do niego napisać, siostrzyczko! Amelia twierdzi, że Rand po prostu się zaharowuje i przeprowadza długie konferencje ze swoimi bankierami i prawnikami. Chodzi, zdaje się, o wycofanie udziałów z różnych przedsiębiorstw w taki sposób, żeby to nie wywołało zamieszania na giełdzie. Nie bardzo pojęłam, co ma na myśli. O niczym innym nie wspomniała. Bardzo mi przykro, Maggie.

Zapadło długie milczenie. Maggie zacisnęła powieki, żeby powstrzymać łzy.

– Cary wpadł w zeszłym tygodniu, żeby się dowiedzieć, czy nie ma wiadomości od Amelii. Nie dostałam wtedy jeszcze listu od niej. Wyglądał strasznie. Chyba w ogóle nie je i nie śpi. Uważam, że Amelia zachowuje się dziecinnie i mam zamiar napisać jej to w następnym liście.

– Wszyscy postępujemy tak, jak musimy – powiedziała cicho Maggie.

– Kiedy wracasz do domu?

– Chyba zostanę tu jeszcze przez tydzień lub trochę dłużej; chcę

nacieszyć się tym miejscem. Najpierw będę tylko leżała na plaży, a potem może zwiedzę Diamond Head i Waikiki. Myślę nawet o wycieczce na Maui. Zadzwoń do ciebie przed powrotem.

– Szkoda, że jesteś całkiem sama. Nie znoszę samotności! Dlatego tak się cieszę, że mam Ferrisa. – Susan zawahała się, a potem wyznała nieśmiało: – Maggie, on chce się ożenić ze mną, gdy tylko dostanę rozwód.

– Och, Susy! Jeśli tego właśnie pragniesz, to cieszę się razem z tobą! – odparła Maggie zupełnie szczerze. – Czy były jakieś wieści od Jerome’a?

– Żadnych. Ale prawdę mówiąc, nie starałam się z nim skontaktować. Chyba po prostu boję się tego spotkania. Pamiętasz, jak Rand powtarzał ciągle, że uciekam w popłochu przed wszystkim, co niemiłe i brzydkie? Chyba miał słuszność.

– Ale gdybyś miała przez to stracić Ferrisa? Czy chcesz zapłacić taką cenę, za święty spokój?

– Nie. Nie mam jednak ochoty ścigać Jerome’a telefonami po całej Europie. Nasz agent wcale mi nie pomaga. Goni tylko za forszą, a ponieważ na mnie nie może zarobić już ani grosza, po prostu dla niego nie istnieję.

– Mogłabyś skorzystać z usług Valentine Mitchell. Posłałaby za Jerome’em psy gończe. To sprytna sztuka!

– Znalazłaś chyba właśnie rozwiązanie! Ale nadal martwię się o ciebie, Maggie. Czy naprawdę nie przeszkadza ci, że jesteś sama?

– Susy, byłam sama przez całe niemal życie. Czasami można być samotnym, ale nie czuć się opuszczonym.

Zanim Susan zdołała jej odpowiedzieć, Maggie dodała:

– Ucałuj ode mnie Jessie i powiedz chłopcom, że ich kocham i mam do nich zaufanie.

– Chętnie. Baw się dobrze!

Maggie odłożyła słuchawkę i zapatrzyła się ponurym wzrokiem w okno.

Tak bardzo pragnęła usłyszeć głos Randa! Marzyła o tym, by wyciągnąć rękę i dotknąć go. Przyciągnęła do siebie aparat telefoniczny i zamówiła rozmowę z Anglią. Telefon dzwonił i dzwonił. Gdy wreszcie Maggie odłożyła słuchawkę, oczy miała pełne łez. Nie wyschły, dopóki nie zasnęła w swojej błękitnej sypialni.

Rand siedział naprzeciwko Amelii przy zalanym światłem słonecznym stole, nakrytym do śniadania. Za oknem tulipany i żonkile puszyły się na zielonym trawniku. Krzaki róż były już pokryte pączkami. Maleńkie pochylone główki kryły w sobie zapowiedź barw, którymi niebawem będą olśniewać kwiaty rozwinięte już w promiennym majowym słońcu. Żywopłot, otaczający z dwóch stron ścieżkę, wyraźnie domagał się następnego strzyżenia, a w kałużach wody, pozostałych po porannym podlewaniu grządek przez Amelię, wesoło pluskały się ptaszki.

Rand uśmiechnął się do matki.

– Już dawno nie widziałem cię w takiej dobrej formie! Zastanawiam się, co tak korzystnie na ciebie wpłynęło? Wiem, że trochę przytyłaś, ale to nie wszystko, z całą pewnością. Zaspokoisz moją ciekawość?

Amelia pochyliła się przez stół.

– Myślę, że po prostu doszłam do ładu z samą sobą. Ty też nieźle wyglądasz. A może niesłusznie przypisujemy sobie zasługę, a wszystko sprawiło świeże powietrze i sen przy otwartym oknie?

– Wyjeżdżam dziś po południu – oświadczył nagle Rand. – Pojadę do Londynu i polecę stamtąd concorde'em do Nowego Jorku. – Rozumiem. Cieszę się za ciebie, Randzie.

– A co tam z tobą, mamó? Gotowa jesteś wrócić razem ze mną?

– Muszę ci powiedzieć natychmiast?

– W każdym razie przed południem. Wtedy właśnie wyruszam. Ale musisz być pewna swojej decyzji.

Amelia skinęła głową.

– Uprzątnę naczynia – dodał. – Może pójdziesz na spacer, wtedy się lepiej rozmyśla. Wiem, że potrafisz spakować się w dziesięć minut.

– Owszem, potrafię, ale sędzę, że nie nadszedł jeszcze dla mnie czas powrotu. Ty rób to, co uważasz za słuszne. Wybierasz się do Sunbridge?

– Nie, na Hawaje. – Krótko streścił Amelii swoje plany. – Nie wiem, jak Maggie mnie przyjmie, ale chcę jeszcze raz spróbować. Czuję, że muszę tak postąpić.

– Więc zrób to – powiedziała stanowczo Amelia.

– Wiesz przecież, że mogłabyś udać się do Austin i zobaczyć się z Carym. – Nie. Sama muszę wyplątać się z moich kłopotów. Nie potrzebuję i nie życzę sobie, żeby ktoś je rozwiązywał za mnie.

– W porządku. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Też mam taką nadzieję. A ty jedź i baw się dobrze. Ucałuj Maggie ode mnie.

– Zanim ucałuję ją we własnym imieniu czy potem? – zaśmiał się Rand.

– Najpierw ode mnie. Potem by nawet tego nie zauważyła.

Rand wiedział, że mimo pozornej pogody i dużej dozy okazywanego rozsądku, Amelia od dłuższego czasu bardzo cierpi. Kiedy Cary nie przyleciał za nią do Anglii, zdawało się, że coś w niej pękło. Teraz jednak wyglądała tak, jakby odzyskała wiarę w siebie. Jej twarz wygładziła się, z oczu zniknęło napięcie i strach. Poruszała się spokojnie i płynnie, wydawało się, że patrzy na wszystko z nowej perspektywy. Porzuciła ten zwariowany pościg za młodością i stała się znowu dawną Amelią, którą pokochał będąc jeszcze małym chłopcem.

Długo po odjeździe Randa Amelia siedziała na ganku, otoczona zewsząd wiosennym kwieciami. Znalazła gdzieś gliniane dzbanki i napełniła je petuniami, stokrotkami i bratkami w żywych kolorach. Od wysokiego pułapu zwisały doniczki bujnych paproci i bluszczu. Amelia wolno popijała herbatę myśląc o Carym, Była taka pewna, że przybędzie tu za nią! Przez całe dwa tygodnie była o tym przeświadczona. Kiedy zaś pojęła wreszcie, że mąż nie przyjedzie w ślad za nią, dokonała bolesnego rachunku sumienia. W ciągu tych pierwszych tygodni bez Cary'ego, gdy porządkowała wiejski domek i rozpoczęła prace w ogrodzie, zrozumiała coś, co wymykało się jej przez całe życie: że nie jest niczyją własnością, tylko panią samej siebie. Pojęła, że niewolniczo dostosowywała się do wszystkich planów i marzeń Cary'ego, jakby były jej własnymi, i że nigdy nie starała się odkryć, czego sama naprawdę pragnie. Dom, który postanowiła doprowadzić do dawnej świetności, był jedną z jej największych i najkosztowniejszych życiowych omyłek. Była to ułuda, zabawka, dzięki której czuła się ważna i potrzebna. Coś, co działało na nią uspokajająco, jak smoczek na niemowlę, podczas gdy cały sens jej życia polegał przecież na czymś zgoła innym. Jak w ogóle mogła żyć, czując się aż tak nieszczęśliwa, niezaspokojona, przepelniona wzdargą dla siebie samej? Przypomniała sobie wszystkie operacje plastyczne, które miały stwarzać pozory młodości. Dowartościować ją. Wiedziała teraz, że tylko się oszukiwała.

Kiedy pogodziła się z myślą, że Cary nie przyjedzie po nią, poczuła się lepiej. Zdała sobie nagle sprawę z tego, że gdyby tak uczynił, nie miałyby może nigdy okazji poznania samej siebie. Podczas ostatniego spotkania Billie powiedziała jej, że powinna wierzyć w siebie i wiedzieć, ile jest warta, bo inaczej nikt inny nie będzie jej cenił.

– Wiara w siebie pochodzi z głębi serca – mówiła cicho Billie. – Trzeba zajrzeć do swojego wnętrza, odrzucić wszystko, co je zasłania i

zaśmieca. Zrób tak, Amelio.

Amelia była już prawie gotowa do powrotu i uporządkowania swoich rozlicznych spraw. Najpierw skończy remont domu swojej matki. Był to symbol przeszłości; nie należało go kupować, ale kupiła go i powinna teraz doprowadzić swój zamiar do końca. Potem wyjedzie z Sunbridge – nigdy nie była tam szczęśliwa. Dotąd nie mogła pojąć, dlaczego ludziła się, że obecność Cary’ego zmieni całkowicie sytuację. Kochała go całym sercem i duszą. On również ją kochał; miała wystarczająco dużo przygód miłosnych w życiu, by umieć odróżnić miłość od żądzy czy namiętności.

Pozwoliła Cary’emu, by poznał ją na wylot. Nigdy dotąd nie była równie szczerą wobec kogokolwiek. Otworzyła się przed nim, oddała mu całą siebie, gdyż go kochała. I to nie on podle wykorzystał jej szczerą oddanie. To ona sama zniszczyła ich miłość. Pozwoliła, by Cary ujrzał jej duszę, a potem nie miała dość wiary w to, że należycie ocenił jej dar.

Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Ona sama się zmieniła. Po raz pierwszy w życiu była spokojna. Troski i niepokoje, które sama na siebie ściągnęła, opuściły ją wkrótce po przyjeździe tutaj, do tej spokojnej przystani. Nauczyła się tu liczyć tylko na siebie. Mogła już zasnąć, dzięki Bogu, choć co noc Cary pojawiał się w jej sennych marzeniach. Ale chętnie co wieczór witała swe łóżko i pozwalała działać swojej podświadomości. Była już bliska zupełnego wyleczenia. Niebawem, może za tydzień lub dwa, będzie mogła wrócić do Teksasu. I wiedziała, a raczej miała nadzieję, że jeśli przybędzie do Sunbridge, Cary nie dostrzeże tych dziesięciu czy dwunastu dodatkowych funtów wagi i delikatnej siateczki ukazujących się znowu na jej twarzy zmarszczek. Nie zauważy siwych pasemek we włosach ani tego, że nie ukrywa się już za grubą warstwą kosmetyków.

Amelia uśmiechnęła się ze szczerym zadowoleniem, płynącym z głębi jej istoty. Nawet oczy jej były pełne radości. Prawym palcem

wskazującym głaskała szeroką złotą obrączkę, symbol jej małżeńskiej miłości do cudownego mężczyzny. Może teraz zadziała ona jako talizman?

Spojrzała na zegarek. Rand był już w Londynie. Za cztery godziny wylądjuje w Nowym Jorku i odtąd jego życie nabierze nowego znaczenia. Nie czuła zazdrości. Rand zasługiwał na szczęście, a jeżeli mogła mu je dać właśnie Maggie, tym lepiej. Niedługo przyjdzie kolej na nią samą.

Jeżeli nie jest za późno.

Rozdział jedenasty

Tym razem Rand czuł, że port lotniczy Kennedy'ego wita go przyjaźnie po zakończeniu pierwszego etapu podróży. Nawet spodziewane opóźnienie, gdyż zakreślali koła nad miastem nie mogąc wylądować, nie budziło w nim zniecierpliwienia. Co znaczyło kilka minut, gdy miał przed sobą całe życie?

Wziął taksówkę i wysiadł na rogu Czterdziestej Pierwszej i Trzeciej. Zapłacił kierowcy i odwrócił się, by wyjąć swój bagaż. Nie mógł wprost uwierzyć własnym oczom, gdy dosłownie o jeden blok dalej ujrzał Sawyer, tanecznym krokiem zmierzającą w jego stronę. Zatrzymał się na środku chodnika, przechodnie popychali go i klęli. Sawyer też stanęła jak wryta, a na jej twarzy odbiło się zmieszanie. Postąpiła o krok, jakby chciała go wyminąć bez słowa, ale znów się zatrzymała.

- Witaj, Randzie! – powiedziała chłodno i obojętnie.
- Witaj, Sawyer. Szedłem właśnie do ciebie. Dokąd się wybierasz?
- Po zakupy. Dlaczego chciałeś się ze mną widzieć?
- Żeby porozmawiać.

Sawyer przyglądała się uważnie mężczyźnie, którego kochała. Niedługo i on zapewnił ją o swej miłości. Jakże to było dawno! Powiedzieli już sobie wszystko. Czego on znowu chciał: rozgrzeszenia jak Maggie?

– Możemy tu napić się kawy – Sawyer wskazała reklamę po przeciwnej stronie ulicy, głoszącą, że Mikę podaje najlepszą kawę w stanie Nowy Jork. Było to oczywiście kłamstwo: kawa była zwietrzała i smakowała tak, jakby garnka, w którym ją przyrządzano, nikt od wieków nie szorował. Jednakże ani Sawyer, ani Rand nie zwrócili na to uwagi.

Rand zdjął okulary słoneczne. Sawyer zostawiła swoje na nosie.

Jakoś łatwiej było patrzeć na niego przez brunatne szkła.

– Chciałem porozmawiać z tobą w cztery oczy – oświadczył Rand.

– Muszę ci coś powiedzieć; chcę, żebyś dowiedziała się o tym właśnie ode mnie.

– Zakładasz z góry, że interesuje mnie to, co masz do powiedzenia. Chyba pomyliłeś mnie z kimś, kogo choć trochę obchodzą twój e sprawy.

Rand zamrugał oczyma. Sawyer powiedziała to tak obojętnie, jakby mówiła o pogodzie lub jakichś błahych sprawach z kimś niezbyt dobrze jej znanym.

– Chcę ci powiedzieć, że zamierzam poprosić Maggie, żeby została moją żoną. Mam nadzieję, że się zgodzi.

– Dlaczego miałyby ci odmówić? To dla niej świetna okazja. Ale po co mnie o tym informować? To nie moja sprawa, tylko wasza.

Rand żałował, że nie dostrzega jej oczu za ciemnymi okularami. Nie chciał sprawić jej bólu. Boże, nigdy nie chciał wyrządzić jej krzywdy! Starał się znaleźć właściwe słowa, choć wiedział, że jest to niemożliwe.

– Maggie kazała mi odejść. Powiedziała, że tak będzie lepiej. Byłem wściekły... zupełnie jak ty, tak mi się przynajmniej zdaje. Wiem, jak bardzo cię zraniłem; Sawyer, wierzaj mi, zrobiłbym dla ciebie wszystko! Sama wiesz. I naprawdę cię kocham, choć to zupełnie inny rodzaj miłości. Twoje uczucia dla mnie...

– ... nie miały od początku żadnych szans? Powinno być dla ciebie jasne, tak samo jak dla mnie, że przysły moje tęczowe złudzenia. Wiem już, że pasujesz w sam raz do tego życia, które ci tak odpowiada.

– Przestań, Sawyer! Proszę cię, przestań!

– Co mam przestać? Dlaczego wszyscy wtrącają się do moich uczuć? Ciągłe ktoś następuje mi na pięty i truje, że miłość ma swoje prawa i że oboje z Maggie zasługujecie na szczęście. Teraz, kiedy

umieram, nikt nie wie, co powiedzieć. Wszyscy się wymigują, starając się równocześnie zadowolić i Maggie, i mnie. Moja babka dała wam swoje błogosławieństwo, a to chyba wszystko, czego moglibyście sobie życzyć. Widzisz więc, że przyszedłeś tu tylko po to, żeby ci ulżyło na sercu. Tyle że mnie nie interesuje, jak się czujesz, ani co czuje Maggie, ani moja babka. Żadnemu z was nie mam nic do powiedzenia.

– Niczego od ciebie nie żądam, Sawyer. Chciałem tylko, żebyś dowiedziała się o tym ode mnie.

– W każdym razie nie przysyłajcie mi zaproszenia na ślub. Pewnie się akurat wybiorę gdzie indziej.

W oczach Randa błysnął gniew.

– Nie mam zamiaru udawać, że nie wiem o twojej chorobie! Ale jestem tobą rozczarowany. Myślałem, że masz więcej siły charakteru. Maggie powiedziała, że nie masz, ale jej nie uwierzyłem. Billie wspomniała Amelii, że odmówiłaś zgody na operację. Jak mogłaś tak się poddać bez walki? Najmniejsza szansa to coś więcej niż brak wszelkich nadziei! Nie wymagaj od razu niezłomnej pewności! Nie masz nic do stracenia, a możesz zyskać całe życie! – Sięgnął przez stół i zdjął jej ciemne okulary, a potem bardzo powoli i dobitnie powiedział: – Umiesz tylko brać, Sawyer. Nie masz nawet pojęcia, co to znaczy samej się na coś zdobyć.

Był już prawie zmierzch, gdy Rand minął wielki figowiec u wjazdu na teren posiadłości Ester Kamali. Było tu tak pięknie, że po prostu zapierało dech. Wynajęty samochód pokonał ostatnie wzniesienie przed końcem drogi. Rand poczuł, że drży, gdy wyjmował kluczyki ze stacyjki. Teraz już nie ucieknie przed tym, o czym starał się nie myśleć podczas całej podróży. Może Maggie go nie zechce? Nic o sobie nie wiedzieli do chwili, gdy opuścili Sunbridge na samym początku roku. Nerwy miał napięte, pod skórą czuł jakieś obrzydliwe mrowienie.

Przeszedł przez miękki, zielony, żywy dywan do drzwi wejściowych i zadzwonił. Kiedy nikt nie odpowiedział na jego dzwonek, spróbował wejść do domu od tyłu. Dostrzegł wiszący na werandzie plażowy ręcznik. Jego wzrok pobiegł wzdłuż ścieżki w stronę lśniących wód Pacyfiku. Ogromna kula zachodzącego słońca oświetliła smukłą sylwetkę kobiety wybiegającej z morza na brzeg.

Maggie obejrzała się; krople wody morskiej spływały jej z rzęs i zamazywały widok. Na tylnej *lanai* stał jakiś mężczyzna. Zawahała się, poczuła strach. Przetarła oczy. Niemożliwe! Skądże tutaj, na drugim końcu świata? Poczowała ściskanie w gardle; serce jej podskoczyło w piersi.

Rand stał oszołomiony widokiem Maggie, boginki morskiej, skarbu z głębi oceanu. Dostrzegła go – czekał na jej reakcję.

Rand! Chyba ją oczy myliły! Rand! Miłość jej życia! Ktoś, z kim chciała związać swą przyszłość! Postać poruszyła się. Maggie zrobiła krok do przodu.

– Rand! – Pobiegnęła prosto w jego ramiona, znajdując w nich szczęście i poczucie bezpieczeństwa. – Jak? Kiedy?... Myślałam, że już nigdy...

– Ciiiicho, jestem przy tobie.

– Zawsze byłeś przy mnie – szepnęła Maggie. – Przywiozłam cię w tej skrytce – wskazała na serce. – Towarzyszysz mi, gdziekolwiek jestem.

– To dlatego, że tutaj, w twoim sercu, jest moje miejsce, a ty przebywasz zawsze w moim. – Wskazał na swoją pierś.

– Przejechałeś pół świata, żeby mnie odnaleźć?

– Znalazłbym cię wszędzie, Maggie. Nigdy już nie pozwolę ci odejść. Nie pozwolę, żebyś mnie znowu odeszła. – Jakby na potwierdzenie tych słów objął ją ramionami przyciskając mocniej do siebie. Zachwycił się domem, jak tego oczekiwała, i snuł się po

pokojach, dopóki Maggie nie przebrała się w bawełniane szorty i krótką koszulkę. Ramię w ramię wrócili *nalana'i* z widokiem na morze. Maggie przyrządziła coś do picia i siadła obok Randa na wiszącej tam kanapce-huśtawce. Sznury poskrzypywały lekko, gdy wtulała się w zagłębienie jego ramienia.

– A teraz porozmawiajmy – zaproponowała.

Zanim Maggie i Rand powiedzieli sobie wszystko, co mieli sobie do powiedzenia, poranne słońce wstało nad wyspą i zajaśniało na falach tęczowym pyłem. Było już gorąco i bezwietrznie. Fale podpływały do brzegu i cofały się, przyskajac pianą. Zjedli, nie spiesząc się, śniadanie na tylnej werandzie, a potem poszli na spacer wzdłuż zalanego słońcem brzegu.

– Co myślisz o kąpeli na golasa? – przekomarzała się Maggie.

– To samo, co ty! – roześmiał się Rand, ściągnął koszulę i rozpiął już pasek od spodni.

Maggie chciała dać nurka w fale, gdy Rand powstrzymał ją, przyciągając mocno do siebie. Ubóstwiał jej dotyk, delikatną budowę ciała i gładką jak atlas skórę, kuszącą, by ją głaskać i pieścić wargami.

– Za chwilę, Maggie, jeszcze nie teraz. Najpierw pozwól mi okazać ci, jak cię kocham.

Spojrzała w jego oczy i zdawało jej się, że zagłębia w głąb jego serca. Ciemne źrenice powiedziały jej, jak bardzo Rand jej pragnie, jak kocha ją, jak niezbędna jest w jego życiu.

– Lubię rozpoczynać dzień razem z tobą – powiedziała miękko. – Dzięki, że jesteś nareszcie przy mnie. Tęskniłam za tobą.

– A ja za tobą, Maggie, moja Maggie.

Nie mogła złapać tchu. Jego oczy, ich wyraz upajały ją. Krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach, ciało z utęsknieniem oczekiwało na jego dotyk.

Rand wodził ustami po jej ustach, delikatnie i w skupieniu, drażniąc

językiem jej nabrzmiałą dolną wargę i prowokując jej pocałunki, podczas gdy jego dłonie pieściły długie, smukłe plecy i krągłe pośladki. Gdy poczuła, że uginają się pod nią kolana, delikatnie ułożył ją na stosie zrzuconych przez nich ubrań. Otoczyła go ramionami i przycisnęła do siebie, wzdychając z rozkoszy, że ma tuż przy sobie ukochanego mężczyznę. Jego ręce brały ją w posiadanie, docierając do zakątków, które pobudziły jego wyobraźnię, odkrywając miejsca, których dotknięcie wywoływało z jej gardła okrzyk zachwytu. Była szczęśliwa, czując znów na sobie ciężar jego smukłego, ciepłego ciała. Zrozumiała teraz, dlaczego poczucie bolesnej pustki nie opuszczało jej od momentu jego odjazdu, od chwili, gdy sama tak nierozważnie kazała mu odejść. Jego ręce tuliły ją, jego usta poruszały się wolniutko wzdłuż linii szyi do rowka pomiędzy piersiami i jeszcze niżej, aż wreszcie wykrzyknął:

– Maggie, Maggie! Muszę cię mieć! Natychmiast!

– Weź mnie, Randzie. Pragnę tego – szepnęła. Wszystkie myśli rozplynęły się w ogarniających ich falach gorąca, gdy przyjmowała go w swoje spragnione ciało.

Pochylił się nad nią, wsparty na ramionach, jego biodra ciasno przylegały do jej ciała. Zmagał się ze sobą, ze swoimi pragnieniami, hamował się, usiłując zachować samokontrolę. Pragnął być dla niej jak najczulszym kochankiem, zaspokoić ją w pełni. Ale Maggie nie czekała biernie. Objęła go za pośladki, przyciągając bliżej i głębiej. Jej nogi uniosły się, a ciało otworzyło przed nim.

– Kocham cię, Maggie! – zawołał zduszonym głosem, poddając się pieszczocie jej pochwy, otaczającej go i falującej wokół niego. Ujrzał uśmiech Maggie: radosny, triumfalny uśmiech kobiety świadomie oddającej się ukochanemu mężczyźnie. Spojrzał w jej oczy, błękitne jak letnie niebo, i zatonał w niej, sięgając po nią, odnajdując i pieszcząc swym dotykiem. Złączyli się ze sobą, serca ich obejmowały się, dusze

złały w jedno i wszystko rozśpiewało się w nich z radości.

Sawyer powitała Amelię z otwartymi ramionami. Kiedy ciotka zadzwoniła z lotniska Kennedy’ego, zaskoczenie Sawyer było kompletne. Jeszcze bardziej zdumiewająca była zmiana w jej wyglądzie. Kiedy Sawyer zawołała: „Wyglądasz cudownie!” – naprawdę tak myślała. Amelia wydawała się teraz łagodniejsza, jakby ktoś zeszlifował ostre kanty. Włosy przetykane siwizną były o wiele dłuższe; lepiej pasowały do jej karnacji niż poprzednia ich nienaturalna czerń. Nieco się też zaokrągliła. Przede wszystkim jednak wyglądała na szczęśliwą. Nadal była wytworna i starannie ubrana, ale bardziej niż przedtem zadowolona z życia.

– Jak było w Anglii? Dlaczego postanowiłaś wrócić? – spytała Sawyer podprowadzając ciotkę do wygodnej kanapy naprzeciwko szerokiego, niczym nie ozdobionego okna. Sawyer zdjęła zasłony i firanki w rozpaczliwej pogoni za światłem. Wzrok ją zawodził, a chciała widzieć wszystko jak najwyraźniej, dopóki to było możliwe.

Amelia odwróciła się bokiem, chowając przed bezlitosnym blaskiem dnia.

– Postanowiłam walczyć – oświadczyła stanowczym tonem. – Ale przede wszystkim, jeśli nie jest na to jeszcze zbyt późno, mam zamiar prosić o wybaczenie. Twoja babcia uważa, że nigdy nie jest na to zbyt późno.

– Czasami chyba jest – odparła ponuro Sawyer.

– Nigdy! – stwierdziła Amelia. – Słuchaj, kochanie, muszę z tobą porozmawiać, ale nie wiem, jak ci to powiedzieć. Tak spaskudziłam własne życie, że nie mam prawa wtrącać się do twojego. Wyglądasz... wyglądasz nieźle. – Potem, przypomniawszy sobie o podjętej decyzji, powiedziała bez ogródek: – To nieprawda. Wyglądasz na ciężko chorą.

– Bo jestem chora, ciociu Amelio. Nie boję się mówić o tym.

– A ja nie potrafię. I nie mogę pojąć, dlaczego przynajmniej nie zastanowisz się nad tą operacją. Jeżeli z powodu Randa, to powiem ci, że żaden mężczyzna nie jest wart, żeby z jego powodu stracić życie. Omal sama nie popełniłam tego błędu. Nie wolno ci się poddawać! Nawet jedna szansa na milion jest lepsza niż żadna!

– Wyglądasz ślicznie – przerwała Sawyer. – Naprawdę cudownie.

Amelia prychnęła pogardliwie.

– Mówiłaś, że wzrok cię zawodzi.

– Rzeczywiście tak jest, ale siedzisz sześć cali ode mnie. Widzę cię bardzo wyraźnie. Przypominasz mi teraz babcię. Nie wiem dobrze, na czym to polega, ale jesteś bardzo... kobieca. I już nie taka knacha. Nie chcę, żeby to niemile zabrzmiało, ale byłaś tak strasznie szczupła i...

– I zniszczona, to chciałaś powiedzieć? Pragnęłam wyglądać jak ty. Być młoda jak ty. Marzenie ściętej głowy, a może po prostu marzenie każdej Amerykanki?

Sawyer zaśmiała się głucho.

– Nie, właśnie niedawno dowiedziałam się z telewizji, że marzeniem każdej Amerykanki jest posiadanie karty Gold American Express, mercedesa i odkurzacza firmy Kirby.

Amelia roześmiała się.

– A gdzie Adam? – spytała. – I cóż to takiego?! – Wskazała na Kulkę, która z zadowoleniem myła sobie pyszczek. – Nie znoszę kotów! Skradają się niedosłyszanie, gapią na ciebie i wlepiają oczy w coś, czego człowiek nie dostrzega.

Tym razem roześmiała się Sawyer.

– Adam poszedł na pocztę – wyjaśniła – a Kulka to wspaniały kompan! Mogę z nią godzinami rozmawiać: nie zadaje niepotrzebnych pytań ani nie stawia Bóg wie jakich żądań.

– Mówiłam ci, że koty są głupie. I ty też jesteś głupia, jeśli nie chcesz podjąć ryzyka. Takie jest życie: albo o nie walczysz, albo koniec

z tobą. Jesteś zwyciężcą albo zwyciężonym. Nie umiem wyjaśnić tego wyraźniej. Nigdy nie myślałam, że jesteś z tych, którzy przegrywają walkowerem, Sawyer. Sawyer skrzywiła się.

– Ostatnio ciągle słyszę komplementy: tchórz, bez charakteru... Cole twierdzi, że położyłam na siebie kreskę czy krzyżyk, coś w tym rodzaju. Inne wyzwiska też już słyszałam, ale ty pierwsza powiedziałaś, że przegrywam walkowerem!

– Więc udowodnij wszystkim, że się mylą! – odparła ostro Amelia. – I mnie też! Nie pozwól, żeby to nieszczęście cię pokonało! Należysz do rodziny Colemanów i już najwyższy czas, żebyś się zachowywała jak oni!

– Boję się – szepnęła Sawyer z płaczem prosto do ucha Amelii. – Chodzę do psychoanalityka. To przyjaciel Adama. Prawdę mówiąc, wkrótce mam u niego wizytę. Adam zazwyczaj mnie odprowadza: chce mieć pewność, że nie zwieję po drodze.

– Pomaga ci to? – spytała Amelia, głaszcząc Sawyer po włosach.

– Chyba tak. Ja mówię, on słucha. Nie osądza mnie. Dzisiaj mu powiem o spotkaniu z Randem, którego, wyobraź sobie, spotkałam na ulicy dwa tygodnie temu. Właśnie wybierał się do mnie. Powiedział mi o wielu sprawach; nie chciałam go słuchać. A teraz nie chcę nawet o nich myśleć. Ale chyba dzisiaj zastanowię się nad tym, co mówił.

– Sawyer, popatrz na mnie. Posłuchaj tego, co ci powiem. Całkiem możliwe, że operacja się uda. Pomyśl! Na litość boską, miej na tyle rozsądku, aby uświadomić sobie, jaką masz szansę! Sięgnij po nią! Walcz o swoje życie! Czy naprawdę nie chcesz już nigdy ujrzeć pierwszych wiosennych pączków ani płatków śniegu w zimie? Nie mogę tego zrozumieć! Kiedy przyjdzie na mnie pora, będę bronić się przed śmiercią rękami i nogami! Chcesz opuścić bez walki Cole'a i Riley'a? Przecież oni cię kochają! Twoja babcia zadreżca się, że nie chcesz walczyć o swoje życie. A co z Adamem? On cię kocha. Kocha

cię naprawdę, Sawyer!

– To moje życie! – powiedziała buntowniczo Sawyer.

– Wszyscy przecież mamy do ciebie jakieś prawa! Nawet Rand i Maggie. Kiedy nasze życie zwiąże się z życiem innych ludzi, to nabierają oni do nas pewnych praw! Czy Maggie tu była? – spytała Amelia.

– Tak. Zostawiła mi swoje śmiecie. – W odpowiedzi na zdziwione spojrzenie Amelii Sawyer wyjaśniła: – Swoje dzienniki. Chyba pisała je od dziesiątego roku życia. Tak samo jak ja. Prawdę mówiąc, dostałam pierwszy pamiętnik właśnie od niej. To chyba jedyne, co mamy ze sobą wspólnego: obie prowadzimy dzienniki.

Amelia była zaskoczona.

– Maggie naprawdę dała ci swoje pamiętniki?! Nie mogę w to uwierzyć!

– Owszem, dała. Wrzuciłam je do pieca. Miałam zamiar spalić, ale Adam je wyratował. Nawet nie wiem, czyje odesłał z powrotem czy nie.

Amelii zabrakło słów. Czowała zdumienie, ulgę, nawet dumę z Maggie, która odważyła się tak odkryć swoją duszę przed córką.

– Sawyer, czy ty masz pojęcie... choćby blade pojęcie o tym, ile musiało kosztować twoją matkę oddanie ci swoich pamiętników? Skorzystaj z tej nieocenionej okazji i przeczytaj je.

– Nie mogę. Nie chcę jej w moim życiu! I nie życzę sobie stać się częścią jej życia! Rand oznajmił mi, że jedzie do niej, żeby ją prosić o rękę. Uznał, że powinnam od niego się o tym dowiedzieć. Powiedział mi to w jakimś podłym barze, a potem odszedł.

– Jak się czułaś?

– Jak odrętwiała. To było okropne przeżycie. Ale jakoś przez to przebrnęłam. Rozmowa ze mną musiała go wiele kosztować. Nick (ten mój psychoanalityk, wiesz?) pomógł mi... pomógł mi zrozumieć, że nie

można nikogo zmusić do miłości. To tak jak ze mną i z Adamem: on mnie kocha. Ja jego też, ale inaczej. Może kiedyś... Rand nie czekał na żadne „kiedyś”.

– Czemu miałby czekać, Sawyer? Życie jest zbyt krótkie. Chyba to rozumiesz. Nie bądź zła o to, że są szczęśliwi z Maggie. Nie pozwól, żeby owładnęła tobą nienawiść!

– To jedyne, co utrzymuje mnie przy życiu – odparła szczerze Sawyer. – Dzięki nienawiści jakoś jeszcze istnieję!

– Więc już po tobie. Niepotrzebnie traciłam czas. Mnie też nie zostało go zbyt wiele; muszę wykorzystać go w pełni. Idź do tego swojego psychoanalityka i zwracaj sobie głowę różnymi głupstwami. Zwlekaj, aż będzie już za późno, a potem zrzuć winę za to, że umierasz, na wszystkich dookoła, prócz siebie samej. Przykro mi, że ci sprawiam ból, Sawyer, ale to prawda. – Amelia wstała. – Miałam zamiar zostać do jutra. Chyba z tego zrezygnuję. Działasz na mnie przygnębiająco. Potrzebuję w życiu słońca i mam zamiar sprawić, żeby mi na nowo zaświeciło. Siedzisz z tym zwariowanym kotem i użalasz się nad sobą! Dobrze, że twój a babcia cię nie widzi. Dowidzenia, Sawyer.

Adam zastał ją płaczącą przy stole w jadalni. Kulka cicho mruczała zwinięta na jej kolanach.

– Co się stało?

– Amelia wpadła tu w drodze do Sunbridge. Wygarnęła do mnie z obu łuf. Po prostu duszę się od tego, Adamie! Wszyscy powtarzają mi to samo: że się poddam, że rezygnuję, że nie mam dość charakteru. Rand powiedział, że umiem tylko brać, a sama na nic nie potrafię się zdobyć. Wszyscy są oburzeni moją postawą. Zamiast wspierać mnie, tak jak ty, każde z nich zadaje mi cios i znika. Każą mi walczyć. Z czym mam, do cholery, walczyć?! – krzyknęła nagle. – Czy ty myślisz, że ja chcę umrzeć? Nie chcę! Przysięgam na Boga! Boję się jak wariatka! Nie chcę umierać na operacyjnym stole! Nie wiem, co

począć!

– Najpierw umyj buzię i uczesz włosy. Potem pójdziemy do Nicka. Opowiesz mu o wszystkim, co cię dręczy, choćbym miał zmusić go siłą do odwołania wszystkich innych pacjentów. Pospiesz się: zrób wszystko, jak mówię.

Kiedy Sawyer poszła do łazienki, Adam zadzwonił do Nicka.

– Zapłacę, ile zechcesz, ale masz z nią dziś gadać do upadłego! Nie obchodzi mnie, ile to ci zajmie czasu.

– Bardzo chętnie. Myślisz, że się zdecyduje? – Boję się myśleć. Ale mam nadzieję.

– Czekam na nią, więc się pośpieszcie.

Nick usadowił swe okrągłutkie ciało w wygodnym fotelu naprzeciw Sawyer.

– Zdejmij ciemne okulary. Chcę cię widzieć, gdy będziemy rozmawiali.

– Oko to zwierciadło duszy, nieprawdaż?

– Coś w tym rodzaju. A teraz mów, co się dzieje. Nie było cię tu od dwóch tygodni.

Sawyer zaczęła mówić; najpierw szło jej to opornie, potem przyspieszyła, jak dziecinne saneczki na stoku. Wkrótce nie można jej było powstrzymać. W pewnej chwili zerwała się gwałtownie i wykrzyknęła:

– Nie mają ją prawa! Nie mają!

– Może chciałabyś coś rozbić albo kopnąć w ścianę? – zaproponował uprzejmie Nick.

– Co?

– Bez tych sztuczek. Dobrze słyszałaś. Jeśli masz na to ochotę, bardzo proszę. Powiedziałem ci, że w moim gabinecie możesz robić, co tylko chcesz. Chcesz płakać? To płacz. Masz ochotę wrzeszczeć albo wyć, bardzo proszę. Chcesz coś rozbić? Cała przyjemność po mojej

stronie. Tyle że będziesz musiała potem posprzątać i odkupić to, co zniszczyłaś. No, dalej! Nie przeszkadzam.

– To idiotyczne – powiedziała Sawyer z niesmakiem.

– A nie sądzisz, że jeszcze bardziej głupie jest duszenie w sobie gniewu albo wyżywanie się na osobach, które nic nie zawiniły?

– Oczywiście. Czy uważasz, że właśnie tak postępuję?

– Nie. Zadałem ci po prostu pytanie. To ty doszłaś do wniosku, że jest w nim jakiś podtekst. I sama sobie udzieliłaś odpowiedzi. Upredzedałem cię, Sawyer, że tutaj nie pomogą żadne sztuczki. A teraz opowiedz mi o Randzie.

Nick słuchał uważnie beładnej paplaniny Sawyer, przez cały czas dokonując w myślach analizy i syntezy tego, co słyszał, wyciągając logiczne wnioski. Z początku robił podczas ich spotkań notatki, ale to denerwowało Sawyer, więc obrał taktykę „posiedzimy sobie i pogawędzimy”. Sawyer od razu się rozluźniła.

– Co było szczególnie przykrego w tym spotkaniu?

– Nie podobał mi się jego tupet! Nie mam obowiązku spotykać się z nim ani rozmawiać. A on był przekonany, że „uda mu się do mnie dotrzeć”, choć inni zawiedli! – I udało mu się? – Trafił mnie w czułe miejsce. Tak. I zmusił do myślenia.

– Czy nadal go nienawidzisz?

– Randa? O nie! – zawołała gwałtownie Sawyer.

– Powiedziałaś, że ma zamiar ożenić się z twoją matką. Czy to cię boli?

– No pewnie! Cała jestem w środku poharatana! Udało jej się go omamić!

– Czy jakiś cichutki głosik nie szepcze ci w duszy, że on pokochał ją naprawdę? Mówiłaś, że ciebie nie pokochał na tyle, żeby się wiązać. A teraz gotów jest zrezygnować ze swej wolności dla twojej matki. Jak to wytłumaczysz?

Sawyer zawahała się.

– Może mu na niej zależy... troszkę. Mówiłam ci, że Maggie to pozeraczka męskich serc. Zupełnie go ogłupiła.

– Ale podobno kazała mu odejść. Czasem ludzie tak postępują, gdy miłość ich jest zbyt gwałtowna, i czują, że nie potrafią już kontrolować swoich uczuć.

– Maggie poradzi sobie ze wszystkim! – stwierdziła Sawyer z goryczą. – Nawet z twoją chorobą? Czy i w tej sprawie próbuje interweniować?

– Oczywiście. Zjawiła się u mnie, zwała mi na głowę wszystkie swoje śmiecie i wywiała. – Sawyer zawahała się na moment i nagle wybuchnęła: – To jej wina! Wszystko to jej wina!

Nick zapalił papierosa, już trzeciego w tym dniu.

– Powiedziałaś, że nie masz zamiaru czytać jej dziennikowi że Adam je spakował. Określiłaś to świadectwo jej życia jako „śmiecie”, chyba nawet, jeśli pamiętam, wyraziłaś się „plugastwo”.

– I co z tego? Tak właśnie czuję! – krzyknęła Sawyer. – Po co miałabym tracić czas na czytanie o jej życiu?

– Sama to sobie wyjaśnij. Dlaczego uważasz, że to byłaby strata czasu? A może boisz się tego, co znajdziesz w tych pamiętnikach?

– Na pewno nie! – wrzasnęła Sawyer.

– Gdybym cię poprosił, żebyś to zrobiła, posłuchałabyś? – Wątpię.

Nick zdusił papierosa.

– Wobec tego zakładam, że masz stracha.

– Nie mam stracha! Drętwieję z przerażenia.

– Powiedz, co cię tak przeraża?

Sawyer zapaliła papierosa drżącymi rękami.

– Może być w nich coś... co by mi się nie spodobało. Maggie zawsze jest górą. Nie dałaby mi tych pamiętników, gdyby jej to mogło zaszkodzić. Chce mnie zranić! Tylko dlatego mi je przywiozła!

– Myślisz, że to, co się w nich znajduje, oczyściłoby Maggie z win?

– Oczywiście! Może okazałoby się, że to ja jestem wszystkiemu winna! Maggie zawsze wygrywa, mówiłam ci! Czy nie dostała w końcu Sunbridge? Ma Randa. Amelia i Susan mieszkają razem z nią. Moja babcia udzieliła jej poparcia, pobłogosławiła jej związek z Randem! – wykrzyknęła Sawyer.

– Gdybyś przeczytała te pamiętniki i twoje obawy okazałyby się usprawiedliwione, nie miałabyś już na kogo zrzucić winy: właśnie to usiłujesz mi powiedzieć.

– Chyba... w pewnym sensie masz rację. – Sawyer rozważała słowa Nicka. – A więc teraz, w najbardziej przełomowym momencie swojego życia, musisz koniecznie zrzucić na kogoś winę. Twoja choroba to największe nieszczęście, jakie ci się przytrafiło. Mimo to nie próbujesz sama się z nim uporać, prawda? – Próbuję.

– Więc dlaczego nie decydujesz się na operację? – Mówiłam ci, jestem przerażona!

– Nie wierzę ci.

– Nic mnie to nie obchodzi. Wszyscy żądają ode mnie zbyt wiele! Jestem tylko człowiekiem!

– Ach, jesteś tylko człowiekiem? A my pewnie nie mamy ludzkich uczuć? – Nie to miałam na myśli.

– Tylko co, do cholery?

– Ludzie zaraz przyczepiają nam etykiety! Jak się postąpi tak, jest się bohaterem, inaczej – tchórzem – A ty kim jesteś?

– Ja tu umieram, a ty mi zadajesz głupie pytania! Oczywiście, że jestem tchórzem. – Sawyer roześmiała się histerycznie.

– A dlaczego?

– Przez Maggie!

– Maggie nie ma nic wspólnego z twoją chorobą. Jest się tchórzem, gdy nie ma się odwagi walczyć. Jeżeli się zdecydujesz i poddasz się

operacji, a ona się uda, to co wtedy?

– Nie mam pojęcia. Nie chcę już o tym mówić.

– Wiem, że nie chcesz, ale i tak pogadamy. Odpowiedz na moje pytanie.

– Życie potoczy się dalej.

– Maggie i Rand będą żyli ze sobą długo i szczęśliwie. Twoja babcia ze swoim mężem też będzie żyła długo i szczęśliwie. Twoja ciotka Amelia wróci do Teksasu, pogodzi się ze swoim mężem i też będzie żyła długo i szczęśliwie. Twoja ciotka Susan ponownie wyjdzie za mąż i będą z nowym mężem żyli długo i szczęśliwie. Cole i Riley zdadzą do college’u, dwa przystojniaki z tłumem dziewcząt u stóp. Czy wobec tego zostanie ktoś, kto nie pławiłby się w szczęściu?

– Ja! – krzyknęła Sawyer. – Ja, do cholery! Co zemną będzie? Kiedy ja wreszcie będę szczęśliwa?!

– Gdy będziesz gotowa na przyjęcie swojego szczęścia. Nie kupisz go za pieniądze; to nie luksusowa zabawka. Czy wiesz, do jakiego wniosku doszedłem? Trzeba zapracować na swoje szczęście. Weźmy choćby mojego starego kumpla, Adama. Jest nieszczęśliwy, prawdę mówiąc, pogrążony w rozpacz. Oddałby za ciebie życie. Wiesz o tym, prawda?

– Tak.

– Zastanówmy się przez chwilę nad pewną sprawą. – Nick podał jej arkusz papieru i ołówek. – Chciałbym, żebyś sporządziła spis rzeczy, według ich ważności, nie zapomnij o tym! Rzeczy, których nigdy już nie ujrzysz albo nie zrobisz, jeśli nie poddasz się tej operacji. A ja tymczasem przejdę do drugiego pokoju i zatelefonuję do kilku moich pacjentów, którzy nie mogą beze mnie żyć.

– Chyba kpisz ze mnie?

– Wyglądam na żartownisia? – Skinął głową, gdy Sawyer niechętnie wzięła do ręki ołówek. – Kiedy skończysz ten spis, zrób po

drugiej stronie jeszcze jeden: tego, co możesz i chcesz dokonać, tego, co pragniesz, żeby doszło do skutku, jeżeli operacja się powiedzie. Nick zamknął za sobą drzwi i natychmiast zadzwonił do Adama.

– Słuchaj, nie mogę przysiąc, ale chyba ruszyło z miejsca! Boże, przez chwilę myślałem, że mi zdemoluje gabinet! Nawet dałem jej na to pozwolenie wiedząc, że pokryjesz straty. – Uśmiechnął się słysząc w słuchawce histeryczny jazgot. – Wydaje mi się, że rozmowa z Randem i Amelią wywarła pożądany skutek. Sawyer zaczęła się zastanawiać nad sytuacją, a to pierwszy krok. Jestem dobrej myśli. Nie martw się o to, jak stąd wróci. Wsadzę ją w taksówkę. Bądź tylko w domu na jej powitanie.

Nick potoczył się do toalety, a potem zasiadł przy biurku swojej sekretarki i załatwił kilka telefonów. Kiedy wrócił do gabinetu, Sawyer siedziała, trzymając stopy na niewielkim stoliku, w pokoju przyjęć dla pacjentów. Na jej policzkach widniały ślady łez. Nick udał, że ich nie dostrzega. Obejrzał oba spisy po dwóch stronach kartki.

– W porządku – powiedział ostro. Zapalił papierosa i podał ognia Sawyer.

– Starczy na dzisiaj? – spytała wypuszczając idealnie okrągłe kółka dymu. – Niezupełnie. Porozmawiajmy o operacji. – Podniósł rękę, ucinając wszelkie protesty. – Nie ma sensu, żebym ja się na ten temat wypowiadał. Chcę, żebyś to ty ze mną o tym porozmawiała. Niezle już się we wszystkim orientuję. Zadzwoniłem do twojego doktora: chciałem zapoznać się dokładnie z całą tą sprawą, aby móc udzielić odpowiedzi na każde twoje pytanie. Sama dałaś mi do tego prawo, więc nie rób min. No i co mi powiesz?

– Dwadzieścia procent to nie jest dużo – powiedziała z trudem. – Właściwie neurochirurg stwierdził, że raczej piętnaście niż dwadzieścia.

– Jakbyś zginęła w wypadku samochodowym, to byś nie miała nawet takich szans. Mieszkasz w jednym z największych miast świata,

w którym szaleją przestępcy. Mogą cię zastrzelić na przykład w sklepie spożywczym. Wówczas także nie będziesz miała żadnych szans. Cyfry nie są takie znowu ważne.

– Mówisz jak wszyscy inni. Łatwo wam ferować wyroki, nietrudno być obiektywnym. Ja, to co innego, chodzi o moje życie!

– Właśnie staram się, żebyś spojrzała na wszystko z właściwej perspektywy. Wiem jedno: masz teraz większe szanse niż pół roku temu. Ale największe jest twoje podejście: musisz tego chcieć, zgodzić się na to z własnej woli. Powinnaś to zrobić z najgłębszym przekonaniem. Nie dlatego, że tak ci radzi babcia, czyja. Musisz to zrobić dla siebie samej. I z tych powodów! – dodał, wymachując jej przed nosem zapisaną kartką. – Chcesz mieć kopię?

– Nie – powiedziała tak cicho, że Nick z trudem dosłyszał.

– Co ty na to, żebyśmy wpadli do Jima McMullena na piwo?

– Odłóżmy to na inną okazję. Chcę wrócić do domu i ułożyć się wygodnie. Mam znowu tę parszywą migrenę. Będę ci wdzięczna, jak pomożesz mi złapać taksówkę.

Nick zamknął gabinet i zjechali w milczeniu windą. Na ulicy przywołał taksówkę i pomógł Sawyer wsiąść.

– Powiedz mi, ale szczerze – spytała go z wahaniem – jak nam dzisiaj poszło? Nick uśmiechnął się. Sawyer pomyślała, że wygląda jak amorek albo pogodny krasnoludek.

– Lepiej ty mi powiedz! Dobrze wiesz, że psychoanalityk nie odpowiada na pytania, tylko je zadaje. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu!

– Dobranoc, Nick!

Sawyer dojechała do śródmieścia w pozycji półleżącej. Nie wiedziała, czy czuje się lepiej czy też gorzej. Wiedziała tylko jedno: ma bardzo wiele do przemyślenia.

Rozdział dwunasty

Amelia precyzyjnie się do odbioru bagaży w porcie lotniczym. Jeszcze nigdy nie widziała takich tłumów! Poprosiła tragarza, żeby znalazł jej taksówkę. Dała mu suty napiwek, kierowcy kazała jechać do hotelu Hilton. Oparła się o poduszki. Boże, jakaż była skonana!

Czterdzieści minut później zameldowała się w recepcji Hiltona i otrzymała numer miejscowej gazety, „Crystal City Times”. Marzyła tylko o długiej kąpieli w gorącej wodzie i o położeniu się do łóżka. Cudownie byłoby zobaczyć Cary’ego albo usłyszeć jego głos, ale nie w tej chwili. Wszystko po kolei.

Następnego dnia Amelia, susząc włosy przed hotelowym lustrem, zastanawiała się, czy słusznie postąpi jadać do Sunbridge. Postanowiła udać się najpierw do kupionego przez siebie domu, zakończyć jego odnawianie, nawet spać tam, zanim wszystkie prace nie zostaną ukończone. Nareszcie powinna doprowadzić do końca jeden ze swoich projektów! Potem, dopiero potem zadzwoni do Cary’ego.

W południe Amelia wyniosła się z Hiltona. Portier w liberii dotknął daszka mundurowej czapki, uśmiechnął się do niej i skinął na hotelowego boya, który stał w pogotowiu.

– Zanieś pani bagaże do taksówki. – Jeszcze raz uśmiechnął się do Amelii z uznaniem i ponownie przytknął rękę do czapki. Amelia odpowiedziała mu uśmiechem. Zazwyczaj nie zwracała uwagi na personel hotelu. Zbyt wiele czasu zajmowało jej porównywanie własnej osoby z innymi gośćmi hotelowymi. Teraz wszystko się zmieniło; także i to, że nie wynajęła limuzyny. Nie czuła już potrzeby imponowania innym: ważne było to, co sama o sobie myśli. Nieważne czym pojedzie, byleby tylko dojechała tam, gdzie trzeba. Kiedy taksówkarz wjechał na podjazd, Amelia zauważyła, że został on pod jej nieobecność

wybrukowany. Wyremontowano też frontową półkolistą werandę: lśniła teraz w południowym słońcu. Wnętrza też zostały pewnie wykończone, bo nie słyszała stukania ani przybijania. Przeniknął ją dreszcz, gdy wsunęła klucz do świeżo naoliwionego zamka i masywne dębowe drzwi otwały się. Bez pośpiechu obchodziła wszystkie pomieszczenia. Prace stolarskie zostały ukończone. Łazienka była zmodernizowana, dywany rozłożone. Teraz należy tylko wszystko posprzątać, ustawić bibeloty i umeblować sypialnie. Meble, które zamówiła przed wieloma miesiącami, leżały na składzie. Podobnie było z zamówionymi tkaninami. Tego samego ranka Amelia załatwiła parę telefonów i umówiła się, że wszystko zostanie dostarczone jutro i pojutrze.

Weszła znów na górę, tym razem, żeby się przebrać w kombinezon roboczy. Potem zabrała się z energią do pracy, szorując i czyszcząc do późnych godzin wieczornych.

Długa, relaksująca kąpiel sprawiła, że poczuła się senna. Rozpostarła na czystej podłodze swoje sobolowe futro i zasnęła jak małe dziecko z policzkiem opartym na dłoni. Kiedy zbudziła się rano, nie mogła sobie przypomnieć, czyjej się coś śniło.

O dziewiątej podstawiono wynajęty przez nią samochód. Amelia pojechała od razu do delikatesów w Crystal City. Gorąca kawa w trzech pojemnikach i kanapka z jajkiem na boczku powinny jej na razie wystarczyć. Kupiła też najnowszy poranny numer „Crystal City Times”. Wróciwszy do domu zjadła śniadanie i przeczytała miejscową gazetę od deski do deski, poświęcając najwięcej uwagi stronie omawiającej działalność miejscowych przedsiębiorców. Znalazła krótką wzmiankę o Carym i jego współnikach: chwalono niezwykle postępy, jakie poczynili. Nie zamieszczono jednak ich fotografii. Amelia spojrzała tęsknie na wiszący na ścianie żółty telefon. Jeszcze nie teraz! Dopiero jak wszystko zakończy.

O wpół do czwartej w każdym oknie wisały zasłony. O szóstej

wszystkie meble na dole stały już na właściwym miej scu. Musiała tylko pościarać kurze, ustawić bibeloty, zawiesić na ścianach obrazy, schowane dotąd w szafie w hallu, i przejechać po wszystkim odkurzaczem. O ósmej wszelkie prace zostały zakończone. Amelia zatelefonowała do delikatesów i poprosiła o przysłanie jej kanapek z pastrami* [Ostro przyprawiona wędzona wołowa łopatka, pokrojona w cienkie plastry, podawana na gorąco na kanapce lub jako oddzielne danie mięsne (przyp. tłum.).] na razowym chlebie i dwóch pojemniczków kawy.

Wykąpała się wcześniej, zjadła obiad i zasnęła, otulona w sobole, na samym środku umeblowanego salonu.

Każdego wieczora przed powrotem do pustego mieszkania Cary jeździł cichymi ulicami, starając się zrelaksować. I zawsze – podobnie jak dziś – ni stąd, ni zowąd podjeżdżał pod dom Amelii. Zastanawiał się, jaki to ma sens? Dlaczego wiecznie się umartwia? Czego się spodziewa?

Jak zawsze, zwolnił za zakrętem. Oto i on, samotny dom na trzydziestu akrach gruntu. Cary podjechał do krawężnika i zgasił silnik. Dom był jak zawsze ciemny i milczący. Cary siedział ponad dwadzieścia minut wpatrując się w budynek. Z jakiej ś niezrozumiałej przyczyny silniej niż zwykle odczuwał bliskość Amelii. Gdyby tylko... gdyby...

Nie zauważył drugiego samochodu stojącego na podjeździe; zapuścił motor i odjechał.

Następnego dnia padał deszcz, strugi wody zalewały niedawno przystrojone firankami okna. Amelia włączyła ogrzewanie, żeby zabezpieczyć się przed chłodem i wilgocią. Meble przeznaczone do pokoi na górze przywieziono o wpół do dwunastej. O wpół do pierwszej wyjechała wypożyczonym mustangiem na główną drogę i skierowała się w stronę najelegantszego domu towarowego w Crystal

City. Kupiła poduszki, kołdry, ręczniki, mydelniczki, poszycia na materace, bieliznę pościelową, narzuty. Ostatnim zakupem były maty i szklanki do czterech łazienek. Bagażnik i tylne siedzenie wozu były tak zawałone zakupami, że musiała korzystać podczas jazdy z bocznego lusterka. Zatrzymała się koło delikatesów, żeby zaopatrzyć się znowu w kanapki, a potem pojechała do domu. Następne trzy godziny spędziła ścieląc łóżka i doprowadzając do stanu doskonałości sypialnie. Jeszcze raz przejechała po wszystkim odkurzaczem, tropiąc zagubione strzępki i nitki, po czym schowała go do szafki, znajdującej się na górnym podeście.

Wszystko zostało ukończone. Dosłownie wszystko. Amelia poczuła ogromną ulgę. Zaczęła od zera i doprowadziła całą sprawę do pomyślnego końca.

Zjadła kanapkę z peklowaną wołowiną z dodatkiem kupionych w delikatesach pikli, delektując się tym jak najbardziej wyszukany smakołykiem. Kawa też jej smakowała, więc otworzyła drugi styropianowy pojemnik i wypła kolejną porcję. Następnie pozbierała puste opakowania i zaniósła je do śmietnika w garażu.

Wszystko pachniało świeżością. Dom czekał tylko na to, żeby ktoś w nim zamieszkał. Amelia z uśmiechem zasiadła przy kuchennym stole rozłożywszy przed sobą wszystkie dokumenty. Wyjęła kieszonkowy kalkulator i rachowała prawie przez godzinę. Wydała ćwierć miliona dolarów na odnowienie domu, który stanowił niegdyś własność jej matki. Należało dodać do tego jeszcze cenę zakupu domu i parceli: 1,6 miliona dolarów. Przed wyjazdem z Anglii poleciła, żeby jej bank spłacił hipotekę kompanii z Austin. Była więc teraz jedyną właścicielką domu wartego mniej więcej 1,85 miliona dolarów. Wykonała przy nim całą pracę i zapłaciła za niego własnymi pieniędzmi. Należał wyłącznie do niej.

Godzinę później Amelia wyszła na tylną werandę. Nadal padało;

wstrząsnęła się, mimo że okryta była puszystym futrem. Zabezpieczyła drzwi solidną zasuwą, a potem pogasiła światła i wróciła do salonu, gdzie znowu zasnęła otulona sobolami. Za żadne skarby nie chciała pognieść świeżo posłanych łóżek na piętze. Spała już głęboko, kiedy Cary przejeżdżał koło jej domu kwadrans po jedenastej.

Amelia pozostała wewnątrz domu przez cztery dni, czekając, jak to określała, na idealną pogodę. Już mdliło ją od kanapek i pikli z delikatesów, ale nie miała wyboru. Kiedy zbudziła się piątego dnia rano, poczuła, że wymarzona pogoda wreszcie nadeszła. Wyjeżdżała z domu: nie było wiatru; w ogrodzie nie poruszał się ani jeden liść. Trzeba było jeszcze tylko trochę poczekać. Siedziała na tylnej werandzie jedząc kanapki i popijając kawę oraz kartkując jakieś romansidło, które ją zresztą szalenie irytowało.

Dwadzieścia minut przed dwunastą w południe Amelia weszła do Agencji Ubezpieczeniowej Libermana i przedstawiła swoją polisę ubezpieczeniową na nowy dom.

– Proszę ją anulować i otworzyć mi akredytywę. Poczekam. – Rozbawiło ją zamieszanie, jakie wybuchło wokół niej. Kiedy ktoś z Colemanów likwidował jakąkolwiek polisę, musiało dowiedzieć się o tym całe miasto. W porządku, nie przeszkadzało jej to. Gdy opuściła biuro agencji z formularzem polisy oznaczonym olbrzymim czerwonym stemplem: ANULOWANA, poczuła zadowolenie. Minutę po dwunastej nie była już ubezpieczona.

Roześmiała się i wsiadła do samochodu. Boże, jak jej ulżyło! Żeby uczcić tę okazję, zatrzymała się w restauracyjce przy szosie, gdzie podawano steki; zamówiła wielki kotlet, niezbyt wysmażony, micheńską wiejskiej sałatki i pieczone kartofle, polane masłem i śmietaną. Na zakończenie zjadła ciasto z jagodami i serem, napiła się kawy, dała hojny napiwek i wróciła do domu, który był jej wyłączną – a w dodatku nie ubezpieczoną – własnością.

O siódmej, gdy zapadł zmierzch, Amelia wzięła nożyce ogrodowe, podeszła przez cudownie utrzymany trawnik do wypielęgnowanego klombu, pościła doskonale piękne kwiaty i ułożyła je w ślicznym kryształowym wazonie. Ustawiła je w przedpokoju na stoliku z wiśniowego drewna, który był nie podrabianym antykiem. Zaniósła sekator z powrotem do szopy na podwórzu i znów zajęła miejsce na tylnej werandzie. Wieczór nie przyniósł ochłodzenia: nadal było upalnie i duszno. Powietrze jakby zamarło.

O wpół do jedenastej Amelia wstała z fotela i opuściła werandę. Weszła do domu, zamknęła i zabezpieczyła zasuwą tylne drzwi. Przeszła się po pokojach, podziwiając ich wystrój. Jej matka byłaby zadowolona. Weszła na górę i tam również obejrzała jeden pokój po drugim. Wszystko było szczytem doskonałości. Rozsunęła zasłony w głównej sypialni i wyjrzała na zewnątrz. Potem zasunęła je z powrotem. To samo powtórzyło się w pozostałych sypialniach. Wychodząc z nich nie oglądała się za siebie. Na podeście schodów włączyła nocne oświetlenie. Zeszła po schodach, zapalając żyrandol, żeby się jeszcze lepiej prezentował. Była nim zachwycona.

Wzięła na rękę sobolowe futro, potem zastanowiła się przez chwilę. Ludzie pomyślą, że zwariowała, jeśli zobaczą ją w futrze przy takiej pogodzie. Złożyła je porządnie i powiesiła na oparciu pięknego mauretańskiego krzesła, wykonanego na specjalne zamówienie. Kryształki żyrandola pobrzękiwały, a światła błyszcząły, póki ich nie zgasiła. Palila się teraz jedynie lampa w przedsiionku.

Amelia zostawiła drzwi frontowe lekko uchylone, gdy wyszła kierując się w stronę wynajętego przez siebie samochodu. Rzuciła torebkę na tylne siedzenie i cofnęła samochód przed domu, włączając tylko światła postojowe. Otworzyła bagażnik i wyjęła stamtąd kanister pełen benzyny. Wetknęła kluczyki w kieszeń spodni, żeby mieć obie ręce wolne. Wszedłszy do wnętrza swego pięknego domu udała się

schodami na górę, rozlewając po drodze benzynę. Potem wróciła na dół i wylała resztę paliwa. Wystawiła pusty kanister przed drzwi frontowe i jeszcze raz wróciła na piętro, szukając po kieszeniach zapalek. Rozpaliła niewielkie płomyczki, które wkrótce zmieniły się w ogromne płomienie. Schody za nią już płonęły, gdy pędziła na dół, aby i tu w kilku miejscach rozniecić ogień.

Całe wnętrze domu było w płomieniach, gdy po raz ostatni zamykała za sobą jego drzwi. Z kanistrem po benzynie w jednej ręce, a czterema nie zużytymi zapalkami w drugiej przemaszerowała przez podjazd. Minie jakiś czas, zanim ktoś zauważy pożar. Przybędzie – być może – straż pożarna. Lepiej nie ruszać się z miejsca na wypadek, gdyby strażacy się zjawili. Powie im, żeby nie ratowali domu: niech spłonie do szczętu.

Dochodziła już północ. Amelia nareszcie poczuła się wolna. Przeszłość przestała istnieć. Jutro wstanie nowy dzień. Istniała tylko przyszłość. Od niej samej będzie zależało, jak ją wykorzystają. Stała w ciemnościach i przyglądała się, jak jej dom płonie. Była zrujnowana, według kryteriów Colemanów stała się żebraczką. Roześmiała się: ta sytuacja sprawiała jej radość.

Do diabła, jechał tu jakiś samochód! Kiedy kierowca zatrzyma wóz i wysiadzie, powie mu to, co zamierzała oznajmić strażakom: niech dom spali się do szczętu!

Cary zwolnił i zapatrzył się w oświetlone okna. Dorn Amelii żarzył się od świateł jak bożonarodzeniowa choinka. Gdy zatrzymał auto i wysiadł, zorientował się, że cały budynek jest ogarnięty pożarem: jaskrawa czerwono-żółta luna świeciła na ciemnym tle teksaskiego nieba.

– Jezu miłosierny! – jęknął, gotów wskoczyć do samochodu i pędzić po pomoc. Z cienia wynurzyła się jakaś postać.

– Niech spłonie do cna! – Amelio! Amelio, to ty?!

– Cary? Kochanie, co ty tu robisz?

– Nie mogę uwierzyć, że cię widzę! – W tym momencie Cary zapomniał o domu, pożarze i wszystkim innym; wyciągnął ku niej ramiona. Jak cudownie było trzymać ją w objęciach!

– Boże, jak ja za tobą tęskniłem! Myślałem, że nigdy nie wrócisz! Modliłem się, Amelio, modliłem się, żeby cię znowu ujrzeć.

– Cii... ja też. Jestem już teraz wolna. Popatrz na mnie, Cary.

– Jesteś najpiękniejszą istotą na ziemi – powiedział spoglądając w jej pełne miłości oczy. – Popatrz na mnie! Schudłem o szesnaście funtów i wyglądam jak strach na wróble. Życie bez ciebie było prawdziwym piekłem.

Amelia roześmiała się młodym, dziewczęcym śmiechem.

– Jak widać, miłość jest ślepa!

– Moja miłość na pewno. – Cary przytulił ją mocno. Nigdy już nie straci jej z oczu! Nigdy! – Amelio, a twój dom? Co się stało?

– Doprowadziłam do końca swoją robotę. Wróciłam z Anglii i skończyłam go urządzić. Nigdy nie ukończyłam niczego, co zaplanowałam, aż do dziś. – W jej oczach ukazały się łzy, ale nie były to łzy żalu. – Ten dom miał dla mnie podobne znaczenie jak dla mojej matki: było to miejsce ucieczki, kryjówka. Tak bardzo trudziłam się nad wskrzeszeniem przeszłości, że nie potrafiłam spojrzeć w przyszłości pozbawiłam siebie i innych radości, jaką mógł nam dać dzień dzisiejszy. Sama spaliłam ten dom, Cary. To symbol i widmo przeszłości, która nie jest mi już potrzebna.

– Nic więcej nie jest nam potrzebne, Amelio, gdy mamy siebie. Ktoś powiadomił komendę straży pożarnej w Crystal City. Amelia usłyszała dalekie wycie syren. Szybko wyjaśniła mężowi, że wykupiła dom i anulowała polisę.

– Nie pozwól im gasić tego pożaru, Cary! Nie chcę, żeby się komukolwiek coś stało, a niczego nie warto ratować. Niech płonie!

Świtała już jutrzienka, gdy ostatni wóz strażacki odjeżdżał znad kupy popiołów, w którą zamienił się dom Amelii. Strażacy nie gasili pożaru, lecz stali w pogotowiu, żeby zapobiec ewentualnemu rozszerzeniu się ognia.

– Wracajmy do domu powiedział Cary, całując żonę we włosy. – Oho, widzę teraz, że coś ze sobą zrobiłaś! – zauważył ze zdumieniem. – Nie bardzo wiem, co się zmieniło, ale wyglądasz cudownie! Pomóż mi utyc, dobrze? Wszystkie ubrania na mnie wiszą.

Amelia roześmiała się, a jej radosny śmiech rywalizował z porannym śpiewem ptaków.

Była nareszcie wolna! Uwolniła się od przeszłości, od straszących ją widm, od lęku przed jutrem. Była teraz Amelią Assante i zostanie nią aż do śmierci.

Kiedy w pokoju dzieciennym odezwał się wewnętrzny telefon, Susan pochyliła się nad aparatem.

– Proszę pani, zjawił się pan de Moray. Czy chce się pani z nim widzieć? Serce Susan na chwile zamarło. Wzrok jej padł na łóżeczko, w którym spała Jessie.

– Wpuściłaś go do domu?

– Nie, proszę pani. Stoi na werandzie.

– W porządku, niech poczeka. Proszę mu powiedzieć, że zejdem za kilka minut. – Zatelefonowała natychmiast do Valentine Mitchell, która roześmiała się, gdy Susan wyjaśniła, jak przedstawia się sytuacja.

– Tylko bez paniki! Zaraz się zjawie. Jego przyjazd oszczędzi nam czasu i kłopotu. Wpuść go oczywiście do środka. Zaproponuj drinka, okaż trochę godności. To przecież ostatnia wizyta pana de Moray w Sunbridge.

Serce Susan ani rusz nie mogło się uspokoić. Jej oczy raz po raz biegly w stronę śpiącego dziecka. Wrzuciła z powrotem do kosza

ubranka, przeznaczone do prania. Zadzwoń do Ferrisa czy lepiej nie? Zdecydowała, że upora się z tym bez niego, liczyła oczywiście na pomoc Valentine.

Susan otworzyła drzwi i gestem zaprosiła Jerome'a do środka. Zaprowadziła go do salonu i zaproponowała drinka. Jerome poprosił o dżin z odrobiną cytryny. Ku własnemu zdumieniu Susan zdała sobie sprawę, że zapomniała, jaki jest ulubiony napój jej męża.

– To wszystko, co mogę ci zaoferować. A teraz, czego chcesz? Po co tu przyjechałeś?

Oczy Jerome'a otworzyły się bardzo szeroko.

– Po ciebie, oczywiście. Kiedy już urodziłaś dziecko, może jakoś ułożymy sobie życie.

Susan zaśmiała się histerycznie.

– Chyba zwariowałaś! Nie dałeś znaku życia prawie od roku. Kradniesz wszystkie moje pieniądze, nie dzwonisz i nie piszesz i nagle pojawiaasz się licząc na to, że przyjmę cię z powrotem! Nie otrzymałeś moich listów? Nie dotarły do ciebie papiery rozwodowe?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Susan wiedziała, że Jerome kłamie, a on zdawał sobie sprawę, że go rozszyfrowała; mimo to nie ustępował.

– Udało mi się zorganizować dla nas tournée po Ameryce Południowej. Oferują fantastyczne warunki! Kiedy już oprzytomniałaś po tym macierzyńskim amoku, możemy wrócić do punktu wyjścia.

Susan gwizdnęła ze zdumienia.

– Zupełnie oszalałeś! Nie chcę mieć z tobą nic do czynienia! Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że nawet nie zapytałeś o naszą córkę? Nawiasem mówiąc nazywa się Jessica Margaret.

Jerome zbladł. Powinien był się domyśleć, że przez dziecko najłatwiej trafi do Susan.

– Nie zapomniałem. Po prostu na twój widok straciłem głowę.

Oczywiście, że chcę ją zobaczyć. Nasz agent powiedział mi, że jest kaleką czy coś w tym rodzaju.

– Właśnie, coś w tym rodzaju – odparła zimno Susan. – Zauważyłam, że przypomniałeś sobie o tournée znacznie szybciej niż o Jessie. Nieważne. Nic mnie to nie obchodzi. Chcę tylko jak najszybciej z tobą skończyć. Przepuściłeś już wszystkie pieniądze, które mi ukradłeś?

– To były nasze wspólne pieniądze.

– Mylisz się, Jerome, większość z nich stanowiła moją własność: otrzymałam je od mojego ojca. Nic z nich już nie zostało, prawda? Dlatego zjawился się tutaj. Ale jedyne, czego sobie od ciebie życzę, to rozwód.

Jerome zmienił taktykę.

– Słuchaj, Susan: potrzebuję ciebie! Jeśli chcesz zabrać ze sobą dziecko, niech będzie. Postaraj się o niańkę czy kogoś takiego. Możemy objechać cały świat, zyskać wszędzie takie uznanie, jakim cieszymy się w Europie. Podobało ci się to. Lubiałś oklaski, pochlebne recenzje, pieniądze. Przyznaj sama!

– Od tego czasu minęła cała wieczność! Teraz grywam tylko na koncertach dobroczynnych, żeby dopomóc naszej córce. Nawiasem mówiąc, mam recital w przyszłym tygodniu. Może to cię zdziwi, ale sprzedaliśmy siedemset pięćdziesiąt biletów po sto dolarów każdy. Wszystkie pieniądze pójdą na potrzeby organizacji pomagającej dzieciom z rozszczepieniem kręgosłupa; sama ją tu powołałam do życia.

Oczy Jerome'a omal nie wyskoczyły mu z głowy. Susan wspomniała o siedemdziesięciu pięciu tysiącach dolarów!

– Chcesz te pieniądze oddać dla jakichś... jakichś...

– Spróbuj to powiedzieć, Jerome. Chorych z rozszczepieniem kręgosłupa. Tak, właśnie oddaję je na ten cel. W jesieni będę miała

następny recital w Austin. I jeszcze jedno; wolę, żebyś dowiedział się o tym ode mnie niż od kogoś innego: jak tylko nasz rozwód się uprawomocni, wychodzę ponownie za mąż.

– Susan, błagam, zastanów się! Nie poradzę sobie bez ciebie! Chcę, żebyśmy nadal byli małżeństwem!

Serce Susan biło już całkiem normalnie. Spojrzała na człowieka, z którym była związana przez tyle lat, i czuła jedynie ulgę na myśl, że po dzisiejszym spotkaniu nigdy go już nie zobaczy.

– Mam teraz dziecko – oświadczyła spokojnie – i ono jest dla mnie najważniejsze. Muzyka nigdy nie zniknie z mojego życia, ale nie będzie już całym moim życiem.

Jest nim Jessie. Szkoda, że nie będziesz mógł cieszyć się nią wraz ze mną. Wprost wierzyć mi się nie chce, że nic cię nie obchodzi własne dziecko.

– To kaleka – powiedział Jerome, jakby to wszystko wyjaśniało. – Ale ciebie kocham – dodał szukając jakichś argumentów.

– Świetny dowcip, Jerome. Widzisz, jak mnie rozbawiłeś? – powiedziała zimno Susan.

– Pożałujesz tego! Nigdy nie zgodzę się na rozwód! Mogę nawet zażądać opieki nad dzieckiem. I co ty na to powiesz?

– Nic panu nie odpowie – odezwała się Valentine Mitchell kładąc swą teczkę na mahoniowym stole. – Nazywam się Valentine Mitchell, jestem adwokatem Susan.

Kobieta prawnik! To całkiem pasowało do tej sytuacji!

– A więc, droga pani mecenas – powiedział ironicznie Jerome – może wytłumaczy pani mojej żonie, jakie są moje prawa?

– Potrafiłabym chyba to zrobić, ale lepiej będzie, jak pokażę panu kilka dokumentów, które mam w teczce. Być może wówczas zechce pan przemyśleć to, co pan powiedział przed chwilą.

Oczy Jerome'a zwięzły się. Susan nerwowo składała i rozkładała

fałdy spódnicy. W pokoju panowała cisza: szczerkał tylko zamek otwierający teczkę od Gucciego – Mamy tutaj podpisane i zaprzysiężone zeznania dyrektorów dwóch banków. W tej ręce trzymam skasowane czeki i wyciągi bankowe. A na tej trzeciej kupce mamy dane o waszych wspólnych kontach, z których mógł pan korzystać zgodnie z prawem. Czwarty stosik, te formularze, to uzgodnienia dotyczące rozwodu.

– Jeśli wyobraża sobie pani, że cokolwiek podpiszę, to chyba pani zwariowała – powiedział pogardliwie Jerome.

Valentine uśmiechnęła się, ukazując pełny komplet równych, białych zębów. Wygląda jak barakuda! – pomyślał Jerome i nagle ogarnął go strach.

– Myślę, że pan jednak podpisze – odparła. – A zatem, jak już powiedziałam, miał pan pełne prawo podjąć 7.865 dolarów z waszego wspólnego konta oszczędnościowego. Także akcje i bony były na nazwisko zarówno pana, jak i Susan. Na fałszowanie jednak podpisów władze na ogół patrzą niechętnie, czy to w Anglii, czy tu w Stanach. A pan sfalszował podpis żony przy odbiorze pieniędzy, które przysłano jej z funduszu powierniczego. Zażądał pan także kilku pokaźnych zaliczek, podrabiając nazwisko żony na listach, a następnie na pokwitowaniach. – Obdarzyła go uśmiechem. – Może pan dostać za to od pięciu do dziesięciu lat.

A tutaj mamy dokumenty rozwodowe – ciągnęła dalej – i ten mały stosik bardzo urzędowo wyglądających papierów także czeka na pański podpis. Wyjaśniając sprawę jak najprościej, przekazuje pan Susan całkowitą opiekę nad Jessiką Margaret de Moray. Żona zaś zrzeka się alimentów i pieniędzy na utrzymanie dziecka. Dam panu na podjęcie decyzji – Valentine spojrzała na zegarek – dokładnie trzy minuty. Kiedy upłyną, zadzwonię do szeryfa, który nawiasem mówiąc jest moim dziadkiem. – Valentine wyjęła srebrne wieczne pióro i podsunęła je Jerome'owi.

– Gotowa jest pani wsadzić mnie do więzienia?!

– Chyba pan zgadł. Proszę wybierać. Więzienny tryb życia nie każdemu służy. Jerome podpisał swe nazwisko drobnym, niezbyt czytelnym pismem. Pieniąc się z gniewu patrzył na Susan.

Valentine rzuciła mu spojrzenie znad papierów.

– Cóż tam pan szepcze? Jakieś groźby? Lepiej niech pan mnie uspokoi, że to nie były żadne pogroźki.

Jerome wielkimi krokami ruszył ku drzwiom... potem zatrzymał się i zawrócił. Susan patrzyła na niego zdumiona, że mimo zaciśniętych warg i zębów zdołał wykrztusić:

– Nie wystarczy mi pieniędzy na powrót do Anglii.

– Pomyślałam o tym – odparła spokojnie Valentine. – Proszę zgłosić się na lotnisku. Wykupiłam dla pana bilet na jutrzejszy ekspresowy lot pasażerski. Żegnam, panie de Moray.

Kiedy drzwi zamknęły się za nim, Susan załamała się i zaczęła płakać.

– Nawet nie chciał zobaczyć Jessie! Nazwał ją kaleką! Jak mogłam kochać kogoś takiego?!

– Każdy ma prawo do jednego błędu. Co on ci powiedział?

– Powiedział... coś w tym rodzaju, że Jessie z powodu swego kalectwa nie jest warta miłości. To on jest kaleką, a nie ona! Jessie jest tylko trochę inna i kocham moją dziewczuszkę nad życie! – gwałtownie zawołała Susan.

– I tylko to się liczy. Przypuszczam, że wyjdiesz za mąż zaraz po rozwodzie. Chyba zaprosisz mnie na ślub?

– Oczywiście! – Susan uśmiechnęła się. – Ale nie będę się z tym spieszyć. Chcę być pewna, że postępuję słusznie. Nie mam zamiaru popełniać kolejnych pomyłek!

– Dziecinko, małżeństwo z Ferrisem Armstrongiem to na pewno nie pomyłka. Ten chłop to szczere złoto: na zewnątrz i w środku. Tym

razem masz w ręku główną wygraną! Wszystkim Colemanównom trafiają się prawdziwe asy!

– W drugim rzucie, po związku z ostatnimi nieudacznikami. Dziękuję ci, Valentine!

– Cała przyjemność po mojej stronie. Chyba niewiele jest dziewcząt takich, jak ty?

– Nie, forma się stłukła. Jak myślisz, co się stanie z Jerome'em?

– Wróci do Anglii, znajdzie sobie jakąś dobrodziejkę o muzycznych zainteresowaniach i będzie po kłopotcie. Tacy jak on zawsze spadają na cztery łapy. Przedstawię w sądzie twoje papiery rozwodowe i za trzydzieści dni powinnaś odzyskać wolność.

Wolność! Cóż za cudowne słowo! Będzie tylko ona i Jessie. No i Ferris, jeśli tego zapragnie.

Była coraz bardziej pewna, że pragnie tego rzeczywiście.

Rozdział trzynasty

Maggie i Rand wrócili do Sunbridge w czasie weekendu po Dniu Pamięci. Zostali powitani hałaśliwie i z entuzjazmem, a Maggie pławiła się rodzinnej serdecznością. Rand oznajmił, że pobiorą się pod koniec lata, gdy chłopcy powrócą z Hawajów.

– Zdamy akurat zabrać was, chłopaki, na zakupy i postarać się dla was o nowe ciuchy. Czy nadal chcecie spędzić kilka dni w Nowym Jorku przed wyprawą na Hawaje?

– Adam uważa, że to dobry pomysł – wyjaśnił Cole. – Mamy samolot z Nowego Jorku dwunastego czerwca.

– Czy były jakieś wiadomości od Sawyer albo od mamy? – spytała z niepokojem Maggie.

– Ani słowa – odparła Susan. – Bardzo mi przykro, Maggie.

Maggie przerwała rozpakowywanie bagażu, podeszła do telefonu i zadzwoniła do Sawyer.

– Tu mówi Maggie. Jak się czujesz, Sawyer?

– Co za różnica? Czego chcesz? – Wiedzieć, co z tobą.

– Jeszcze żyję. Będę mogła polecieć na Hawaje. No i co, poczułaś się od razu lepiej... a może gorzej?

– Ani tak, ani siak. Jestem jak odrętwiała. Chciałabym się dowiedzieć, czy zmieniłaś zdanie w sprawie operacji.

– Nie. Nie zmieniłam zdania.

– Jesteś głupia.

– Jaka matka, taka córka. Prawda, mamusiu? Dlaczego wreszcie się nie odczepisz?

Maggie zawahała się, nie wiedząc co powiedzieć. Już i to dobre, że Sawyer nie odłożyła słuchawki. Wyglądało prawie na to, że chce z nią dalej rozmawiać, drażnić ją, kłócić się ząb za ząb.

– Chciałabym, ale nie mogę.

– Za późno! Zawsze decydujesz się zbyt późno, Maggie.

– Wiem odparła Maggie, a Sawy er usłyszała w jej głosie ból. – Nic już nie będzie takie jak przedtem. My też zmieniliśmy się. Ale chyba zmądrzałyśmy z wiekiem. Dlaczego nie mogłybyśmy dojść do porozumienia, postarać się jakoś ułożyć sprawy pomiędzy nami? Bardzo tego pragnę.

– No pewnie! Nie trudno zdobyć się na pojednanie, jeżeli się samemu zawiniło! Ale twoje błędy skrupiły się na mnie. Chcesz, żebym ci przebaczyła, a ja nie mogę! Dlaczego więc nie odłóżysz słuchawki i nie zostawisz mnie w spokoju?!

– A dlaczego ty nie odkładasz słuchawki?

– To ty zadzwoniłaś do mnie, nie pamiętasz? – odparła Sawyer przez zaciśnięte zęby.

– Chcę się z tobą zobaczyć przed twoim wyjazdem na Hawaje. Przylecę do Nowego Jorku razem z chłopcami. Nie zabawię długo. Po prostu chcę się z tobą spotkać.

– Poco?

– Bo obchodzi mnie, co się z tobą dzieje. Bo chcę cię zobaczyć na własne oczy. – Chcesz się przekonać, że jestem już jedną nogą w grobie i poprawić sobie nastrój? Mogę cię poinformować przez telefon: nie najlepiej wyglądam. Oszczędź sobie fatygi – powiedziała Sawyer załamującym się głosem.

– Przyjadę razem z chłopcami. Zawsze możesz mnie wyrzucić. Będiesz chciała urządzić przy chłopcach takie przedstawienie?

– Oni dobrze wiedzą co czuję.

– Może i wiedzą ale nie bardzo rozumieją dlaczego tak jest. Nie są już wobec ciebie bezkrytyczni. Zdają sobie sprawę z tego, że postępujesz egoistycznie i głupio.

– Niech mi sami o tym powiedzą! Maggie westchnęła.

– Sawyer, bez względu na to, co wyplatasz, wiesz, że bardzo mnie

obchodzi twój los. Chcę ci pomóc, jeśli mi tylko na to pozwolisz.

– Czy nie chcesz przypadkiem pomóc przede wszystkim samej sobie? Mnie nie jesteś w stanie pomóc! Nikt mi nie może pomóc!

– To przeklęte łągarstwo! – wrzasnęła Maggie. Nadbiegł Rand a za nim chłopcy. Stali bezradnie w drzwiach, a Maggie krzyczała w słuchawkę: – Zachowujesz się jak idiotka! Mnóstwo ludzi chce ci pomóc! Mama, Adam, Rand, my wszyscy! Doktor Marlow jest najlepszym chirurgiem w Instytucie Sloana Ketteringa. On też robi dla ciebie wszystko, co tylko zdoła! Wszystko, co jest w jego mocy! Słyszysz?! Cholera jasna, rusz głową Sawyer, i przestań wreszcie wszystkich obwiniać! Ta rozmowa telefoniczna cię rajcuje, może nie? Lubisz doprowadzać innych do rozpaczki! Przyznaj to wreszcie! – darła się Maggie. – Robisz z siebie męczennicę! Musiałaś czuć się cholernie zadowolona, kiedy skończyło się niańczenie cię i chuchanie na ciebie; przywykłaś do tego od lat! Musisz więc znaleźć się na nowo w centrum uwagi, jak to było dawniej! Niech cały świat pada na kolana przed Sawyer: patrzcie, jaka ona szlachetna! Przecież umiera! Błagajmy ją wszyscy! Prośmy, namawiajmy Sawyer, powtarzajmy, jak bardzo ją kochamy, jaka jest dla nas ważna! Rzygać mi się chce przez ciebie! Gdybym była na miejscu Adama, dawno bym ci dała kopa w dupę! Jego też pewnie mdli na twój widok!

– Odłóż słuchawkę i nigdy więcej do mnie nie dzwoń! – krzyknęła Sawyer.

– Ani myślę! – wrzasnęła równie głośno Maggie. – Idź do diabła!!!

– Już tam byłam i zdążyłam wrócić! Niezbyt tam miło. Przemyśl to sobie. Bo Pan Bóg ukarze cię, że dałaś za wygraną! Jesteś przecież z rodziny Colemanów!

– Sram na Colemanów!

– Przypominasz sobie o nas tylko wtedy, kiedy ci to na rękę, prawda?

– Odłóż słuchawkę! Niech cię szlag, odłóż ją wreszcie!

– Nie. To ty musisz przerwać rozmowę. – Kiedy jednak Maggie usłyszała cichy płacz Sawyer, ostrożnie odłożyła słuchawkę. Łzy spływały jej po twarzy, ale na ustach miała uśmiech, gdy zwróciła się do stojącej we drzwiach trójki. – Nie było tak, jak myślicie. Nie chciała przerwać rozmowy. Zaczyna być nareszcie uchwytna!

– Mamo, czyjej się nic nie stało? – spytał ze strachem Cole.

– Bije się z myślami. Zastanawia się, rozważa za i przeciw. Nie wiem, na co się w końcu zdecyduje. Módl się, to najlepsza rada jaką ci mogę dać.

Podczas gdy Maggie, Rand i chłopcy załatwiali sprawunki i pakowali rzeczy, Sawyer odbywała długie spacerunki po parku i codziennie spotykała się z Nickiem Deitrickiem. Dwukrotnie odwiedziła też Instytut Sloana Ketteringa. Zatelefonowała do babki; łagodny smutek w głosie Billie był dla Sawyer wyjątkowo trudny do zniesienia. Dlaczego babcia nie była taka agresywna jak Maggie i cała reszta?

– Chciałabym przyjechać do ciebie i porozmawiać z tobą, babciu poprosiła. – Bardzo mi przykro, ale lepiej, żebyś nie przyjeżdżała. Nie mogę podejmować za ciebie decyzji. Nie chodzi ci o operację, tylko o Maggie. Nie mieszaj ze sobą tych dwu problemów! Nie jestem w stanie pomóc ci, malutka. Tylko Maggie może to zrobić. Nie obawiaj się. Zrób pierwszy krok... a potem znów do mnie zadzwoń, jeżeli będę ci potrzebna.

– Jej się wydaj e, że wyrzekłam się jej dla Maggie – zauważyła Billie ze smutkiem po zakończeniu rozmowy. – Ona w to naprawdę wierzy, Thad!

– Wcale tak nie jest. Po prostu nie może znaleźć drogi. Miota się, zanim nie zaakceptuje tego, co jest jej teraz najbardziej potrzebne. Postąpiłaś słusznie. Biedactwo, wiem, że ci teraz serce pęka! Wszystko

będzie dobrze; mam przeczucie.

– Uwierzyłabym ci, nawet gdybyś o północy informował mnie, że świeci słońce! – uśmiechnęła się blado Billie. – Chodźmy na spacer. – Z psami? Billie roześmiała się.

– Z całą dziesiątką! – Gwizdnęła i psy zleciały się ze wszystkich kątów, potykając się i ślizgając na płytkach, którymi była wyłożona kuchnia, a potem ustawiły się w nieprawdopodobnie długą kolejkę u drzwi.

– Właśnie tak to zrobimy: po wojskowemu oznajmił Thad. – Pójdę przodem, jestem w końcu admirałem! Za mną Billie, pani admirałowa. Potem wy, pojedynczo. Bez żadnych sztuczek!

Billie obejrzała się przez ramię na psy, które dreptały grzecznie gęsiego, dopóki nie znaleźli się przy drodze. Wówczas Thad klasnął w dłonie.

– Rozejść się! – zameldował. Psy rozbiegały się we wszystkie strony.

– Powinniśmy to sfilmować! Nikt inaczej w to nie uwierzy!

– To tylko kwestia autorytetu. Ton głosu, wysoka ranga i proste plecy.

– Żeby nie wspomnieć o dropsach, którymi będziesz ich paść po powrocie do domu.

Thad prychnął pogardliwie.

– To tylko maleńki element tresury.

– A więc powinnam zadbać o to, by Sawy er uznała mój autorytet?

– Właśnie dlatego się z tobą ożeniłem, że jesteś taka bystra!

– A nie dla tego, że jestem piękna i miła?

– To też.

– Zawsze umiesz poprawić mi humor. Wszystko będzie dobrze, prawda?

– Tak, kochanie. Jak ci już wspomniałem, mam dobre przeczucia.

Ale lepiej się pomódlmy, żeby ten, kto jest nad nami, pomógł nam wybrnąć z tego.

W czasie jednej z wypraw do Austin po sprawunki Cole i Riley kupili, niezależnie od siebie, prezenty dla Luany. Riley wybrał śliczną buteleczkę perfum o nazwie „Radość”. Cole, większy ryzykant, kupił torebkę na ramię od Gucciego.

Cole sam nie wiedział, co jest gorsze: krótkie ukradkowe spotkania z Luaną, kilka pocałunków i uścisków, czy też przyglądanie się jej wyłącznie z daleka. Przestrzegał zakazu, bo nie chciał, żeby Luana spotkała z jego powodu jakaś krzywda. Wiedział jednak, że jest w niej zakochany i zastanawiał się, jak zdoła przeżyć całe lato nie widząc jej. Wyobrażał sobie, jak kupuje dla niej różne prezenty: hawajskie ozdoby, amulety, *lei*. Wiedział, że podoba się Luanie najbardziej ze wszystkich chłopców, choć mu tego wyraźnie nie powiedziała. Rozpłakała się, gdy jej oznajmił, że wyjeżdża na lato. Potem spytała mimochodem, czy Riley również nie będzie? Cole był zły, że Luana jest taka miła dla każdego chłopaka, drażniło to jego ambicję.

Teraz była na niego wściekła, bo nie chciał zaryzykować spotkania w jej mieszkaniu. Ale dziś była sobota, idealny dzień na randki! Będzie czał się w pobliżu tylnej werandy jak głupi, w nadziei, że Luana wyjdzie z domu i usiądzie przy nim na schodkach. Może jednak skorzysta z okazji i jeżeli Ben Simms wyjeździe do miasta, to kto wie...

Po obiedzie Riley wstał od stołu, żeby się wystroić; miał randkę w mieście.

– Świetna dziewczyna! – pochwalił się ze śmiechem przed Randem. – Zna się na sporcie, a najlepiej na baseballu! Wie wszystko o rzutach prostych i z poślizgu, i twierdzi, że krzywa piłka w moim wykonaniu była najlepsza, jaką kiedykolwiek widziała!

– A kogo jeszcze oglądała w akcji i? – przekomarzał się Rand.

– Swego starszego brata, który jest w drużynie juniorów. Nie wróćę zbyt późno, ciociu Maggie.

Maggie i Rand wybierali się do miejscowego klubu. Susan miała zamiar wyjść z Ferrisem, a jego matka obiecała zająć się Jessie. Tylko Cole był bez pary.

Ze swego pokoju słyszał pogwizdywanie Riley'a. Ten odgłos działał mu na nerwy! Obaj rywalizowali, od dawna i zażarcie, o względy Luany, ale Riley nie zrezygnował z towarzystwa innych dziewcząt i ciągle umawiał się to z tą, to z inną. Najwidoczniej nie był tak mocno zakochany jak on. Cole był wściekły na siebie za uczucia, jakie w nim wzbudziła Luana. Pragnął jej. Inne dziewczęta, nawet te, które się za nim uganiały (a myślał, że coś podobnego nigdy nie nastąpi!) nie podobały mu się, nic a nic. Wiedział, że chłopcy mówili różne rzeczy o Luanie: naciągaczka, dziadów a, zdzira... Wyzywali ją od najgorszych, dobrze słyszał. Ale w głębi serca był pewien, że Luana jest dziewicą; sama zresztą mu o tym powiedziała. Przy nim zachowywała się zupełnie inaczej. Nie zgrywała się jak w szkole. Wiedział, że było jej tam ciężko. Jego też początkowo nie akceptowali.

Od czasu, gdy obaj z Riley'em dostali własne samochody, sprawy uległy pewnej zmianie. Luana wołała chyba jego cougara ze składanym dachem od berlinetty Riley'a. Cole główkował, jakby tu wybrać się dziś wieczorem na przejażdżkę z Luaną. Gdyby tak się szczęśliwie zdarzyło, że wyjechałby na szosę poza Sunbridge, a ona by tam wyszła, mógłby zabrać ją do wozu. To by dopiero było prawdziwe oblewanie cougara! Jezu! Omal nie zemdleł, tak silny dreszcz podniecenia przebiegł go na samą myśl!

Riley przestał gwizdać. Rozległy się głosy zespołu Oak Ridge Boys, śpiewającego jakiś przebój. Cole zrobił wściekłą minę i puścił na cały regulator taśmę z nagraniem Lionela Richie. Luana lubiła Lionela i Michaela Jacksona.

Zaczynało się ściemniać, kiedy Cole usłyszał ryk odjeżdżającej berlinetty. Wyrzwał przez okno sypialni i zobaczył Luanę siedzącą samotnie przed drzwiami swego mieszkania z otwartą książką na kolanach. Wygiął szyję, żeby dojrzeć, czy pikap jej ojca stoi na podwórzu. Wozu nie było.

Cole ubrał się pospiesznie. Dziś wystroił się na bubka z prywatnej szkoły: biała koszula polo, szare spodnie, granatowy sweter, eleganckie buty. Przetarł twarz płynem po goleniu o wyrazistym zapachu i obiema rękami przygładził włosy. Był gotowy. To będzie nareszcie ta noc: czuł to przez skórę!

Na podjeździe Cole udawał, że nie dostrzega Luany. Postarał się jednak, żeby zauważyła, jak się wystroił. Susan właśnie umieściła bezpiecznie Jessie w jej specjalnym „krzeselku” w samochodzie i miała zająć miejsce za kierownicą. Cole podszedł i nonszalancko pochylił się do okienka jej samochodu.

– No no! – gwizdnęła Susan. – Ale pięknie wyglądamy! I jaki fantastyczny zapach! – Uśmiechnęła się szeroko. – Jakaś odlotowa randka?

Cole wiedział, że ich głosy docierają do Luany.

– A jakże! – wycedził przez zęby. – W mieście szykuje się impreza.

– Nie będziesz się mógł odgonić od dziewcząt, taki z ciebie przystojniak! Tylko pamiętaj: kierowca nie pije!

– Nie będę pił, ciociu Susan. Czy mama i Rand już wyszli?

– Pięć minut temu. Baw się dobrze. Do zobaczenia jutro!

Cole odszedł od samochodu z rękoma wetkniętymi w kieszenie. Tak zachowywały się gwiazdy filmowe, gdy chciały okazać nonszalancję. Miał zamiar się odwrócić, podejść do swojego auta i dopiero potem udać, że dostrzega Luanę. Zwrócił się w jej stronę z uśmiezkiem miłego zaskoczenia przyklepionym do twarzy.

Mina mu zrzedła, gdy zobaczył, że Luana zniknęła. Pogalopował na

górze i chwycił duże ozdobne pudełko z prezentem: czerwone i zielone paski na białym tle, a potem zbiegł z powrotem, pomknął przez podwórze i do mieszkania nad garażem.

Nikogo tam nie było.

Cole rzucił pudełko z torbą Gucciego na kuchenny stół obok podręczników Luany. Gdzie się podziała, do diabła?! Musiała tu być przed kilkoma minutami. Gdyby Ben Simms go zastał, byłoby po nim! Może poszła na spacer? Tętniło mu w uszach, gdy zbiegał po schodach. Zanim wgramolił się do swojego czerwonego sportowego samochodu, był już bliski szaleństwa. Zatrzasnął drzwiczki i włączył tylny bieg, potem pierwszy i był już na trzecim, gdy wyjeżdżał z dziedzińca na prostą drogę prowadzącą do głównej szosy.

Zaraz za zakrętem Cole włączył długie światła i zahamował z piskiem opon; był to błyskawiczny odruch zarówno dłoni, jak i stopy naciskającej hamulec. To ona! Zjechał na brzeg drogi i zatrzymał wóz. Szybka opadła w dół pod dotknięciem wskazującego palca.

– Podrzucić cię gdzieś? – spytał obojętnym tonem.

– A ty gdzie się wybierasz?

– Na imprezę w mieście. Chcesz tam pojechać?

– Nikt mnie nie zapraszał i nie jestem ubrana jak trzeba – odparła Luana wskazując na swoje dżinsy i spłowiata koszulę. – Jak masz czas, mogę pojechać z tobą do Mac Allistera na cole.

– Pewnie, czemu nie? Te imprezy nigdy się nie rozkręcają wcześniej jak po dziesiątej. Wskakuj.

– Bardzo mnie się podoba twój wóz, Cole paplała Luana słodkim głosem zapinając pas bezpieczeństwa. Cole omal nie jęknął widząc, jak uciska on jej piersi. Miał ochotę wyciągnąć rękę i przesunąć pas pomiędzy piersi, tak by ich nie rozpląszczał.

– A tak nawiasem – zauważył niedbałym tonem – zostawiłem dla ciebie prezent na kuchennym stole. Zniknęłaś mi sprzed oczu ni stąd, ni

zowąd.

– Nie chciałażem patrzeć, jak odjeżdżasz. Wszyscy z waszego domu gdzieś dzisiaj pojechali. Widziałam, jak Riley odjeżdża. Byłam zła, że ja się z nikim nie umówiłam, więcem wyszła na spacer poprawić sobie humor. Nie musisz mi dawać prezentów, ale to ładnie z twojej strony. Coś mi kupił?

– Sama zobaczysz, jak wrócimy do domu. – Cole domyślił się, że Luana uśmiecha się w ciemnościach.

– Będzie mi was brak, chłopaki, jak wyjedziecie. Już za kilka dni – powiedziała miękko.

– Przyślę ci pocztówkę, może nawet napiszę list.

– Byłoby fajnie. – Luana zauważyła, że włączył kasetę z Michaeliem Jacksonem, mimo że wiatr tak szumiał im w uszach, że trudno było cokolwiek usłyszeć.

– A ty, co będziesz robić całe lato?

– Bedę chodziła na wakacyjne kursy i jestem już umówiona do opieki nad sześciolatkiem. Opiekun społeczny znalazł mnie te prace. Będą mi płacić trzy pięćdziesiąt za godzinę. Przyda mnie się ta forsa: kupię sobie ubranie na jesień do szkoły.

– Szkoda, że mnie tu nie będzie, żebym obejrzał twoje nowe fatałachy – powiedział Cole ponuro. – W końcu sieipnia idę do prywatnej szkoły przygotowawczej, a potem do college'u.

– Riley też? – spytała Luana, niby tylko dla podtrzymania rozmowy. – Riley idzie do Yale.

– Cieszysz się, prawda? Ty też się wybierasz do Yale?

– Nie, do Notre Dame* [Norte Dame – rzymskokatolicka uczelnia założona w 1842 r. na terenie stanu Indiana przez francuskich zakonników (przyp. tłum.).] Riley zdobył prawie maksymalną liczbę punktów S AT*[Scholastic aptitude test – test sprawdzający zdolności uczniów przeprowadzany przed ich pójściem do college'u (przyp. tłum.).] 1590. Ja mam tylko 1300.

Rileya przyjmą z otwartymi ramionami w Yale.

Nie zamierzał przyznać się przed Luaną, że jest naprawdę dumny z kuzyna, mimo że go nie lubi.

– A co będziesz robiła dziś wieczorem? – spytał, gdy kelnerka przyniosła im colę.

– Bede czytać „Szkarłatne godło odwagi”: mamy z tego napisać wypracowanie na poniedziałek.

– Chcesz ściągnąć ode mnie? Dostałem za moje najwyższą ocenę. Chyba mam je gdzieś w starym zeszytcie.

– To by było oszustwo – powiedziała cnotliwie Luana.

– Jak chcesz, tak tylko wspomniałem. Nie musisz ściągać. Pomyślałem sobie, że zamiast na imprezę mógłbym wybrać się z tobą na spacer. Chyba że twój ojciec wcześniej wróci do domu – zastrzegł się niespokojnie.

– Gdzie tam, nie będzie go całą noc! W porządku, przepisze od ciebie. Gdzie pójdziemy?

– Cholera, sam nie wiem. Do ciebie nie można. – Klepnął się w czoło, jakby mu nagle coś przyszło do głowy. – Mam myśl! Na północnej granicy rancza stoi stara buda. Jest w niej kanapa, kuchnia i parę krzesel. Tak mi się wydaje. I jeszcze latarnia sztormowa. Co prawda o łazience ani o elektryczności nie ma mowy. – Poczul, jakmu serce wali.

– Co byśmy tam robili? – spytała naiwnie Luana. Cole uśmiechnął się szeroko.

– A jak myślisz?

– Na całość?! – zatchnęła się Luana.

– Mam przy sobie gumki. No, Luana, nie doprowadzaj mnie do szału! Powiedziałaś, że się zdecydujesz, jak przyjdzie pora.

– Tato mnie zabij e. I ciebie też, jak sie dowie!

– Skąd miałby się dowiedzieć? Ja mu nie powiem. Chyba że ty?

– Może pozna po mnie? Ma bystre oko jak jaki orzeł!

– Sokół – poprawił Cole. Prawie już czuł w dłoniach jej okrągłe, pełne piersi. – Po czym mógłby poznać?! Zdecyduj się wreszcie! Idzie kelnerka po tacę i puste butelki.

Luana rozważała problem:

– A co bede z tego mieć? Podobno za pierwszym razem to boli. I bielizna się popaprze. Chowałam cnotę dla męża. Wiem, że chłopaki jak ty nabijają się z tego, ale nie dbam o was! Ty zaraz wyjedziesz. Co niby mam robić, póki nie wrócisz?

– Czekać na mnie. Nie zrobię ci nic złego. Może cię troszkę zaboli, ale szybko o tym zapomnisz. Mam koło dwustu dolarów. Czy to pomoże ci się zdecydować?

– Dwieście dolarów! No pewnie, chociaż to jakoś nieładnie brać forszę za... za... – Możesz nie brać.

– Nie powiedziała, że nie wezmę. Pewnie że mi się przyda... – zastanowiła się przez chwilę. – Dobra, jedziem do tej budy.

Cole poczuł wyjeżdżając z parkingu, jak żołądek fika mu koziołki. Trzy kwadranse później siedział w przygranicznej budzie wpatrując się w Luanę. Wręczył jej dwieście dolarów, które szybko wsunęła do kieszeni spodni. Potem przyglądał się zafascynowany, jak ściąga koszulę przez głowę. Zaparło mu dech. Miała różowy koronkowy staniczek: piersi najwyraźniej się w nim nie mieściły. W chwilę później spłowiełe dzinsy zsunęły się na podłogę.

Kiedy Luana wykręciła ręce do tyłu, żeby rozpiąć stanik, z Cole'em stało się coś dziwnego. Najpierw przemknęło mu przez myśl dotychczasowe życie. Potem wizja przyszłości złączyła się z obrazami przeszłości. Kiedy znów ujrzał wszystko dokładnie, prawie goła dziewczyna stojąca nad nim nie budziła już w nim pożądania. Chciał jej o tym powiedzieć, ale zabrakło mu słów.

Jej piersi były teraz całkiem obnażone, wielkie, z różowymi

sutkami. Nie tęsknił za tym, by poczuć ich smak. Patrzył na nią nadal, gdy opadły wążutkie majteczki. Była piękna. Wabiła go oczami, kładąc się na starej obitej skórą kanapie. Jej ruchy były powolne i zmysłowe. Nagle podawała się i wrzasnęła: ostre brzeżki popękanej skóry wpiły się jej w plecy. Zeskoczyła z kanapy, wierząc się i próbując dojrzeć skaleczenia.

Nawet w słabym świetle sztormowej lampki Cole widział krwawe ranki. Podszedł do kanapy i dotknął popękanej skóry. Skaleczył się w palec, jak ostrzem noża. Głęboko wciągnął dech i wyprostował się, wściekły na samego siebie.

– To był najgłupszy pomysł, jaki mi kiedykolwiek strzelił do głowy! Ubieraj się! – powiedział wysysając krew z palca. – Poczekam na zewnątrz. Zdmuchnij światło wychodząc.

Kurna, odbierze mnie te dwieście dolarów! Ale mam zsrane szczęście! Jak tato zobaczy te ślady na plecach i tyłku, trzeba się będzie grubo tłumaczyć!

– Oddać ci forszę? – spytała wchodząc do wozu. – Nie. Chciałaś to zrobić. Umówiliśmy się.

– Czemu się rozmyśliłeś?

– Koniecznie chcesz wiedzieć? – spytał Cole przez zaciśnięte zęby.

– No pewnie! Myślałam, że mnie lubisz. Od dawna latałeś za mną, a jak się w końcu zgodziłam, to kazałeś mi się ubrać. Masz chyba źle w głowie, żeby mi dać dwieście dolarów za nic. No, nie całkiem za nic. Rozebrałam się przed tobą. Ale czemu się rozmyśliłeś?

Cole nacisnął na gaz. Mógłby jej powiedzieć to i owo, ale postanowił, że jej tego oszczędzi.

– Nie stawał mi – oświadczył z zimną krwią. Nie był pewny, czy go słyszy w szumie wiatru.

Kiedy do Luany dotarło, co powiedział, roześmiała się. Gdy dojechali do Sunbridge, wysiadła z samochodu, pochyliła się do Cole'a

i powiedziała cicho:

– Dobrze wiem, jak ktoś łyże! Przyszło ci do głowy, że nie jestem dla ciebie dosyć dobra, co? Poznałam to po twoich oczach.

Cole umknął wzrokiem.

– Lepiej przyłóż sobie coś na te skaleczenia – powiedział cicho. Luana odsunęła się od wozu, a Cole ruszył z miejsca, aż opony zadymiły.

Patrzyła za nim, dopóki nie zniknęły w mroku tylne światła, a potem wbiegła po schodach i otworzyła prezent od Cole'a. Prawdziwa torebka od Gucciego! Sięgnęła pospiesznie do kieszeni i przełożyła do torby dwieście dolarów. Potem zarzuciła na ramię brązowy pasek i przeszła się po kuchni, czując się najbogatszą dziewczyną w całym Teksasie! Zapomniała opatrzyć swoje rany. Kiedy schowała skarby w bezpieczne miejsce, pocięła firmowe pudełko od Gucciego na drobne kawałki i wrzuciła do znajdującego się na dole pojemnika na śmiecie. Potem zabrała się do „Szkarłatnego godła odwagi”.

Było już po pierwszej, kiedy mocne reflektory berlinetty oświetliły podjazd; światło dotarło do pokoju Marty. Gospodyni w drodze do łazienki zatrzymała się i wyjrzała przez okno jak to robiła od wielu lat. Widziała, jak Puley wysiadł z samochodu i zauważyła, że czerwone auto stało obok. Puley zmierzał w kierunku domu, gdy nagle odwrócił się.

Marta cofnęła się od okna w głąb ciemnego pokoju i stamtąd obserwowała Luanę przebiegającą przed podjazdem. Skinęła głową aprobatą, kiedy zobaczyła, że Riley potrząsa głową i kieruje się ku domowi. Luana ujęła go za ramię i próbowała pociągnąć w stronę garażu. Chłopak opierał się, ale uległ na tyle, że znalazł się znowu przy swym wozie. Wówczas uwolnił się z uścisku Luany i oparł o samochód trzymając ręce w kieszeniach. Marta starała się usłyszeć ich rozmowę, ale w końcu zrozumiała, że jej się to nie uda. Szepty nie docierały do

okna na piętrze.

Na stojącym na nocnym stoliku zegarku z fosforyzującymi wskazówkami było dwadzieścia trzy po pierwszej, gdy gospodyni kładła się z powrotem do łóżka. Gdyby ona miała tu coś do gadania, wygoniłaby z Sunbridge Simmsa i jego córkę, kiedy tylko się tu zjawili. Zasypiała już, gdy usłyszała stuk zamykanych drzwi. Riley. Otworzyła jedno oko i zerknęła na zegarek: 1:44. Dwie minuty potem Marta już spała.

Cole także zauważył światła wjeżdżającej berlinetty.

– Zabawa musiała być niezła! – pomyślał idąc do łazienki. Wracając do łóżka zerknął na podwórze, akurat w chwili, gdy Luana podbiegła i schwyciła Riley'a za ramię. Cole stał przez dłuższą chwilę przy oknie obserwując ich. Poczł satysfakcję, gdy Riley zawrócił i wszedł do domu. Kilka minut później kuzyn przeszedł obok jego pokoju i Cole usłyszał, jak drzwi się zamykają.

Skinął głową z zadowoleniem. Obaj okazali się wierni zasadom: nie przynieśli wstydu Sunbridge ani nazwisku Colemanów.

Ben Simms wszedł po schodach do swego mieszkania, obładowany produktami spożywczymi na następny tydzień. Pod blachą kuchenną palił się ogień, odbłask padał na czysto wysprzątane pomieszczenie. Ben schował zakupy, porządnie poskładał torby i wetknął je w szparę między lodówką a kuchnią.

Czuł się wypompowany. Wypił dziś kilka kolejek, pograł trochę w bilard, a potem w pokera. Kobieta, z którą się spotykał, wyjechała do Maine odwiedzić chorą siostrę, tak mu przynajmniej powiedziano. Nie warto było włączyć się gdzieś o wpół do trzeciej nad ranem, zresztą Ben z zasady nie lubił zaplutyh barów. Zabrał więc pakę mięsa, którą barman przechował dla niego w lodówce, załadował na pikapa i wrócił do domu.

Wszedł na palcach do łazienki, ulżył sobie, a potem opłukał i wytarł

twarz i ręce. Otworzył kosz na brudną bieliznę i miał już wrzucić tam swoje ubranie, gdy zauważył spłowiała żółtą koszulę Luany i jej wytarte dzinsy. Wyciągnął je stamtąd i obejrzał w świetle lampy. Były na nich smużki krwi. Przyglądał się im przez dłuższy czas, a potem z zaciśniętymi zębami pomaszzerował przez korytarz do pokoju córki. Otworzył drzwi na oścież i zapalił światło. Luana leżała nago na łóżku, ale spieszenie przykryła się kołdrą, gdy górna lampa zapłonęła.

– Co to sie znaczy?! – zapytał ostro, podsuwając jej pod nos zakrwawione ubranie. Luana, niezbyt jeszcze przytomna, patrzyła tylko z miną winowajczynie na poplamioną odzież. – Odpowiadaj! I to zara!

– Ja zem nic nie zrobiła, tato! Słowo ci daje, nic złego! – Wstawaj, i to już! – ryknął Ben.

– Tatooo! Niczego na sobie nie mam!

– Taty sie będziesz wstydzić? No już, wstawaj! Musze ci się przyjrzeć!

Pozwalanie Cole’owi na to, żeby oglądał ją bez ubrania było przyjemne. Luana cieszyła się obserwując, jak chłopak wpatrzony w jej nagie piersi nie może przełknąć śliny, bo ma ją przed sobą golusieńką! Ale tato nie powinien jej tak oglądać! Czuła się strasznie skrępowana, gdy wstała z łóżka. W oczach ojca i na jego twarzy był jakiś wyraz, który sprawiał, że robiło się jej niedobrze. Ben schwycił ją za ramię i odwrócił.

– Skąd masz te ślady!

Nie wiem, tato... Nic mam pojęcia, słowo daje! – krzyknęła Luana.

– Łżesz, dziwko! Widzę to po twojej gębie! – przyciągnął ją tak blisko, że czuł dotyk jej sutek na swej nagiej piersi. – Całkiem jak jej mamuśka! – wybełkotał zamazanym głosem. – Wypisz wymaluj!

Luana szarpnęła się. Nie pozwoli, żeby jej tak dotykał! Nagle poczuła jego ręce na całym swym ciele. Im bardziej się wrywała, tym bardziej się podniecał. Poczuła, że wlecze jądo łóżka. Chciała krzyczeć,

żeby ktoś usłyszał, co się tu dzieje – ale nie mogła wydobyć głosu. Ogarnął ją przeraźliwy wstyd na myśl o tym, co się zaraz miało stać.

Dokładnie w osiem godzin po tym, jak Riley wrócił do domu w nocy kuchennym wejściem, jego życie przemieniło się w koszmar. Czternaście po dziewiątej cztery wozy policyjne wjechały z warkotem na podjazd Colemanów. Marta przeżegnała się i powiadomiła Maggie przez telefon wewnętrzny, że powinna zaraz zejść na dół.

– Gwałt! – wykrzyknął Rand wpatrując się z najwyższym zdumieniem w Bena Simmsa. Był nadal w piżamie i szlafroku, a włosy miał zmierzwiłone. Maggie stała obok, trzymając go mocno za ramię.

– Kogo zgwałcono? – spytała zdławionym głosem.

– Moje córkie! – odparł ostro Simms. – Jak pani nie wierzy, to może pani iść do szpitala i sama ją zobaczyć!

– Kto ją zgwałcił? Kto zrobił coś tak strasznego?! – Maggie usiłowała zebrać myśli. – Dlaczego Luana jestw szpitalu?

– Znalaziono ją, bo szła jak pijana po szosie, proszę pani – wyjaśnił jeden z pomocników szeryfa. – Była mocno pobita. Wezwaliśmy pogotowie i odwieziono ją prosto do szpitala. Zeznała, że została zgwałcona, ale nie mamy jeszcze na to potwierdzenia. Poddają ją teraz różnym badaniom. – Spojrzał niechętnie na Bena Simmsa.

Maggie zauważyła, że Cole stanął przy niej.

– Czy dziewczyna wyzdrowieje? – spytała.

– Tak, proszę pani. Została poturbowana, ale wydobrzeje.

Serce Cole'a tłukło się w piersi. Zauważył, że Riley, z twarzą zupełnie szarą, stanął przy Randzie.

– Śmie pani pytać, czy moja córka wydobrzeje?! – wrzasnął Ben Simms. – Nigdy już nie będzie taka jak dawniej! Ale się dogadała ze mną jak przyszedłem do szpitala. Z nikim nie gadała, tylko ze mną. Dobrze wie, że tylko tato może jej pomóc. Wygadała mi, kto to zrobił.

Przez nią akich pomyłek! Ten zółtek, ot co! – Simms rzucił się na Riley. Dwóch policjantów odciągnęło go.

– To kłamstwo! – zawołała Maggie i zwracając się do Randa dodała:

– Zrób coś, na miłość boską!

– Nazywam się Pierson, jestem zastępcą szeryfa – przedstawił się grzecznie młody oficer. – Proszę się odsunąć, panie Simms. Ja się tym zajmę.

– Proszę nam wyjaśnić, co się dokładnie stało – odezwał się niespokojnie Rand. – Będę bardzo wdzięczny, jeśli przedtem usuniecie pana Simmsa z naszej kuchni.

Kiedy Bena wyprowadzono pod eskortą, zastępca szeryfa zwrócił się ponownie do Randa i Maggie.

– Pani Tanner! – oświadczył sucho. – Luana Mae Simms oskarżyła pani bratanka o to, że pobił ją i zgwałcił.

– Ależ to nieprawda! Riley nigdy by nie zrobił czegoś podobnego!

– Pan Simms twierdzi, że ten chłopiec ma bardzo gwałtowny charakter. Czy to prawda, że Riley Coleman zaatakował go w pani jadalni, gdy próbował przeszkodzić w bójce pomiędzy pani synem a bratankiem?

– Nie, Riley nie zaatakował go. Nie pozwolił tylko, żeby ten człowiek go dotknął...

– Pan Simms twierdzi co innego. Czy między pani bratankiem a synem zdarzały się także inne gwałtowne bójkę?

– Co to ma wspólnego z Luaną? – spytała Maggie, wyłamując sobie palec. Riley wyraźnie osłabł i oparł się o Randa.

– Nie tknąłem jej! Nie zrobiłem tego! Przysięgam. Rozmawiałem z nią przez chwilę po powrocie do domu, ale nawet jej nie dotknąłem!

– Chłopiec mówi prawdę – odezwała się Marta. Zastępca szeryfa notował, gdy wyjaśniła, jak zbudziło ją światło reflektorów. –

Słyszałam, jak wszedł. Jak drzwi się zamknęły.

– Bogu dzięki, Marto! Bogu dzięki, że to usłyszałaś!

Cole zrobił krok do przodu.

– Widziałem, jak wszedł. Słyszałem go również. Zobaczyłem też, jak Luana wraca po schodach do swego mieszkania. Wyglądałem oknem.

Cole cofnął się i stanął obok Riley'a. Maggie zauważyła, jak położył mu rękę na ramieniu. W innych okolicznościach byłaby z tego powodu szczęśliwa; teraz czuła tylko przerażający strach.

– Chcę zadzwonić do naszego adwokata – powiedziała, starając się panować nad swym głosem. – Nikt z nas nie powie już ani słowa, póki adwokat się nie zjawi.

– Proszę spowodować, żeby pani adwokat stawiał się w biurze szeryfa w Crystal City. Bardzo mi przykro, pani Tanner, ale muszę zabrać chłopca na przesłuchanie.

Rand wysunął się do przodu.

– Panie Pierson, czy musi pan zabrać Riley'a niezwłocznie? Czy nie lepiej poczekać, aż zjawi się adwokat? Taka sytuacja będzie o wiele mniej stresująca dla naszej rodziny. Może napije się pan kawy? – Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Marty: – Marto, proszę zrobić nam takiej pysznej kawy jak zawsze. Wszyscy jesteśmy głodni, a jestem pewien, że zastępca szeryfa i jego ludzie od wielu godzin nic nie mieli w ustach.

– Tak, proszę pana, zaraz zrobię owsiankę i jajka na szynce. Odpowiada państwu? – Marta pobiegła do kuchni.

Maggie uśmiechnęła się blado i poszła do gabinetu, żeby zadzwonić do Valentine Mitchell. Muszą w końcu zabrać Riley'a do biura szeryfa, ale najpierw wszyscy pożywią się biszkoptami Maggie i szynką.

Dwóch umundurowanych policjantów stało pod drzwiami kuchni z ręką na kaburze pistoletu. Cała reszta siedziała przy stole nakrytym do śniadania, oczekując przybycia Valentine Mitchell. Maggie znów przeprosiła i wróciła do gabinetu. Tym razem zadzwoniła do Amelii.

– Potrzebujemy ciebie i Cary’ego – powiedziała i krótko wyjaśniła, co się stało.

Kiedy skończyła rozmowę z Amelią, zatelefonowała do Ferrisa Armstronga.

– Odwieź Susan do domu, bardzo cię proszę. Chcę, żeby cała rodzina była razem.

Ostatni telefon był do Billie. Odebrał go Thad i gdy Maggie wyjaśniła, o co chodzi, starał się ją pocieszyć.

– Czy ktoś pomyślał o tym, żeby zawiadomić jego dziadka? – spytał.

– Owszem, myślałam o tym, ale nie chciałam go przerazić. To stary człowiek i nie najlepiej się czuje. Możesz to zrobić za mnie, Thad?

– Oczywiście, zadzwonię zaraz, jak tylko skończymy naszą rozmowę. Trzymaj się, Maggie! I nie pozwól, żeby jakiś wyszczekany przybłąda zgnoił chłopca!

Następne godziny były po prostu koszmarem.

Kiedy zjawiała się Valentine, policja zabrała Rileya. Cole w milczeniu patrzył, jak wóz policyjny znika w oddali. Potem odwrócił się i kopnął kuchenne krzesło tak silnie, że je wywrócił. Klnąc przeraźliwie popędził schodami na górę, trzymając się za obolałą nogę. Wpadł do łazienki i dostał gwałtownych torsji. Kiedy umył twarz i wyczyścił zęby, wrócił do sypialni i zatelefonował do Sawyer, przedstawiając jej sytuację w kilku urywanych zdaniach.

– Uważam, że powinnaś przyjechać powiedział bez ogródek. – Babcia już jest w drodze. Potrzebujemy was wszystkich. Wkrótce i mnie w to wrobią.

– Oczywiście, że przyjadę! Zabiorę ze sobą Adama. Ale nie wiem, o której mamy połączenie lotnicze.

– To wynajmij prywatny samolot! Jeśli kiedykolwiek ma przydać się ta cała forsa Colemanów, o której tyle się gada, to właśnie teraz!

– Zjawię się wkrótce, braciszku – obiecała Sawyer. – Trzymaj się jakoś! Cole odłożył słuchawkę i po raz drugi popędził do łazienki. Wymiotował i wymiotował, aż rozboleły go mięśnie brzucha.

Po drugiej Luanę odwieziono do domu. Kierowca ambulansu wręczył zastępcy szeryfa kopertę. Pierson podał ją Maggie, która przeczytała znajdujące się wewnątrz ostrzeżenie i podsunęła dokument Randowi.

Ze swego miejsca przy stole, przy którym jadano śniadania, Maggie obserwowała, jak obsługa karetki pomaga Luanie wejść na schody. Dziewczyna rzeczywiście została zgwałcona: był to stwierdzony i zaprotokołowany fakt, a nie wymysł Bena Simmsa.

O trzeciej cougar i berlinetta zostały sędownie zajęte. Riley i Valentine znajdowali się nadal w biurze szeryfa. Maggie obgryzła sobie do szczętu trzy paznokcie.

Rozdział czternasty

Thad i Billie zjawili się o wpół do piątej po południu, Sawyer z Adamem wkrótce potem. Zastępcy szeryfa przybyli o szóstej z nakazem aresztowania Cole'a. Twarz chłopca była ponura i pełna strachu, gdy pocałował matkę, a następnie Sawyer. – Nic złego nie zrobiłem. Riley także nie. Musicie nam wierzyć! – Wierzymy! – krzyknęły jednym głosem Maggie i Sawyer, a potem przyglądały się bezradnie, jak Cole'a wyprowadzano.

Zaraz po północy nadjechał w limuzynie Shadaharu Hasegawa. Objął Billie i Thada i nisko skłonił się pozostałym.

– A teraz proszę mi wszystko opowiedzieć.

Starszy pan przysłuchiwał się, a Thad wyjaśnił mu sytuację.

– Mój wnuk nie przyniósł hańby swojej rodzinie – powiedział spokojnie Japończyk. Nie wierzę też, żeby drugi wnuk moich przyjaciół mógł zrobić coś podobnego. Pod wyraźnie widocznymi pozorami musi istnieć jakaś ukryta prawda. Trzeba ją odnaleźć.

Koło wpół do pierwszej w nocy zatelefonowała Valentine Mitchell i wyjaśniła, jak sprawy stoją. Riley i Cole zostaną rano przywiezieni do sądu i oficjalnie postawieni w stan oskarżenia.

– Co to znaczy? – spytała Maggie Randa, który odebrał telefon Valentine.

– Valentine twierdzi, że sąd musi zdecydować, czy istnieją wystarczające dowody przestępstwa, ustalić wysokość kaucji i puścić całą maszynę w ruch tak, by doszło do procesu. Prosiła, żeby się nie niepokoić: chłopcy zostaną zwolnieni i oddani nam pod opiekę. Muszą stawić się sędziemu o dziewiątej rano.

Stawienie się w sądzie unaocznilo Rileyowi i Cole'owi powagę ich sytuacji. Aż do tego momentu wszystko, co się wydarzyło poprzedniego dnia, przypominało zły sen. Teraz chłopcy zrozumieli, jak bardzo realne

jest zagrożenie. Zostali oskarżeni: dowody będące podstawą do tego po ich zbadaniu uznano za wystarczające. Obaj zostali pociągnięci do odpowiedzialności karnej, ale tylko Riley'a oskarżono o gwałt. Cole, jak sądzono na podstawie istniejących dowodów znalezionych w jego samochodzie, pomagał mu i zachęcał do popełnienia przestępstwa.

Riley po postawieniu go przed sądem nie mógł dojść do siebie; był nadal oszołomiony, kiedy znalazł się w kuluarach sądowych. Pierwszą osobą, którą tam ujrzał, był jego dziadek. W oczach chłopca zabłyśły łzy.

– Błagam, dziadku, uwierz mi, że nie ściągnąłem hańby na naszą rodzinę! Cole, który wszedł za kuzynem do poczekali, poczuł, że coś go dławi w gardle.

Jego matka płakała; wszyscy płakali, z wyjątkiem Thada i Randa. Stary Japończyk wyciągnął ramiona i Riley, wyższy od niego o dwie głowy, rzucił się w jego objęcia. Słowa okazały się niepotrzebne.

– Dokąd mamy się teraz udać, Valentine? – spytał po cichu Rand.

– Musimy poczekać – odparła Val, wkładając papiery do teczki. – Chcę, żebyś pojechał z chłopcami do szpitala w Austin na pobranie próbek nasienia. Zniosą to łatwiej. Jeśli nie będzie przy tym Maggie. Poczekamy na badanie wymazów z obrażeń Luany Simms. Jeśli dopisze nam szczęście, wyniki obu testów nie będą się pokrywać i z Riley'a, i z Cole'a zostanie zdjęte podejrzenie. Zadbam o to, żeby nie zaszło jakiegokolwiek niedopatrzenie: badania zostaną wykonane w dwóch oddzielnych laboratoriach, nie licząc szpitalnego. Powiedz Maggie, że to był genialny pomysł Dudley'a, a dzięki wpływom Colemanów udało mi się nakłonić biuro prokuratora okręgowego do wyrażenia na to zgody.

– Za chwilę tam pojedziemy – zapewnił Rand Valentine. Obejrzał się akurat na czas: zdążył dostrzec Cole'a wychodzącego przez drzwi frontowe. Riley szedł za nim.

– Dokąd to, Cole? – spytał Riley.

Coś w jego tonie zwróciło uwagę Cole’a.

– A co cię to obchodzi?

– Chcę z tobą pogadać. – No to gadaj.

– Nie tu, na tyłach.

Cole wzruszył ramionami i przeszedł na tyły budynku, a Riley za nim. Ze sposobu, w jaki kuzyn się zachowywał, Cole poczuł, że zanosí się na jakieś kłopoty. Nie zdziwił się, gdy ramię Rileya wystrzeliło do przodu i obróciło nim bez pardonu.

– Ty sukinsynu! – syknął Riley. – To ty zaatakowałeś Luane! Wiem przecież, że to nie ja! To byłeś ty, a teraz pozwalasz, żeby się na mnie skrupiło! Słyszałem dziś rano, jakie znaleziono materiały dowodowe i jeśli nawet nikt inny nie będzie zadawał ci pytań, ja to zrobię! Jakim cudem w twoim wozie pełno jest odcisków palców Luany? Skąd się tam wzięła jej krew?! Nie chciała dla ciebie ściągnąć majtek, to sam je zerwałeś i zgwałciłeś ją!

– Przyhamuj, Riley! Wszystko wyglądało całkiem inaczej: nie wiesz, co się wydarzyło!

– Nie wiem?! Świetnie wiem, do cholery! I nie będę za ciebie kiblował! Prędkiej szlag mnie trafi! – Gniew, który Riley starał się opanować od wczesnego ranka, wybuchnął teraz z całą siłą. Cole nie dostrzegł grożącego ciosu i dostał prosto w brodę. Równocześnie Riley kopnął go w brzuch tak, że Cole aż się zwinął.

– Broń się! Walcz! – krzyczał Riley stając w pozycji obronnej. Cole rzucił się, jego pięść musnęła policzek Rileya i powtórnie wycelowała, teraz już bardziej precyzyjnie, w jego nos.

– Randzie! Triad! – wykrzyknęła Billie. – Powstrzymajcie ich! Natychmiast! Wszyscy pospieszyli za Randem, który wybiegł za chłopcami. Czuł, że zanosí się na burzę, poznał to po postawie Rileya, po jego zaciśniętych pięściach, wyszedł więc zaraz za Cole’em.

– Zostaw mnie! – szamotał się Cole. – Zostaw mnie! Muszę coś powiedzieć!

– Nie teraz! – oświadczyła Maggie. – Uspokój się. Już i tak stało się bardzo wiele złego. – Sięgnęła do kieszeni Riley'a. Wyjęła stamtąd chustkę i otarła mu krwawiący nos.

– Niech mówi – powiedział stanowczo pan Hasegawa. – Już najwyższy czas, żebyśmy dowiedzieli się tego, o czym wiedzą chłopcy. Powiedz nam o wszystkim, Cole. Rileyu, tylko głupiec odmawia wysłuchania drugiej strony.

– To nie jest tak, jak ci się wydaje, Rileyu – wydusił z trudem Cole przez spuchnięte wargi. – Nie zrobiłem jej krzywdy. Spotkałem ją na szosie; chciała się z kimś przejechać. – Spojrzał z poczuciem winy na swoją matkę. – Zresztą wiesz, jak to było z Luana. Zawiozłem ją więc do tej starej budy na granicy rancza. Ale nic się tam nie stało! Nawet jej nie tknąłem! Powiedziałem, żeby się ubrała. Zobaczyłem, że sobie pokaleczyła plecy o splekaną skórę na kanapie, która stoi w tej budzie. I stąd wzięła się jej krew w moim aucie. Nic dziwnego, że jest tam też pełno jej odcisków palców!

Ciało Riley'a odprężyło się. Rand zauważył, że opuszcza go napięcie.

– Uwierz mi, Rileyu! Jestem tak samo niewinny jak ty!

– Wierzę ci – mruknął Riley. – Wiem, ile cię kosztowało opowiadanie o tym przy całej rodzinie. Przepraszam, Cole – A zatem Wschód i Zachód podały sobie dłonie – zauważył roztropnie pan Hasegawa.

– Bardzo pana przepraszam – uśmiechnął się do niego Cole. – Czy nie można by tym razem powiedzieć: Zachód i Wschód? Wolałbym być na prowadzeniu!

Riley roześmiał się. Był to pierwszy pogodny dźwięk, jaki wszyscy usłyszeli od – jak im się wydawało – niepamiętnych czasów.

Następne dni minęły w udreće wyczekiwania. Obaj chłopcy zostali poddani badaniom. Ben Simms zabrał swoją córkę, spakował manatki i przeniósł się do miasta. Wszyscy wiedzieli, co spotkało Luane, a Ben odgrażał się Colemanom przy każdej okazji. Dopiero pan Hasegawa ujął zachowanie Simmsa we właściwy sposób.

– Może podnieść bardzo dumnie głowę ten, kto przed całym światem domaga się sprawiedliwości za wyrządzone mu bezprawie. Panu Simmsowi podoba się popularność, jaką się obecnie cieszy: przez kilka przynajmniej dni cieszy się powszechną sympatią i współczuciem. Im więcej biada nad utratą cnoty przez swoją córkę, tym bardziej go chwala i tym łatwiej wierzą w jego nieskazitelność. Poza tym uchodzi w oczach bliźnich za wzorowego ojca.

Mieszkańcy Sunbridge czuli ogólną wrogość, objawianą bezpośrednio i pośrednio wobec tych, którzy niczym nie zawiniли. Maggie starała się wyjaśnić to matce.

– Wszyscy żyjemy w ciągłej obawie, że zaraz wydarzy się coś złego. Każdy z nas jest podrażniony i choć zdaje sobie z tego sprawę, nie umie temu zaradzić.

– Kochanie, zło przecież już się wydarzyło – powiedziała Billie. – Jesteśmy z Thadem przekonani, że chodzi tu o pieniądze. Czy panna Mitchell dowiedziała się czegoś od prywatnych detektywów, których wynajęła?

– Tyle tylko, że Simms jest, jaki jest: włóczęga, który podejmuje się każdej roboty i uczęszcza do kościoła, kiedy jest w odpowiednim nastroju, a poza tym zna Biblię na pamięć, od deski do deski. Simmsowie nigdy dotąd nie mieli podobnych kłopotów. Ben Simms nie jest notowany. Nie złamał nawet przepisów drogowych ani nie ukarano go za nieprzepisowe parkowanie. Dziewczyna jest opóźniona w nauce

na skutek ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Ona też potrafi cytować Biblię na wrywki. – Maggie zawahała się. – Wiem od Valentine, że psycholog opiekujący się Luaną oświadczył, czy też stwierdził w raporcie, że dziewczyna przyznała się do tego, iż Cole nakłaniał ją do stosunków seksualnych. Nie można jednak tego uznać za gwałt, ponieważ Maggie z trudem zaczerpnęła powietrza Cole dawał jej prezenty i pieniądze w zamian za... jej względy. Mimo to Luana nadal twierdzi, że została zgwałcona.

– Wobec tego nic nie da się zrobić? – Billie westchnęła.

– Nic. Gdybyśmy mogli nawiązać jakiś kontakt z tą dziewczyną, ktoś z nas zdołałby może przemówić jej do rozumu. Ostatnia plotka, która dotarła do mnie wczoraj w Crystal City, głosiła, że Luaną opiekuje się jakaś kobieta, przyjaciółka Simmsa. Nie wiem, czy prowadzi mu gospodarstwo i jakiego rodzaju stosunki ich łączą – powiedziała Maggie z przygnębieniem. – Żeby już były wyniki tych badań! Wiem, że chłopcy zostaną oczyszczeni z podejrzeń!

– Prasa jest dla nas bardzo nieżyczliwa. Gdyby Seth żył, sprawy przybrałyby inny obrót.

– W dawnych czasach byliśmy wzorami i idolami. Dzisiaj wszystko wygląda inaczej. Prasa wyciąga już moje dawne grzechy. Mam ochotę sięść i płakać, ale muszę być silna i znieść wszystko, co będą nam wypominać. Boję się, że mogą wyjść na jaw sprawy Cranstona. Valentine udało się wykrzyć, więc wszystko może wkrótce stać się także publiczną tajemnicą.

– Nic podobnego. To są tajne akta. I z przynależności do klanu Colemanów płynie przynajmniej jedna realna korzyść: Seth miał swoje stałe układy z firmą prawniczą. Każdemu, kto zajął się jego sprawami, dobrze się to opłacało. Wiem to z całą pewnością, Maggie – dodała spokojnie Billie.

– Wszyscy są przeciwko nam, mamo. Musiałaś zauważyć, że nikt

do nas nie zadzwonił, odkąd tu jesteście, oprócz jakichś pomyleńców. Traktują nas jak powietrze. Najbardziej szkodzi to Cary'emu. Niektórzy jego pracownicy odeszli. Poważni inwestorzy zaczynają się niepokoić. Co prawda, jeśli chodzi o robotników, to wystarczy zaproponować wyższe zarobki, a masa chętnych zleci się, choćby z innych stanów. Billie zawahała się, a potem spytała:

– Gdzie się wszyscy podzieli? Maggie pojęła, o kogo jej chodzi.

– Sawyer jest w stodole razem z chłopcami. – Uśmiechnęła się. – Adam w twojej dawnej pracowni szkicuje jak szalony. Tworzy „cykl teksaski”. Poszukiwacze wstrętnych sensacji mogą zwierać swe szeregi przeciwko nam, ale Adam się na nich odegra! A gazety chętnie zamieszczają jego rysunki. Zdobył sobie zasłużoną sławę i cieszy się przyjaźnią wielu ważnych osobistości ze świata mediów. W dodatku sam pochodzi z Teksasu, tutaj się urodził, więc nie sposób udawać, że się go nie dostrzega. Jak dotąd, jest to nasz jedyny atut. Wczoraj wczesnie położyłaś się spać, nie oglądałaś więc wiadomości o jedenastej wieczór. Właściwie była mowa tylko o nas, podobnie jak w dzienniku radiowym. Jesteśmy główną sensacją dnia, mammo. – Potrząsnęła głową. – Nie mogę wprost uwierzyć, że coś podobnego nam się zdarzyło.

– A ja tak. Plotki o Colemanach zawsze dobrze się sprzedawały.

– Pomówmy o czymś innym! – poprosiła Maggie. – Może jeszcze kawy?

– Pół filiżanki. I bez kofeiny, mam nerwy w strzępach.

– Jak twoim zdaniem wygląda Sawyer?

– Jakby trzymała się wyłącznie siłą woli. I to ledwo, ledwo – odparła Billie ze smutkiem.

– Odbyłyśmy z Sawyer całkiem uprzejmą rozmowę – powiedziała Maggie.

– Zrozumiałe, że przyjechała tu z Adamem ze względu na

chłopców. Z początku było nam niezręcznie rozmawiać w obecności Randa, Adama i w ogóle. Ale wszyscy chyba staramy się odłożyć na bok nasze osobiste uczucia. Może z tego nieszczęścia wyniknie dla nas również coś dobrego?

– Co ta trójka wyrabia w stodole? – spytała Billie ciekawie.

– Chyba rozmawiają ze sobą. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

– Może starają się wymyślić jakieś rozwiązanie? Sawyer zawsze lubiła snuć plany, i to jakie!

– Myślę, że tego nam właśnie potrzeba: planów i działania. To beczynne oczekiwanie doprowadza mnie do szaleństwa! Powinniśmy coś zrobić w tej sprawie!

– Nic nie możemy zrobić. Napij się kawy, Maggie. Chyba się przejdę. – Na cmentarz?

– Tak. Chcesz iść ze mną?

– Tak. Bardzo tego chcę!

Sawyer wpatrywała się w chłopców, a oni w nią. W głowie jej dudniło, ale starała się nie zwracać uwagi na ból. Ze swego miejsca na wiązce siana widziała obu chłopców. Wydawali się tak pełni nadziei, tak bardzo na nią liczyli!

– W porządku! – powiedziała Sawyer. – Przemagłujmy to jeszcze raz. Wiem, że powtarzaliście już mnóstwo razy. Ale zróbcie to dla mnie. Ostatni raz.

Przysłuchiwała się uważnie ich słowom. Gdy skończyli, doszła do wniosku, że zgodni byli właściwie tylko co do jednego: Luana była dziewczicą.

– Jeśli była jeszcze dziewczicą kiedy odwoziłeś ją do domu koło dziesiątej, Cole, a także wtedy, gdy Riley odszedł po rozmowie z nią mniej więcej za kwadrans druga, to zostaje trochę czasu, w którym mogło się coś zdarzyć. Simms twierdzi, że wrócił do domu o trzeciej.

Mamy więc godzinę i piętnaście minut. Każdy mógł zgwałcić dziewczynę przez ten czas. Simms upiera się (mamy na to wyłącznie jego słowo!), że dowiedział się o tragedii Luany dopiero wtedy, gdy ludzie szeryfa przyszli po niego i zawieźli go do córki do szpitala. Ale to kłamstwo, wszyscy o tym wiemy. Wiemy również, dlaczego kłamię. Chodzi o grubszą forszę! Na razie jedyne, co zrobiono w tej sprawie, to szpitalne badania. Mamy więc nie wyjaśnioną godzinę i kwadrans oraz następne pięć godzin, mniej więcej, kiedy mogło się to wydarzyć.

– Gliny już się tym zajęły – mruknął Cole – i prawnicy też.

– Są przekonani, że to my – jęknął Riley. – A my nie jesteśmy w stanie udowodnić, że tego nie zrobiliśmy! Wygląda na to, że uda im się dowieść naszej winy.

– Chyba że... – Sawyer zawiesiła głos. Na obu twarzach dostrzegła tyle nadziei, że była bliska płaczu. – Chyba że w ciągu tej godziny i kwadransa albo tych dalszych pięciu godzin Bill Simms zgwałcił własną córkę.

Cole’owi dosłownie opadła szczęka. Rileyowi tak samo.

– Rodzony ojciec! – wykrzyknął Cole.

– To przecież... przecież...

– Kazirodztwo – odpowiedziała Sawyer z zimną krwią. – Pomyślcie sami. Przez te wszystkie lata, kiedy mieszkałam w Sunbridge, nigdy, ale to nigdy nie było na naszej ziemi żadnych włóczęgów. A już z pewnością nie w najbliższym sąsiedztwie domu. Ktoś by usłyszał! Psy w stajni zaczęłyby szczekać. Nieznajomi wielbiciele nie wyrastają spod ziemi nawet dla takiej dziewczyny jak Luana. Przekomarzała się z wami, ale z pewnością nie zachęcałaby do wizyty w Sunbridge kogoś z zewnątrz. Musiałby przyjechać samochodem, motorowerem, ostatecznie na rowerze. Chyba możemy wykluczyć taką ewentualność. Mieszkamy dwadzieścia pięć mil od miasta. Czy któryś z was sądzi, że Luana zaprosiłaby kogoś na ranczo?

Gdy chłopcy potrząsnęli głowami, Sawyer ciągnęła dalej:

– Zostaje więc tylko Ben Simms.

– Mówisz z sensem, ale dlaczego panna Mitchell nie wspomniała o takiej możliwości?

– Rusz głową, Cole. Kazirodztwo! Trudno oskarżyć kogoś o coś tak potwornego. Nie można sobie pozwolić nawet na żadne aluzje! Słuchajcie, chłopcy, nie będę udawać, że jestem mądrzejsza od innych czy coś w tym sensie. Z pewnością wszystkim przyszło to do głowy, ale nikt nie ma odwagi wyrazić o tym powiedzieć. Jeśli oskarżymy go o to, narazimy się na największy w historii naszego stanu proces o zniesławienie. Sądzę, że trzeba naradzić się z Adamem. Jestem trochę zmęczona, więc może polecicie po niego, chłopaki, i sprowadzicie go tutaj? Ja tymczasem rymnę się na słomę i przekonam się, czy mi nie minie ból głowy.

Chłopcy porozumieli się wzrokiem.

– Zostań z nią, Cole, a ja go poszukam! – zaofiarował się Riley. Cole skinął głową i także opadł na słodko pachnącą słomę.

– Gorzej się czujesz? – spytał siostrę po odejściu Riley'a.

– Taak. Chyba nie miałabym siły na Hawaje. Chociaż bardzo chciałam pojechać.

– Jesteś idiotka – zauważył Cole przyjaźnie. – To, co się nam przydarzyło, to pestka w porównaniu z tym, przez co ty przechodzisz. Musisz coś z tym zrobić!

– Może zdobyć czarodziejską pałeczkę, pomachać nią i ozdrowieć!
– odcięła się złośliwie Sawyer.

– Nie wtykaj mi takiego gówna! Każ swemu chirurgowi, żeby pomachał skalpelem i może wyzdrowiejesz! Ja bym to zrobił na twoim miejscu!

– Ale nie jesteś na moim miejscu, braciszku, więc zachowaj swoje rady dla siebie. Jeśli boisz się, że nie będzie mnie przy tym, jak ogłosiła

ostateczny werdykt, uspokój się: na pewno będę!

– Nie zależy mi na tym! Gdybym musiał cię stracić, to chciałbym przynajmniej wiedzieć, że zostało zrobione wszystko, co się dało! Chciałbym pamiętać, że walczyłaś do upadłego!

– A jeśli mi się nie uda? – Sawyer oparła się na łokciu, przesywając Cole’a spojrzeniem.

Cole przełknął z trudem ślinę.

– Jak mówi panna Mitchell, nie ma na tym świecie nic pewnego. Ani dla mnie i Riley, ani dla ciebie. Nie jesteś tchórzem, więc nie zachowuj się jak tchórz!

– A myślałam, że ja tu dowodzę! – Sawyer jęknęła.

– Jeśli dowodzisz, to zachowuj się, do cholery, jak dowódca! Nie tylko rozkazuj mnie i Rileyowi, ale weź się sama w garść! Jaki ten Adam musi być na ciebie wpieniony, kurwa mać!

Sawyer wybuchnęła śmiechem.

– Gdzie się nauczyłaś takich przekonywających zwrotów? Jakby Maggie cię usłyszała, dostałbyś za swoje!

Cole także się roześmiał i opadł z powrotem na siano. Oboje przekomarzali się i obrzucali słomą gdy do stodoły weszli Riley i Adam.

– Powiedźcie, co was tak bawi? – spytał Adam z uśmiechem. – My też chętnie się pośmiejemy!

Sawyer oparła się na łokciach, z włosów i uszu sterczały jej suche źdźbła. Przemówiła jednak całkiem poważnie:

– Ten szczeniak, mój brat, twierdzi, że będzie nosił kwiatki na mój grób, jak umrę. I obiecał się za mnie modlić. A znowu ten – wskazała na Riley – wczoraj zaproponował, że zostanie przy mnie podczas całej operacji. Ma tylko trochę pietra, bo nie znosi widoku krwi. Postanowiłam więc iść na całego i zgadzam się na operację. Jak tylko wyjaśni się wasza sprawa.

– Nie! Od razu! – oświadczył Cole.

– Nie ma mowy! Ja tu rządzę! Dopiero, jak się wszystko wyjaśni.

– No to wycofuję się ze wszystkiego – stwierdził zimno Cole. – Albo teraz, albo zapomnij o moich obietnicach! My możemy czekać, ale ty nie!

– Pomyślę o tym! – wrzasnęła Sawyer. Riley skrzywił się.

– To niewiele! Przysięgnij nam, że zgodzisz się na operację. Adam jest świadkiem i zadba, żeby wszystko było gotowe.

Sawyer z trudem stanęła na nogi. Czuła się coraz gorzej – po co się oszukiwać? Ile jeszcze zdoła znieść takich dni jak ostatnie?

– Zgoda – powiedziała chwiejąc się półprzytomnie.

– Masz za to u mnie bezpłatną jazdę! – powiedział Adam, chwytając ją w ramiona. Cole stwierdził, że łzy zalewają mu oczy. Psiakrew, kogo to obchodzi?! Czuł się jakby zdobył najwyższy szczyt świata!

– Chłopcy powiedzieli ci, co wymyśliłam? – spytała Sawyer sennym głosem.

– Nie zaprzataj sobie tym teraz głowy.

– Nie dyktuj mi, co mam robić, Adamie! Nie zostałam ubezwłasnowolniona. Kiedy ty będziesz załatwiał wszystko co trzeba w sprawie mojej, ja chcę porozmawiać z rodziną. Niech wszyscy się zbiorą przy stole w jadalni.

– Ale z ciebie męczydusza!

– Wiem o rym. Zrób, o co cię proszę, to i ja zrobię, co tylko zechcesz. – Mówisz poważnie?

– Na litość boską, jasne że tak! Jak będziemy już w domu, dasz mi jedną z tych zielonych pigułek i brandy. No, jazda! – pisnęła. – Po co tu jeszcze sterczymy?

– Zamknij się, bo stracisz wierzchowca! – ostrzegł ją Adam. Cole roześmiał się, a Riley klepnął go przyjaźnie po ramieniu.

Maggie i Billie wybiegły na podjazd na widok Adama idącego po ścieżce z Sawyer w ramionach.

– Co się stało? – wykrztusiła Maggie. Billie położyła dłoń na czole Sawyer.

– Sawyer życzy sobie rodzinnego konklawe – oznajmił Adam. – Wyjaśnijcie, chłopcy, o co chodzi, a ja skoczę po lekarstwo i brandy. Obecność Amelii i Cary’ego też jest pożądana.

Półtorej godziny później cała rodzina Colemanów zebrała się przy stole w jadalni.

– Twoje wejście, gwiazdo! – zawołał Adam do Sawyer, która była jeszcze w kuchni. – Zaćmij samą Sarę Bernhardt!

– Chcę wam wszystkim coś powiedzieć – oznajmiła Sawyer. Zamilkła na chwilę zbierając siły. – Na naszą rodziną spadły dwa nieszczęścia. Jedno z nich dotyczy mnie samej, drugie Cole’a i Rileya. Każda ze spraw jest równie poważna. Ja mogę umrzeć, bez żadnych tam przenośni. A chłopcy mogą mieć złamane życie, więc na to samo wyjdzie. – Znow zrobiła pauzę, tym razem dla większego efektu. – Zgodziłam się poddać operacji. Ponieważ Cole i Riley bardzo nalegają, wyjadę dziś po południu do Instytutu Sloana Ketteringa. Jeśli więc już zgodziłam się złożyć głowę pod topór, chcę, żebyście i wy podjęli podobne ryzyko. Życzę sobie, żebyście, a raczej żebyśmy oskarżyli Bena Simmsa o gwałt na własnej córce. Chyba wszyscy dobrze wiemy, co się naprawdę wydarzyło. Więc zaryzykujcie, tak samo jak ja. I mnie, i wam powinno starczyć odwagi. – Rozejrzała się, ale widziała wszystko jak przez mgłę. Mrugnęła oczyma, by odzyskać ostrość widzenia, ale jej się to nie udało: twarze były nadal zamglone. Serce Sawyer trzepotało nieprzytomnie, gdy uchwyciła się za kant stołu i znowu odezwała się: – Maggie? Babciu? Amelio? Susan? Żądam od was odpowiedzi!

Zdawało jej się, że dostrzega na ich twarzach przerażenie,

niepewność, strach – ale w rzeczywistości na wszystkich malowała się tylko ogromna duma z Sawyer.

– Mądra dziewczyna! – odezwał się głośno Cary. – Trzymam z tobą i Amelia też!

– I ja! I Jessie także! – powiedziała z radością Susan. ‘

– Uważam, że masz słuszność i Thad też tak sądzi – zawołała Billie podbiegając do Sawyer. – Tak bardzo się cieszę!

Przyszła kolej na Maggie. Rozejrzała się niespokojnie, lży ciekły jej po policzkach. Ran wyciągnął do niej rękę, Riley podsunął jej chusteczkę.

– A więc potrafisz walczyć! Masz i mój głos!

– I jeszcze jedno – powiedziała Sawyer. – Jeżeli nie przeżyję, chciałabym, żebyście wszyscy o tym wiedzieli, że... że ja... – zachwiała się, potem nogi ugięły się pod nią i osunęła się na podłogę. Rand rzucił się ku niej pierwszy. Adam, z drugiej strony stołu, spóźnił się o sekundę. Pochylił się, jego oczy spotkały się z oczyma Randa. To, co w nich wyczytał, sprawiło, że Adam skinął głową i wyprostował się. To Rand zaniósł Sawyer do czekającej na nią karetki pogotowia.

Cole stał na podjeździe obok Riley.

– To wszystko gównie warte! – zauważył. – Oni załatwią za nas wszystkie nasze sprawy! – przysiadł na schodkach, gdzie zawsze siadywała Luana. – Wydaje mi się jednak, że nareszcie wydorosłeliśmy.

– Mój dziadek pomoże im, jak tylko będzie mógł. Szkoda, że musiał tu przyjeżdżać. Widzę, jak na mnie spogląda: sprawiłem mu ryle kłopotu!

– Ja też zauważyłem, jak na ciebie patrzy. Nie wierzy, że to zrobiłeś, nikt zresztą w to nie wierzy! Ale jest tak... – Cole usiłował znaleźć właściwe słowo... – przygnębiony.

– Myślisz, że Sawyer się z tego wygrzebie?

– Cholera, nie mam pojęcia! Ale bardzo nam pomogła, no nie?

– I to jak! Może jeszcze pojedziemy razem na Hawaje, jak wyzdrowieje.

– Może i tak – odparł Cole z chmurną miną.

– Zastanawiałem się nad czymś – powiedział Riley niepewnym głosem. – Jeśli zapytam cię o zdanie, odpowiesz mi całkiem szczerze?

– Jasne.

– Myślałem o operacji plastycznej. Żeby zmienić kształt oczu. Na bardziej amerykańskie. Co o tym myślisz? – Riley wstrzymał dech czekając na odpowiedź Cole’a.

Gole odwrócił się i popatrzył na kuzyna, przyjrzał mu się z bliska i z różnych stron. W końcu orzekł:

– Po co, do cholery, miałbyś robić to głupstwo?

– Naprawdę tak sądzisz? – Riley roześmiał się.

– No chyba! Zresztą, nie możesz tego zrobić swojemu dziadkowi! Chyba by umarł! Jesteś, jaki jesteś, tak samo jak ja!

– Ale ty bardziej wyglądasz na Colemana – zauważył Riley, jakby się chciał wytłumaczyć.

– Człowieku, nie wystarczy ci, że jesteś Colemanem?! Nieważne, jak wyglądasz! Ja też jestem tylko półkrwi! Dopiero jak bieda przyciśnie, można się przekonać, ile kto jest wart. Z początku nie mogłem na ciebie patrzeć! Założę się, że dobrze o tym wiedziałeś!

– No pewnie. Ja też nie przepadałem za tobą. Myślałem, że cholerny z ciebie dureń.

– A ja uważałem, że każdemu w dupę włazisz! Wszystko ci szło jak po maśle! Przynajmniej tak mi się wydawało. Ale i tobie nie było zbyt łatwo, prawda?

– Nie – odparł Riley. Nie miał zamiaru opowiadać kuzynowi, że wiódł cudowne życie, zanim tu przyjechał. Doszli teraz ze sobą do ładu i mogli zacząć wszystko od nowa.

– Jesteśmy ważni, wiesz? Ostatni z Colemanów. Jessie sienie liczy,

bo... bo jest nie taka jak inni. Susan chyba nie będzie już miała więcej dzieci. Może najwyżej jakieś zaadoptuje. No i nie wiadomo, co z Sawyer. Więc, kuzynku, jesteśmy nadzieją rodu!

– Popatrz, w co się ta nadzieję a wplątała...

– Mam przeczucie, że się z tego wykaraskamy! – powiedział Cole z większą pewnością w głosie, niż czuł w głębi duszy. – Z taką rodziną jak nasza mielibyśmy przegrać? Twój dziadek też jest fantastyczny! – dodał Cole wspaniałomyślnie. – Chyba właśnie dzięki niemu zmieniłem o tobie zdanie. Od razu pospieszył na ratunek Colemanom, gdy tylko znaleźli się w biedzie!

– Nie sądzisz, że twój a rodzina postąpiłaby tak samo? – spytał ciekawie Riley.

– Przedtem, kiedy dopiero co tu przyjechałeś, pewnie bym ci odpowiedział „nie”. Ale teraz myślę inaczej. – Odchylił się do tyłu opierając się na łokciach. – Jak myślisz, spodoba ci się Yale?

– Chyba tak samo jak tobie Notre Dame. Już cię widzę, jak tam flirt modlisz się i wkuwasz!

– Gówna prawda! – zaśmiał się Cole.

– Ile możesz wyciągnąć na cougarze?

– Tyle samo, co ty na berliniecie. Prowadziłeś kiedyś po pijaku? – Nie ma mowy, stary. A ty?

– Też nie. A poszedłeś na całość z jakąś laską? – spytał Cole chytrze. – Nie. A ty?

– I ja nie. Wygląda na to, że mamy ze sobą wiele wspólnego.

– Zostaniemy w kontakcie, jak pojedziemy do college'ów? – spytał Riley. – Mowa! Może nawet będziemy się odwiedzać. Chyba już najwyższy czas, żebyśmy przepuścili trochę forsy Colemanów. Czy ktoś ci coś wspomniał o kieszonkowym?

– Nie martw się. W razie czego ja mam za dwóch – odparł wielkodusznie Riley. Cole wyciągnął do niego rękę. Riley pochwycił ją.

Obaj chłopcy uśmiechnęli się od ucha do ucha.

Kiedy chłopcy zawierali nareszcie ze sobą przyjaźń, pozostali członkowie rodziny Colemanów siedzieli przy stole w jadalni, czekając, aż Valentine Mitchell otworzy swoją aktówkę i wyjmie bloczek do notowania, a potem pióro.

– W porządku. Już słucham.

Chwilę później zerwała się, rozejrzała dookoła i spytała:

– Co macie zamiar zrobić?!

– Słuch cię nie omylił – powiedziała zdecydowanym tonem Maggie. – Wszyscy jesteśmy w tej sprawie zgodni. I gotowi na wszelkie konsekwencje. Zrób to, co do ciebie należy, a my zajmiemy się resztą.

– Chyba nie muszę wam tłumaczyć... – Valentine opadła na krzesło. ‘

– Nie musisz. Sami wiemy. No więc, kto skontaktuje się z prasą, ty czy my? – Valentine wyczytała w oczach Maggie niezłomne postanowienie.

– Ja się tym zajmę. – Zielone jak liście oczy obiegiły cały stół. – Macie odwagę! Muszę wam to przyznać. Zgodnie z przepisami skontaktuję się z pełnomocnikiem Simmsa.

– Nie obchodzi nas, jak to zrobisz. Masz po prostu chwycić go za gardło – odparła zimno Maggie.

– A jeśli pójdą na ugodę? Jeśli...

– Żadnej ugody. Ani grosza. Chcemy udziału prasy. Żądamy powrotu do normalnego życia.

Szczęknął energicznie zamek teczki od Gucciego. Maggie pomyślała, że wydaje się ona troszkę bardziej sfatygowana, niż wówczas, gdy widziała ją poprzednio.

Następnego ranka każda gazeta w całym Teksasie zamieściła

olbrzymie nagłówki:

COLEMANOWIE ODPOWIADAJĄ ATAKIEM NA ATAK.

Maggie krzywiła się raz po raz czytając zebranej przy śniadaniu rodzinie artykuły zamieszczone w prasie.

Gdy tylko wieść się rozniosła, w Sunbridge pozdejmowano słuchawki z aparatów telefonicznych. Trzech parobków uzbrojonych w strzelby strzegło bramy wjazdowej. Colemanowie skazali się na areszt domowy.

Maggie starannie zapakowała torbę, kładąc do niej tyle ubrań, żeby wystarczyło przynajmniej na tydzień. Jak coś jeszcze będzie jej potrzebne, to sobie kupi. Maggie wybierała się do Nowego Jorku. Tutaj nie miała nic do roboty, a musiała zobaczyć się z Sawyer!

– Rozumie pan, dlaczego muszę tam pojechać? – spytała Shadaharu Hasagawy. Stary Japończyk skłonił się i potakująco skinął głową.

– Oczywiście, droga pani. Poradzimy sobie ze wszystkim podczas pani nieobecności.

– Jestem tego pewna. W gabinecie są jeszcze dwa telefony. Proszę z nich skorzystać w razie potrzeby: obie linie zastrzeżone. – Objęła starszego pana i popatrzyła głęboko w jego ciemne oczy. – Riley wyjdzie z całej sprawy zwycięsko! Proszę nam zaufać. Gdyby było inaczej, moja córka nie skłoniłaby nas do takiego postępowania.

– Proszę przekazać jej ode mnie najserdeczniejsze życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

– Na pewno to zrobię, drogi panie – powiedziała Maggie zdławionym głosem. Kierowca Martin zatrąbił klaksonem podjeżdżając pod dom.

– Mamo, to ty powinnaś pojechać, nie ja – powiedziała Maggie. – Nie. Właśnie ty jesteś potrzebna Sawyer.

Maggie wyczuwała wszystkich i przytuliła Jessie.

– Nie chcę was opuszczać, chłopcy, ale Sawyer jestem teraz

bardziej potrzebna. A może to ona jest potrzebna mnie? Randzie, opiekuj się moimi chłopcami! – poprosiła, całując go delikatnie w policzek.

– Przekaż Sawyer ode mnie najserdeczniejsze życzenia zdrowia!

– Ucałuj ją od nas wszystkich! – ozwał się gromki chór.

Kilka minut później mercedes 300 SD pędził ku łukowi bramy wjazdowej. Strażnicy odsunęli się i samochód pognał jak szalony. Czyhający na jakąś sensację reporterzy wskoczyli do swoich aut i popędzili za nim. Trzy kwadranse później Maggie weszła na pokład odrzutowca Colemanów i po dziesięciu minutach była już w powietrzu.

Po wylądowaniu na lotnisku Kennedy’ego udała się prosto do mieszkania Adama. On sam otworzył jej drzwi.

– Nie byłam pewna, czy cię zastanę – powiedziała nerwowo Maggie. – Jak ona się czuje?

– Jakoś się trzyma. Robią jej badania. Wybieram się do szpitala trochę później. Chcą, żeby Sawyer nabrała nieco sił przed operacją; wydaje mi się, że poczekają z tym co najmniej pięć dni. Czemu tu stoimy? Chodźmy na górę.

– Znajdę sobie jakąś kwaterę, jeśli...

– Nie ma mowy! Zatrzymasz się tutaj. Chyba starczy nam czystych ręczników.

– To mi najzupełniej odpowiada powiedziała cicho Maggie.

– Słyszałem ostatnie wieści. Jak idzie? Maggie wzruszyła ramionami.

– Minęło dopiero półtora dnia. Musiałam tu przyjechać – oni wszyscy mogą... chłopcy... i pan Hasegawa...

– Rozumiem. Kawy?

– Tak, chętnie się napiję. A jak ty się czujesz? – spytała Maggie zauważywszy sińce pod oczyma Adama.

– O mnie się nie martw! Jestem twardy chłopak z Teksasu!

– Czasami wolałabym zapomnieć, że ten cholerny stan w ogóle istnieje! Okropna ta kawa! Sprzed ilu dni?!

– Chyba wczorajsza. – Adam wzruszył ramionami – Zaraz zrobię świeżą. Będę miał przynajmniej jakieś zajęcie.

– Rozmawiałaś z lekarzami?

– Nie. Sądziłem, że może dziś wieczór uda mi się to zrobić. Sawyer ma dobrą opiekę. Dają jej różne leki i nie cierpi zbyt. Tyle że prawie stale drzemie. – Chcę tam pójść razem z tobą dziś wieczorem.

– W porządku – powiedział Adam sypiąc kawę do filtra. – Uważam, że powinnaś też porozmawiać z doktorem.

– Myślisz, że Sawyer zdenerwuje się na mój widok?

– Nie wiem. Nie zawsze kontaktuje. Rozumiesz, co mam na myśli.

Podczas gdy w Teksasie atmosfera stawała się coraz bardziej napięta, Maggie odbywała codzienne wędrowki do szpitala. Sawyer przeważnie spała. Maggie siedziała przy niej usiłując coś czytać. Pewnego razu Sawyer ocknęła się i spojrzała prosto na nią.

– Przypominasz mi sępa, czyhającego tylko, żeby spaść na zwłoki – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Gdybym miała dość siły, kazałabym cię stąd wyrzucić.

– Nie jestem sępem, Sawyer. Może raczej kwoką? I nie pozwoliłabym się stąd usunąć.

– Właśnie że sęp!

– Kwoka.

– Niech cię diabli wezmą!

– Dlaczego mnie przeklinasz?

– Bo nigdy cię nie było przy mnie, gdy tego potrzebowałam – odpowiedziała Sawyer, a na jej rzęsach zabłyśły łzy – Nie odmienię przeszłości. Ale teraz jestem przy tobie.

– Za późno.

– Chcesz, żebym cię błagała na kolanach? W porządku. Mam

całować twoje stopy? Zgoda. Ale o tym, żebym stąd wyszła, nie ma mowy!

– Opuściłaś chłopców w takiej sytuacji! – powiedziała Sawyer, podsycając w sobie resztki gniewu.

– To kwestia priorytetów. Chłopcom nic się nie stanie. Jestem o tym przekonana, a wiem, że i ty też. Gdybyś nie wykazała tyle odwagi, my siedzielibyśmy pewnie nadal z palcem w buzi. Bardzo jestem dumna, że postąpiła tak właśnie moja córka!

– A teraz mamy pocałować się z dubeltówki i pogodzić raz na zawsze? Czy muszę także powiedzieć, że jestem dumna z mojej matki?

– Tylko wtedy, jeśli tak jest rzeczywiście. Niczego od ciebie nie chcę, Sawyer. Proszę cię tylko, żebyś innie zrozumiała. Gdybyś spróbowała to zrobić, udałoby się nam jakoś ruszyć do przodu.

– Tylko ja i ty. No i Rand.

– Nie mieszaj do tego Randa. Tylko ty i ja, dzieciaku.

– Wracaj do domu, Maggie. Nie mogę dać ci tego, czego chcesz.

– A jak myślisz, czego ja chcę?

– Sama wiesz najlepiej! – powiedziała Sawyer niezbyt pewnie.

– Nie, ty mi powiedz. Poinformuj mnie, czego twoim zdaniem pragnę. Bardzo chciałabym usłyszeć to od ciebie.

– Odejdź! Siostrze! – zawołała Sawyer słabym głosem.

– Czego ja chcę, Sawyer?

– Zgrywać się, że jesteś moją matką. Oszukiwać, że stoisz przy mnie murem! Chcesz, żebym w to uwierzyła! Nie wierzę! Nigdy ci na mnie nie zależało! Nigdy nawet nie próbowałaś być matką!

– Wtedy może tak było, ale teraz jest inaczej. Daj mi szansę, proszę cię, Sawyer! Kiedy Sawyer nie odpowiedziała, Maggie przestraszyła się i wezwała pielęgniarkę.

– Czy coś się jej stało? Coś złego? – spytała niespokojnie.

– Nie, pani Tanner. Często jej się to zdarza: w jednej chwili zapada

w głęboki sen. Proszę wrócić do domu i odpocząć.

– Chyba to zrobię. Zawiadomcie mnie, gdyby...

– Oczywiście, że zawiadomimy powiedziała pielęgniarka ze współczuciem.

– Jak siostra może to znieść? – szepnęła Maggie – Jak siostra może opiekować się umierającymi, tak dzień po dniu...

– Pocięszam się tym, że mogę trochę ulżyć im w cierpieniu. Robię co mogę, tak jak wszyscy tutaj. Czasami jestem pewna, że tu jutro nie wrócę, ale potem przywożą kogoś takiego jak pani córka, kto ma przed sobą szansę; wtedy chcę pomóc, żeby ta nadzieja nie zawiodła. I to chyba wszystko.

– Niech cię Bóg błogosławi, siostrze! – powiedziała Maggie zduszonym głosem. – Proszę się nią opiekować!

– Wszyscy będziemy się nią opiekować.

Adam spojrzał znad swojej deski, gdy Maggie weszła na poddasze.

– Dziś nie poszło najlepiej, co? – zauważył ze współczuciem.

– Chyba byłam dla niej zbyt twarda. Spierała się ze mną... a potem nagle zapadła w sen. Pielęgniarka kazała mi iść do domu.

– Przynajmniej raz byłaś posłuszna. Chcesz kanapkę?

– Chyba tak. Kawa sprzed ilu dni? – Świeża.

– Adamie, gdzie są moje pamiątki?

– Schowane w szafie w hallu; w torbie, w której je tutaj przywoziłaś. Nie pozwoliłem Sawyer ich spalić.

– Dziękuję ci. Chyba tylko tracę czas starając się z nią porozumieć. Nigdy nie przekonam jej, że... Och, po co o tym gadać!

Adam kiwnął głową żeby okazać jej swe zrozumienie i równocześnie doprawiał musztardą dość już sędziwą kiełbasę na kanapce.

Maggie zjadła ją machinalnie, nie czując smaku. Piła mnóstwo kawy: jedną filiżankę po drugiej.

– Jak ci idzie praca?

– Chyba nieźle. Prawdę mówiąc, wydawca oświadczył, że to, co teraz robię, jest najlepsze ze wszystkich moich prac. Nie bardzo się z nim zgadzam. Chyba szkice z Teksasu były naprawdę mocne.

– Nie musisz mi tego mówić! I sędzę, że wywarły duże wrażenie. Naprawdę ją kochasz, Adamie?

– Ciałem i duszą. Myślę, że i ona coś do mnie czuje. I nie tylko dlatego, że jestem jej potrzebny. Wiem dobrze, na czym polega różnica! Gdyby zechciała mnie pokochać, moglibyśmy przeżyć razem coś naprawdę cudownego. Jeżeli starczy nam na to czasu...

Maggie prychnęła.

– Czas. Nasz najgorszy wróg! – podniosła się ruchem pełnym znużenia. – Chyba powinnam zadzwonić do domu.

– O, cholera, byłbym zapomniat! Billie telefonowała, kiedy byłaś w szpitalu. Dostałaś się na czołówki gazet! Pismaki twierdzą że dałaś nogę. Porzuciłaś dzieciaki w biedzie i poszukałaś schronienia w mieście, gdzie łatwo skryć się wśród milionów mieszkańców. Wylali na ciebie całe wiadra gówna, przepraszam za wyrażenie.

– A co poza tym?

– Możesz się łatwo domyślić. Wywiady z Benem Simmsem rano, w południe, o szóstej i w wieczornych wiadomościach. Colemanowie twardo się trzymają i wypowiadają wyłącznie za pośrednictwem adwokata. Jutro wszyscy dowiedzą się, dlaczego jesteś w Nowym Jorku. Mamy tu kilku przyzwoitych reporterów. Jeżeli kiedykolwiek będziesz chciała złożyć oświadczenie dla prasy, byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś zrobiła to za pośrednictwem mojego kumpla. Zapewniam cię, że opublikuje słowo w słowo to, co mu powiesz. Można na niego liczyć, na sto procent!

– Jak będę miała czas. Jestem teraz zmęczona. Chyba się położę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Następnego dnia rano, o wpół do szóstej, zadzwonił telefon. Adam zerwał się na pierwszy dźwięk dzwonka i obejrzał do tyłu. Dzięki Bogu, Maggie się nie obudziła!

Telefonowano z Instytutu Sloana Ketteringa. Sawyer chciała się z nim zobaczyć. Adam pospiesznie ubrał się, wyławiając różne części garderoby z szafy. Jego wzrok padł na torbę z dziennikami Maggie i pod wpływem nagłego impulsu zabrał ją ze sobą.

Kiedy się zjawił, Sawyer była zupełnie przytomna, w dużo lepszej formie niż w ciągu ostatnich dni.

– Chcą mnie dziś operować. Mówili, że o pierwszej po południu. – Adam skinął głową. Poczuł, że coś go dławi w gardle. – Powiedziałam im: proszę bardzo. – Adam znów skinął głową. Ściskanie w gardle nasiliło się. – Chyba cię kocham. Jesteś tak zwariowany, że któż mógłby cię nie pokochać? Ale musisz wybierać: Kulka albo ja. – Adam nie mógł w ogóle przełykać, więc tylko skinął głową i zastanawiał się, czy nie dostał pomieszania zmysłów.

– Co jest w tej torbie? Pamiętniki? – Jeszcze jedno skiniecie głową. – W porządku, poczytaj mi je.

– Chcesz, żebym ci je przeczytał?! – spytał Adam tak zdumiony, że mu wróciła zdolność mówienia.

– Prawie nic nie widzę, więc kto ma to zrobić, jak nie ty?

Adam otworzył pierwszy niewielki tomik i zaczął czytać. Czuł się okropnie, zupełnie jakby podglądał Maggie Coleman w intymnych chwilach. Wiedział, że nie przypuszczała, iż ktoś oprócz jej córki będzie czytał te dzienniki. Był jednak przeświadczony, że w gruncie rzeczy nie weźmie mu tego za złe. Czytał więc, kończąc jeden pamiętnik i otwierając następny. Sawyer leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami. W pewnej chwili przerwał, sądząc, że usnęła.

– Czytaj dalej. Nie przerywaj – poprosiła słabym głosem.

Czytał więc i czytał, dostrzegając od czasu do czasu łzę, spływającą

po jej policzkach. Kiedy doszedł do ostatniej strony i zamknął dziennik, Sawyer otworzyła oczy.

– Która to godzina? – spytała.

– Jedenasta. A co? Wybierasz się gdzieś?

– Wkrótce przyjdą, żeby dać mi zastrzyk. I zetną mi włosy. Zrobisz coś dla mnie?

– Co tylko zechcesz.

– Zadzwoń do mojej matki. Powiedz, że chcę się z nią zobaczyć.

– Jasne, już się robi. – Boże, zostało tak mało czasu! Może już nigdy jej nie zobaczy. Może już nigdy nie będą się przekomarzać ani wyklócać zęb w ząb. Może już nie będzie mógł wrzeszczeć na nią, żeby uprała ręczniki. Mieli ich obecnie osiemdziesiąt cztery.

– Adamie, o czym myślisz? Po wiedział jej.

– Cieszę się, że mi nie skłamałeś. To fajnie, że mamy aż osiemdziesiąt cztery ręczniki! – Oboje roześmiali się. – Możesz mnie przez chwilę potrzymać za rękę? Wiesz, prawie już nic nie widzę.

– A kto by tam chciał na mnie patrzeć? – spytał zduszonym głosem, ściskając ją z rękę.

Sawyer nie odpowiedziała.

– Poczekasz? To będzie długa operacja.

– Poczytam sobie coś, może jedno z tych romansideł, które tak lubisz.

– W porządku. I zadzwonisz do Mag... do mojej matki?

– Jak tylko puścisz moją rękę. Wiesz, że cię kocham, prawda?

– Tak, wiem. Powiedz chłopcom... Sam wiesz, co im powiedzieć. Rozumiesz, na wypadek... I wiesz co, Adamie?

– Co?

– Myślę, że pierwsza miłość jest strasznie przereklamowana. Chyba tylko ostatnia naprawdę się liczy.

Cholera jasna, rozplakał się! Jak to dobrze, że Sawyer nie może go

widzieć! Pochylił się, żeby ją pocałować w policzek i był zaskoczony, gdy odwróciła się tak, że ich usta się odnalazły. Był to długi pocałunek, a gdy skończył, krew huczała w żyłach Adama rwącą rzeką.

Sawyer usłyszała, jak drzwi zamknęły się za nim.

– Żegnaj, Adamie! – powiedziała szeptem.

Do pokoju weszła pielęgniarka; jej wykrochmalony uniform chrząścił w takt zwinnych ruchów. Przygotowała strzykawkę. Inna pielęgniarka zjawiała się z nakrytą tacką, żeby ogolić głowę Sawyer. Dziewczyna zaczęła się po cichu modlić.

Maggie podniosła słuchawkę i usłyszała słowa Adama.

– Co Sawyer powiedziała?!

– Powiedziała: zadzwoń do mojej matki. Nawet powtórzyła to dwa razy. Nie do Maggie, do mojej matki. Pospiesz się! Nie wiem, jak podziła na nią ten zastrzyk.

W przeciagu kilku minut Maggie wybiegła z poddasza i sfrunęła ze schodów. Przebiegła uliczkę, przecięła następną, wyszła na główną arterię. Zatrzymała taksówkę i powiedziała kierowcy, dokąd mają zawieźć. Szofer spojrzał tylko w jej twarz i dodał gazu. Kiedy po kilku minutach przystanął przy krawężniku, Maggie podała mu zwitek zmiętych banknotów. Nie miała pojęcia, czy daje za dużo czy za mało. Nie była w stanie nawet odczytać licznika.

– Wszystko będzie dobrze, proszę pani!

– Dziękuję – szepnęła Maggie. – Dziękuję bardzo. – Była bez tchu, gdy wysiadła z windy. Od razu natknęła się na Adama. Jakaś jej cząstka świadomości dostrzegła, że niesie on torbę zawierającą jej dzienniki. Adam szybko wyjaśnił jej co zrobił.

Przed pokojem Sawyer Maggie zatrzymała się, parę razy głęboko odetchnęła, a potem weszła do środka.

Zdawało jej się, że czuje w tym pokoju obecność śmierci. Była tak

blisko! Maggie miała ochotę wrzeszczeć, wyć:

– Nie zabieraj jej!...

Podeszła do łóżka, na którym Sawyer leżała zupełnie bez ruchu. Na głowie miała coś w rodzaju marszczonego czepka. Maggie nigdy przedtem nie dostrzegła jak długie i gęste były rzęsy Sawyer. Trudno było powiedzieć, gdzie się kończą: zlewały się z ciemnymi smugami pod jej oczyma.

– Sawyer, nie śpisz? – szepnęła Maggie.

Sawyer usłyszała jej słowa i próbowała poruszyć językiem. Zdawało jej się, że ma w ustach pełno waty. Zrobiła jeszcze jeden wysiłek. Jej ramiona nieporadnym ruchem biły powietrze.

Maggie zorientowała się, o co chodzi, sięgnęła po rękę córki i uścisnęła ją mocno obiema dłońmi.

– Jestem przy tobie.

Sawyer leciutko oddała uścisk. Maggie próbowała wydobyć głos i musiała dwukrotnie odchrząknąć, zanim jej się to udało.

– Adam powiedział mi, że przeczytał ci moje pamiętniki. Pragnę tylko, żebyś powiedziała mi, Sawyer, że mnie rozumiesz. Później będziemy zastanawiać się nad resztą. Mrugnij oczami, dziecinko, jeśli mnie rozumiesz.

Powieki Sawyer leciutko zadrżały.

Maggie pochyliła głowę. Cała przeszłość zniknęła, ogromny ciężar nagle spadł jej z pleców. To było wyzwolenie. Niemal wyzwolenie.

– Musi pani już iść – odezwała się pielęgniarka. – Pan Jarvis czeka na końcu korytarza. Doktor Marlow wkrótce przyjdzie porozmawiać z państwem.

Sawyer zebrała resztki sił. Była jak piana, strasznie chciało jej się spać, ale musiała jeszcze coś zrobić, coś powiedzieć. Nikt inny nie zrozumiałby zniekształconego słowa, które wydobyło się z jej zeschniętych warg.

– Mmmamm Maggie pojęła. Gdy szła korytarzem na spotkanie Adama, wydawało jej się, że słyszy śpiewające chóry anielskie. Biorąc go za ramię spytała:

– Czy słyszysz śpiew aniołów?

Adam spojrzał na nią zdezorientowany. Zrozumiał, że mówi całkiem serio.

– Nie, nic nie słyszę powiedział z namysłem – ale jeśli tyje słyszysz, bardzo się cieszę. Fajnie, że mamy niebo po naszej stronie.

Maggie krążyła po poczekalni z oczami wlepionymi w sufit. Adam zadrżał, gdy odezwała się:

– To może oznaczać, że szykują się na jej powitanie. – Nie mów tak! – przerwał jej ostro.

Kiedy zjawił się chirurg, Maggie i Adam wysłuchali tego, co miał im do powiedzenia. Gdy odszedł, spojrzeli na siebie.

– Wiesz, o czym on mówił? – spytała Maggie jak nieprzytomna. Adam pokręcił przecząco głową.

– Siedem godzin. A jeśli Sawyer przeżyje operację, musi upłynąć jeszcze siedemdziesiąt dwie, zanim będą wiedzieli, czy operacja się rzeczywiście udała.

Czekali więc. Minuty wlokły się, godziny pełzały jak ślimaki. Maggie dwukrotnie telefonowała do Sunbridge tylko po to, aby usłyszeć głos swojej matki.

– Odzyskałam oboje swoich dzieci, mamó – zawołała przed końcem rozmowy.

– Musisz być silna, Maggie.

– Staram się.

– Zadzwoń do mnie znowu.

– Mamó... słyszałam chóry anielskie. Naprawdę słyszałam! Adam sądzi, że zwariowałam, ale słyszałam je, jestem tego pewna. Powiedz, że mi wierzysz! – błagała Maggie.

– Kochanie, oczywiście, że ci wierzę, jeśli mówisz, że je słyszałaś. Nigdy nie straciłam wiary w cuda.

– A jeśli. .. jeśli to znaczy, że przybyli tu, by ją zabrać?... zawołała Maggie.

– Wówczas, dziecinko, będziesz musiała im na to pozwolić.

Maggie rozplakała się, z jej piersi wydobywał się ciężki szloch. Adam znalazł ją w kabinie telefonicznej i odprowadził do poczekalni.

Powoli mijały następne minuty i godziny. Oboje pili kawę i palili papierosy. Adam wyciągnął z kieszeni jakieś stare M&My, którymi chciał podzielić się z Maggie, ale odmówiła.

– Ile to już trwa? – spytała ochryplym głosem.

– Sześć godzin.

– Została jeszcze jedna! Chyba wszystko idzie dobrze, inaczej już by nas powiadomiono. Prawda? – spytała Maggie, patrząc błagalnie na Adama.

– Też tak sądzę. – Boże, jeszcze godzina! Sześćdziesiąt minut. Trzy tysiące sześćset sekund. Cała wieczność.

Trzy kwadranse później chirurg wszedł do poczekalni z filiżanką kawy w ręku. Ściągnął swoją zieloną myckę, maska zwisała mu z szyi.

Wygląda na bardzo zmęczonego – pomyślała Maggie. Czekala, co doktor powie. Chirurg wypił duży łyk obrzydliwej kawy.

– Pani córka przeżyła operację i jest już na sali pooperacyjnej. Jak się udało, dowiemy się za siedemdziesiąt dwie godziny. Ma chyba większe szanse niż poprzednio sądziłem. Widziałem przy życiu ludzi, którzy, logicznie biorąc, dawno powinni byli umrzeć. Żyli, gdyż bardzo tego pragnęli. Kiedy Sawyer przysła tu po raz pierwszy, nie walczyła o swoje życie. Byłem zaskoczony, gdy pan do mnie zadzwonił – doktor zwrócił się do Adama – i powiedział, że zdecydowała się na operację. Musiało się w tym czasie wydarzyć coś bardzo dla niej ważnego. Jestem pewny, że będzie teraz zawzięcie walczyć o życie. Wolałbym,

żeby była trochę silniejsza fizycznie, ale po prostu nie mogliśmy tego odkładać. Pielęgniarka czuwa przy niej przez okrągłą dobę. Gdyby się coś stało, zjawię się w przeciągu kwadransa. Jeden z moich asystentów będzie tutaj przez całą noc. Czy chcielibyście państwo o coś mnie spytać?

W głowie Maggie kotłowało się Bóg wie ile pytań, ale nie potrafiła wyrazić ich słowami. Spojrzała na Adama, któremu też odebrało mowę. Oboje potrząsnęli głowami. Potem, widząc nagły ruch Maggie, Adam przymknął oczy.

– Czy pan doktor je słyszy? – spytała z uśmiechem.

– Co takiego? – odezwał się znużonym głosem.

– Chóry anielskie. Dziś słyszę je już po raz drugi.

Lekarz uśmiechnął się. Jego oczy były pełne ciepła i łagodności.

– Słyszę je każdego dnia. Wydaje mi się, że dziś są trochę bardziej donośne niż zwykle. To dobry znak. – Wyciągnął dłoń najpierw do Adama, potem do Maggie. – Wracajcie teraz państwo do domu i odpocznijcie. Oboje wyglądacie dokładnie tak, jak ja się czuję.

Adam i Maggie trzymając się za ręce poszli do windy. W głównym hallu zatrzymali się, żeby zadzwonić do Sunbridge. Maggie oznajmiła z radością, że Sawyer przeżyła operację. Słyszała, jak Billie przekazuje tę nowinę pozostałym.

– Najbliższe siedemdziesiąt dwie godziny zadecydują o wszystkim. Módl się, mamó! Słyszałam znowu chóry anielskie. Chirurg... powiedział, że są donośniejsze niż zwykle. To dobry znak. Mamó, ja nie zwariowałam!

– Wiem o tym. Uważaj na siebie, Maggie. Idź do domu i wypocznij.

– Jest coś nowego?

– Nie, nic. Gdy Sawyer się obudzi, przekaż jej całusy od nas wszystkich.

– Na pewno. Dobranoc.

W taksówce Adam zaczął marudzić:

– Dlaczego ja ich nie słyszałem? Co to znaczy?

– Chciałabym ci to jakoś wyjaśnić, ale nie potrafię. Może jest to jakoś związane z życiem i śmiercią? Dałam Sawyer życie. Lekarze walczą ze śmiercią przez cały czas. Tylko tak mogę ci to wytłumaczyć.

– Cholera! Jestem zły, że ich nie słyszałem. Byłoby mi o wiele łatwiej.

– Może nie potrzebujesz żadnych anielskich chórów? Może ty sam będziesz śpiewał z radości? Nie wiem... Taka jestem zmęczona, że nie potrafię zebrać myśli. Możemy to odłożyć do jutra?

Adam skinął głową.

Billie zwołała rodzinną naradę.

– Na razie nic się tu nie dzieje. Czy chcielibyście wszyscy pojechać do Nowego Jorku i być przy tym, kiedy ogłoszą, że operacja Sawyer się udała? Skontaktuję się z Valentine i dowiem się, czy mogłaby uzyskać zezwolenie na ten wyjazd dla Cole'a i Riley'a. Amelio, znasz sędziego Bellowsa, prawda? – Gdy Amelia skinęła głową, Billie dodała: – Zwróć się do niego. Postaraj się, żeby Valentine miała ułatwione zadanie. Zapewnij sędziego, że wrócimy za czterdzieści osiem godzin.

Po upływie doby od operacji Sawyer, wszyscy Colemanowie odlecieli do Nowego Jorku na pokładzie własnego odrzutowca. Prawie nie opuszczali szpitalnej poczekalni, od czasu do czasu tylko wpadali na poddasze Adama, żeby się odświeżyć i natychmiast wracali do szpitala, patrzeć przez szybę na śpiącą dziewczynę, która leżała na oddziale intensywnej terapii.

Naprzeciwko zegara warowała Maggie. Za cztery godziny minie okres krytyczny. Jak nieruchoma, biała i wycieńczona była Sawyer! Maggie pragnęła znów usłyszeć anielskie chóry. Czuła się tak

zmęczona, że oczy same się jej zamykały.

Nagle kątem oka dostrzegła jakieś poruszenie i spojrzała uważnie przez szybę. Ręka Sawyer drgnęła: kciuk uniósł się w niewątpliwym znaku powitania. Palec Maggie podniósł się w odpowiedzi. Maggie z płaczem popędziła do pozostałych i padła w ramiona Randa.

– Z Sawyer wszystko w porządku! Właśnie zrobiła tak! – zademonstrowała dziarski powitalny gest, charakterystyczny dla jej ojca. Adam opadł na kanapę. Cole i Riley pobiegli do szyby i przykleili do niej nosy. Dłonie obu chłopców uniósł się w powietrze. Sawyer znów dała znak kciukiem.

– Słyszysz coś! – spytał Cole.

– Aha, radio gra. Nie wiedziałem, że tu wolno słuchać radia.

– To nie radio. Brzmi jak nasz szkolny chór.

– A jakże – zgodził się Riley, ale zapomniał o tym, gdy dołączyli do pozostałych.

– Ma przed sobą jeszcze długą drogę, ale ufam, że ją szczęśliwie pokona – powiedział serdecznie doktor Finley. – A teraz sądzę, że wszyscy państwo powinniście wrócić do domu i pozwolić naszej pacjentce odpocząć. Wie, że odwiedziła ją cała rodzina. Powiedziałem jej o tym. Wspomniałem też, że odeślę was do domu. Sawyer rozumie, że tak musi być. Powinniście przespać się co najmniej osiem godzin: to zalecenie lekarskie!... Cholera, znowu te anioły! – burknął wychodząc z pokoju. Maggie uśmiechnęła się radośnie.

Tego dnia nie było końca pocałunkom i uściskom.

– Powiedz Sawyer, że wkrótce znów tu przyjadę, Adamie! – prosiła Maggie. – Muszę coś załatwić w Sunbridge. Opiekuj sienią!

– A ja nadal nic nie słyszę! – pożalił się Adam.

– Nie przejmuj się tym. Sawyer sama ci zaśpiewa. I to tylko dla ciebie. Zawiadom nas o tym.

– Jasne.

Rozdział piętnasty

Była już prawie północ, kiedy odrzutowiec Colemanów wylądował. Zmęczona, ale szczęśliwa rodzina wsiadła do oczekujących samochodów i wróciła do Sunbridge. Amelia natychmiast zatelefonowała do sędziego Bellowsa informując go, że chłopcy są już z powrotem w Teksasie i zaraz zasną we własnych łóżkach. Powiedziała mu także, jaki jest stan Sawy er, i odłożyła słuchawkę, czując się znacznie lepiej po raz pierwszy od wielu dni. Może przyczyniła się do tego króciutka rozmowa z Sawyer?

Tej nocy wszyscy mocno spali. Jeżeli nawiedzały ich w nocy demony, przybierające postać Bena i Luany Simmsów, nikt nigdy się o tym nie dowiedział.

Było w pół do trzeciej po południu, gdy Maggie posłała Randa, żeby zaprosił do domu reporterów i przedstawicieli mediów.

Valentine Mitchell była przy tym obecna. Maggie odczytała oświadczenie i czekała na pytania.

– Mówi pani poważnie, pani Tanner? Naprawdę chce pani konfrontacji twarzą w twarz z Luaną Simms? A jeżeli jej adwokaci się na to nie zgodzą?

– Nie mamy niczego do ukrywania. Jeżeli oni również niczego nie tają, a dziewczyna mówi prawdę, dlaczego nie mieliby się na to zgodzić? Chyba że idzie wyłącznie o pieniądze.

– Powiedziała pani, że jest zdecydowana dać dziesięć tysięcy dolarów każdemu, kto zjawi się i zezna, co naprawdę wydarzyło się owej nocy. Oczywiście tylko wówczas, jeżeli te zeznania oczyszczą Cole'a i Rileyę? Mam rację?

– Oczywiście – odparła Maggie stanowczo.

– Czy ta oferta dotyczy również Luany?

– Dotyczy ona każdego, kto może dowieść niewinności Rileyę i

Cole'a – wyjaśniła dobitnie Valentine.

– Jak się czuje pani córka, pani Tanner? – spytała młoda dziennikarka.

– Nie dołączyła do grona aniołów. Dziękuję za zainteresowanie.

– I to już wszystko, proszę państwa – oświadczyła Valentine, dając reporterom znak, by odeszli. – Będziemy tu jutro o tej samej porze. Miejmy nadzieję, że nie zabraknie również Simmsów.

Kiedy drzwi zamknęły się za dziennikarzami, Valentine stanęła z rękami na biodrach i wściekłą miną.

– To chyba największy idiotyzm, jaki popełniłam w moim życiu! Odnosi się to również do was! Jeśli sobie wyobrażacie, że adwokaci Simmsów pozwolą im się tu zjawić, chyba macie źle w głowie!

– Pewnie masz słuszność – powiedziała Maggie żałośnie – ale nie tracę nadziei, że Luana się zgłosi. Dziesięć tysięcy dolarów pozwoli jej wynieść się stąd. Jeżeli wyzna prawdę, opieka społeczna zatroszczy się o nią i zabierze ją od ojca tam, gdzie będzie bezpieczna. A gdy Luana dorośnie, będzie miała dziesięć tysięcy wraz z procentami, które przez ten czas narosną. – Maggie wzruszyła ramionami. – Warto było spróbować. Byłam kiedyś świadkiem straszliwego lania, które dostała od ojca. Nigdy tego nie zapomnę. Nie mamy zresztą nic do stracenia. – Pozostali członkowie rodziny przytaknęli.

Valentine opuściła Sunbridge, kręcąc niespokojnie głową. To było cholernie głupie, ale a nuż poskutkuje?! Wołała nie myśleć o tym, co wydarzy się następnego dnia o tej samej porze.

– Cole, wyprowadź pikapa. Pojedziecie z Rileyem do tej budy na granicy rancza i przywieźcie tu tę starą kanapę. Schowajcie ją w garażu i dobrze czymś przykryjcie.

Ben Simms oglądał wiadomości o szóstej po południu w towarzystwie córki. Jego twarz pociemniała od gniewu. Luana cofnęła

się z krzesłem.

– Tylko żadnych głupich sztuczek, słyszysz, dziewucho? – ryknął Ben. – Zadzwoń do naszego adwokata. Zostań tu z Louise.

Luana z niechęcią popatrzyła na siedzącą naprzeciw niej kobietę. Mieszkali u niej, odkąd wynieśli się brudnego pomieszczenia, które początkowo zajmowali. Tu było czysto, a Louise dobrze gotowała. Ale nie miała dla niej odrobiny życzliwości, tak samo jak tato; śledziła każdy jej ruch, jakby Luana była jakąś złodziejką!

Luana ponuro gapiała się w telewizor. Nic się nie układało: pani, u której miała pracować, rozmyśliła się. Wakacyjne kursy jakoś nie zmaterializowały się, a ona sama siedziała tu prawie jak w więzieniu. Wszystko przez tatę i przez to, co jej zrobił! Gdyby tylko mogła jakoś stąd się wydostać, poszłaby na policję i powiedziała prawdę. Często myślała o Cole'u i Rileyu i zastanawiała się, czyjej teraz nienawidzą? Mieli do tego słuszne prawo! Ben Simms zjawił się z powrotem, dobrotliwie i jowialnie uśmiechnięty.

– Nasz adwokat tak to widzi: Colemanowie wszystkiego się chwytają bo są przyparte do muru. Mówi, że trza być gotowym na różne takie sztuczki.

Luana nie odezwała się ani słowem. Od tamtej nocy nie mogła patrzeć na ojca. Nie chciała nawet przebywać z nim w jednym pokoju.

– Powiedział, że mamy się jutro nigdzie nie wybierać, więc nawet o tym nie myśl, dziewucho!

– Tak, tato – odparła potulnie, nie odwracając oczu od telewizora. Gdyby tylko mogła jakoś dostać się na ranczo Colemanów!...

Tego wieczora Luana długo nie mogła zasnąć. Leżała przysłuchując się odgłosom dochodzącym z sąsiedniego pokoju. Kiedy sprężyny tamtego łóżka przestały nareszcie skrzypieć, odczekała jeszcze piętnaście minut. Potem wstała po cichu z łóżka, włożyła dżinsy, koszulkę i tenisówki. Zakradła się do pokoju obok, ściągnęła z torebki

Louise dwie monety ćwierć dolarowe i bezszelestnie zamknęła za sobą frontowe drzwi.

Kiedy znalazła się na zewnątrz, zaczęła biec, a łzy spływały jej po twarzy. Biegła aż do stacji benzynowej Billa Sunoco. Była ona jasno oświetlona, ale nieczynna. Luana weszła do budki telefonicznej i zadzwoniła do informacji z prośbą o podanie numeru telefonu pani Coleman Tanner w Sunbridge. Powtórzyła usłyszany numer na głos pięć czy sześć razy, a potem wrzuciła jeszcze raz monetę do automatu. Ręce tak jej się trzęsły, że ledwie mogła wybrać właściwe cyfry.

Po dziesiątym sygnale ktoś podniósł słuchawkę.

– Pani Tanner? Tu mówi Luana – odezwała się drżącym głosem. – Może pani po mnie przyjechać? Siedzę na stacji benzynowej Billa Sunoco, przy szosie. Bardzo panią proszę!

– Zaraz przyjadę. Czy u ciebie wszystko w porządku?

– Będzie w porządku, jak powiem prawdę. Nie mogę stać tu na widoku. Poczekam po drugiej stronie drogi, po ciemku. Pani zatrzyma wóz. Jak zobaczę, że to pani, wyjdę na drogę. Mój tato mógł się połapać, że mnie nie ma. Od razu pomyśli, że poszłam do pani.

– Przyjadę po ciebie za jakieś dwadzieścia minut. Nigdzie nie odchodź!

– Czy to było to, o czym myślę? – spytał Rand, gdy Maggie odłożyła słuchawkę. – No pewnie! Musimy się ubrać. Jak myślisz, wezwać doktora, pielęgniarkę, jeszcze kogoś?

– Jeszcze kogoś. Chyba powinnaś zadzwonić do Valentine: niech to ona zabierze Luane. Simms gotów cię oskarżyć o porwanie córki. Bóg jeden wie, do czego ten bydlak może się posunąć!

Maggie potrząsnęła głową.

– Luana będzie podejrzewać jakiś podstęp. Obiecałam, że po nią przyjadę, chyba ma do mnie zaufanie. Inaczej by nie zadzwoniła.

– Może chce zarobić dziesięć tysięcy dolarów – zauważył kwaśno

Rand.

– To była nasza przynęta. I rybka chwyciła, może nie? Pewnie jej to dodało odwagi. Nie żałuję jej tych pieniędzy. Wyobrażam sobie, jak strasznie musi czuć się dziewczyna zgwałcona przez własnego ojca.

– Jedziemy samochodem czy konno?

– Konno. Zabiorę Luanę na swojego konia. Nie odważę się przejeżdżać koło głównego wejścia! Niech się dowiedzą o wszystkim dopiero jutro. I mówmy ciszej: głos dobrze niesie w ciszy nocnej.

Osiadłali po cichu konie i szli prowadząc je dobre ćwierć mili, zanim dosiedli wierzchowców i puścili się pędem. Lotos cicho zarżała, gdy Maggie zmusiła ją do galopu.

Pięć minut później Maggie skróciła koniowi cugle.

– Musimy przeciąć szosę. Stacja Billa znajduje się mniej więcej o ćwierć mili stąd – szepnęła. – Poczekajmy, aż na drodze nie będzie żadnego samochodu i wtedy biegiem!

Luana sapnęła z przerażenia, gdy Maggie odezwała się za jej plecami.

– Tu jesteśmy, Luano. Przyjechaliśmy konno. Pospiesz się! Zbliżają się tu jakieś auta, a musimy przedostać się na drugą stronę szosy!

Ledwie zdążyli przejść i skryli się w cieniu, gdy tuż obok nich przemknęły po szosie dwa wozy policyjne z głośnym wyciem syren.

– Wiedziałam, że tak będzie! Wiedziałam! Tato usłyszał, że się wynikłam! Nie odsyłajcie mnie do niego! Niech pani mnie nie odda tacie, pani Tanner!

– Nikt cię nikomu nie odda. Trzymaj się mocno! Zaraz się dowiesz, co to znaczy pędzić jak wiatr! Chyba zdążymy wrócić na ranczo przed policję.

Maggie popuściła cugli i Lotos pogalopowała. Wkrótce dotarli do stajni i dalej szli pieszo, kryjąc się w cieniu. Błyskające światła nadjeżdżających wozów oświetlały całą drogę dojazdową.

– Ciii... – upominała Maggie, kładąc palec na ustach. – Mówiłam, że w nocy głos niesie.

Rand skrzywił się. Luana zadrżała i przytuliła się do Maggie. Cała trójka nadstawiła ucha.

– Czy jakieś samochody przyjechały lub odjechały stąd w ciągu ostatnich dwóch godzin? – padło pytanie. Usłyszeli, jak czuwający w pobliżu bramy reporterzy zaprzeczyli.

– Co się stało? – spytał obcesowo któryś z nich.

– Zniknęła Luana Simms! Jej ojciec twierdzi, że to Colemanowie ją porwali. Jesteście pewni, że nikt ani nie przyjeżdżał, ani stąd nie wyjeżdżał?

– A tkwilibyśmy tutaj, gdyby się coś działo? – spytał jakiś głos.

– Wracamy do stajni! – zakomenderowała szeptem Maggie. – Musimy poczekać. Rodzina pomyśli, że wyszliśmy na spacer i jeszcze nie powróciliśmy. A policji lepiej nie okłamywać.

Rand rozsiadł konie, a Maggie i Luana obserwowały z okien stajni, co się dzieje na zewnątrz. Czerwone i niebieskie błyski oświetlały cały podjazd. W chwilę później zapłonęły światła w oknach Sunbridge. Wreszcie ktoś ukazał się w tylnych drzwiach. Zapaliła się lampa na werandzie. Mama.

Po piętnastu minutach światło na werandzie zgasło. Wozy policyjne odjeżdżały, ich sygnały świetlne wirowały błękitnie i czerwono.

– To, co zrobiliśmy, jest prawdopodobnie sprzeczne z prawem – szepnęła Randowi Maggie. Luana spała na słomie z policzkiem opartym na dłoni. Rand patrzył na nią przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedział Maggie.

– Chyba rzeczywiście jest sprzeczne z prawem. Gdy tylko rozpocznie urządowanie biuro opieki społecznej, czy jak się nazywa ta instytucja, zadzwoń do nich. Chyba nie zaszkodzi... jak to wy, Teksaszczyki, określicie? Zakrzętnąć się za poparciem. Zadzwoń

jeszcze raz do tego sędziego, z którym rozmawiała Amelia. I na miłość boską upewnij się, że przyjedzie tu Valentine! Policja wróci, jak tylko się rozwidni.

Przytulił głowę Maggie do swej piersi.

– Śpij, Maggie. Ja będę czuwał. – Delikatnie pogładził ją po włosach i prawic słyszał, jak pomrukuje. Przez zwariowaną krótką chwilę wydawało mu się, że znów jestw RAF-ie.

– Za kilka minut się rozwidni. – Rand łagodnie potrząsnął Maggie.
– Wracaj do domu. Zostanę tutaj z Luaną. Przyślij nam coś do jedzenia, jeśli będziesz mogła.

Maggie otrzepała się ze słomy.

– Jak ja bym sobie dała radę bez ciebie? Nie żałujesz czasem, że związałeś się z naszą zwariowaną paczką i musisz dzielić nasze kłopoty?

– Ani trochę. Zresztą, wszystkie mają się już ku końcowi. Jutro o tej porze sytuacja chłopców ostatecznie się wyjaśni. Sawyer wraca do zdrowia. Może to nie jest najodpowiedniejsza pora, ale co byś powiedziała na miodowy miesiąc na Hawajach?

– Cudownie! – ucałowała go mocno. – A teraz nie spuszczaaj tej małej z oka na wypadek, gdyby dostała pietra i chciała zwiać! – Powiedziawszy to Maggie pobiegła do domu. Weszła po cichu do kuchni i wpadła na Martę, która zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

– Chyba zjem śniadanie. Daj, co masz: placuszki, jajka, szynkę, owoce, grzanki i kawę. Tyle, żeby starczyło dla trojga.

– Dla trojga?

– Dla trojga – powtórzyła Maggie.

Zjadła śniadanie i poczekała, aż Marta zaniesie tackę z dymiącymi potrawami do stajni. Tuż po siódmej zjawiła się policja. Maggie wysłuchiwała wyjaśnień Piersona, zastępcy szeryfa.

– Bardzo proszę przeszukać cały dom – powiedziała uprzejmie – tylko po cichu, jeśli można. Jedynie my z Martą jesteśmy już na nogach.

– Gdzie pani była ubiegłej nocy, pani Tanner? – O której godzinie?

– Przez cały czas. Moi ludzie byli tu po północy i pani matka powiedziała im, że chyba pani wyszła: pokój był pusty.

– Cóż, byłam w domu mniej więcej do jedenastej. Potem nabrałam ochoty na konną przejażdżkę. Mam taki zwyczaj, jeśli nie mogę zasnąć.

– Czy jeździła pani konno samotnie?

– Nie, prawdę mówiąc, był ze mną Rand Nelson.

– Czy może pani go tu sprowadzić, czy też jeszcze śpi? Maggie poczuła na szyi jakiś dreszcz.

– Cóż, jest jeszcze w stajni, czyści swojego konia. Zaraz go zawałam.

Z drżeniem serca Maggie wyszła na tylną werandę, potem na dziedziniec, zwinęła dłonie koło ust i zawała:

– Randzie, chodź tu na chwilę, dobrze? – Omal nie zemdląła z ulgi na widok Randa, który wyszedł ze stajni ze zgrzeblą w rękę.

Rand szedł wolno w jej stronę, jakby mu się wcale nie spieszyło.

– Co się stało? Maggie wskazała w stronę kuchni i powiedziała:

– Policja chce z tobą mówić. – Razem weszli do środka.

– Gdzie pan był ubiegłej nocy, panie Nelson? – spytał go Pierson. – Razem ze wszystkimi w domu do jakiejś jedenastej. Potem pani Tanner miała ochotę na konną przejażdżkę; nie chciałem, żeby wyjechała sama, więc postanowiłem jej towarzyszyć. Właśnie oporządzałem konie w stajni.

– Czy jest tu Luana Simms?

– Mówiłam przecież – przerwała mu Maggie – że możecie przeszukać dom! – Nie wtrącił zimno Rand. – Mą ją prawo przeszukać dom jedynie wtedy, gdy zjawią się z nakazem rewizji.

– Mogę zdobyć go w ciągu godziny.

– Wobec tego proszę z nim wrócić. Maggie, chętnie zjadłbym śniadanie. Marta ubijała już jajka w misce. Zauważyła, że zastępca szeryfa przygląda się otwartej zmywarce i stojącej na kuchni patelni:

– Zawsze jem, zanim państwo zejdą na śniadanie – oświadczyła chłodno, mierząc go wzrokiem.

Pierson czuł, że go oszukują, lecz nie umiał tego udowodnić.

– Smacznego – powiedział niemiłym tonem i wyszedł.

– Przez chwilę myślałem, że trzaśnie obcasami – mruknął Rand.

– Robi to, za co mu płacą – powiedziała Maggie. – Prawie mi go żal. Wyjrzała przez okno na odjeżdżający wóz policyjny. – Gdzie Luana?

– Możesz się o nianie martwić. Jest tak przerażona, że ani drgnie. Odbiliśmy dłuższą rozmowę, kiedy wróciłaś do domu. Zrobi, co trzeba, ze względu na ciebie i chłopców. Pytała, co się z nią stanie? Wyjaśniłem, że zadbasz o to, by miała dobrą opiekę. Zdaje się, że w jej oczach wyglądasz jak rycerz w srebrnej zbroi, walczący ze smokiem. Może raczej rycerzowa?!

– Luana jest nieletnia. Uprawdziliśmy ją – powiedziała z niepokojem Maggie.

– Nie uprawdziliśmy jej, tylko zjawiliśmy się na jej własne życzenie. Sama do nas zatelefonowała. Będzie można sprawdzić, pod jaki numer dzwoniła z budki. A to, że jest nieletnia, w obecnych warunkach stanowi argument na naszą korzyść, pod warunkiem, że wyzna całą prawdę. Z pewnością nie powinna pozostawać razem z ojcem, który wykorzystał ją seksualnie.

– Boję się, Randzie.

– Ja też – odparł, przytulając policzek do jej ciemnych włosów.

– Muszę wrócić do stajni, zanim Luana nie zrobi ze strachu jakiegoś głupstwa. Załatw te telefony, o których mówiliśmy.

Maggie spojrzała na zegar: za dziesięć ósma. Weszła po schodach na górę i zajrzała do pokoju Susan. Potrząsnęła nią delikatnie, żeby się obudziła.

– Ciii... Z Jessie wszystko w porządku! To ja potrzebuję twojej pomocy. Wyjaśniła siostrze, co się stało.

– Zadzwoń do Ferrisa. Na pewno zna kogoś z opieki społecznej, komu można zaufać. Zrób to od ręki, dobrze?

Maggie zamykając drzwi słyszała, jak Susan nakręca numer. Udała się następnie do dzieciennego pokoju i uśmiechnęła się pochylając nad małym łóżeczkiem. Jessie ssała kciuk, w drugiej rączce zaciskała kocyk.

– Nikt nigdy nie skrzywdzi cię, moje maleństwo! Przynajmniej nie wtedy, gdy ja będę w pobliżu! Śpij słodko! – zagruchała do małej. Potem skierowała swe kroki pod drzwi pokoju Amelii i lekko zastukała. Cary otworzył i wpuścił ją do środka. Amelia wkładała szlafrok. Maggie znów wyjaśniła jak przedstawia się sytuacja.

– Dziadek powiedziałby, że pora odebrać stare długi. Wyświadczyliśmy wielu ludziom różne przysługi i mamy teraz prawo domagać się rewanżu. Seth zapisywał sobie, co mu kto zawdzięcza. Jego notatnik nadal znajduje się w biurku. Możesz się potargować w imieniu naszej rodziny, Amelio?

Amelia uśmiechnęła się.

– Pokrzepisz mnie kawą, gdy będę się dwoić i troić?

– Ja ci zrobię kawy, złotko – zaofiarował się Cary. – Zejdz do gabinetu i zrób, co tylko zdołasz. Odbieranie starych długów! – roześmiał się. Mogę się wam jeszcze na coś przydać?

Maggie otworzyła drzwi.

– Kiedy zrobisz kawę, możesz do nas dołączyć i przekonać się, jakimi metodami Colemanowie dawali sobie radę przez te wszystkie lata. Przyda ci się taka lekcja, jeżeli chcesz osiąść na stałe w Teksasie.

Twoja żona zna się na takich układach jak nikt!

Maggie pospieszyła na dół, rozważając w myślach wszystkie za i przeciw. Może działa według zasad odmiennych od tych, którymi kieruje się cały świat, według specyficznych reguł Colemanów, ale chodzi tu o przyszłość obu chłopców! Nie zawsze można grać fair. Czasem nie wolno zawahać się przed niczym! Pieniądze szczęścia nie dają ale może dzięki nim wyjdzie na jaw prawda. Tylko tego pragnęła: ujawnienia prawdy. Staną się znowu sensacją dnia, ale jakoś to przeżyją!

– Chyba będziemy mieli gości na lunchu, Marto. Przygotuj dużo jedzenia. Pomogę ci... albo może zamówimy gotowy lunch? Jak myślisz?

– Myślę, że poradzę sobie sama. Mam pełną zamrażarkę. Chyba z tonę pieczonych kurczaków. – Gospodyni roześmiała się. – Nasi chłopcy potrafią zjeść dwa na razi Wsadzę je do piecyka, zrobię różne sałatki i zamówię wędliny od Ferdiego. Niech się pani zajmie swoimi sprawami, ja tu sobie dam radę. I bardzo się cieszę, że panna Sawyer wyzdrowieje. Strasznie mi się podoba ten jej chłopak.

– Dziękuję, Marto. Tak, Adam to wspaniały młody człowiek. Ogromnie go lubimy.

– Wszystko się dobrze skończy, prawda, proszę pani?

– Mam nadzieję, że tak będzie, Marto. Chłopcy sprawiają nam czasem kłopoty, ale nie zasłużyli na coś tak strasznego! Nikt z nas na to nie zasłużył. Ci Simmsowie zjawili się tu Bóg wie skąd i uwzięli się, żeby zrujnować nam życie. Prawie im się to udało.

Marta prychnęła pogardliwie.

– A udawał takiego świętoszka! Stale tylko czytał Biblię i wygłaszał kazania tej swojej dziewusze. Ona też nie jest taka jak tutejsze dziewczęta. Jak tylko ich zobaczyłam, wiedziałam, że będą z nimi kłopoty. Nie mam nic przeciwko kazaniom, ale trzeba przede

wszystkim porządnie się zachowywać!

Maggie wymknęła się z kuchni, mając nadzieję, że Marta skończyła już swój monolog. Gospodyni miała świętą rację, bez wątpienia. Dobra, lojalna Marta! Jeśli ktoś znał Colemanów od podszewki, to przede wszystkim ona!

O pierwszej zjawiła się Valentine Mitchell, a za nią człapał Dudley Abramson. Maggie z rozbawieniem zauważyła, że dźwigał nie tylko swoją teczkę, ale również aktówkę Val. Nieco później Amelia osobiście powitała zastępcę gubernatora i przygotowała mu drinka. Gawędzili jak starzy przyjaciele. Szef policji uściśnął dłoń Billie i ucałował ją lekko w policzek. Maggie usłyszała, że rozmawiają o tym, jak to Thad waha się, czy kandydować do Kongresu. Susan przedstawiała zebranych Ricie Introne, kierownicze Wydziału do spraw Młodzieży w biurze opieki społecznej. Maggie obserwowała ją kątem oka. Gdy tylko wszyscy zapoznali się z Ritą i wymieniono grzecznościowe frazesy, Rita podążyła za Susan w stronę kuchni. Maggie wiedziała, że udadzą się stamtąd do stajni. Luana znajdzie się w dobrych rękach.

Maggie przypomniała sobie obietnicę daną Adamowi i powitała przy tylnym wejściu Steve'a Axelroda. Zaprowadziła go do gabinetu i zaproponowała, by wykorzystał jedną z zastrzeżonych linii telefonicznych do swych kontaktów z redakcją. Potem opowiedziała mu o wszystkim. Steve gryzmolił w swoim notatniku. Słuchał uważnie i pisał. Nie wrywał się z własną opinią.

– Czy mogę porozmawiać z chłopcami? – spytał. – Chciałbym poznać ich punkt widzenia.

Maggie zawahała się.

– Spytam ich. Muszą sami podjąć decyzję. – Wezwała chłopców i wyjaśniła im sytuację.

– W porządku – oświadczył Cole.

Czemu nie? Chyba najwyższy czas, żebyśmy to my coś powiedzieli

– zgodził się chętnie Riley.

Steve usiadł w fotelu Setha. Był taki szczupły, że prawie w nim ginął. Riley ubawił ten widok. Cole pomyślał, że nie byle kto może prezentować się w tym fotelu jak należy – i powiedział to dziennikarzowi.

– Do licha, po prostu sobie przysiadłem na nim. Od urodzenia słyszałem o Secie Colemanie. Masz rację, nie każdy ma prawo zająć jego miejsce. Ale zróbcie mi frajdę i pozwólcie, żebym sobie tu posiedział! Gracie w baseball, chłopaki?

– Ja tak – odparł nieśmiało Riley – a Cole jest fantastycznym łucznikiem. I strzelcem – dodał, nie żałując kuzynowi słów pochwały.

– Chce pan się z nami pokumać, żeby z nas wyciągnąć, ile się da? – spytał podejrziwie Cole.

– Prawdę mówiąc, chyba tak. Jestem starym kumplem (ze szkoły podstawowej, średniej i college’u) Adama Jarvisa. Może to przełamię lody?

Cole roześmiał się szeroko.

– Cholera, czemu pan od razu tak nie gadał? – Przysunął dwa krzesła i obaj chłopcy siedli na nich okrakiem.

– No to mówcie. Opowiedzcie mi, jak to jest, kiedy świat się nagle rozpada na drobne odłamki. Powiedzcie, co myśleliście, co czuliście. I jak to jest, waszym zdaniem, kiedy się należy do bogatych Colemanów? Na waszej werandzie znaj duj e się teraz mnóstwo ważnych osób, o których mogę najwyżej poczytać sobie w gazecie. bardzo wpływowi ludzie. Przyszli tu ze względu na was. Opowiedzcie mi o Luanie 206Simms. I ojej ojcu. Opowiedzcie mi o waszych marzeniach i planach na przyszłość, chcę się dowiedzieć o wszystkim!

Wobec tego opowiedzieli mu wszystko.

Steve posłużył się specjalnym urządzeniem, pozwalającym przekazać całe nagranie koledze czuwającemu przy telefonie w

redakcji. Uściskał dłonie chłopców. Przekonał się, że to już nie dzieciaki, tylko młodzi ludzie. Prawdziwi Colemanowie, ale przedstawiciele nowego pokolenia. Dzieci Teksasu, a niebawem studenci Yale i Notre Dame. Zachód i Wschód.

Wszyscy Colemanowie zebrali się razem dokładnie o wpół do trzeciej. Sid Jackson, komentator wiadomości telewizyjnych nadawanych o szóstej, podsunął mikrofon. Maggie podeszła do niego. Z początku mówiła z pewnym trudem, ale potem słowa popłynęły gładko. Kątem oka obserwowała chłopców. Siedzieli po obu stronach Shadaharu Hasegawy.

– Luana Simms zatelefonowała do mnie ubiegłej nocy i poprosiła o pomoc. Przywiozłam ją tutaj. Jest z nią teraz Rita Introne z opieki społecznej. Właśnie nadchodzą.

Dziennikarze rozgęgali się jak stado gęsi, strzelali pytaniami niczym karabiny maszynowe. Kamery filmowe warczały jak szalone, a przedstawiciele różnych stacji walczyli zażarcie o najlepsze ujęcia. Luana przesunęła językiem po spierzchniętych wargach. Szukała oczyma w tłumie Rileya i Cole’a; potem wyrwała się Ricie i podbiegła do chłopców.

Nikt nie dosłyszał ich rozmowy, która była bardzo krótka i zgoła nieoczekiwana.

– Nie mogłam zepsuć wam szansy na Yale i Notre Dame! Pewnie myśleliście, że jestem głupia i nie wiem, że to najlepsze szkoły z Ivy League! Bardzo was przepraszam! Strasznie mi przykro!

– Powiedz im tylko prawdę, Luano – poprosił po cichu Cole. – O nas się nie martw.

– Nie stanie ci sienie złego. Ta pani, z którą przyszłaś, zadba o to, żeby cienie złego nie spotkało – szepnął Riley.

Cole’owi wydało się, że plecy Luany są trochę bardziej wyprostowane, gdy dziewczyna wracała do Rity Introne. Słuchali

uważnie, gdy opowiadała o tym, co ją spotkało. Starali sienie okazywać ogarniającego ich przerażenia. Kiedy było już po wszystkim i Luane zabrano do schroniska dla młodzieży, Riley skłonił się nisko przed swym dziadkiem.

– Honor naszej rodziny ocalony, prawda, dziadku? – spytał z niepokojem.

– Zawsze byłem pewny, że tak się stanie. Chodź ze mną. Chyba powinniśmy spróbować tych... pieczonych kurcząt. – Starszy pan skrzywił się – Ciekawym, czy są równie obrzydliwe, jak jankeska grochówka.

Cole uśmiechnął się.

– Moja matka przygotowała coś specjalnie dla pana. Nie będzie pan musiał jeść tych kurcząt.

– Mój chłopcze, ocaliłeś mi życie powiedział z ulgą Japończyk.

– Czy zostaniesz z nami, dziadku, choć kilka dni? Chcę ci zwrócić pieniądze, które dałeś na naszą podróż.

– Pojadę do Nowego Jorku i odwiedzę Sawyer. Muszę się na własne oczy przekonać, że istotnie dokonano cudu. Widzę, że nic wam już nie zagraża. Przybyłem jedynie po to, żeby okazać, iż jestem po waszej stronie. – Obaj chłopcy uśmiechnęli się, gdy ich ucałował. – Chodźmy. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co też przygotowała dla mnie pani Tanner.

Kiedy ostatni samochód odjechał z podjazdu, Cole i Riley zostali na nim sami. Dwóch chłopców: jeden taki ciemny, drugi jasny. Żaden z nich nie zauważył, że rodzina obserwuje ich z werandy.

– O mały włos nie straciliśmy tego wszystkiego – powiedział cicho Cole zakreślając krąg ramieniem.

Riley sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej swoją baseballową czapkę. Osadził ją starannie na głowie.

– Teraz czuję się jak należy!

Pochylił się i sięgnął do wnętrza berlinetty. Wyciągnął stamtąd drugą czapkę i podał ją Cole'owi.

Cole spojrział na żółte litery: NOTRE DAME. STRZELEC WYBOROWY. Wbił czapkę na głowę.

– Nieźle jest być Colemanem!

– Całkiem nieźle – uśmiechnął się szeroko Riley.